

CEZARY HARASIMOWICZ

Saga

CZYLI FILIŻANKA,
KTÓREJ NIE MA



Cezary Harasimowicz

SAGA CZYLI FILIŻANKA, KTÓREJ NIE MA



Copyright © by Cezary Harasimowicz, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Filizanka, której nie ma](#)

[Fotografia ośmiu wspaniałych](#)

[Krzyk na ulicy Rycerskiej 21](#)

[Rumak bez oka](#)

[Bezkonny ułan](#)

[Ciąć kurwysyna!](#)

[Kiedy ułan z konia spadnie](#)

[Muszka](#)

[NN](#)

[Nekrolog](#)

[Amen](#)

[Cukier](#)

[Paryska pocztówka](#)

[Bajki czarowne](#)

[Jaś i Małgosia](#)

[Bęc! Łup! Pac!](#)

[Krzyk na Ułańskiej](#)

[Blizna](#)

[Diabeł bez ogona](#)

[Szumiący worek](#)

[Nowy rok](#)

[Papierośnica](#)

[Skrzynka z krasnoludkami](#)

[Dwa listy oraz portfel](#)

[Brylanty babci Muszki](#)

[Jajko](#)

[Biały słoń](#)

[Trumna](#)

[Buty](#)

[Mleczak](#)

[Łoże boleści](#)

[Wąsy Piusa XI](#)

[List polecony](#)

[Kałuża i nóż rzeźniczy](#)

[Fiołkowitzielonkawe oczy](#)

[Deutschland über alles](#)

[Srebrna trumna, mądry topielec i morski kapitan wychodzą ze ściany](#)

[Suknia z jasnobłękitnej tafty](#)

[Słomkowy kapelusz](#)

[Ranne pantofle i miód turecki](#)

[Płaszcz](#)

[Gruszka](#)

[Strzępy](#)

[Letnie pantofelki, jesienne trzewiki](#)

[Walizka z podwójnym dnem](#)

[Złota omega](#)

[Opaska](#)

[Imieninowy telegram](#)

[W poszukiwaniu straconego czasu](#)

[Tajemniczy mężczyzna o wystających kościach policzkowych, znajoma z baleronom i sąsiedzi hodujący króliki w wannie, czyli oczy i uszy, których nie widać](#)

[Sweter na wiosnę i czerwony sportowy samochód](#)

[Bedarfsanmeldung, perski dywanik i warkocz](#)

[Bukiet białych róż](#)

[Trzy białe kombinezony](#)

[Srebrny grzebyk](#)

[Piekło nr 1](#)

[Piekło nr 2](#)

[Dziewczynka z tornistrem](#)

[Chłopięca głowa](#)

[Chłopak w niebieskim kombinezonie](#)

[Królewicz](#)

[Ślady na suficie](#)

[Kurtyna](#)

[Papierosy bielomorkanał](#)

[Boże Narodzenie 1948. Numer podwójny. Cena 40 zł](#)

[Fikus, aloes i kaktusy](#)

[Sok czosnku](#)

[Szarża](#)

[Szczątki](#)

[Podziękowania](#)

[Post mortem](#)

[Przypisy](#)

Mojej matce

Filizanka, której nie ma

Moja matka traci pamięć. Nie. Moja mama nie traci pamięci. Moja mama pomału zaprzyjaźnia się z równoległym światem. Raz na jakiś czas przychodzą do niej rodzice, głównie ojciec, babcia Funia, przyjaciele, miłości, a nawet Marszałek Piłsudski i kardynał Stefan Wyszyński. Wychodzą ze ściany, rozmawiają, kłócą się, pocieszają. Potem znikają na powrót w murze i mama wraca do świata, który istnieje. Moja matka ma już prawie dziewięćdziesiąt sześć lat. Ludzie mówią, że to piękny wiek. Być może. Jeśli ból i niemoc mogą być piękne. Ale tak czy owak moja mama nosi w sobie piękno. Kiedy na nią patrzę, nie widzę starej kobiety. Moja matka była piękną kobietą. Nadzwyczajnie piękną. I nadzwyczajną. Pokolenie Kolumbów. Jej życie to epoka. Od zamachu na prezydenta Narutowicza przez przewrót majowy, II Rzeczpospolitą, pogrzeb Słowackiego, kampanię wrześniową, powstanie warszawskie, przez stalinizm, gomułkowską małą stabilizację, gierkowską propagandę sukcesu, karnawał Solidarności, przez stan wojenny po okrągły stół, III Rzeczpospolitą i dobrą zmianę. Moja matka podczas wojny dwa razy nie dała się rozstrzelać i nie dała się wywieźć do obozu w Auschwitz. Moja mama mieszka w domu, który został zbudowany z cegieł po zrujnowanym getcie. Kiedy jeszcze na naszym podwórku wystawały jak niepogrzebane kości resztki przedwojennych murów, moja matka nigdy nie przeszła przez podwórko. Teraz gruzy zabetonowano. Ale pod betonem jest spalony, dawny świat. Gdy byłem dzieckiem, nie zwracałem specjalnie uwagi na to, co spoczywa w ziemi na moim i na sąsiednim podwórku. Nie, przepraszam, owszem, kryły się tam ciekawe rzeczy. Na przykład cekiny i koraliki. Dlaczego ziemia była usiana koralikami i cekinami? Bo na dawnych Nalewkach w tym miejscu znajdowała się manufaktura strojów karnawałowych. Obok fabryczki rosła mirabelka. Mirabelka przetrwała Zagładę, powstanie w getcie. Tę mirabelkę i historię braci, którzy byli właścicielami manufaktury karnawałowych strojów, opisała Hanna Krall w jednym ze swoich reportaży. To była opowieść o żydowskich duchach, które nie chcą opuścić murów zbudowanych z cegieł getta. W moim domu kilku mieszkańców popełniło samobójstwo. W sąsiednim domu mieszkał ojciec pewnych reżyserek filmowych, który, prześladowany przez bezpiekę, w tajemniczych okolicznościach wypadł z okna. Na ulicy, przy której stoi dom mojej matki, bardzo często dochodzi do wypadków drogowych. W jednym z nich została ciężko ranna znana piosenkarka. Cudem uniknęła śmierci.

Lubię ten dom i tę okolicę. To miejsce mojego dzieciństwa. Lubię swoje podwórko, gdzie z górki usypanej z gruzów getta zjeżdżaliśmy zimą na sankach, lubię mieszkanie mojej mamy, z którego ścian wychodzą duchy przeszłości i prowadzą rozmowy z dziewięćdziesięciosześcioletnią piękną kobietą. To mój świat. Lubiłem mirabelkę, która przeżyła getto. Lubiłem. Bo mirabelkę wycięto z mojego świata.

Czy świat w ogóle jest mój? W chwili gdy piszę te słowa, ważą się losy polskiego polityka, który zostanie albo nie na wysokim stanowisku w Unii Europejskiej. Wczoraj były protesty kobiet, w Polsce i na całym świecie. Pięciu handlarzy narkotyków

wprowadziło na rynek ponad 1,3 tony amfetaminy i prawie 300 kilogramów marihuany. Właśnie zostali zatrzymani przez Centralne Biuro Śledcze Policji, podaje miejska „Gazeta Wyborcza”. Resort kultury chce, by zmiany w prawie abonamentowym, które włączą operatorów kablowych i satelitarnych w proces sprawdzania, kto zarejestrował telewizor, weszły w życie jeszcze przed wakacjami, głosi „Rzeczpospolita”.

Zbrojenia, manewry i formowanie uderzeniowych jednostek. Do tego ostra retoryka generałów i polityków. Wszystko świadczy o tym, że Rosja szykuje się do wojny z NATO. Czy wybuchnie? Niektórzy obawiają się września. – Będziemy kontynuować pracę nad wzmocnieniem kadrowym i organizacyjnym sił zbrojnych, podwyższeniem ich mobilności i gotowości bojowej – zapowiada Władimir Putin. Na uroczystym przyjęciu na Kremlu z okazji Dnia Obrońcy Ojczyzny prezydent Rosji zapewnił, że armia rosyjska już osiągnęła „ogromny potencjał bojowy” i jest w stanie przeciwstawić się wszelkiej agresji, wieści „Gazeta Polska”.

TYLKO U NAS: Chodakowska chce pobić kolejny rekord Guinnessa! Tym razem szuka chętnych do utrzymania ciała w pozycji deski przez 60 sekund. Potrzebuje 1600 osób, anonsuje „Pudelek”.

Pytam sam siebie, co sprawiło, że żyję? Czyja to zasługa? Planu spisane go na górze? Przypadku? Ile sprzyjających okoliczności musiało wystąpić w przeszłości, że akurat tak wyszło, iż jestem na świecie. Kiedyś ludzie umierali od zwykłego zakażenia, wystarczyło się skaleczyć. Tak jak to przydarzyło się mojej babci ze strony ojca. Zacięła się w palec, infekcja, śmierć. A wojny? A zarazy? A masowo umierające niemowlęta? Jakże musiały zaistnieć szczęśliwe zbiegi okoliczności, ilu moich przodków ocalało, bym i ja żył, jak musiała się ciągnąć nić Ariadny, bym na końcu labiryntu uchwycił jej koniuszek i pojawił się na świecie? Moja matka poroniła kilka ciąż. Ja byłem pierwszą udaną.

Znałem kiedyś pewnego sklepikarza na natolińskim osiedlu. „Sklepikarza”, tak kazał się tytułować, choć był wykształconym i bardzo mądrym człowiekiem. Ów historyk amator zaprzyjaźnił się z muzą Klio w bardzo specyficzny sposób. Mniej interesowały go wielkie procesy społeczne, wojny, rewolucje, przemiany kulturowe, a bardziej zwykłe ludzkie życie. Swego czasu zrobił wykaz osób o moim nazwisku mieszkających w Warszawie w XVIII wieku. Kazał mi się skupić nie na asesorze czy rotmistrzu, bo o nich były parozdaniowe wzmianki w archiwach. Wybrał kucharkę Julię – mieszkającą na ulicy Freta pod konkretnym numerem – po której zostały tylko data śmierci i adres. Co prawda, oryginalna kamienica przy Freta już nie istnieje, ale po wojnie wzniesiono na jej miejscu replikę. Pan „sklepikarz” kazał mi się udać pod wskazany adres, przymrużyć oczy i spojrzeć na otaczający świat oczami Julii kucharki, z której życia pozostało jedno zdanie. W ten sposób miałem wskrzesić w swojej głowie świat, który miała przed oczami tamta kobieta. Tak zrobiłem.

Mijam ducha mirabelki, która ocalała z pożogi i Zagłady. Przechodzę przez zabetonowane podwórko, pod którym leżą gruzy i spalone fundamenty dawnego miasta, nieopogrzebane kości. Odwiedzam swoją matkę.

– Mamo. Dostałem ciekawą propozycję.

Oczy matki lekko się zaiskrzyły, ale spojrzenie utonęło gdzieś we mgle.

– Wydawnictwo chce, żebym napisał coś na kształt sagi rodzinnej. Wiesz, chodzę tam, gadam z redaktorem i miałem ozorem o tobie, o dziadku... Powiedzieli, że to temat na książkę.

W odpowiedzi uśmiech.

– Muszę cię, mamę, wypytać o pewne sprawy... – Wiem, że będzie ciężko.

Piękny, ale nikły grymas nie schodzi jej z ust. Matka przyzwalająco kiwa głową. Tak, będzie ciężko. Na szczęście zostały spisane wspomnienia, kiedy jeszcze mama nie witała się z równoległym światem, są też pamiętniki napisane przez dziadka. No i to, co zapamiętałem z opowieści nieżyjącej już babci, ze strzępków rodzinnych reminiscencji. Resztę trzeba będzie wyśledzić, przymrużyć oczy i przenieść się w czasie.

– Mamę, podoba ci się ta propozycja?

– Podoba mi się. Tak... – Mama traci wątek.

Muszę poczekać, aż wróci jej myśl. Przez ten czas omiatam wzrokiem ściany, z których wychodzą rodzinne duchy i Piłsudski. Jest! Mam go. Na wprost mnie wisi zdjęcie Marszałka z dedykacją: „Dla Królikiewicza, sławy pułku, Marszałek Józef Piłsudski”. Unikatowa fotografia. Nigdzie w archiwaliach takiej nie widziałem. A więc to tak, z tego zdjęcia schodzi Marszałek, by porozmawiać z moją mamą. Dobrze, że bez Kasztanki. Byłoby ciężko. Siódme piętro. Ciasna winda. Mieszkanie niewielkie. Produkt stalinowskiej myśli architektonicznej. Ślepa kuchnia, wąziutki korytarz. W tamtych, powojennych latach – marzenie. Marzenie zbudowane z gruzów getta. Są i inne zdjęcia. Na wielu moja mama aktorka, oszałamiająco urodziwa. Kiedy pokazuję kolegom skany tych fotografii zdeponowane w iPhonie, mięknią im kolana. Jest też jej portret namalowany po powstaniu warszawskim. Zapłatą dla artysty była kołdra i poduszka. Na tym obrazie litościwy malarz doczepił pędzlem koczek. W rzeczywistości matka miała poobozowe, krótko ścięte włosy. Zdjęcie z papieżem, z kardynałem Wyszyńskim. Na ścianach wiszą też bardzo stare fotografie, pradiadka Stanisława, prababki Stefanii, Funi. Dziadka w ułańskim mundurze. Tysiące razy na nie patrzyłem bez specjalnego zainteresowania. Teraz trzeba będzie się zainteresować.

– Napisz o filizance – odzywa się wreszcie mama.

– Jakiej filizance?

– Porcelanowej.

– Ale konkretnie? – dopytuję.

– Tej napoleońskiej.

– Jakiej napoleońskiej, mamę?

– Po Miłobędzkim – odpowiada. Na chwilę pozwala opaść powiekom w przymrużeniu. – Żołnierzu napoleońskim.

Cholera, nie przypominam sobie żadnej „napoleońskiej filizanki po Miłobędzkim”. Nie ma żadnej filizanki. Nie było żadnej filizanki. Wracam do domu. Mieszkam niedaleko matki. Bardzo blisko dawnego getta, ale już po „aryjskiej” stronie. Dziwne, że los związał mnie przypadkiem z tą okolicą. Ze ścian mojego mieszkania nie wychodzą duchy. Patrzą na jedno ze zdjęć wiszące w starej brązowożłotej ramce. Teraz ja przymrużam oczy. Co widzę?

Fotografia ośmiu wspaniałych

Zdjęcie przedstawia dziesięcioosobową rodzinę. Rodzice i ośmiu synów. Ładną czterdziestotrzyletnią kobietą w długiej, ciemnej sukni z dyskretnym haftem. Ma dostojny wyraz twarzy, podkreślony przez wydatny nos. Orli nos jest prawdopodobnie pamiątką po ormiańskich przodkach. Kobieta prawą ręką obejmuje małego chłopca ubranego we wdzianko, w taką uproszczoną wersję huzarki, uszytą z samodziału. Kobieta trzyma lewą dłoń na drobnej ręce chłopczyka. Nienachalnie czuły gest. Kobieta ma spracowane dłonie. Nazywa się Julia Królikiewicz z domu Bronarska, jej matka nosiła panieńskie nazwisko Romanow. Julia urodziła się 6 stycznia 1863 roku, tuż przed wybuchem powstania styczniowego. Umrze 20 kwietnia 1911 roku, pięć lat po zrobieniu tego zdjęcia.

Chłopczyk, którego z surowym dostojeństwem pani Królikiewicz obejmuje, nosi imię Oktawian. Nomen omen, jest ósmym żyjącym dzieckiem Julii. Na fotografii ma trzy lata, przekrzywia z dziecięcym wdziękiem główkę, patrząc w obiektyw. Oktawian urodził się 5 stycznia 1903 roku. Zginie w czterdziestym pierwszym lub drugim roku zastrzelony przez hitlerowców. Jego syn Zbigniew podejmie indywidualną akcję odwetową, by pomścić śmierć ojca. Osiemnastoletni Zbyszek zostanie rozstrzelany i pochowany w bezimiennym grobie. W Muzeum Warszawy wisi eksponat – obwieszczenie zapowiadające egzekucję Zbigniewa Królikiewicza.

Na zdjęciu obok Julii siedzi na krześle przystojny mężczyzna z brodą. Przybrał bardzo dziwną pozę. Jest odwrócony do obiektywu lewym profilem. Nie chce pokazywać prawego oczodołu. Mężczyzna nie ma oka. Wyżarł je nowotwór. Mężczyzna jest ubrany w elegancki garnitur, u szyi ma zawiązany kraciasty fular. Mężczyźni na imię Karol. Urodził się 18 listopada 1855 roku. Osiem dni po narodzinach Karola zmarł Adam Mickiewicz. Karol Królikiewicz umrze rok po zrobieniu tego zdjęcia.

Karol obejmuje lewą ręką sześciolatniego chłopca, również ubranego w huzarkę z samodziału. Chłopiec patrzy odważnie prosto w obiektyw, trochę zawadiacko. To Wacław. Urodził się 11 września 1900 roku. Umrze 18 grudnia 1983 roku. Wacław zostanie wybitnym inżynierem, specjalistą od budowy mostów. Zawadiackie spojrzenie będzie miał w oczach aż do śmierci. Będzie się dzielnie bił z bolszewikami w 1920 roku, a podczas drugiej wojny światowej zostanie jako oficer internowany, między innymi w oflagu II C Woldenberg. Dwukrotnie żonaty. Przed drugą II światową z Ireną Mayer, po wojnie ze Stefanią Chmielarz. Z drugiego małżeństwa urodzą się dwie córki, Ewa i Grażyna.

W drugim rzędzie stoi czterech przystojnych, postawnych mężczyzn. Pierwszy z lewej zapuścił wąs, jest ubrany w dwurzędowy garnitur, widać, że z niezbyt drogiego materiału. Kołnierzyk ze stójką oplata jasną, niewielką muszką. Mężczyzna z dyskretnym wąsem ma prawie dwadzieścia sześć lat. Na imię mu Marian. Przyszedł na świat 8 września 1880 roku. Ożeni się z Wandą Popecką, urodzi się im córka Lidka, Lidka wyjdzie za mąż za pana Lacherta i będzie miała córkę Joannę, malarkę. Marian zginie we wrześniu 1939 w Warszawie. Zabłąkana kula czy odłamek bomby zabije go,

gdy będzie biegł przez podwórko po ranne pantofle dla swojej żony Wandy.

Obok stoi młodszy o cztery lata brat Kazimierz. Urodził się 27 lutego 1884 roku, umrze dziewięćdziesiąt dwa lata później. Podczas wojny bolszewickiej 1920 roku trafi do sowieckiej niewoli. Kazimierz skończy architekturę. Będzie budował Moskwę. Ożeni się z Rosjanką, z którą zechce wrócić do Polski. Władze radzieckie nie pozwolą krajance emigrować. Kazimierz będzie musiał wybierać: ojczyzna albo żona. Wybierze Polskę. Imię żony Kazimierza nieznane. Kazimierz, tak jak jego brat Marian, nosi już wąs, spod poły marynarki wystaje dewizka, wąski krawat zawiązany na kołnierzyku ze stójką. Kazimierz nie patrzy w obiektyw.

Obok – Tadeusz. Spogląda z ukosa. Ma dziewiętnaście lat. Urodził się 25 marca 1887 roku, umrze 24 stycznia 1970. W 1913 ożeni się z Herminą z domu Wachtel. Ze związku urodzą się dzieci: Irena, Tadeusz junior i Zofia. Tadeusz junior zginie w czasie II wojny światowej na lotnisku w Budapeszcie, w czasie ucieczki z okupowanej Polski. Irena zostanie wybitnym matematykiem, profesorem. Zofia będzie bohaterską konspiratorką i powstańcem podczas II wojny światowej. Tadeusz jest najwyższy z braci, podobnie jak Waław ma zawiadane poczucie humoru i nadzwyczajnego nosa do interesów. Nawet w najgorszych okupacyjnych i stalinowskich czasach nie da sobie w kaszę dmuchać. Do zdjęcia ubrał się w prążkowany garnitur z kamizelką. Mucha. Tadeusz zerka z ukosa w obiektyw. Tym razem jest poważny, choć założy się, że po pstryknięciu coś skomentował w swoim stylu.

I ostatni z tylnego rzędu. Mieczysław. Już nie tak przystojny jak reszta. Szary garnitur, kraciasta mucha, marynarka zapięta na pierwszy guzik, trochę niepewny wzrok skierowany w stronę aparatu. Lewa ręka oparta na blacie owalnego stoliczka. Mieczysław urodził się 28 września 1889 roku. Dożyje dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Ożeni się z Eugenią Mayer w 1933 roku. Małżeństwo pozostanie bezdzietne. Mieczysław będzie walczył w Legionach, podczas II wojny zostanie internowany na Węgrzech. Po wojnie zajmie się rodzinnym pensjonatem w Lanckoronie.

Na krześle obok Waław siedzi najprzystojniejszy z braci. Stanisław. Ma piętnaście lat. Ubrany w gimnazjalny mundur. Trochę lekceważąco patrzy poza obiektyw. Ręce skrzyżowane na piersi. To jedyna nonszalancka poza na rodzinnej fotografii. Urodził się 24 kwietnia 1891 roku. Umrze 24 czerwca 1972. W 1914 ożeni się z Jadwigą Dulską, z którą będzie miał syna Juliusza. Julek umrze w wieku pięciu lat. Jadwiga trafi na zesłanie do Kazachstanu. Wróci do Polski po wojnie, wyniszczona przez zsyłkę. Stanisław będzie miał długoletni romans z pewną arystokratką. Zostanie oficerem artylerii. 7 listopada 1918 roku bateria dowodzona przez porucznika Stanisława Królikiewicza odda pierwszy strzał armatni w obronie Lwowa. Od tego czasu 7 listopada będzie świętem Lwowskiego Pułku Artylerii Lekkiej. Stanisław Królikiewicz ukończy w Paryżu Wyższą Szkołę Wojenną.

I wreszcie ostatni z braci. Adam. Szkolny mundurek. Odważne spojrzenie wbite w obiektyw. Prawa ręka oparta buńczucznie na biodrze. Chłopiec ma dwanaście lat. Urodził się 9 grudnia 1894. Umrze 4 maja 1966. Adam to mój dziadek.

Kilku spośród braci zostanie Orłętami Lwowskimi. Poznałem tylko sześciu Królikiewiczów: Waław, Tadeusza, Kazimierza, Mieczysława, Stanisława, no i Adama. Oprócz dziadka, najbliższy mi był stryj Waław. Z jego córkami Grażyną

i Ewą spędzaliśmy wakacje w Witowie pod Doliną Chochołowską. Żona Waclawa, ciocia Stefa, to jedna z najcieplejszych istot pod słońcem. Ciocia Stefa żyje, jest dokładnie w wieku mojej matki. Starsza córka cioci Stefy i Waclawa, Ewa, została architektem, młodsza, Grażyna, jest wykładowczynią na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kazimierza pamiętam z dzieciństwa jako trochę tajemniczego, o tubalnym głosie. Po Mieczysławie zostały mi w spadku legionowe pamiątki, medale, order francuskiej Legii Honorowej i gliniane rzeźby. Cała rodzina kochała jego żonę, ciocię Gienię, kruchą, uśmiechniętą, jękającą się. Stanisława trochę się bałem i czułem dystans, ale podziwiałem, nie mogąc pojąć, jak opanował w mowie i piśmie dwanaście języków. Był lekko alienowany przez rodzinę ze względu na romans z arystokratką i z powodu poglądów politycznych. Wszyscy Królikiewiczze czcili Piłsudskiego, Stanisław trzymał stronę Sikorskiego. Tadeusza lubiłem prawie tak samo jak stryja Waclawa. Potrafił przebierać się za Indianina i ganiać z chłopakami po podwórkach. Na pogrzebie dziadka Adama, patrząc na otwarty rodzinny grób, spytał mnie, czy umiem grać w brydża. Odpowiedziałem, że nie. „Nie szkodzi. Nauczę cię. Będziemy mieli sporo czasu”. Wszyscy stryjowie zaciągali po lwowsku. Najmniej mój dziadek. Wszyscy mieli ormiańskie orle nosy.

W jakim zakładzie fotograficznym zrobiono to rodzinne zdjęcie? N. Lissa, ulica Akademicka 18? Może w tym u pana Bahrynowicza na Jagiellońskiej 24? Może w Trzemeskim Lwowie przy 3 Maja 5 albo na Łyczakowskiej 9? U Hegedusa, Kopernika 8? Na rewersie zdjęcia nie ma adresu, jest tylko data. Przymrużam oczy.

– Wacio, stań przy ojcu. Otek, do mnie i daj mnie rączkę. Tu, Adaś. Mówiłam, tu. I nie podpieraj się pod biodro jak baciara, to niekulturalnie. Ta Marian, Kazik, Tadzik i Miećko z tyłu według starszeństwa od prawa do lewa. Dobrze mówię, panie Bahrynowicz?

– Ta joj, pani Królikiewicz, pani zawsze dobrze rozkazuje.

– Tadeusz, bez szutków, bardzo proszę. Karolu, ta co ty tak dziwnie bokiem siedzisz?

– Bo ja tak chcę, kochanie.

– No dobrze... Stasiu, dlaczego zakładasz rękę na rękę jak jakiś galant?

– Bo on chce zasłonić mundurek i żeby funiasto wyglądać.

– Bez pyskowania, Adasiek, do starszego brata. Przepróż.

– Przepraszam...

– Kochani, proszę uprzejmie wciągnąć wielkanocne bańdziochi, bo będę pstrykał.

– Ta, panie, tu nikt ni ma brzucha. Pstryknij się pan w nos.

– Tadeusz!

– Uwaga! Wziąć oddechi i nie telepać się, aż ja powim.

Pstryk! Jest 17 kwietnia 1906 roku. Wtorek. Dzień po świętach Wielkiej Nocy. W Rosji trwa rewolucja. Polska pod zaborami. Lwów pod panowaniem miłościwego cesarza Franciszka Józefa. Tego dnia niedaleko fotograficznego zakładu pana Bahrynowicza urodził się Stanisław Deutschman, wieloletni piłkarz Pogoni Lwów. Następnego dnia mieszkańców San Francisco obudzi potworne trzęsienie ziemi, które zrujnuje miasto. Dziesięć dni wcześniej nastąpiła erupcja Wezuwiusza, która zdewastowała Neapol. Dwa dni później Pierre Curie, mąż Marii Skłodowskiej, zginie przejechany przez konny wóz ciężarowy.

San Francisco. Mimo wszelkich środków zapobiegawczych, zarządzonych przez władze, zagraża tutejszej ludności wybuch różnych epidemij. W obozach gdzie koczują przeważna część mieszkańców stwierdzono kilka wypadków tyfusu i ospy. W mieście panuje wszechwładnie wojsko. Byłem świadkiem jak pewien oficer otworzył jeden ze sklepów z żywnością i pozwolił brać z niego ludziom wszystko, co było im potrzebne, z wyjątkiem wódki. Kilka osób mimo to, wzięło także flaszki z wódką. Oficer ujrawszy to, kazał im flaszki odrzucić, a gdy tego rozkazu nie usłuchały, kazał dać do tych osób ognia i wnet kilka trupów tarzało się po ulicy.

Kuratele. Za chorobę na umyśle uznano Justynę Seniuk żonę Hawryły z Dworzec. Kuratorem jej ustanowiono Hawryłę Seniuka w Dworcach. Macieja Siciarza z Rudołowic uznano marnotrawcą a kuratorem jego ustanowiono Michała Siciarza z Rudołowic.

Korespondencje. Zdaje się, że wybuch Wezuwiusza uważać trzeba za skończony. Jeszcze tu i ówdzie bliżej wulkanu pada deszcz popiołu, który zanieczyścił całą okolicę, pola, domy i ludzi. Pono narzędzia obserwatorium położonego na stoku Wezuwiusza, zapisują drobne wstrząśnienia, ale wielkie niebezpieczeństwo minęło. Więc zamiast deszczu popiołu, sypią się teraz składki na okolicę dotkniętą nieszczęściem i sypią się wcale obficie. Włochy wzbogaciły się widocznie, oszczędność i typowy zdrowy rozsądek włoski dokonały swego. Dobrobyt wzmógł się bardzo w ciągu ostatnich kilkunastu lat; widać to po napływie ofiar na dotkniętych katastrofą¹.

Tak donosi „Gazeta Lwowska” w kilka dni po tym, jak rodzina Królikiewiczów została uwieczniona na fotografii, która wisi w brązowozielonej ramce na ścianie mojego mieszkania.



Fotografia rodzinna Królikiewiczów, Lwów (1906).

Krzyk na ulicy Rycerskiej 21

Mój dziadek Adam urodził się w grudniu, szesnaście dni przed świętami Bożego Narodzenia, jako szóste dziecko Karola i Julii. To nie jest pełna prawda. Bracia mieli jeszcze dwie siostry. Nie znam ich imion. Dziewczynki zmarły. Śmierć noworodków w tamtych czasach to rzecz okrutnie częsta. Narodziny mojego dziadka mogły się nie udać, Julia była co prawda wieloródką, wieloródki rodzą łatwiej, ale pani Królikiewiczowa dochodziła już kwiecica wieku i wszystko mogło się zdarzyć. Poród w dziewiętnastym stuleciu był ryzykiem. Dzieci rodziło się w domu, nie istniały jeszcze aseptyczne porodówki, akuszerka mogła być niedoświadczoną „babką”. Adam mógł umrzeć podczas narodzin. Gdyby zaistniało niebezpieczeństwo, „babka” ochrzciłaby go wodą święconą, której flakonik zawsze nosiła przy sobie na wszelki wypadek. Niemowlę spoczęłoby w małej trumience, a potem w mogiłce, prawdopodobnie na cmentarzu Janowskim, gdzie są pochowani Karol i Julia. Pewnie zostałyby pogrzebane obok swoich siostrzyczek. Jeśli poród miałby miejsce po zmroku, sytuacja byłaby trudniejsza niż za dnia. W 1894 roku we Lwowie nie płynął jeszcze prąd do prywatnych domostw. Owszem, Lwów już mógł się poszczycić elektrownią. W latach 1891–1894 na brzegu Młynówki u zbiegu ulic Pełczyńskiej, Kopernika i Wuleckiej wybudowano elektrownię prądu stałego o mocy czterystu koni mechanicznych i remizę dla pierwszych lwowskich tramwajów. Bo od 27 kwietnia 1894 roku ulicami Lwowa ruszyły tramwaje. W 1896 roku miasto wykupiło ich sieć oraz elektrownię za 1680 tysięcy koron. Powstały Miejskie Zakłady Elektryczne. Od chwili otwarcia Teatru Wielkiego w 1900 roku prąd elektryczny zaczęto wykorzystywać do oświetlenia. Elektrownia odtąd wykonywała potrójne zadanie: dostarczała prąd dla sieci tramwajowej, oświetlenia miasta oraz dla potrzeb zakładów przemysłowych².

Przymrużam oczy. Karol i akuszerka oświetlają izbę świecami i lampami naftowymi. Lampa naftowa została wynaleziona przez Ignacego Łukasiewicza równo czterdzieści lat wcześniej. Zgadnijcie, w jakim mieście zabłysło światło lampy, która poniekąd zrewolucjonizowała w tamtych czasach świat. Ano we Lwowie. A zatem po ścianach izby prześlizguje się cień „babki”, Julia leży w małżeńskim łożu, kropelki potu iskrzą się w blasku naftowej lampy, na owalnym stolyczku stoją dwie miski z wodą, narzędzia porodowe, bandaże, płótno. Karola i jego synów nie ma w pokoju. W tamtych czasach mężczyźni nie towarzyszyli kobietom przy narodzinach dziecka. Jeszcze tylko w uchylonych drzwiach ukaże się głowa czternastoletniego Mariana. Stoi w progu z garnkiem wrzątku. „Babka” odbiera naczynie i przepędza chłopca. Marian wraca do braci i ojca. Siedzą w saloniku. Julia zaciska usta z bólu.

– Przyj, przyj, kochana. No jeszcze, binia, mocniej. No, ta już główka na świat się prosi. Jeszcze mocniej. No...

Poród trwa dosyć krótko i nie jest na szczęście skomplikowany. Jak się rzekło – pani Julia Królikiewicz jest doświadczoną wieloródką. Wreszcie przez oblodzone szyby przebija się krzyk noworodka i płynie po zasypanej śniegiem ulicy Rycerskiej, w stronę dworca kolejowego, hal warsztatowych, ku płataninie torów.

– Chłopiec. O, buśko znów chłopca wam przyniósł w dziobie.

Akuszerka na wszelki wypadek chrzci niemowlaka „z wody”. Trzeba będzie to zarejestrować w dokumentach parafialnych, ale i tak chłopiec zostanie przyzwoicie sakramentowany w kościele Świętej Marii Magdaleny. Dostanie na imię Adam. A to być może z okazji zbliżających się imienin przypadających w Wigilię, a to być może ku chwale Mickiewicza, w którego dziełach zaczytuje się ojciec Karol. A może z jednego i drugiego powodu. Tak więc państwo Królikiewiczowie dostają pod choinkę prezent – zdrowego, silnego chłopca. „Babka” nie była niemotą, poród się udał. Święta Bożego Narodzenia będą błogosławione. Adam, mój dziadek, będzie żył długo. Za sześćdziesiąt jeden lat przyjdę na świat ja. Sześćdziesiąt jeden lat żyję na świecie.

Zajrzyjmy do przedświątecznej lwowskiej prasy.

Jego cesarska i królewska Apostolska Mość raczył Najwyższem postanowieniem z dnia 7 grudnia b.r. zezwolić najmiłościwiej c. i k. nadzwyczajnemu i upęnomocnionemu ambasadorowi, Antoniemu Trostburg-Wolkensteinowi, przyjąć i nosić cesarsko-rosyjski order św. Anny.

Nowe budowle w naszym mieście nie odznaczają się – mówiąc językiem fachowców: – „solidnością”. W sobotę rano zawałała się w nowowytbudowanym „Grand hotelu” podłoga na pierwszym piętrze, w skutek czego runął sufit nad drogueryą p. Lityńskiego, umieszczoną na parterze. Nie obeszło się bez wypadku. Przywołany budowniczy, p. Rappaport, straciwszy równowagę, spadł do sklepu p. Lityńskiego i potłukł się dość znacznie. Szczęściem, że drzwi, prowadzące do piwnicy, na które spadł p. R., były zamknięte – a stoją najczęściej otworem – bo gdyby nie ta okoliczność, byłby niezawodnie ten wypadek przybrał jeszcze fatalniejszy obrót.

Obwieszczenie. Zgubiono pulares z kwotą 10.000 zł. Wraz z notatką sprawunków świątecznych między innymi przedmioty zakupić się mające w składzie fabryki p. J. Kapralika we Lwowie przy ulicy Skarbkowskiej 1. 3. na rogu obok Narodnego Domu a to: dla męża mego Bonifacego symfonion samogrający tylko za 13 zł. Dla synka Józia skrzypce, smyk, futerał z kamertonem razem 5 zł. 50 ct. Dla synka Franusia aristonik elegancki z 6 nutami za 6 zł. 25 ct. Dla synka Edzia szwajcarską pozytywkę samogrającą za 3 zł. Dla córki Filomeny elegancką cytrę z mozaiką (są już od 6 zł.). Dla córki Zefirynty gitarę wykładaną za 5 zł. 50 ct. Dla córki Zosi figurkę (murzyna automatycznie grającego) za 4 zł. 50 ct i dla córki Antosi mały feniks na metalowe tony i metalowe nuty bardzo trwałe i głośny tylko 8 zł. Rzetelny znalazca uproszony do zatrzymania gotówki i pugilaresu, zechce zwrócić rzeczoną notatkę, gdyż inaczej musiałabym w sklepie p. Kapralika ponownie wybierać, co by mi trudności sprawiło wobec ogromnego jego zapasu wszelkich instrumentów, t. zw. aristonów, manopanów, herefonów, polyfonów, symfonionów itd. Z poważaniem Eudoksja Grajko³.

No, dzisiejsze agencje reklamowe mogą się uczyć od p. Kapralika.

A zatem jest grudzień 1894 roku. Lwów. Na ulicy Rycerskiej 21 w mieszczańskim domu z gospodarskim obejściem urodził się mój dziadek. Szósty syn Karola i Julii Królikiewiczów. Dziś ulica Rycerska nazywa się Storożenki, biegnie jak dawniej opodal stacji i węzła kolejowego, nie ma już na niej dawnych domostw, stoją zgrabne jedno- i dwupiętrowe kamienice, wybudowane już z pewnością po narodzinach mojego dziadka. We Lwowie nikt nie zdaje sobie sprawy, że można żyć i rodzić bez

elektrycznego oświetlenia. Minęły sto dwadzieścia trzy lata. Włączam komputer, loguję się do internetu i zaglądam do Wikipedii. Sto dwadzieścia trzy lata temu we Lwowie ruszył pierwszy tramwaj elektryczny, odsłonięto *Panoramę Racławicką* Kossaka i Styki, w warszawskiej Zachęcie wystawiono *Szał* Podkowińskiego. Konstruktor William Kennedy Dickson opatentował kamerę filmową. Anarchista Émile Henry dokonał zamachu bombowego na kawiarnię Terminus w Paryżu. Skazano go na karę śmierci. Również w Paryżu z inicjatywy Pierre'a de Coubertina powstał Międzynarodowy Komitet Olimpijski. We Francji odbyły się pierwsze zawody pojazdów o napędzie parowym, elektrycznym oraz spalinowym. Japończycy pokonali Chińczyków w bitwie pod Seonghwan. We Francji został aresztowany kapitan Dreyfus. W trzydniowym procesie oskarżono go o zdradę na rzecz Niemiec i skazano na dożywotnie zesłanie we francuskiej kolonii karnej na Wyspie Diabelskiej. No i zakończyła się ogólnoświatowa epidemia cholery. A poza tym...

Pół roku wcześniej w innym zaborze, rosyjskim, w Warszawie, w kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim przed ołtarzem stanęła młoda para. I to jest bardzo istotny moment w tej opowieści. Ale o tym będzie później. Na razie zostajemy we Lwowie na ulicy Rycerskiej 21.

Z okien domu przy Rycerskiej rozciąga się widok na wzgórze Kleparowa porośnięte buczyną. U podnóża wije się strumyk, tworząc bajorko zwane stawkiem Barana. Teren jest uroczo pogarbiony aż po nierówny widnokrąg, w stronę Rzęsny Polskiej, aż do Brzuchowic, gdzie podczas letniej kanikuly zjeżdżają się lwowscy letnicy. W lewo, na rozległej płaszczynie otwartych pól, mienia się w słońcu trzy stawy znamienitego winiarza, pana Sdatmullera. Widać w nich gromadę baciarskich chłopaków. Są wśród nich i Wacio, i Adaś, i najmłodszy Otek. Plusk kąpieli, okrzyki tryumfu:

– Rak! Patrzcie, ile raków tu się schowało!

– Ta uważaj, bo cię w lepetrykę dziabnie!

Tym razem skierujmy wzrok ku zachodowi. Na pokarbowanym horyzoncie czernieją Białohorskie lasy. Wbrew swej nazwie mroczne, wilgotne i tajemnicze, pełne konwalii i tajemnic. Tam kolejny raz widzimy trójkę najmłodszych braci Królikiewiczów. Nad lasem zapada magiczna godzina, ni to jeszcze dzień, ni to już noc. Czego szukają? To noc świętojańska. A więc Otek, Waclaw i Adaś węszą za kwiatem paproci. Jeszcze wierzą, że zdobycz przyniesie im szczęście. Choć chłopcy już zaznali pierwszych smutków w swoim krótkim życiu. Umarł ojciec. Surowy, ale kochający. Karol miał twardą rękę, miękkie serce. Nie mogło być inaczej w gromadnej rodzinie. Kłopotliwe stado. Pozostała matka. Już też schorowana. Julia stanowczością przykrywa rozsądną dobroć i czułość. Gdy za kilka lat będzie leżała na łożu śmierci, wezwie synów do siebie, rozdzielając praktyczne zalecenie:

– Będziecie się wspierać i opiekować według następującego zamysłu. Starszy trzyma kuratelę nad młodszym według porządku, jaki za chwilę ustalę. Chcę, żeby młodszy tak jak starsi pokończyli szkoły inżynierskie. Ale ta to uczyć się pilnie trzeba. Adasiek.

– Tak, mamo.

– Do ciebie mówię. *Pilny* masz na lekcjach być.

– Tak, mamo.

Przeglądam świadectwa szkolne mojego dziadka. Szału nie ma. Drugi po starszeństwie brat, Tadeusz, został przydzielony Adamowi jako opiekun. W każdym razie jakoś udało się doprowadzić Adasia do matury i wysłać na techniczne studia w Mittweidzie w Saksonii.

Ale jeszcze Julia żyje, choć podupada na zdrowiu. Ciężkim krokiem przemierza duży dom wybudowany rękami męża. Domostw wciąż jest niewiele przy ulicy Rycerskiej. Gospodarstwa dzielą płoty, sady, uprawne działki, nieużytki.

– Adam! Wacio! Otek! Oktawian!

Nie ma ich. Julia zagląda do ogrodu. Nie ma ich. Zagląda do obory z krowami. Do chlewu, gdzie trzoda. Nie ma chłopców. Kury uciekają z gdakaniem, kot wygrzewa się w promieniach gasnącego słońca. No nie ma ich! Gdzie są bracia?

Odwróćmy się od Białohorskich lasów i popatrzmy w przeciwną, południowo-wschodnią stronę, za Parkiem Stryjskim, Łyczakowem, Wysokim Zamkiem, w kierunku

na Czartowską Skałę, ku Winnikom. To bogatsza strona miasta. Może tam są bracia? Nie. Chłopaków pociągają pola i lasy.

– Ej. Co to? Lusterko? – Otek pochyła się nad czymś nadzwyczajnie połyskującym w gęstej trawie.

– Głupi. To denko od puszki. – Adam najmądrzejszy, bo najstarszy z trójki.

– Ta jakiej puszki? – dopytuje się Wacio.

– Konserwowej. Patrzcie, o tu pisze Hundenfleisch. Powojkowe. Każdy wojak ma takie w ruzaku, jak idzie na wojnę albo na manewry, żeby chabaninę hamać, jak będzie głodny.

Obok leży lekko już pordzewiała puszka. Widocznie wojsko Jego Cesarskiej Mości przechodziło tędy na ćwiczenia. Tak, już równo sto lat minęło, jak francuski browarnik Nicolas Appert z Anglikiem Peterem Durandem wymyślili puszkowanie strawy. Adam zamyśla się przez chwilę, patrząc na denko od puszki nierówno odcięte, pewnie bagnetem.

– Mam pomysł. Rzucimy sobie tym jak dyskiem. Jak na olimpiadzie. Kto dalej. Otek, idziesz o tam, pod krzaki. Ja rzucam z Wackiem, a ty mierzysz, kto wygra na odległość.

– Ja też chcę sobie rzucić dyskiem.

– Nie dyskutuj, jesteś jeszcze kociurbaty.

Nie dyskutuje się ze starszym bratem. Oktawian idzie posłusznie tam, gdzie należy.

– Uwaga! Rzucam! – Adam bierze zamach, trzymając w palcach dysk-denko, trochę z szacunkiem, żeby się nie pokaleczyć.

– Jezuuuuu!!!

Jesteśmy już pędem na Rycerskiej, która rozbrzmiewa krzykiem „Jezuuu Chrysteeeee!!!”.

– Jezu Chryste, Otek!

Julia chwytą syna w ramiona. Chłopak broczy krwią niczym, nie przymierzając, patroszony prosiak. Z czubka głowy sterczy mu konserwowy „dysk”.

– Który mu to zrobił? Adam? Wacek?

Chłopcy milczą jak grobowe płyty.

– Otek? Który?

Głowa Otki ocieka krwią, denko wbite głęboko. Ani pary z gęby.

– Baciary! Waclaw do kuczy idzie, Adam do komórki przy chlewie. Do jutra wieczór tam zostajecie. Ta bez jedzenia i picia.

Wacio zostaje zamknięty w kuczy, małym, ciemnym i ciasnym składziku. Adam w komórce. Wytrzymają solidarnie do następnego wieczora bez jedzenia i picia?

Przez szpary w deskach komórki dochodzi jakieś dudnienie. Narasta, zbliża się, nadchodzi. Adaś przystawia oko do prześwitu i widzi, jak nad ulicą Rycerską podnosi się chmura kurzu. Bębnienie jest całkiem wyraźne, towarzyszy mu głos trąbek, klarnetów, puzonów, rogów, tenorów, brzęk czyneli i basy tuby. Adam wyjmuje słabowity gwóźdź z deski, uchyla drewno. Za chwilę z lekkim trudem przecisnąć się przez szparę w komórce. Na szczęście matka w kuchni. Reszty braci – Bogu niech będą dzięki – nie ma w domu.

– Wacek. Banda idzie – rzuca szeptem Adam.

– Słyszę. Ta no to co?

– Ta no to trzeba iść wojsko zobaczyć.

Szepczą, stojąc po dwóch stronach zamkniętych drzwi kuczy. Wacław przestępuje z nogi na nogę. Megać czy nie megać, myśli.

– Adaś... Klucz jest pod dywanikiem przy schodach.

„Megać!”. Trzeba ruszyć tyłek i przed surowym wzrokiem umknąć z domu. Taka okazja nierzadko się nadarza.

– Ćśśś...

To było do rozdziawionego Otki. Bieli mu się bandaż na głowie.

Droga biegnie wzdłuż parkanu, za którym widać zaplecze nowego dworca. Jest wyboista, pełna kurzu, a w dni słotne grząska od błota. Dziś sierpniowy skwar leje się z nieba. Trakt łączy ulicę Grodecką z górną Janowską. Od czasu do czasu ciągną tędy smutne, żalobne konduktu pogrzebowe, odprowadzając umarłych na pobliski cmentarz Janowski. Leży już na nim ojciec. Matka wkrótce spocznie obok męża. Ale tymczasem jest ucieszenie. Drogą idzie i jedzie konno cesarskie wojsko. Sunie w stronę żelaznego mostu kolejowego, ku piaszczystym błoniom. Wojacy maszerują na ćwiczenia. Armia różnojęzyczna. W szeregach przeważa mowa słowiańska. Polska, ruska, czeska. Adam i Wacek przyłączają się do zgrai baciarów. W szeregach idą krewni, przyjaciele, bracia lwowskiej zgrai. Jest wesoło i krzykliwie. Maszerujący wojacy nie wiedzą jeszcze, że za kilka lat przydadzą im się ćwiczenia odbywane na błoniach za żelaznym kolejowym mostem. Jeszcze nie wiedzą, że niektórzy nie przeżyją wielkiej, potwornie krwawej wojny. Kolumna jest długa. Wzrok Adama przebija się przez tuman kurzu. Chłopak patrzy na barwną kawalerię, wciąga nosem zapach końskiego potu. Za sztabem jadących konno wyższych oficerów, w pewnej odległości maszeruje pieszo „banda”, orkiestra wojskowa z kapelmistrzem na czele. Na jej końcu stąpa zgrabny mały konik ciągnący dwukołowy wózek z nieproporcjonalnie wielkim bębniem.

Adam czuje szarpnięcie za ramię. Na szczęście to Wacek.

– Wracamy. Mama...

Wiadomo, co mama. W szafie przy sieni spoczywa skórzana dyscyplina. Jeszcze jej Julia ani razu nie użyła po śmierci męża. Ale nigdy nic nie wiadomo. Wacek wraca do ciemnej kuczy. Adam wślizguje się przez szparę do karnej komórki. I nagle... Nagle coś przykuwa jego wzrok. To rumak. Starszy już wiekiem, z resztkami grzywy, z wytartym ogonem, ślepy na jedno oko, po którym zostało szerniałe, puste miejsce. Wysłużony koń na biegunach.

A co tam na świecie? Ano, w tym samym dniu, gdy cesarskie wojsko maszerowało ulicą Rycerską, na południu Niemiec rozbił się sterowiec. A ciut wcześniej nacjonalistyczni młodoturcy rozpoczęli rewolucję w Imperium Osmańskim, zmusili sułtana Abdülhamida II do przestrzegania konstytucji z 1876 roku. Zaglądamy do „Gazety Lwowskiej” z 5 sierpnia 1908 roku. Czemu nie.

Z prasy tureckiej. Młodoturecki Ikdan atakuje w ostry sposób nowy rząd z powodu, że dotychczasowym ministrom pozwolił umknąć bezkarnie, że wszystkich zbrodniarzy i morderców wypuszczono z więzienia, przez co wzrosło niebezpieczeństwo mienia i życia mieszkańców, wreszcie z powodu, że rząd nie wystąpił dotychczas z żadnym programem pracy.

Kronika prowincjonalna.

& Siostrobójca. W Rosochowaczu koło Czortkowa aresztowano włościanina Iwana Perizka, który zamordował swoją siostrę, Paulinę, a następnie aby ukryć morderstwo, powiesił ją w chacie, chcąc w ten sposób upozorować samobójstwo. Perizka odstawiono do sądu w Czortkowie.

& Zabity przez piorun. W Szlachtowej, powiatu nowotarskiego, podczas szalejącej w dniu 28 z. m. burzy uderzył piorun w chłopca Romana Mateja, pasącego gęsi na pastwisku gminnym i zabił go na miejscu.

& Ofiara wody. W gminie Libuchora, powiatu turczańskiego, utonął w tych dniach w wezbranym miejscowym potoku Libuchorka, syn tamtejszego włościanina, 4-letni Iwan Geryniec. Zwłok dziecka dotychczas nie wyłowiono.

Ogłoszenia. Najpiękniejsze i gustowne tablice i stampilie dla P.T. Adwokatów, Lekarzy, Notaryuszów itp. wykonuje najtaniej Zakład Leona Appa. Lwów, Pasaż Hausmana (Wejście od Hotelu Imperial). Odszczególniony na wielu wystawach.

Do najęcia ul. Asnyka Nr. 7, Parter, 1 pokój kawalerski z osobnym wchodem⁴.

Na ścianie w mieszkaniu mamy wisi sepiowa fotografia bardzo przystojnego ułana. Muszę się do tego zdjęcia zabrać, bo blaknie. Nie dziwota, ma sto trzy lata. Nie wszystkie stare fotografie blakną, ale to zdjęcie dziewiętnastoletniego chłopaka w kawaleryjskim mundurze jakoś wyjątkowo chce umknąć z rzeczywistości. Sprawa będzie dosyć prosta, wystarczy pobrać odpowiednią aplikację na smartfon i pstryk, w wersji cyfrowej ułan pozostanie na wieki wieków amen. No, może to przesada. Nic nie trwa przez wieki wieków. A zatem trzeba przymrużyć oczy, by choć w swojej głowie utrwalić blaknący obraz. Uruchamiam własną „aplikację” wyobraźni. Pstryk.

– Ile masz koron, Adaś?

– Czekaj... Osiem... Jedenaście i dwadzieścia halerzy.

– Masz tu jeszcze cztery.

Tadeusz dokłada dwa piękne banknoty zaprojektowane przez Rudolfa Rösslera. Adam czuje, jak przyjemnie grzeją mu dłoń. Tyle już starczy na ekwipunek. Włoży na głowę maciejówkę z polskim orzełkiem, a nie czapkę z cesarskim „bączkiem”. W plecaku koc, niewiele bielizny, menażka i trochę prowiantu na drogę. Ruszy razem ze swoim „opiekunem”, starszym bratem, na wojenkę. Będą przekonani, że to parotygodniowa przygoda. Tygodnie wydłużą się w lata. Ale na razie trwa euforia spowodowana strzałami w Sarajewie. Wojna! A jak wojna, to i może szanse na Polskę. Po ponad stu czterdziestu latach od pierwszego rozbioru. We Lwowie mobilizują się ochotnicze niepodległościowe oddziały strzeleckie, drużyny Bartoszowe i Sokole. Jest 1 sierpnia 1914 roku, Tadeusz i Adam odjeżdżają z Dworca Głównego pociągiem pełnym chłopaków, mężczyzn, nawet dojrzałych wiekiem, żegnani żywiołową manifestacją, kwiatami, łzami. Synów, braci, ojców, a nawet dziadków unosi pociąg w kierunku Krakowa, miejsca koncentracji i mobilizacji. Szybki rzut oka do ówczesnej gazety, którą Tadeusz trzyma pod pachą. Zalatuje z niej pompatyczną propagandą.

Wojna z Serbją. Jesteśmy świadkami, jakby Renesansu Monarchii, jakby ocknięcia się z kilkuletniego snu, który jednakowoż nie uspił ani nie zniewieścił nerwów. Ktokolwiek widział ten zapał i ten entuzjazm, z jakim garnęło się tysiące ochotników pod sztandar albański, ten już wówczas doszedł do przekonania, że temperament narodowy Austro-Węgier czeka tylko na sposobność, aby zużyć nagromadzone siły w czynnej walce o Dynastję i o Państwo. Dzisiaj ten entuzjazm i ta ochoczość płyną jeszcze szerszym korytem i jeszcze szersze zakreślają granice. Przez ulice stolicy przeciągają dzień po dniu tysiączne tłumy niosąc przed sobą czarno-żółty sztandar i ślubując mu na wierność aż po ostatnią kroplę krwi. Ten nastrój, którym Wiedeń żyje od soboty, nie jest ani sztuczny, ani chwilowy. Okazało się, że w krajach koronnych różnojęzycznych i różnonarodowościowych bije jedno serce i żyje jedna dusza. Spory partyjne, osobiste zawiści, małe intryżki i utarczki podjazdowe zniknęły w obliczu powagi chwili, jakby strącone w przepaść zapomnienia na zawsze! [...] Nieprzyjaciele Austro-Węgier usiłowali szczególnie w ostatnich czasach przedstawić Monarchję jako siedlisko nie wygasających walk narodowościowych, jako konglomerat zwalczających siebie wzajem stronnictw i frakcyj. Ostanie dni zadały kłam tym

twierdzeniom. Błogosławiona w swych następstwach „Treuga Dei” skupiła wszystkich pod jednym sztandarem bez żadnych narad ani układów i zwołała ich do wspólnej pracy. Miejmy nadzieję, że owa Treuga przetrwa czasy wojenne i zapanuje silne korzenie, że wyrówna różnice i wleje nowe życie w arterie potężnej Monarchii Habsburskiej.

A się jeszcze zdziwi pan redaktor piszący tę propagandówkę. Za cztery lata nie będzie już monarchii habsburskiej. W pył się rozsypie „treuga Dei”, rozejm Boży pieczętowany przez habsburską dynastię. Swoją drogą ciekawe, ile pan redaktor wzięł za wierszówkę, pisząc te androny. Na następnych stronach czytamy także:

Wczoraj wieczorem powtórzyły się we Lwowie manifestacje patryotyczne na rzecz wojny. Mianowicie członkowie „Sokoła” ruskiego wyszli wieczorem ze swego lokalu przy ulicy Gródeckiej z orkiestrą, ze sztandarami i lampionami, niosąc tablice z napisami: „Niech żyje Austria”, „Niech żyje armia”, „Niech żyje Cesarz”.

„Sokół ruski”... ukraiński... Ani słowa o Polskim Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, z którego chłopaki właśnie wyruszają na wojnę, by za chwilę z inicjatywy Piłsudskiego stworzyć polską I Kompanię Kadrową, a później Legiony Polskie. Ot, wieczne reguły politycznej agitki. Kilka stron dalej nie znajdziemy na szczęście propagandowej paplaniny. Sama prawda:

Zgubił perukę... Urzędnik prywatny Jakób B. zgłosił się wczoraj w policji i doniósł, że zgłowy zgubił perukę.

Małoletni zbieg. Piętnastoletni Stanisław Trzeciakowski zbiegł przed tygodniem z domu swej matki, zamieszkałej przy ul. Szkarpowej 1. 7. Chłopiec ma przebywać w jakimś cyrku w Stryju.

Krwawy dramat miłosny rozegrał się wczoraj na budowie jednego z domów przy ul. Kornela Ujejskiego. Żołnierz 19 pp. Obrony kraj., Jan Pazumian, pokłóciwszy się z pracującą tam swą narzeczoną, 20-letnią Maryną Tokarską z powodu jej niewierności, dobył w czasie kłótni bagnetu i zadał nim dziewczynie cztery ciężkie rany w pierś. Gdy ta brocząc krwią padła nieprzytomna na ziemię, Pazumian rzucił się do ucieczki. Robotnicy pracujący na wspomnianej budowie, puścili się za nim w pogoń. Pazumian widząc, że nie uda się mu ująć pogoni, wbiegł do sieni realności przy ul. Kornela Ujejskiego 1. 8. i wbił sobie bagnet w pierś, poczem udał się na drugie piętro, przelał przez balustradę i rzucił się głową w dół. Spadł jednak na ganek I. piętra i odniósł ciężkie obrażenia. Wezwany jeden z księży cerkwi św. Jerzego zaopatrzył rannych św. Sakramentami, poczem pogotowie Towarzystwa Ratunkowego odwiozło Tokarską do szpitala powszechnego, Pazumiana zaś do szpitala garnizonowego⁵.

Coś mi się widzi, że żołnierzowi Pazumianowi nie będzie już dane „zapanować silne korzenie i żołnierz Jan Pazumian nie będzie wyrównywać różnic i wlewać nowego życia w arterie potężnej Monarchii Habsburskiej”. Adam i jego starszy brat Tadeusz też nie będą walczyć o monarchię. Będą się bić o Polskę. Z wyjątkiem jeszcze nieletnich – Wacława i Otki – wszyscy Królikiewiczze będą się bić o Białą-Czerwoną. Dwa dni po przyjeździe do Krakowa nie będą już sokolakami, tylko regularnymi żołnierzami zaczynu polskiej armii, Pierwszej Kadrowej.

Kwaterują ich w historycznym gmachu „Krzysztofory”. Następnego dnia wysyłają na szkolenie i ćwiczenie musztry na Oleandrach. Adam patrzy rozwartymi w szczeniackim

uniesieniu oczami, jak z godziny na godzinę narastają „strzeleckie”, „drużyniackie” i „sokole” szeregi, do których dołączają tłumnie pojedynczy ochotnicy. Przybył ze Lwowa kilkunastoosobowy oddziałek konnego „Sokoła”. Dowodzi nim pan inżynier Marcei Śniadowski.

– Mieczek?

– Mieczek – potwierdza Tadeusz. – No, kto by inny. Ta cyferblat jak u drypci.

Bez przesady. Mieczysław może nie był tak przystojny jak reszta braci, ale żeby od razu porównywać jego oblicze do starej baby?

– Mieczek! Ta ty do kawalerii?

– A do kawalerii.

– Ta ja widział raz cię na kobyle sąsiadów. Trzymasz się jak dziwka na szczyrbatym nocniku. – Nie wiadomo, skąd Adamowi przysłała taka paralela. Ale przyłgnie do jego ust już na stałe.

– Cicho. Ta ty, panie tego, uważaj, jak do starszego brata paszczekujesz.

I tak mniej więcej trójka braci postanowiła zostać ułanami. Mój Boże, kawaleria. Bez koni i najmniejszych jeździeckich umiejętności. No ale być ułanem to znaczy być elitą armii, mieć spodnie do konnej jazdy, buty z cholewami zdobne w dyskretnie brzęczące ostrogi. Przy boku mieć błyszczące niklowane gardy austriackich oficerskich szabel kawaleryjskich. To nie szare strzeleckie, piechociarskie, zgrzebne mundury. Braci Królikiewiczów konni sokolacy przełożeni przydzielili do niepełnego plutonu, mając fałszywe przekonanie o ich jeździeckich umiejętnościach.

Otwieram przymrużone oczy i widzę na blaknącej fotografii sprzed ponad stu lat chłopaka z dumną miną. Przymrużam na powrót powieki i widzę kawalerzystę bez konia. Ułan, co to na końskim grzbiecie siedział tylko w dzieciństwie, a koń – drewniany, z wyleniałym ogonem, wytartą grzywą, bez oka – był konikiem na biegunach.

Ciąć kurwysyna!

Przymrużam oczy jeszcze bardziej i przenoszę się razem z moim dziewiętnastoletnim dziadkiem na krakowskie Oleandry. Już jest razem z Tadeuszem i Mieczysławem wcielony do kawalerii. Brzęczy tam gwar jak w ulu na wyroju, śpiewy, komendy. Okolica zamieniła się w obóz wojenny. Dniem i nocą ściągają tu liczne grupy strzeleckich żołnierzy. Okrzyki starszyny stawiają na nogi rekrutów. Zaopatrzenie, prowiant, umundurowanie. A bo trzeba wiedzieć, że część ochotników nie ma kompletnych uniformów. No i wreszcie – broń. Adam trzyma w dłoniach pierwszy swój karabin. A właściwie karabinek kawaleryjski i austriacką szablę w oprawie żelaznej. Dłonie drżą, w gardle zaschło.

– Dziękuję panu – mówi nieśmiało do żołnierza, któremu zwisa spod lewego naramiennika ku górnej kieszeni zielony sznurek od gwizdka. Sznurek to wyznacznik szarży. Zielony – podoficerski, oficerski – czerwony.

– Synku, zapamiętaj sobie, kurna flak: tu już nie ma ani panów, ani, kurna flak, druhów, ani kurna flak, towarzyszy.

– To znaczy?

– Obywatele są, kurna flak.

– Dziękuję, obywatelu. – Adam chce dodać „kurna flak”, ale gryzie się w język.

– Dziękuję, obywatelu wachmistrzu – poprawia zaopatrzeniowiec.

– Dziękuję, obywatelu wachmistrzu.

– Strzelał w ogóle? – pyta obywatel wachmistrz.

– Trochę. We Lwowie w „Sokole”.

– Z czego strzelał?

– Z mannlichera trochę... Ale zamek był popsuty i...

– Szablą robił tamój w „Sokole”?

– Trochę...

– Pójdzie obywatel do sekcji i w niej będzie ćwiczył. Strzelanie tylko na sucho, bo amunicję oszczędzamy. O, tamój. Odmaszerować.

Adam idzie we wskazanym kierunku. Mija diabelnie przystojnego strzelca z zielonym podoficerskim sznurkiem i znakiem Czerwonego Krzyża na tle białej opaski na lewym ramieniu. Adam jeszcze nie wie, że ten przystojniak, właściciel nosa, którego pozazdrościłby Cyrano de Bergerac, będzie w przyszłości jego pułkowym dowódcą. Tym żołnierzem I Kompanii Kadrowej jest doktor Wieniawa-Długoszowski.

Po ćwiczeniu fechtunku i skróconej wersji obsługi kawaleryjskiego karabinka na „sucho”, przerobionej w sekcji, w plutonie i w kompanii, ułan Królikiewicz może odpocząć przy menażce. Przy dymiącym kotle kuchni polowej wykradzionej z austriackich magazynów stoi przysadzisty, wąsaty kucharz i wywija ogromną chochlą.

– Nie pchać się, obywatele strzelcy. Po maluśku i w kolejce się ustawić.

– Tfu. Kasza przypalona. Smakuje jak węgiel z pieca – komentuje Tadeusz.

Co się dziwić? „Sirko” lepiej włada piórem, niż gotuje. Kim jest kucharz? To pisarz

Wacław Sieroszewski. Autor licznych prac etnograficznych spisanych na jakuckim zesłaniu, a także twórca przygodowych powieści, z których najbardziej znane w tamtym czasie to *Ucieczka* i *Zamorski diabeł*. Postać dziś nieco zapomniana, a warta najwyższej uwagi. W wolnej Polsce „Sirko” będzie senatorem, członkiem Kapituły Orderu Odrodzenia Polski, zasiądzie w Polskiej Akademii Literatury. Ale na razie rozlewa z gara grochówkę i częstuje przypaloną kaszą.

Adam ma już amarantowe kawaleryjskie rabaty na mundurze, szablę austriacką i karabinek. Już trochę umie nimi władać, ale kawalerzysta nie ma jeszcze najważniejszego wyposażenia – konia. Wcielą go do beliniaków, do czterdziestoosobowego oddziału kawaleryjskich sokolników, części stuczterdziestoosobowego szwadronu ułanów, który wyklął się ze skromnego patrolu konnego. Szwadron będzie awangardą przemarszu I Kompanii Kadrowej. Oddział wyruszy do boju z Rosjanami 6 sierpnia. Adam będzie wkrótce nosił czako, w którym zostanie uwieczniony na dziś blaknącym zdjęciu. 1 Szwadron Ułanów Legionów Polskich zostanie utworzony 13 sierpnia 1914 przez Władysława Zygmunta Belinę-Prażmowskiego. W szeregach beliniaków znajdzie się elita, która mogłaby zasiąść na literacko-artystyczno-naukowym Olimpie. Przyjrzyjmy się niektórym z nich.

Oto na dużej karej kobyle w czaku na bakier założonym, jakby przeniesiony z czasów księcia Józefa Poniatowskiego, jedzie autor *Na srebrnym globie*, Jerzy Żuławski. Obok kolebie się w byle jakim siodle Andrzej Strug, pisarz, publicysta, scenarzysta, wolnomularz. Za nimi miedzianowłose Teofil Axentowicz, malarz. I jeszcze jeden artysta – Stefanowicz, ten łysy jak kolano. Są i aktorzy: Karol Adwentowicz, stary Antoni Siemaszko z synami oraz zakopiańscy taternicy Loria i Bednarski. Tam z tyłu Mariusz Zaruski, poeta i pionier żeglarstwa, późniejszy generał, zwany w szeregach nie wiadomo dlaczego „Kirlibabą”. Są i Juliusz Kaden-Bandrowski, i Gustaw Daniłowski, czyli Władysław Orwid, poeta, oraz arystokratyczny rodzynek – obywatel hrabia Dzieduszycki. To legionowe zbiorowisko jest zaczątkiem prawdziwie demokratycznego wojska. W latach 1914–1918 w armii Piłsudskiego znajdą się przedstawiciele wszystkich klas i zawodów narodu rozdzielonego granicami zaborów. Chłopi, robotnicy, studenci, profesorowie, naukowcy, literaci, artyści, ludzie najrozmaitszego kalibru i wieku, o zupełnie różnych poglądach, od endeckiej prawicy po skrajną lewicę PPS z Bolesławem Drobnerem. Jeszcze tylko raz podobny alians wydarzy się w Polsce. Ale to będzie za sześćdziesiąt kilka lat.

„Raduje się serce, raduje się dusza, / gdy I Kadrowa na wojenkę rusza”. Rusza szpica wojska, a z nią mój dziadek, bezkonny ułan. W oddziale dzwonią strzemiona. Tyłki odparzone od siodła, otarte końskimi brzuchami, uda krwawią. Jakiś ułan schodzi z konia i kolebie się okrakiem na pałakowatych nogach do taborowego wozu sanitarnego. Syczy z bólu, kiedy felczer zlewa mu żywe mięso jodyną. Mimo tej męczarni chłopak jest dumny, bo jedzie wierzchem, a nie jak piechociarz kroczy z kolebiącym się tornistrem na plecach. Adam patrzy z zazdrością na męczennika, który wraca do swojego rumaka, zgrzytając zębami z bólu.

– A wy, obywatelu, bez chabety?

– Bez – odpowiada krótko na odczepnego ułan Królikiewicz, poprawiając na razie bezużyteczne siodło na ramieniu.

Owszem, była okazja podczas mobilizacji na krakowskich Oleandrach. Beliniacy mieli przyobiecany od austriackiego wojska kontyngent koński. Skończyło się na austriackim gadaniu. Nie dziwota więc, że Polacy postanowili się za to krzywoprzysięstwo zemścić na swoich sojusznikach. Od czasu do czasu na postojach, na kwaterach w tajemniczy sposób znikwały sąsiadom konie, i to razem z pełnymi, kompletnymi rzędami. Raz nawet pewien do cna bezczelny ułan tak się rozzuchwiał, że nocą wyprowadził ze stajni austriackiego sztabu wspaniałego generalskiego ogiera. Mało tego, beliniak pozwolił sobie przywłaszczyć drogocenne siodło z przytroczoną oszałamiającą generalską szablą samego dowódcy korpusu. Rankiem kawalerię obudziły wrzaski austriackiej żandarmerii polowej. Przyłączyli się do nich polscy wojenni stróże prawa, a na koniec rozwścieczony sam Belina. Dowódca niejednokrotnie przymykał oko na „uzupełnianie niedoborów” końskich, ale tym razem dostał szau. Jego skośne tatarskie oczy zwięziły się do szparek, przez które tryskały złe błyski. Wykrzywił mu się poszarpany kiedyś w bójce nos, nastroszyły się gęste wąsy.

– Psia wasza mać! Wiecie, jak was nazywa piechota?! „Koniokrady”! Wyfasować konia dowódcy korpusu?! Z rzędem i pamiątkową szablą?! Jeśli do jutra zguba się nie odnajdzie – pod sąd i kulka w łeb złodziejowi!

„Zguba”, jak tajemniczo wyjechała z austriackiej stajni, tak i tajemniczo do niej w nocy wróciła. A Adam nadal jest ułanem bez wierzchowca.

Wczesny ranek 7 sierpnia. Słońce jeszcze stoi nisko nad horyzontem. Rosa jeszcze nie paruje, świerszcze polne jeszcze nie koncertują. Oddział „Sokoła” Śniadowskiego idzie w stronę Słomnik przez Kocmyrzów, przekracza granicę austriacko-rosyjską. Tuż za nimi posuwa maleńki tabor i ułański szwadron. Jadą dwa chłopskie wozy, na których znajduje się cały dobytek beliniaków oraz sprzęt wojenny, ekwipunek, furaż, chleb, konserwy, amunicja, kilka siodeł. W tym jedno cudem nabyte przez Adama.

Nagle w brzasku wschodzącego słońca ukazuje się widok, który wzbudza w żołnierzach gniew i furję. Słup graniczny. Kołek w czarno-białe ukośne pasy ozdobione dwugłowym czarnym orłem. Stoi sobie grzecznie na skraju szosy, tuż za rowem, na niewielkim wzniesieniu przed Michałowicami i sakramencko kłuje w oczy. Znak niewoli po tej i po tamtej stronie polskiej ziemi. Adam dobywa austriackiej szabli.

– Ciąć kurwysyna!

Raz!, raz!, raz! Lecą drzazgi i wióry. Koledzy włączają się do ścinki, klnąc i złorzecząc drewnianemu wrogowi. Gdyby bal był ludzkim ciałem, zostałyby z niego krwawe strzępy. Graniczny słup zamienia się w nędzny bezbronny kikut. Tak oto dla Adama zaczęła się Wielka Wojna.

Kiedy ułan z konia spadnie

Panie oficerze, toż to mój najlepszy rozplodowiec...

– I świetnie, będzie płodził dla odrodzonej ojczyzny.

Michałowicki ziemianin broni się jak może przed rekwizycją rosłego siwego ogiera. Rekwizytorem jest komendant oddziału Marceli Jastrzębiec-Śniadowski. Dyrektor Banku Rolnego we Lwowie. Twórca kawalerii lwowskiego „Sokoła”.

– Ale, panie oficerze...

Z dworku wybiega pulchna jejmość, falując potężnym biustem po gospodarskim podwórzu. W pędzie potyka się o rąbek swej szarej sukni.

– Maurycy!

– Nie wtrącaj się, duszko. My tu z panem oficerem o polityce rozprawiamy.

Biuściasta „duszka” nie w ciemną bita.

– O polityce? Ty mi, Maurycy, banialuków nie opowiadaj! Masz natychmiast oddać Szczerbca polskiemu wojsku. Tak się godzi i już.

Widać, kto rządzi w majątku. „Duszka”. I dzięki dorodnej ziemiance siwek Szczerbiec za chwilę jest już pod siodłem komendanta Śniadowskiego. Radość jeźdźca będzie intensywna, ale rekwizycja okaże nieco kłopotliwa. Szczerbiec, owszem, wspaniały, ale ni w ząb nie zna wojskowej dyscypliny. Ogier jest rozhukany. Rzy nieustannie, umizgując się do maszerującej obok płci odmiennej. A może Szczerbiec się cieszy, że dosiada go zwolennik poglądów pana Romana Dmowskiego? Tak czy owak – kłopot, bo pod gwiazdzistym niebem co raz to rozlegają się głośne końskie zaloty, zdradzając kierunek marszu oddziału, ostrzegając rosyjskie patrole. Dodatkowo siwa grzywa Szczerbca oświetlona reflektorem księżycy wyróżnia się jasną plamą. Wystawia na cel cały oddział. A może groźne rzenie i tajemnicza biel rumaka przyniosły ułanom farta? Mogło tak być, mógł Szczerbiec spłoszyć patrole osłonowe wroga.

Ułan Adam kroczy piechtą, rozmyślając, co to będzie, kiedy i jemu przypadnie wsiąść wreszcie na konia. Z pewnością nie utrzyma się w siodle tak dziarsko jak dowódca. Skóra Adamowi cierpnie na plecach ze strachu. Ale to jeszcze nie jest lęk prawdziwie wojenny. A ten już pełźnie zza falujących pagórków. Zaraz zaczniesz się prawdziwa wojna. Nie ta, którą ma w głowie dziewiętnastoletni ułan jako chłopięcą przygodę.

Nad ziemią goreje straszny upał. Słońce w zenicie. Mundury lepią się od potu. Według wspomnień mojego dziadka jest 13 sierpnia 1914 roku, według historycznych źródeł – 12. Oddział ogarnia szczyt wzgórza Karczówka, tuż u wejścia do Kielc. Do uszu dochodzą przytłumione odgłosy wystrzałów. To już walczy w mieście I Kadrowa Kompania Strzelecka. Nagle nad wzgórzem, gdzie przystanęli ułani, ukazują się jaskółki nieprzyjacielskiej artylerii. Na błękitnym niebie pękają rosyjskie szrapnele, znacząc się kępkami białoróżowych obłoczków. Jeszcze są daleko, jeszcze są niewinne. Lecz nieuchronnie nadchodzą. Adam czuje, jak groza rozlewa mu się dreszczem po ciele. Razem z nadciągającym hukiem i rozrywającymi się pociskami pryska wyobrażenie o walce jako o sportowej batalii. Trudno sobie dziś wyobrazić, że ta patriotyczna

garstka niewyszkolonych zapaleńców, słabo uzbrojona, ruszyła z entuzjazmem z motyką na słońce. I słońce zgasło.

Adam patrzy ze zdziwieniem, jak kolorowe dymki zamieniają się z przeraźliwym trzaskiem w ołowiane śmiercionośne kule. Bzyczą już koło uszu karabinowe pociski.

– Ruszać w dół! – pada rozkaz dowódcy.

Adam chyli się ku ziemi, zbiega z karabinkiem we wskazanym kierunku. Pada w przydrożnym rowie obok kolegów.

– Ostrzał na kierunek wschodni! Na prawo! Jak godzina trzecia na zegarze! Ognia!

Z oddali wychynęły czarne sylwetki wroga. Adam ściska kawaleryjski karabinek z magazynkiem na sześć nabojów. Wpycha pierwszy pod lufę, jak go uczono podczas szybkiego kursu na Oleandrach. Serce kołacze ze strachu. Pot leje się z twarzy. Zza rosyjskiej piechoty nagle wysuwa się w tętniącym galopie konnica. Strzelać, mam strzelać!, pogania się w myślach chłopak. Przymruża oko, nieprawidłowym, nerwowym ruchem naciska cyngiel. To pierwszy strzał do żywego człowieka. Adam czuje kopnięcie kolby w ramię. Kula leci Panu Bogu w okno. Piechota rosyjska rozciąga się w tyralierę. Adam naciska jeszcze parę razy spust, jeszcze parę razy czuje uderzenie kolbą. Ramię robi się sztywniejsze, palec na spuście luźniejszy. Kilku rosyjskich jeźdźców spada z siodeł. Nie wiadomo, czy Adam, czy jakiś inny ułan ich trafił. Z dala śmierć wygląda jak nieistotna rzecz, jak strącenie z wiatrówki figurki na strzelnicy podczas odpustu we Lwowie. Konny patrol bierze odwrót. Ale już rosyjska artyleria gra mocniej. Coraz bliżej pryskają brunatne fontanny wybuchów. Tyraliera wroga podchodzi bliżej. Uszy głuchną od wystrzałów. Terkoczą karabiny maszynowe. Bliżej, jeszcze bliżej, tuż-tuż.

– Oddział odwrót!

Adam nie słyszy rozkazu. Rozgląda się. Widzi, że jest sam. Bierze nogi za pas. Biegnie na szczyt wzgórza, tam, gdzie stoją taborowe wozy. Wozy stały, już nie stoją. Zamienione w drzazgi. Krwawe strzępy końskiego mięsa rozrzucone po zboczonyj lepką mazią ziemi. Wyszczерzone zęby, otwarte oczy wbite w bezchmurny błękit nieba. Pyska czar romantycznej przygody. Już nie ma „wojenki, wojenki”. „Malowani chłopcy” będą ginąć jak owe wierzchowce rozszarpane na kawałki. Tysiącami, milionami. Pod Gallipoli, pod Verdun, Caporetto, nad Sommą, Marną, pod Tannenbergiem, Kraśnikiem, Łodzią... Miliony okaleczonych ciał, urwanych kończyn, krwawiących ran, zdeformowanych twarzy i dusz. Ale dla Polski ta ogólnoswiatowa masakra będzie nadzieją na wyzwolenie spod zaborów. Z krwawej rzezi wyłoni się szczęśliwy dla nas geopolityczny nowy układ. Polska wróci na mapę świata. Trudno się dziwić poniższym patetycznym akapitem, drukowanym tuż po pierwszym wojennym epizodzie Adama Królikiewicza.

OBECNIE LUB NIGDY! Sny poetyckie padły w proch, są słabsze niż rzeczywistość. Natchnione słowa wieszczące katastrofalny okres, który przeżyje Europa, gdy „płomień będzie wzniecony na wschodzie” mają tylko tę potęgę przeczucia – nie mają potęgi grozy, tej wspaniałości majestatycznej prawdy, którą obecny człowiek „pan świata” widzi.

Jeżeli jednak który naród najhartowniej i najsmielej może tej wstrząsającej prawdzie spojrzeć w oczy – to Polak. Kolebki naszych całych pokoleń nurzały się w krwi przelanej w walkach, a pieśń, którą matki na sen usypiały swe niemowlęta, była pieśnią o kazamatach, kosach i ułanach.

Taki był stan ducha narodu przelany farbą drukarską na szpalty „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Cóż, wojna wojną, ale życie się toczy obok. Toteż poniżej patriotycznej odezwy czytamy:

Najtaniej można nabyć. Modne wstążki, koronki, guziki paryzkie, rękawiczki skórkowe i niciane. Kwiaty wyrobów polskich. – Nowość! Potniki staniczkowe do prania! W chrześcijańskiej firmie Ostaszewski Mayer. Kraków Rynek 5, vis à vis pomnika Mickiewicza⁶.

Ciekawe, czy szacowni chrześcijanie, pan Ostaszewski i pan Mayer poszli na wojnę. Nie wiemy. W każdym razie niespełna dwudziestoletni Adam Królikiewicz i jego bracia poszli. Wracamy pod Kielce na wzgórze Karczówka. Adam zbiega ze wznesienia, widząc oddalające się sylwetki kolegów. Upał i lęk zatykają usta i płuca. Biegnie pod osłoną drzew i krzewów. W rozgrzanej cytrynowej przestrzeni mający kształt ośniedziałych wież kościoła Świętego Karola Boromeusza. W pewnej chwili do uszu osamotnionego żołnierza dobiega niedalekie rzenie konia. Coś się w krzakach poruszyło. Adam staje w bezruchu. Podnosi karabinek gotowy do strzału. Jakaś się zjawia z listowia wychyliła. Końska głowa? Adam kieruje lufę w cel, by strącić tajemniczego jeźdźca. Ale w siodle nie ma nikogo. Przed bezkonnym ułanem stoi kozacki rumak. Trzeba się ostrożnie zbliżyć. Koń daje się ująć za wodze.

Patrząc na wyblakłą fotografię dziewiętnastoletniego beliniaka. Zaglądam do wspomnień dziadka, przytaczam jego słowa *in extenso*, bo to punkt zwrotny, przeszło w życiu Adama.

Jak Zagłobie spadła na głowę „zdobycza” chorągiew, tak mnie Opatrzność obdarzyła koniem wybawcą. W ten przedziwny sposób, tutaj właśnie objawiło się moje jeździeckie przeznaczenie. Drżąc z radości, a jednocześnie z emocji i strachu przed pierwszą jazdą, nie mierząc długości strzemion, dzięki poczciwości konia, który pozwolił mi wdrapać się na swój grzbiet – znalazłem się w kulbace wystanej miękką, skórzaną poduszką. Poczulem się raźniej, choć nie bardzo pewnie. Chwyciłem za wodze i powoli, krok za krokiem, wyostałem się z gęstwiny na skraj lasu, skąd wśród otwartych pól, łagodnie opadających, ujrzałem w dole białą wstęgę gościńca. Mój rumak, widząc wolną przed sobą przestrzeń, obudził się, nabrał wigoru, przyspieszył kroku, zaczął mną trząść, wreszcie zdradliwie kołyszając biegł już galopem do szosy. Raz po raz traciłem równowagę. W obawie przed upadkiem, na zmianę kolejno chwytalem się rozpaczliwie za siodło, wodze, grzywę. Pomagałem sobie przy tym nogami, kurczowo naciskając na wrażliwe boki konia. Nieszczęsny – nie wiedziałem, że pod wpływem tych nikczemnych rekruckich odruchów doprowadziłem mego wybawcę do szaleńczego zdenerwowania. Rwał już teraz wyciągniętym galopem środkiem szosy, na szczęście świeżym śladem moich kompanów z Sokoła, uchodzących w stronę miejsciny rozłożonej u podnóża góry. Nad nią, z daleka widoczne, sterczały ruiny trzech baszt zamczyska. Pochylony na karku, resztkami sił obejmując za szyję zacne zwierzę, zdałem się całkowicie na jego łaskę. Moja pierwsza jazda zakończyła się nad wyraz szczęśliwie na chęcińskim rynku, na którego twarde bruk zwałiłem się jak worek u stóp zgrupowanych tam, zdumionych moim wyczynem kolegów.

Jak go towarzysze broni przywitali?

„Jak to na wojence ładnie, / kiedy ułan z konia spadnie!”.



Adam Królikiewicz w ułańskim mundurze legionowym (1914).

Wstyd się przyznać. Nie wiem, za jakie zasługi mój dziadek otrzymał Order Virtuti Militari V klasy. Moja mama już tego nie pamięta. Moja babcia nie żyje od dawna. Dziadek umarł, gdy miałem dziesięć lat, byłem za głupi, żeby go wypytać w dzieciństwie o Virtuti. Najwyższy wojenny order wisiał sobie skromnie nad jego biurkiem, dziadek nigdy się nim nie chwalił. A ja, idiota, nie pytałem. Order to order. Takie tam. Wstążka w granatowo-czarne pasy już mocno zbladła, ale metalowe odznaczenie ustanowione przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego dla uczczenia zwycięstwa w bitwie pod Zieleńcami pozostało nietknięte czasem. Grzebię w internecie i znajduję bzdurkę: „Walczył pod Kunicami (23 czerwca 1914, za co otrzymał Order Virtuti Militari V kl)”. E tam. 23 czerwca 1914 roku dziadek nie był jeszcze w Legionach. A może dostał Virtuti za zasługi w walce z Ukraińcami? Czytam: „W 1. Pułku Szwoleżerów brał udział w walkach o granice Małopolski Wschodniej oraz w wojnie polsko-bolszewickiej, był dowódcą plutonu i szwadronu, stał na czele pułkowej szkoły podoficerskiej”. Na innej, rzetelnej stronie: „W czasie walk w 1920 roku w ramach operacji warszawskiej i niemeńskiej był na froncie i odznaczył się niezwykłym męstwem”. Cóż, istnieje takie prawdopodobieństwo, że order był za wojnę z bolszewikami. Czasy PRL-u nie sprzyjały chwaleniu się takimi dokonaniem przed wnukiem, który mógł paplać w szkole o dziadku tłukącym bolszewię i napytać sobie biedy. Nie znaczy, że dziadek ukrywał przede mną, czym śmierdzi komuna, o nie, zdecydowanie nie. Przytoczę pewien epizod.

Miałem może osiem lat. Jak każdy chłopak w tamtym czasie chciałem być żołnierzem, a najlepiej czołgista jak Janek z *Czterech pancernych*. O hełmofon było trudno. Więc uprosiłem dziadka, by uszył mi wojskową furażerkę. Dziadek był niezwykle uzdolnionym manualnie facetem, typem złotej rączki. Po dwóch dniach piękna szara furażerka spoczęła na mojej głupiej głowie. Dlaczego głupiej? Bo w szkole przyklepiłem do niej czerwoną gwiazdę. Dostałem krótkie, ale intensywne lanie. Po czym dziadek Adam posadził mnie na kolanach i wytłumaczył, co znaczy czerwona gwiazda. To był mój pierwszy patriotyczno-historyczny wykład. Przez skórę na tyłku do rozumu i świadomości politycznej. W wieku ośmiu lat dowiedziałem się o Katyniu, w którym zginęli przyjaciele dziadka, o wojnie 1920 roku, która była przyczyną zemsty na polskich oficerach. Do dziś jestem wdzięczny za tę lekcję wychowawczą. Nigdy później nie miałem już ochoty kleić się do czerwonej gwiazdy.

Gdzie to się wydarzyło... Czy w okopach podczas I wojny, czy podczas wojny polsko-ukraińskiej? Może podczas legionowego kryzysu przysięgowego. Tego do końca nie wiem. Detektywistyczna intuicja podpowiada mi, że musiał być to rok 1918. Królikiewicz jest już wytrawnym ułanem, doświadczonym w bojach pod Lublinem, przeszedł szlak wojenny od Jastkowa przez Kamionkę, Łysobyki, Przytoczno i Charlejew, już razem z kawalerzystami 1. Pułku Ułanów zdobył Wysokie Litewskie, przemaszerował od Włodawy przez Kowel i walczył na Wołyniu². Nie dał się Niemcom

internować w Beniaminowie i Szczypiornie, uciekł. Ale teraz już może wrócić do wojska, do kawalerii. Bo Polska odzyskała niepodległość.

Historycznego 11 listopada 1918 roku, w dzień po powrocie Józefa Piłsudskiego z twierdzy magdeburskiej, związany ze Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym „Kurier Warszawski” donosi:

Czego oczekujemy. Niezwykła popularność w Polsce komendanta Piłsudskiego jest faktem znanym i bezspornym. Wczoraj jednak przekonaliśmy się jeszcze o czymś innym: że do Piłsudskiego mają zaufanie także ci ludzie, których powinowactwo z nim społeczne jest lub było do niedawna bardzo wątpliwe. Odwiedziny, które otrzymał Piłsudski na wstępie swego powrotu do kraju, i w ogóle zgotowane mu przyjęcie, świadczą o tem wręcz ostentacyjnie.

Popularność może być owocem zasług w przeszłości. Zaufanie zaś patrzy w przyszłość. Co do Piłsudskiego, opinia wskazuje go dziś jako męża przyszłości. Prawdziwym kapitałem narodowym jest zawsze człowiek, cieszący się w swym narodzie rozgłosem i zaufaniem. Stokrotnie pomnaża się ten kapitał w chwilach przełomowych, wymagających działania szybkiego, decyzji błyskawicznych, korzystania z każdego mgnienia chwili. Jeden mózg pracuje szybciej niż sto mózgów. Wola nie jest paraliżowana koniecznością długich perswazji i poszukiwania kompromisu. Ogół nie dręczy się wątpliwościami. Ma zaufanie, poddaje mu się, chętnie słucha.

No i powstająca z zaborów Polska podda się Naczelnikowi i będzie go na początku chętnie słuchała. Tak oto nawoływała do jedności gazeta, która wcale nie głaskała komendanta o socjalistycznej proweniencji po głowie.

A zatem po stu dwudziestu trzech latach Polska odzyskuje wolność. Fanfary? Gdzież tam. Dla Polski i Adama wojna się jeszcze nie skończyła. Trzeba było się bić z Ukraińcami o Lwów. Królikiewicz walczył w szeregach regularnej kawalerii, reszta braci też stanęła do obrony ukochanego miasta. Już wspominałem, że bateria Stanisława oddała pierwszy armatni wystrzał w obronie Lwowa. Koniec historycznej dygresji, czas wrócić do okopów.

Ta legenda rodzinna jest nadzwyczajnie romantyczna. Ale absolutnie prawdziwa. A zatem dziadek prawdopodobnie jest dowódcą plutonu. Adam służy w 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich, który za rok zmieni nazwę na 1 Pułk Szwoleżerów (Lekkokonnych). Dobra, załóżmy, że jest zima, zbliża się koniec roku. Jesteśmy pod Dołhobyczowem, gdzie 10 grudnia w bitwie z Ukraińcami pułk przejdzie swój chrzest bojowy w walce o Lwów. W okopach siedzą dwaj ułani. Adam Królikiewicz i Adam Sokołowski. Adam Ludwik Korwin-Sokołowski to nie byle kto. Na razie jest zwykłym ułanem, ale w przyszłości będzie fiszą. Zostanie członkiem Kapituły Orderu Virtuti Militari, będzie zasiadał w Sztapie Generalnym, w Gabinetecie Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, ba, będzie szefem Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych Marszałka Józefa Piłsudskiego. Ale teraz dwaj Adamowie marzną w okopach na warcie. Nad nimi wisi zmrożone gwiazdzone niebo, sypie srebrny śnieg i osiada na ułańskich kołnierzach. Że kiczowata sceneria? Taką sobie wyobrażam specjalnie i dodaję jeszcze w akompaniamencie delikatną melodię graną na smyczkach. Idźmy na całość. Tego dnia Adam Królikiewicz ma swoje urodziny, tej nocy zmieni się jego życie. I dzięki temu epizodowi ja będę miał szansę za trzydzieści siedem lat przyjść na świat.

– Nie przesadzasz? – Sokołowski przysuwa nos do manierki. – Wartę mamy.

– Jeden łyżeczek. Koniak. Prawdziwy. Francuski.
– Skąd? – Ułan Sokołowski wciąga kuszący zapach do płuc.
– Z majątku w Ułhówku. Z dworu. Łaskawi państwo obdarzyli. Łyknij za moje zdrowie.
– Bo?
– Bo dziś moje urodziny.
W takim razie ułan ułanowi nie odmówi. Łyżeczek. A może nawet głębszy łyk z manierki. Po ciele rozlewa się ciepła błogość. Gwiazdy świecą, księżyc się garbi, prószy śnieżek, orkiestra gra w moich uszach. Tak ma być i już.
– Życzę ci szczęścia, Adam. Wielkiego szczęścia. – Sokołowski obejmuje Królikiewicza mocnym uściskiem.
– Przyda się – odpowiada dwudziestoczteroletni jubilat.
– Ja już swoje znalazłem. Popatrz. – Porucznik Sokołowski wyjmuje spod poły dwurzędowej kurtki pugilares. Z portfela wyławia fotografię. Adam wpatruje się w dziewczynę o ciemnej oprawie oczu. Z trudem odrywa wzrok.
– Kto to?
– Panna.
– To widzę. Niczego sobie. – Adam upija spory łyk koniaku. Krew zamiast się studzić, buzuje w żyłach.
– „Niczego sobie?!”. Chyba kpisz. Przyjrzyj się dobrze. Albo nie. Nie przyglądaj się, bo mi ją ze zdjęcia wypatrzysz.
Sokołowski chowa fotografię w portfelu, portfel pod połą ułańskiej dwurzędówki.
– A jak panna się nazywa?
– Tomisława.
– A co to za dziwaczne imię?
– Jest, jakie na chrzcie dali – burczy pod nosem Sokołowski. – Daj jeszcze łyk.
– A nazwisko?
– A ciekawość pierwszy stopień do piekła.
A chętnie bym przez tę ciekawość poszedł do piekła, myśli Adam.
– Lilienstern – ustępuje Sokołowski.
Tomisława Lilienstern, wbija sobie w pamięć porucznik Królikiewicz. Tylko jak do niej mówić? Tomisława, Tomusia, Musia... *Muszka*.
Na niebie gwiazdy i garbaty księżyc, śnieżek sypie. Wystarczy. Bo się zrobi za dużo lukru. Jutrzejszy dzień nie będzie taki słodki. W bitwie zginie czterech kolegów ze szwadronu. Jednemu ukraińska kula roztrzaska twarz.



Fotografia osiemnastoletniej Tomisławy Królikiewicz, Muszki.

Patrzę prosto w przymglone oczy mamy.

– Gdzie dziadek babcię wyszedził?

Mgła odpływa z jej spojrzenia.

– U ciotki babci Muszki.

– Czyli? – ryzykuję pytanie. Udaje się:

– U Stanisławy Miłobędzkiej, czyli...

Jednak nie udało się. Mama znów ma mgłę w oczach. Odpływa w równoległy świat. Lecz po chwili jej wzrok wraca na ziemię.

– ...czyli u siostry babci Stefci. Babcia Stefania miała dwie siostry. Natalię Jaskólską i Stanisławę. Właśnie u tej Stasi dziadek wyszedził Muszkę... Na Hożej 66.

„Na Hożej 66”! Mama pamięta adres. Gdzie on się zaplątał w sieci jej gasnących neuronów?

Hoża to zacna ulica. Wypływa z placu św. Aleksandra, obecnie Trzech Krzyży. Kamienicznicy dbali o chodniki i elewacje, by mieszkańcy mieli łatwiejszy dostęp do „stacji kolei konnych”, jak nazywano przystanki tramwajowe. Oświetlona, czysta, pozbawiona rynsztoków. Budowana szybko, tanio i wysoko, ale ze smakiem. Moja babcia Muszka, idąc na stację u ciotki Stasi, musiała mijać wznoszony gmach szkolny przy Hożej 88 i obłędnie kwitnący wiosną Ogród Pomologiczny. Końcowy odcinek Hożej zachował się do dziś. Staję przed numerem 66, teraz 66/68. Ma tu swoją siedzibę Krajowy Związek Spółdzielni Mleczarskich. Trzy wysokie piętra. Czy w tych murach mieściło się mieszkanie ciotki Stanisławy? Nie, fasada z pewnością nie pamięta tamtych czasów, ale podwórko chyba tak. Na którym piętrze mieszkała ciotka?

Niezastąpiona opiekunka mojej mamy, pani Iza, pomaga mi:

– Pani Krysiu, pan Czarek pyta, do jakiego gimnazjum pani Muszka wtedy chodziła?

– Daj mi telefon, Izuniu, zadzwonię do mamy do Krakowa.

Babcia Muszka nie żyje już od dwudziestu paru lat. Ale dzięki pani Izie mama sobie przypomina: „Szkola na Wiejskiej”.

Nie wiem, jakim sposobem Adam wyszedł Muszkę na tej Hożej 66. W każdym razie wyszedł. Nie wiem, jakiego pretekstu użył, by znaleźć się w warszawskim mieszkaniu, gdzie u swojej ciotki przemieszkiwała Tomisława Królikiewicz, uczennica – jak to zostało wyłowione z pamięci mojej mamy – słynnej pensji dla dziewcząt panien Jadwigi Kowalczykówny i Jadwigi Jawurków, gimnazjum znanego jako „Szkola na Wiejskiej”. Umówiona wizyta była nefartowna. W korytarzu na wieszaku wisiała okrągła czapka oficera 1. Pułku Szwoleżerów. Wiadomo czyja. Ale Adam musiał się upewnić. Zrobił znak na futrówce czapki. Ulotnił się cichcem z Hożej 66. Potem sprawdził w pułkowych koszarach, kto jest właścicielem oznaczonego nakrycia głowy. Nie inaczej, była to własność Adama Sokołowskiego. Kolegi z okopów i pola bitwy pod Dołhobyczowem.

Patrzę na ślubne zdjęcie moich dziadków. Urodziwa czarnooka dziewiętnastoletnia dziewczyna w modnej sukni ślubnej. Krótka, falująca fryzura. Lekko zdystansowany, ironiczny uśmiech. Ręce założone w nieco kapryśnym geście. Muszka ma piękne dłonie. Adam w galowym szwoleżerskim mundurze. Oboje patrzą na mnie przez obiektyw. Jest 26 grudnia 1919. Rok po urodzinowym toście w okopach pod Dołhobyczowem. Adam Królikiewicz i Adam Sokołowski zostali przyjaciółmi do końca życia.

Mam w swoim rodzinnym posiadaniu wyjątkową pamiątkę. Obrus. Mocno ponadstuletnia tkanina zachowana w idealnym stanie. Gotowa ugościć dwanaście osób. Wykładamy go zawsze na święta. Obrus ma delikatny haft, na którym widnieje orzeł zwieńczony koroną z dziewięcioma pałkami. Czyli korona jest hrabiowska. Odziedziczyłem go po mojej prababce Stefanii. Stefania była z domu Miłobędzka, a jej matka z domu Żółtowska. Żółtowscy to rodzina arystokratyczna. Historia rodu Żółtowskich dzieli się na dwa nurty. Żółtowscy pochodzący z Wielkopolski w czasie zaboru pruskiego otrzymali tytuły hrabiowskie na zasadzie nadania przez obce mocarstwo i Watykan. Żółtowscy w Królestwie Polskim na Mazowszu to zwykła szlachta. Raczej nie angażowali się w życie społeczne i polityczne. Nie mieli takich aspiracji. Nie mieli też wielkich majątków ziemskich. Ich atrybuty szlacheckie to szabla, pług oraz modlitwa w zakonach. W ukazie wydanym 25 czerwca 1836 roku car zniósł stan szlachecki w Królestwie Polskim, chcąc w ten sposób ukarać szlachtę za udział w powstaniu listopadowym. Zrównał ją z chłopami⁸.

Rodzina prababki Stefanii zamieszkiwała ziemie płockie, a więc Królestwo Polskie, *ergo* byli tymi Żółtowskimi od pługa i szabli. Skąd zatem hrabiowski herb na obrusie? Tajemnica. Może rodzina przywędrowała z Wielkopolski, może takie było pobożne życzenie moich dalekich przodków, by się tytułować i haftować po hrabiowsku. Trudno powiedzieć. W każdym razie o rodzinie mojej prababki Stefanii z domu Miłobędzkiej mówiło się, że są ziemianami. Z całym ważnym kontekstem kulturowym i politycznym tego określenia. Dlaczego rozpisuję się o mojej prababce Stefanii? Bo to postać kluczowa w tej rodzinnej opowieści.

We wspomnieniach mojej mamy jest osobą nadzwyczajną. Ciepłą, dobrotliwą, tolerancyjną, ukochaną, uosobienie dobroci. W snach i zwidach mama wędruje do jej niebieskich oczu bardzo często. O wiele częściej niż do matki, czyli Muszki. Funia, bo tak ją zdrabniano, urodziła się 1870 roku w guberni płockiej, była córką Ferdynanda Miłobędzkiego i Marianny, jak się rzekło, z domu Żółtowskiej. Rodzice osierocili Funię dosyć wcześnie. Państwo Miłobędzcy pod koniec XIX wieku mieszkali w Warszawie. Dlaczego płoccy ziemianie zamieszkali w stolicy, tego nie wiem. Być może z powodu córki. Na ścianie mieszkania mojej matki wisi kilka zdjęć prababci Funi. Jedno, na które patrzyłem bez większego zainteresowania tysiące razy, przedstawia damę w imponującym kapeluszu, w długiej haftowanej sukni. Są też fotografie, na których widać mojego pradziadka i Stefanię w ewidentnie ślubnej pozie. Mało mi wspomnień mamy o ciepłej, kochającej babuni, mało mi rodzinnych pamiątek. Chcę wiedzieć więcej. Szukam w internecie. Na stronie, gdzie są zdigitalizowane stare akty chrztów, małżeństw i zgonów, znajduję skan dokumentu. I ciarki mi przechodzą po plecach.

Miało miejsce w Warszawie w Kancelarii Parafii Wszystkich Świętych, dnia dwunastego lipca 1890 roku o godzinie dziesiątej. Stawiła się Aniela Gałaszkiwicz, akuszerska babka, 46 lat, mieszkająca w Warszawie przy ulicy Prostej 4, w obecności Adama Szadkowskiego oraz Konstantego Majerskiego, obaj dniówkarze, pełnoletni, mieszkający w Warszawie,

i przedstawiła nam niemowlę płci męskiej, oświadczając, iż urodziło się w Warszawie przy ul. Prostej 1117 w dniu dziesiątego lipca bieżącego roku o godzinie czternastej, z niezamężnej Stefanii Miłobędzkiej, ziemianki w wieku dwudziestu lat. Niemowlęciu temu przy chrzcie świętym wodą dano imię Adam. Akt niniejszy po przeczytaniu nam i ogłoszeniu podpisany został przez świadków niepiśmiennych. Podpisy: Aniela Gałaszkiwicz, J. Biały Wikariusz.

Sprawdzam, czy może to być inna Stefania Miłobędzka, ziemianka, w wieku dwudziestu lat, czy to może być pomyłka. Tak, są jeszcze dwie Stefanie Miłobędzkie, a jedna z tej samej parafii wpisana w akcie małżeństwa z roku 1910. Ale ta Miłobędzka urodziła się w 1890 roku, była służącą, a nie ziemianką, rodzice nieznani. Trzeci dokument, parafia Świętego Krzyża, akt chrztu Teofila Pliwki z roku 1906, matka dziecka nazywa się Stefania z domu Miłobędzka. Lat trzydzieści pięć. Tylko rok różnicy między moją prababcią a panią Stefanią Pliwką z domu Miłobędzką. Jej mąż, pan Wincenty Pliwka, był kurierem. Czy ziemianka mogła popełnić taki mezalians? Wszystko możliwe, pani Pliwka mogła być zubożałą szlachcianką. Ale brak w akcie jakiegokolwiek wzmianki o statusie. Pytania nie dają mi spokoju. Jeśli Stefania Miłobędzka z ulicy Prostej była moją prababką, to urodzony nieślubnie syn jest moim zaginionym ciotecznym dziadkiem...

Przy archiwizacyjnym opisie aktu w miejscu „imię i nazwisko ojca” widnieją dwie litery NN, ojciec nieznany. Sprawdzam archiwa i poszukuję śladów po Adamie Miłobędzkim. Nie ma nic. „Pozycji 0 z 0 dostępnych”. Co się stało z dzieckiem? Umarło? Nie zachował się akt zgonu? Zostało oddane do sierocińca? Do adopcji? Znalazło przystań u kuzynów? Gdzie jesteś, Adasiu?... Kto był twoim ojcem?

Prosta jest dziś ruchliwą ulicą ze szklanymi wieżowcami, tuż za rondem ONZ. Nie ma śladu po starej Prostej. Jaka była Prosta, gdzie przyszło na świat pozamałżeńskie dziecko być może prababci Funi? Pewnie wyglądała jak jej sąsiadka ulica Pańska. Jest ślad po ówczesnej zabudowie, widok fasad ówczesnych domów prezentuje kamienica pod dzisiejszym numerem 85. W XIX wieku ta część Warszawy przechodziła metamorfozę. Z wiejskiej dzielnicy przemieniła się w całości stoliczną. Niedaleko Prostej, na południe, rozciągały się pola i sady, obok których wyrastały gospodarstwa i drewniane dworki. Być może w takim domostwie przyszło na świat domniemane nieślubne dziecko dwudziestoletniej Funi, mój hipotetyczny zaginiony cioteczny dziadek, szybko ochrzczony „z wody”. Może Adaś był moim ciotecznym dziadkiem, a może nie był...

Przemykam oczy. Widzę „babkę”, akuszerkę, która niesie niemowlę przez Prostą i Twardą na plac Grzybowski do parafii Wszystkich Świętych. Jest 12 lipca 1890 roku. Tydzień wcześniej na Wawelu pochowano Adama Mickiewicza. Prawdopodobnie z tego powodu chłopiec będzie nosił imię wieszczca. Pani Aniela Gałaszkiwicz, czterdziestosześcioletnia, z pewnością korpulentna kobieta, idzie utwardzoną, opartą na grobli ulicą Twardą, inną niż sąsiednie podmokłe od łąk trakty. Mija tramwaj konny pomarańczowej linii, mija bóżnicę Nożyków, mija puste żydowskie stragany, na których w dzień powszedni dużo żelaznych i stalowych asortymentów, dziś puste, bo szabat, widzi bogate adwokackie, lekarskie i bankowe kamienice na Próżnej, hurtownię herbaty „Dwie Kotwice”, spieszy się, bo dziecko zaczyna płakać. Wreszcie dociera do

schodów kościoła. Już czekają na nią ustaleni świadkowie – dniówkarze Szadkowski i Majerski, robotnicy murujący przybudówkę u pana Miłobędzkiego. Umówiony już ksiądz wikary Jan Biały przyjmuje słowa od „babki” i wpisuje je cyrylicą do księgi parafialnej.

– Dlaczego matka nie przyszła? – pyta wikary Jan Biały, chudy jak patyk i surowy jak marchewka.

– W połogu leży – odpowiada „babka”, wydymając lekko wargi, bo nie lubi wścibskich księzowskich pytań. Kancelaria jest ciemna, obłana nikłym światłem lampy naftowej. Na prąd w Warszawie trzeba będzie poczekać jeszcze czternaście lat. Za sto dwadzieścia siedem lat odpalę swojego MacBooka, połączę się z internetem i w jego zakamarkach będę szukał odpowiedzi dotyczących przeszłości moich przodków.

– A co to, że ojciec nieznany?

– A bo nieznany.

– To znaczy, że grzech pozamałżeński jakiś i mezalians pewno, bo panna ziemianka – naciska wikary Jan Biały.

– Nie moja sprawa – odpowiada Aniela, po swojemu wydymając wargi w kaśliwej pogardzie. – Ksiądz dobrodziej się pospieszy z komentarzami, bo dziecko płacze.

Gałaszkiwiczowa łypie okiem na świadków Szadkowskiego i Majerskiego, którzy przystanęli w progu, mnąc kaszkiety w dłoniach.

– Szadkowski i Majerski potwierdzają prawdę? – pyta ksiądz dobrodziej.

Szadkowski i Majerski potwierdzają, kiwając głowami.

– Tak.

– Ta-a-a-ak. – Majerski trochę się jąka.

– Podpiszą akt czy niepiśmienni?

– Niepiśmienni – odpowiada Szadkowski.

– Nie-e-e-pi-i-śmienni-i-i – wtóruje Majerski.

– Zatem słuchać, co przeczytam, a jak przeczytam, potwierdzić, czy zrozumieli – rozkazuje wikary.

Wikary czyta akt, dniówkarze Majerski i Szadkowski grzecznie potwierdzają, że zrozumieli. Wikary Jan Biały przykłada pieczęć kancelaryjną i myśli sobie: koniec świata się zbliża. Panny z dobrych domów, ziemianki nieślubne dzieci rodzą. I to nie wiadomo z kim. Jeszcze pewnie kiedyś będzie, że kobiety będą robić, co chcą... Grzech śmiertelny... Podobno miesiąc temu z kawałkiem, na początku maja, robotnicy wyszli z ruchawką na ulice w Londynie, Wiedniu i gdzie tam jeszcze. Panie Jezu ukochany, koniec świata niechybnie nadchodzi.

Ale zaraz myśl ucieka z głowy wikarego Jana Białego, bo już pół do jedenastej się zbliża, jak wskazuje zegar, i Helenka, gospodyni plebanijna, zaparzy herbaty Gubkin-Kuzniecowa, co to ją po sąsiedzku sprzedają żydki na Próżnej. A do herbatki będą maślane ciasteczka, gniecione własnoręcznie zgrabnymi paluszkami przez Helenkę. Jeszcze tylko rubelki przyjąć za wpis.

Aniela Gałaszkiwiczowa wraca Twardą w stronę Próżnej. Z synagogi Nożyków dobiega cisza. Jeszcze nie wieczór, jeszcze nie czas na Amidę. Sobotnie południe grzeje mury kamienic na Próżnej, gorące słońce odbija się blaskiem od szyldów kancelarii adwokackich mecenasów Frydmana, Fechnera, Salamona, Grynberga, Pragiera

i państwa Feinbergów. W powietrzu unosi się już zapach szabatowej sałatki jajecznej z cebulą, czulentu i gotującego się od dwóch dni gulaszu.

Zaglądam w becik, który czułym ramieniem otula pani Aniela Gałaszkiwicz. Niemowlę zasnęło. Gdzie jesteś, Adasiu, być może mój niedoszły cioteczny dziadku? Co się z tobą stało? Patrzę na ściętą smutkiem twarz mojej prababki Stefanii. Prababciu, czy ty byłaś mamą tego nieślubnego niemowlęcia? Tajemnica wsiąkła w czas przeszły i już się pewnie nigdy nie wyjaśni.



Fotografia Stefanii Miłobędzkiej (ok. 1890).

Nekrolog

Moja prababcia, ziemianka, sierota, zamieszkała u srogiej ciotki w parafii Wszystkich Świętych. Panna, ziemianka z domu Miłobędzka, nosiła po mężu nazwisko Lilienstern. To nie jest polskie nazwisko. Dwadzieścia osiem lat temu pisałem z Januszem Kijowskim adaptację powieści *Początek* Andrzeja Szczypiorskiego. Podczas klecenia scenariusza przechodziły mnie po ciele i duszy dziwne dreszcze. Pompatycznie nazwę je metafizycznymi. *Początek* jest opowieścią o tożsamości, to dramatyczny dyskurs dotyczący polsko-żydowsko-niemieckich mitów. Owe janusowe przeczucia nie dawały mi spokoju. Spytałem matkę:

– Mamo, czy pradziadek Lilienstern?...

– Tak.

Mija prawie trzydzieści lat od tamtego wyznania. Jestem na internetowej stronie, która pozwala wyszukać archiwalne dokumenty przodków. Dowiaduję się, że Stanisław Lilienstern był synem Markusa i Doroty z domu Lautenberg. Krążę labiryntem sieci. Nie wiem, jakim cudem znajduję nekrolog w lubelskiej gazecie z 27 maja 1918 roku. Jest bardzo niewyraźny i kłopotliwy w odczytaniu. Używam specjalnego programu wyostrzającego piksele. I odczytuję:

B.P. Markus Lilienstern KUPIEC zmarł dnia 25 maja po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach, przeżywszy lat 82. Wyprowadzenie zwłok z mieszkania przy ul. Radziwiłłowskiej Nr. 3 na cmentarz wyznania mojżeszowego nastąpi w poniedziałek 27 maja o godz. 5-tej po poł., o czym zawiadamiają w ciężkim smutku pozostałe dzieci i wnuki.

Wszystko na to wskazuje, że mój prapradziadek odszedł z tego świata na grype hiszpankę. Jednym z dzieci Markusa Liliensterna był mój pradziadek Stanisław. Wnuczką była moja mama, ale jeszcze w chwili śmierci lubelskiego kupca nie było jej na świecie. Zaczynam grzebać dalej. Coś tam sobie kojarzę ze strzępów wspominek babci Muszki, coś o fortepianie, który dostała od ciotki, wielkiej klawesynistki Wandy Landowskiej. A przecież Wanda Landowska... Idę na skrót – odwiedzam Wikipedię.

Urodziła się jako Żydówka, ale jej rodzice, adwokat Marian Landowski i matka Ewelina, ochrztili się wraz z nią w roku 1892.

Co do daty konwersji, nie do końca to prawda według moich ustaleń. Adwokat Marian Landowski ochrzcił się w 1892 roku, mając czterdzieści pięć lat. Żona Ewelina zrobiła to rok później w 1893, razem z czternastoletnią córką Wandą, tą od fortepianu dla babci Muszki i klawesynu, na którym grała do późnego wieku, zachwycając cały glob ziemski. O, można powiedzieć, że nie tylko. Jeden z kraterów na Wenus nazwano nazwiskiem wielkiej klawesynistki. Jest jeszcze jedna konwersja w rodzinie Landowskich, chrzest ośmioletniego synka w 1890 roku. A zatem Dorota Lautenberg, moja praprababka, i Ewelina Landowska, matka Wandy, były kuzynkami. Stąd „ciotka” Wanda, która ofiarowała babci Muszce cenny fortepian. Kapryśna Muszka nie chciała na nim grać. Służył za podstawkę do wazonu z kwiatami.

Kolejne, bardzo interesujące powinowactwo wygrzebane z pamięci mojej mamy. Panowie Stanisław Rotwand i Hipolit Wawelberg. Te dwa nazwiska były wymieniane

również we wspominkach babci Muszki, nosili je dalecy kuzyni. Stanisław i Hipolit byli szwagrami. Finansiści, filantropi i społecznicy. Obaj założyli Szkołę Mechaniczno-Techniczną, która stanowiła zaczątek Politechniki Warszawskiej. Rotwand był posłem do Rady Państwa Imperium Rosyjskiego. To tylko ułamek jego zasług. W późnym wieku konwertował się na protestantyzm. Jego szwagier Hipolit – siostra Wawelberga była żoną Rotwanda – pozostał przy wyznaniu mojżeszowym aż do śmierci. Wawelberg to również arcyciekawa persona, chlubnie zapisana w historii Polski. Powstanie styczniowe. Bankowiec. Założyciel kolonii tanich mieszkań dla robotników na warszawskiej Woli, na którą wyłożył hojnie trzysta tysięcy rubli. Hipolit Wawelberg subsydiował również powstanie pomnika Mickiewicza, sponsorował wydanie dzieł wieszczów oraz wspomagał twórczość Sienkiewicza, Orzeszkowej i Prusa. Mamy dziś w Warszawie ulicę i żydowską szkołę jego imienia.

Jakie było powinowactwo mojego pradziadka Stanisława Liliensterna z rodziną Wawelbergów i Rotwandów? Otóż kuzynka pradziadka, pani Joanna Lilienstern, z domu Rotwandówna, była siostrą wielkiego Stanisława Rotwanda. Uff... Trochę to skomplikowane, ale czyż nici naszych powinowactw nie są pajęczą siecią, tajemniczą płataniną?

Wróćmy zatem do najprostszej linii. Do prapradziadka Markusa Liliensterna, któremu zeszło się z tego świata na łono Abrahama pod koniec I wojny światowej. Grzebię w internecie, by odkryć zapomnianą żydowską gałąź rodziny. Dalej niż do Markusa i jego żony Doroty nie mogę dotrzeć. Wsiadam do metra. Jadę jeden przystanek na plac Bankowy. W okolicy nieistniejącej synagogi na Tłomackiem. Odwiedzam ocalały cudem z wojny budynek na tyłach „błękitnego” wieżowca. Żydowski Instytut Historyczny. Dział genealogii. Naprzeciw drzwi siedzi chłopak o magnetyzującej urodzie. On będzie moim cicerone, przewodnikiem po przeszłości. Przewodnik spisuje dane, które sam wygrzebałem, ja, domorośli detektyw. Niech będzie błogosławiony internet. Po godzinie researchu mamy już dane dotyczące zaginionych przodków. Oto one: moja praprababka, żona Markusa, Marya Dorota Lautenberg, była córką Izraela Lautenberga i Jenty z domu Lewi. Urodziła się w 1833 w Lubrańcu, wyszła za mąż za Markusa w 1864 w Warszawie, zmarła w 1916 roku w Lublinie. Wszystko się zgadza. A mój prapradziadek Markus urodził się w 1836 w Łęczycy, zmarł – jak stoi w nekrologu – w 1918 w Lublinie. Był synem Salomona Liliensterna i Hindy z domu Lautenberg. Ciekawe, łęczycy Żydzi musieli się koligacić w bliskości rodzinnej. Aha, Rotwandowie także pochodzili z Łęczycy. Łęczycza to było bardzo żydowskie miasteczko. Czytam na stronie Wirtualny Sztetl:

Pierwsi Żydzi zaczęli osiedlać się w Łęczycy pod koniec XV wieku. W 1564 r. w mieście żyło 460 Żydów, co stanowiło 30% ogółu mieszkańców. W 1639 r. dwóch Żydów zostało oskarżonych o zamordowanie chrześcijańskiego dziecka. W 1656 r. kolejnego mordu na prawie całej łęczycyjskiej społeczności żydowskiej (około 1500 osób), dokonały wojska polskie pod wodzą Stefana Czarnieckiego, za sprzyjanie przez nich Szwedom. Spalono wówczas drewnianą synagogę. W połowie XVIII w. odrodzona gmina żydowska w Łęczycy była największym skupiskiem Żydów w środkowej Polsce. W 1724 r. zdobyli oni przywilej propinacji artykułów alkoholowych, szynkarstwa oraz uboju bydła, który umożliwił im niemal całkowite przejęcie handlu w miasteczku. W 1787 r. wybudowano murowaną

synagogę. [...] Pod koniec XIX w. w Łęczycy w 128 domach mieszkało 3639 Żydów (45% ogółu mieszkańców). Trudnili się głównie handlem (jedynie dwa sklepy należały do chrześcijan) [...] W kwietniu 1942 r. szef gestapo Werner Hermann przeprowadził akcję likwidacji getta. Ok. 3000 osób zostało początkowo przetransportowanych do Poddębic, a stamtąd zostali deportowani do niemieckiego nazistowskiego obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem⁹.

Mój cicerone z ŻIH-u kończy kwerendę. Dotarliśmy do piątego pokolenia. Czuję te same dziwne wibracje, które nachodziły mnie trzydzieści lat temu przy pisaniu adaptacji *Początku*. Teraz jestem na końcu mojej wyprawy w poszukiwaniu zapomnianych przodków. Ni z tego, ni z owego czuję, że mam mokre oczy.

– Przepraszam – mówię.

– Nic nie szkodzi – odpowiada cicerone. – Tu wszyscy płaczą.

Pytam mojego genealoga, ile jestem winien za przysługę. I w tym momencie cicerone trochę się peszy.

– *Could I explain it in English?*

Nie wiem, jak wygląda moja mina. Ponad godzinę gadaliśmy po polsku, on spisywał dane bezbłędnie, nazwiska, miejscowości. Po chwili wszystko się wyjaśnia. Pan Noam Silberberg jest dopiero półtora roku w Polsce. Teraz słyszę ledwo zauważalny obcy akcent. Noam przyjechał z Izraela. Jego dziadkowie wyemigrowali z Warszawy w latach trzydziestych. Mieszkali na Świętojerskiej, czyli w sąsiedztwie mojego podwórka. Jak później się dowiem, Noam zakochał się w polskiej dziewczynie. Oczywiście nie mogę się oprzeć, żeby nie wyniuchać czegoś jeszcze o moim przewodniku. Noam Silberberg nie jest historykiem z wykształcenia. To muzyk, kompozytor, dyrygent. Założył kapelę o dźwięcznej nazwie Mała Orkiestra Dancinowa, która wskrzesza w autentycznym przedwojennym brzmieniu dawne szlageriery. Współpracuje również z Warszawską Orkiestrą Sentymentalną, kapelą o podobnej proveniencji. Nie ma mowy o zapłacie, donacja na konto ŻIH-u jest dobrowolnym datkiem.

Dzięki, Noam, dzięki, cicerone zaprzesłego czasu.



Nekrolog Markusa Liliensterna (znaleziony przez autora w internecie).



Prawdopodobnie fotografia Markusa Liliensterna, jedyna w archiwum rodzinnym (ok. 1918).

Amen

Jak Stefania Miłobędzka i Stanisław Lilienstern się poznali – nie mam pojęcia. Składam do kupy parę faktów. Z przekazu mamy dowiaduję się, że pradziadkowie pierwszy raz spotkali się w Lublinie. Tam, dokąd przeprowadziła się rodzina Liliensternów z Warszawy. Wiem, że Stanisław był inżynierem chemikiem, ukończył szkołę założoną przez Wawelberga i Rotwanda. W przyszłości zostanie inspektorem cukrowni w Głinojecku. Kojarzę fakty „Lublin” i „cukrownia”. Szukam. Znajduję informację, iż pierwszą lubelską fabrykę cukru wybudowano w 1874 roku, dwa lata po powstaniu pierwszej cukrowni akcyjnej w Królestwie Polskim. W 1874 zarejestrowano w Lublinie Towarzystwo akcyjne z początkowym kapitałem czterysta tysięcy rubli. Rok później Towarzystwo wybudowało cukrownię „Zakrzówek”. Prezesem Towarzystwa był niejaki pan A. Stenger, a w zarządzie zasiadali – uwaga – S. Rotwand i J. Lilienstern¹⁰.

Pan S. Rotwand jest zapewne Stanisławem Rotwandem, a J. Lilienstern to zapewne Jakub Lilienstern. Jakub Lilienstern był synem Joanny Rotwand, siostry wielkiego Stanisława Rotwanda, czyli jego bratankiem, czyli mamy biznes rodzinny. Kim dla Jakuba Liliensterna był mój pradziadek? Kuzynem z pewnością. Już nie chcę wam mieszać w głowach skomplikowanymi koligacjami. Tylko jeszcze drobna uwaga na boku: syn Jakuba Liliensterna, tego od „Zakrzówka”, został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim, czyli został przechrzczony. Mirosław Lilienstern i Stanisław Lilienstern, mój pradziadek, byli prawie w tym samym wieku. Dlaczego część ówczesnych Żydów zmieniała wiarę? W owym czasie w Królestwie Polskim następowała silna asymilacja. Był to proces z pewnością bolesny dla ich żydowskich rodziców widzieć odejście od wiary, jak mniemali – dla niższych celów. Ale głównym imperatywem była nie tylko chęć włączenia się w polskie społeczeństwo. Były też inne przyczyny przejścia z wiary mojżeszowej na chrześcijańską.

Jesteśmy w Lublinie na ulicy Radziwiłłowskiej numer 3. Ulica Radziwiłłowska w XIX wieku stanowiła przedłużenie ulicy Zielonej, biegła do Ewangelickiej, przechodziła w obecną ulicę J. de Tramecourta, łącząc się z Wieniawską. Ulica Radziwiłłowska należała do żydowskiego Lublina. Pod numerem piątym znajdzie siedzibę Gimnazjum Humanistyczne Koedukacyjne Towarzystwa Zakładania Szkół Żydowskich, ale to dopiero w 1919 roku, a my jesteśmy pod koniec dziewiętnastego stulecia.

Wślizgujemy się przez okno do salonu. Stajemy przy kredensie, na którym tkwi srebrna siedmioramienna menora. Jest piątek, szabat. Tuż przed zachodem słońca. Dorota, postawna, starsza już kobieta, mija nas, zdejmując z kredensu świecznik, idzie do kuchni, by przynieść z pieca płonąca szczapę, zapala świece, błogosławi sobotę, błogosławi światło. Wykonuje trzy okrężne ruchy rękami nad płomieniami, przyjmując szabat przez umysł, ciało i duszę. Zakrywa oczy, by spojrzeć na świece dopiero po odprawieniu modlitwy. *Baruch Ata Haszem, Eloheinu, melech haolam aszer kidszanu bemicwotaw weciwanu lehadlik ner szel szabat.* Teraz Markus stawia na obrusie puchar z koszernym winem, symbol radości. Odmawia modlitwę. Można spożywać wieczerzę.

Szabat Szalom. Przysłuchujemy się krępującej rozmowie. U szczytu stołu siedzi pięćdziesięciosześcioletni, lekko przygarbiony Markus, z drugiej strony – jego syn Stanisław. Ma lat dwadzieścia siedem.

– Tato, musimy porozmawiać.

– *Ja, zun.* Mów, synu.

Stanisław przebiera sztućcami nad czulentem. Urywa nerwowo kęs chałki. Wciąga nosem powietrze, by przedłużyć chwilę.

– Będę się żenić.

– *Mit wemen?* – Dorota wstrzymuje oddech. – Z kim?

Stanisław uparcie mówi po polsku:

– Z kobietą. – Chłopak wybucha śmiechem, ponad miarę rubasznym, wyraźnie kryje nim zdenerwowanie.

Ojciec chce otworzyć usta, ale Dorota jest szybsza od męża.

– Znamy ją?

Markus zerka na żonę. Znów się sforuje na przewodnika, znów chce dowodzić, znów nie da dojść do słowa, karcii ją w myślach.

– Nie. – Stanisław chrząka, odkładając sztućce.

Markus kolejny raz otwiera usta, kolejny raz bez skutku.

– Kto to jest? – uprzedza go żona.

Stanisław milczy, wpatrując się w płomień świecy.

– *Was iz es?* Matka cię, Stasiu, pyta. Odpowiedz.

– Stefania się nazywa.

Dwie pary oczu rodziców wbite w syna.

– To chrześcijańskie imię – mówi zduszonym głosem Markus.

– Moje też chrześcijańskie. Brata Henia też. I matki chrześcijańskie, i u Rotwandów też chrześcijańskie...

– *Genug!* – Wreszcie Markus odzyskuje rezon, bijąc pięścią w stół. – Gojka? Mów.

Staś znów wciąga nosem powietrze, by przedłużyć odpowiedź. Skubie wąs. Poprawia klapy surduta, wierci się na krześle. Matka patrzy z ukosa na syna przez migotliwy płomień świecy. Odpowiada sama sobie:

– Chrześcijanka.

– Chrześcijanka. Ziemianka. Miłobędzka się nazywa. – Stanisław podnosi podbródek, jakby się chciał dobrowolnie wystawić na policzek. – Sierota. Kocham ją i tyle. – Odsuwa z niesmakiem talerz z czulentem.

Markus patrzy na żonę z wyrzutem. Jego lekko napuchnięte powieki zwięzają się do szparek.

– To twoja wina. Tyś z niego zrobiła *meszumed*.

– I jak ty chcesz się ożenić, synku? – pyta Dorota.

– Po katolicku – odpowiada Stanisław.

Płomienie w menorze kołyszą się od ciężkich oddechów.

Stefania mieszka na Srebrnej, dziesięć minut piechotą od placu Grzybowskiego, synagogi Nożyków i kościoła Wszystkich Świętych. Mieszka u ciotki. Na ścianie w domu mojej mamy wiszą zdjęcia dam o surowych obliczach. Prawdopodobnie to

jedna z nich przygarnęła osieroconą kuzynkę. Nie dowiem się już, jak się nazywała surowa ciotka. Moja matka nie może sobie przypomnieć. Dom jest drewniany, parterowy. Przez muślinowe firanki przebija światło lampy naftowej wiszącej u sufitu. Na długim stole leży obrus z haftowaną hrabiowską koroną. Spadek Stefanii po rodzicach. Kiedyś ja go odziedziczę. Na obrusie pyszni się półmisek pachnący pieczenią cielęcą. Wkradamy się do wnętrza, by podsłuchać rozmowę. Przy stole siedzi dwudziestotrzyletnia dziewczyna, ładna, krucha, w sukni ze śnieżnobiałym szamerunkiem. Naprzeciw niej chuda jak szczypiorek kobieta z upiętymi przy skroniach obwarzankami włosów. Nie bardzo pasuje ta dziewczęca fryzura do wysuszonej urody.

– Ciociu, musimy porozmawiać – odzywa się nieśmiało dziewczyna.

– Coś się stało, Stefo? – pyta surowa ciotka, jedna z dam wiszących w ramach na ścianie w mieszkaniu mojej matki. – Mów, dziecko – przynagła. – Coś taka blada?

– Poznałam pana i...

– I co?! – przerywa ciotka.

– Dobrego, ciepłego, miłego... Na pewno ci się spodoba, ciociu.

– Znaczy się go jeszcze nie znam? – Głos ciotki nie złagodniał. – Odłóż sztuce i mów.

– Inżynier. Chemik. Bardzo dobry. Ma lat dwadzieścia siedem i...

– Jak się nazywa? – napiera ciotka.

– Stanisław.

– Nazwisko?

– Lilienstern...

– Żyd?! – Ciotka krztusi się kęsem pieczeni cielęcej.

Stefania bawi się widelcem, grzebiąc w cielęcym sosie.

– Żyd.

– Funiu... Jak długo się znacie?

– Wystarczająco, ciociu.

– Jezu Chryste. Co ty, Stefcu, do mnie mówisz?... Rodzice się w grobie przewracają. Czy ty aby nie jesteś... Czy ty nie zrobiłaś jakiegoś głupstwa z tym Żydem?

– Nie, ciociu. Nie zrobiłam żadnego głupstwa z panem Stanisławem. Ale chcę za niego...

Moja dwudziestotrzyletnia prababka wyprostowuje nieco skuloną sylwetkę. Podnosi odważne spojrzenie znad bieli hrabiowskiego obrusa i patrzy prosto w szkliste oczy ciotki.



Fotografia ciotki Stefanii Miłobędzkiej (ok. 1890).

Miało miejsce w Warszawie w Parafii Wszystkich Świętych dnia szóstego czerwca 1894 roku o godzinie jedenastej. Ogłasza się, że w obecności świadków Włodzimierza Walknowskiego i Józefa Rutkowskiego, urzędników magistratu miasta Warszawy, pełnoletnich, zamieszkałych w Warszawie, został dokonany obrzęd religijny na podstawie zezwolenia Rzymsko Katolickiej Duchownej Konsystorii z dnia czwartego czerwca niniejszego roku o serii a nr 2498 obrzęd chrztu świętego nad Stanisławem Liliensternem, urodzonym w Warszawie dnia trzeciego maja roku 1866, synem Markusa i Doroty urodzonej jako Lautenberg, małżonków Lilienstern, któremu przy chrzcie świętym nadano imię Stanisław z pozostawieniem mu tego samego nazwiska Lilienstern. Jego rodzicami chrzestnymi byli Włodzimierz Walknowski i Ewelina Walknowska. Po tym akt niniejszy został przez obecnych przeczytany i podpisany. Podpisy: Stanisław Lilienstern, Włodzimierz Walknowski.

I w dziewięć dni później w słoneczny wiosenny piątek:

Miało miejsce w Warszawie w Parafii Wszystkich Świętych, dnia piętnastego czerwca

1894 roku o godzinie 12. Ogłasza się, że w obecności świadków Włodzimierza Walknowskiego i Józefa Rutkowskiego, urzędników pełnoletnich zamieszkałych w Warszawie, został zawarty dzisiejszego dnia religijny związek małżeński między Stanisławem Lilienstern kawalerem, chemikiem fabryki cukierniczej w wieku 28 lat, urodzonym w Warszawie, synem Markusa i Doroty urodzonej jako Lautenberg oraz Stefanią Miłobędzką, panną, posiadającą rodzinę, w wieku 24 lat, urodzoną we wsi Kosowo Jarpieckiego Powiatu Płockiej Guberni, córką zmarłych Ferdynanda i Marianny urodzonej jako Żółtowska, małżonków Miłobędzkich zamieszkałych w Warszawie przy ul. Srebrnej pod nr 5272 w niniejszej parafii. Związek ten poprzedziły dwie zapowiedzi opublikowane w niniejszej parafii w dniu piątym oraz dwunastym czerwca bieżącego roku, wobec jednej nieopublikowanej zapowiedzi zastosowano zwolnienie (Indult) Warszawskiego Arcybiskupa Metropolity z dnia czternastego czerwca bieżącego roku o nr. 2645. Nowożeńcy oświadczyli, że przedmałżeńska umowa nie została zawarta między nimi. Religijny związek małżeński został zawarty przez księdza Wikiencjusza Mechowicza, tutejszego wikariusza. Akt niniejszy nowożeńcom oraz świadkom został przeczytany, przez nas został podpisany. Podpisy: Stanisław Lilienstern, Stefania Miłobędzka, Włodzimierz Walknowski, Józef Rutkowski, ks. Wikiencjusz Mechowicz Wikariusz.

Amen.



Fotografia ślubna Stefanii Lilienstern z domu Miłobędzkiej i Stanisława Liliensterna (1894).

Czas wspomnieć, z czego słynęły cukrownie w tamtym czasie. Otóż, produkcja słodkich kryształków w XIX wieku była tym, czym dzisiaj jest produkcja ropopochodnych produktów. Cukier był „białym złotem”, cennym i rzadkim dobrem. Trudno to dziś sobie wyobrazić, gdy żremy bez umiaru marsy i snickersy, tyjąc i nabawiając się hiperglikemii. Cukier sto lat temu z okładem był rzeczą odświętną. *Sacharne zawody* w Królestwie Polskim miały mniej więcej tę samą rangę przemysłową jak produkcja bawełny. Rewolucja przemysłowa dała niebawem asumpt do rozwoju fabryk. A kiedy w drugiej połowie XIX wieku wprowadzono elektryczność, technologie wyrobu białego skarbu zmieniły rzeczywistość gospodarczą. Na polskich ziemiach pozostających jeszcze pod zaborami na dużą skalę rozwinięta była uprawa buraka cukrowego. Mój pradziadek Stanisław Lilinstern stał się dzięki swoim lubelskim koneksjom rodzinnym bardzo pożądanym cukrownikiem. W swoim fachu piął się na szczyt, został inspektorem cukrowni „Izabelin” w Glinojeku, miejscowości położonej dziewięćdziesiąt kilometrów od Warszawy, w powiecie ciechanowskim. I był szanowanym urzędnikiem fabryki aż do późnego wieku. Jakoś tak szczęśliwie się złożyło – pewnie prababcia Funia przyczyniła się do tego – że państwo Liliensternowie wylądowali w rejonach, z których ziemianka Stefania pochodziła.

Glinojek, osada położona nad Wkrą, ma bogatą patriotyczną historię. W 1863 roku proboszcz tutejszej parafii, ksiądz Augustyn Krużmanowski, błogosławił sztandary powstańcze, zagrzewał do walki patriotycznymi kazaniami. 28 stycznia 1863 roku udzielił błogosławieństwa stuosobowemu oddziałowi powstańczemu pod dowództwem pułkownika Kazimierza Wolskiego, byłego żołnierza Garibaldiiego. Dzielny proboszcz został za to aresztowany 29 stycznia 1863 roku i skazany na zesłanie na Syberię. Nigdy do parafii nie powrócił. Podczas powstania styczniowego z cukrowni „Izabelin” wyruszyło do walki pod Płock dwustu sześćdziesięciu ludzi¹¹. Cukrownia „Izabelin” została uruchomiona w 1859 roku, a swoją nazwę wzięła od imienia córki jednego z założycieli.

Na ścianie mojego mieszkania wisi przepiękna dziewiętnastowieczna rycina fabryki umieszczona w „Tygodniku Ilustrowanym” z 29 czerwca 1872 roku. Czytam artykuł umieszczony obok:

Cukrownia Izabelin była najznacniejszym zakładem przemysłowym w pow. ciech. I jedynym tego rodzaju; z tego względu choć na pobieżny opis zasługuje. Położona o milę od miasta Raciąża, a o dwie od Ciechanowca, fabryka cukru i rafinerya w Glinojeku, Izabelin zwana, założoną została w r. 1858 przez spółkę sąsiednich obywateli ziemskich z właścicielem dóbr Glinojek p. Józefem Jackowskim i dyrektorem tejże fabryki p. Ehrenkreuzem. Przerób surowego produktu odbywał się w niej bezpośrednio za pomocą siły odśrodkowej (centrifuge). Fabryka zatrudniała przeciętno dziennie około 150 ludzi i przerabiała średnio rocznie 40,000 korcy buraków, dostateczną ilość których z okolicznych plantacyj zawsze mieć mogła, położona będąc dogodnie, nad rzeką Działdówką, w okolicy w bory sosnowe obfitej. Cukier tej fabryki, po większej części w kawałach i mączce wyrabiany, z małą bardzo ilością rafinady, uzyskał na wystawach londyńskiej z 1862 roku

i paryskiej z 1867 roku wzmianki honorowe, w Moskwie zaś i Warszawie medale srebrne. Główna sprzedaż miała miejsce do Petersburga i Rygi; skład cukru był w Warszawie, u p. Nathana i synów. Obecnie fabryka jest nieczynna. Przy spodziewanym wkrótce zatwierdzeniu mławsko-gdańskiej kolei żelaznej możeby który z panów nabył tę cukrownię na własność i wyrób cukru nanowo w niej rozpoczął. Byłoby to korzystnym dla niego samego, jak również dla okolicy tutejszej, pozbawionej nateraz tak pożytecznego zakładu przemysłowego, który tylu ludziom stały nastęczał zarobek. W interesie ogólnego dobrobytu to wielce pożądanem. Władysław Dębski.

A to ci dopiero. Czasy się zmieniają, a problem prywatyzacji wciąż bolesny. Jakoś nie mogę wygrzebać nazwisk znacznych dobrodziejów, którzy uratowali cukrownię przed ostatecznym upadkiem. Jedno mi się nie zgadza. Pan redaktor Dębski raczył wymienić w swoim artykule jako fundatorów panów Jackowskiego i Ehrenkreuza. Dzisiejsze źródła wymieniają zaś panów Balickiego i Mayzlera. Zatem może ci ostatni są odnowicielami „Izabelina”? A może pan redaktor Dębski strzelił dziennikarską gafę jak tę, że Głinojeck leży nad Działdówką, bo leży nad Wkrą, która dopiero przed Działdowem zmienia się w Działdówkę. A i rok powstania „Izabelina” także w artykule jest nieścisły. Ale co tam, Google’a jeszcze nie było, by to sprawdzić. W każdym razie mój pradziadek Stanisław Lilienstern został urzędnikiem cukrowni. Zerkam na fotografię okoloną aksamitną ramką z drewnianą secesyjną inkrustacją. Mężczyzna, jeszcze szczupły, ale już lekko łysiejący, urodziwa prababcia Funia patrzy za mężem gdzieś w bok. Jest smutna. Przymrużam oczy.

Mamy rok 1899, pięć lat po ślubie moich pradziadków, 7 maja, niedzielny słoneczny, wiosenny poranek, godzina siódma z minutami. Ulica Fabryczna rozbrzmiewa wesołymi marszowymi dźwiękami. Dęte dudnienie rozlewa się po bruku, odbija echem od czerwonych cegieł rafinerii, przeskakuje przez wysoki komin, częściowo płynie wzdłuż murów, wkrada się do fabrycznego parku, omija fontannę i rabaty, kwitną już na nich pierwsze bratki, wbiega na kort tenisowy, a potem zawraca i kieruje się ku piętrowej kamieniczce, wdziera się tam z narastającym impetem i wciska w uszy śpiącego smacznie pana inspektora Liliensterna.

– Co jest, do jasnej cholery? – Mój pradziadek ziewa, sięga po zegarek ze srebrną dewizką leżący na nocnej szafce. Ta szafka stoi do dziś w mieszkaniu mojej mamy. – Siódma godzina, niedziela, spać nie dają, ludzie kochani.

Lilienstern obrzuca wzrokiem szerokie małżeńskie łóżce. Puste.

– Stefuniuuuu! Gdzie jesteś?!

Od parkowej bramy wkracza robotnicza orkiestra dęta, grając marsza. Staje pod oknem sypialni. Tamburmajor daje znak pauzy buławą.

– No. Wreszcie cisza. – Pan inspektor chce się przewrócić na drugi bok, ale podnosi go z posłania uderzenie bębna. Za chwilę rozlega się gromkie „sto lat”.

– Co jest? – mruczy Lilienstern pod wąsem.

W progu sypialni staje Stefania. Jest już ubrana. W długą odświętną suknię z haftowanymi różyczkami u rąbka. Uczesana, pachnąca fiołkowym mydłem.

– Jak to co, Stasiu? Jutro twoje imieniny. Robotnicy przyszli ci powinszować.

– A, imieniny? Imieniny jutro. Powiedz, że pobudzą sąsiadów. Pan Bochała nie lubi

hałasów. A pan dyrektor śpi, bo niedziela.

– Jutro nie przyjdą, bo praca. Wstawaj, ale już. Trzeba z szacunkiem.

– Dobra, już dobra – marudzi dobrodusznie Stanisław. Podnosi się z łoża, staje w nocnej koszuli przy otwartym oknie. Na ustach jowialny uśmiech. Oczy iskrzą się z ukontentowania.

– Panowie, dajcie już spokój! Wystarczy tego trąbienia!

Tamburmajor w odświętnym, choć niemodnym surducie zdejmuje maciejówkę z głowy i kłania się nią nisko.

– Przyszli my sto lat życzyć panu inspektorowi i coby nam rządził w cukrowni też sto lat.

– A to już będzie za dużo. Za sto lat w grobie będę gnił.

– Nie życzym tego panu inspektorowi, panie inspektorze. Co pan inspektor sobie imieninowo życzy zagrać na rozweselenie?

Pan inspektor udaje, że się zastanawia, skubiąc wąs. Co roku ta sama ceremonia i ten sam szlagier.

– A *Wesołą wdówkę* znacie?

„Znamy!”, odpowiada chórem orkiestra. I za chwilę rozbrzmiewa niezbyt czysto grana melodia z operetki Franciszka Lehara. Pan inspektor Lilienstern podśpiewuje pod akompaniament: „Usta milczą, dusza śpiewa, / Kochaj mnie... / Bez miłości świat nic niewart / Kochaj mnie... / Cały świat dookoła tą miłością tchnie / Wszystko mówi mi, że ty / ty kochasz mnie”...

W progu staje rozpromieniona Funia. Lubi, jak Staś śpiewa, lubi, jak się weseli, lubi, jak cieszy go ukochana operetka, lubi, jak go lubią. Stanisław odwraca się od okna i śpiewa prosto w rozjaśnione szczęściem oczy żony, haniebnie fałszując: „Troszeczkę sercu wstyd / że bije walca rytm / I nie ma nic we krwi / jedynie walc, jedynie ty... / Sercu nie potrzeba słów / o swej miłości do mnie mów / Już tylko jedno wiem / że kocham cię”...

Obrazek lekko kiczowaty. Powietrze tchnie zapachem słodkiej cukrowej melasy i wczesnymi bzami. Dopiero teraz widzimy, że pod haftowaną suknią Stefanii zaokrąglił się brzusek.

Miało miejsce we wsi Glinojec dnia 29 października 1899 roku o godzinie czternastej. Stawili się: Jan Bączek w wieku czterdziestu pięciu lat i Józef Ciapciński w wieku czterdziestu lat, obaj pracownicy i mieszkańcy wsi Glinojec i oświadczyli, że w dniu wczorajszym o godzinie dwudziestej pierwszej urodziło się martwe niemowlę płci żeńskiej, córka Stanisława Liliensterna, urzędnika fabryki cukierniczej i jego żony Stefanii, urodzonej jako Miłobędzka. Po naocznym upewnieniu się o martwo narodzonym niemowlęciu akt niniejszy ogłoszony niepiśmiennym przeczytany i przez nas tylko podpisany. Administrator Glinojeckiej Parafii posiadający akty stanu cywilnego. Podpis: Ks. Józef Krętelski.

Tak oto nie przyszła na świat moja cioteczna babcia.



Fotografia Stefanii Lilienstern, Paryż (1900).

Paryska pocztówka

Patrzę na fotografię prababki Stefanii, tę, o której wspomniałem na początku mej opowieści. Zdjęcie ewidentnie zrobione w atelier. Dama w długiej sukni i futrzanej etoli. Na głowie bogaty, „piętrowy” kapelusz. W lewej dłoni trzyma niewielką torebkę. Prababcia Funia jest smutna. Tak, patrzyłem obojętnie na ten sepiowy obrazek tysiące razy, nie miałem pojęcia, co się kryje w oczach Stefanii. Wyjmuję zdjęcie z ramki, z nadzieją, że znajdę coś na rewersie. Znajduję. Przede wszystkim zapis, że fotografia została zrobiona w 1900 roku. I nagle odczytuję żal kryjący się w twarzy trzydziestoletniej kobiety. Wszystko staje się jasne – Stefania jest w żałobie. Suknia jest ewidentnie czarna, i etola, i bogaty kapelusz są żałobne. Jeszcze jeden szczegół odnaleziony na lewej stronie: to jest zagraniczna pocztówka. Zrobiona w Paryżu.

Święta Bożego Narodzenia 1899 są w fabrykanckim mieszkaniu smutne. Można powiedzieć, że w ogóle ich nie ma. Chanuka w domu Markusa Liliensterna też była pełna żalu, choć to radosne Święto Świąteł. Nie tylko z tego powodu smutna, że Stanisław uczestniczył w święcie jakby już w nie swoim misterium.

– Mogliście razem przyjechać.

Markus pochylił się i mocno już postarzał, choć próbuje trzymać twardy ojcowski ton. Na starość zrobił się bardzo surowy i apodyktyczny.

– Nie mogliśmy – odpowiada krótko Stanisław. Patrzy na siedem płomieni świec w menorze. Jego wzrok kołysze się razem z ich światłem. Stanisław myśli, że chętnie by się spalił w ich blasku.

– Bo twoja żona nas unika?

– Moja żona was nie unika.

– *Das iz a szod.* Wstyd. Palców jednej ręki starczy, by zliczyć, ile razy ją tu przywiodłeś. Za wysokie progi dla ziemiańskiej pani.

– Markus. Daj spokój, nie dręcz syna. Święto mamy. To dobra dziewczyna. Dobrze jej zawsze z tych błękitnych oczu patrzy.

Dorota też już się bardzo postarzała i mocno przytyła. Zostało jej jeszcze tylko sześć lat życia. Ale razem ze starością i z obwisłymi policzkami przyszła łagodność płynąca z blaknących źrenic. Odbija się w nich teraz chanukowe światło.

– Skoro tak jej dobrze z oczu patrzy, to czemu jej tu nie ma? – gdera Markus.

Stanisław wyciska przez zęby cztery krótkie sylaby:

– Bo-jest-cho-ra.

– *Aj waj!* Co ty opowiadasz, synku? Na co Stefcia chora? – Matka przysiada na trzeszczącym krześle. Płomienie świeczek zachybotają, jedna prawie zgasła.

– Na melancholię.

– A skąd u niej melancholia? – dopytuje się Dorota.

Stanisław znów patrzy w płomień świecy jak w piekielny ogień. Milczy, a cisza przedłuża się w nieskończoność. Wreszcie młody Lilienstern przesuwa dłonią po łysince na czubku głowy i mówi, przymykając powieki:

– Urodziła martwe dziecko.

Teraz rodzice milczą jak zamienieni w dwa słupy soli. Zegar wiszący na ścianie odmierza wahadłem sekundy. Jest ich kilkanaście.

– Nic nie zdradzałeś, że ona w ciąży.

– Nie mów, tato, o mojej żonie „ona”. „Ona” ma imię, Stefania.

– Markus! *Genug!* – karci męża Dorota.

– Chcieliśmy wam zrobić niespodziankę, jak będą narodziny. Ale narodziny były martwe.

Matka kryje twarz w dłoniach. Pochylnymi plecami wstrząsa szloch. Zduszonym głosem pyta:

– Kiedy to się stało?

– Pod koniec października.

– I dopiero teraz nas zawiadamiasz? Wesoła nowina na Chanukę. – Ojciec nie może się pozbyć gniewnego tonu.

– Markus! Opamiętaj się! Tylko tyle masz do powiedzenia na pocieszenie syna?

– Mam do powiedzenia tyle co Talmud: „Grzech jest słodki na początku, ale gorzki na końcu”.

Stanisław wstaje z krzesła. Zmierza do drzwi.

– No to na mnie już czas. Wesołej Chanuki.

I w tym momencie z ust Markusa wyrywa się:

– Czeka! *Wartn!*

Stanisław zatrzymuje się niechętnie. Na wszelki wypadek kładzie dłoń na mosiężnej klamce; jeszcze jedno obraźliwe słowo ojca, a trzaśnie za sobą drzwiami, aż wióry z nich polecą.

– Podejź do mnie. – Tym razem to bardziej prośba niż rozkaz. Syn waha się. Robi dwa kroki w stronę ojca. – Weź krzesło, usiądź obok.

Stanisław sztywnym gestem przysuwa krzesło i jak prosił Markus, przysiada obok. Cug w kafłowym piecu huczy. Szyby w oknach malują się mrozem.

– Powiedz... mi... synu... Czy był chłopiec, czy dziewczynka?

– Dziewczynka.

Dorota jeszcze mocniej zanurza twarz w dłoniach.

– Daj mi rękę, Stasiu.

Stanisław robi posłusznie gest w stronę ojca. Czuje, jak ciepło starczej skóry grzeje jego palce.

– A teraz posłuchaj. Posłuchaj mnie uważnie. – Markus otwiera usta, by zaczerpnąć tchu. – Musisz wiedzieć, że cię kocham. I żałuję, że moja wnuczka poszła do grobu. Jesteś moim synem i nim będziesz zawsze. Słuchasz mnie?

– Tak, tato.

– Więc słuchaj mnie, Stanisław, co ci teraz stary ojciec powie. Dziś, w Święto Świąteł, ci to mówię. – Markus znów nabiera powietrza w płuca. – Masz nad nią... – poprawia się – nad Stefcią zaświecić światło.

Wpatruję się w płomyk, przenikam przez zmrożoną szybę na ulicę Radziwiłłowską, płynę w stronę żydowskiego Podzamcza, widzę w oknach błyski chanukowych świec, unoszę się nad Lublinem.

A potem razem ze śniegiem spływam na skośne dachy Paryża. Wnikam w rozjaśnione okno. Wybrałem miejsce, gdzie moi pradziadkowie zatrzymają się, by otrzeć żal z oczu. Podróż do Paryża ma być pocieszeniem i otuchą. Niech będzie hotel Ritz, nowiutki, bo mający dopiero półtora roku, przebogaty, ociekający luksusem, stojący w I dzielnicy, przy placu Vendôme. Oprócz moich pradziadków będą w nim kiedyś goście Oscar Wilde, Colette, Marcel Proust, Jean-Paul Sartre, Truman Capote, Francis Scott Fitzgerald z Zeldą, George Bernard Shaw, Graham Greene, Winston Churchill, Rudolf Valentino, Amelia Earhart, Audrey Hepburn, Maria Callas, Cole Porter, Ingrid Bergman, Barbara Hutton, Sophia Loren, Marlena Dietrich, Pablo Picasso, Ernest Hemingway, stały gość Coco Chanel, no i niestety Hermann Göring. Tutaj spożyje ostatnią w życiu kolację księżna Diana. Ale to będzie w przyszłości. Na razie, za ostatnie dywidendy wyjęte z banku i listy zastawne miasta Petersburga, Stanisław Lilienstern spróbuje otrzeć łzy mojej prababci, wyciągnąć ją z melancholii, dziś nazywanej depresją.

Właśnie się zaczął ostatni rok dziewiętnastego stulecia, koniec wieku, *fin de siècle*. I jakże smutne oblicze mojej prababki uwiecznione na paryskiej widokówce pasuje do pesymizmu schyłkowej epoki. Gdzie się udali, by rozwiać smutki, sunąc dorożką przez oprószone śniegiem Paryż?

– *À la Tour Eiffel, monsieur!* – rozkazuje Stanisław fiakrowi.

– Ale Stasiu, ja tam nie wejdem – mówi ze smutkiem w głosie Stefania.

– Nie musisz, Funiu. Dźwigiem osobowym wjedziesz. To trzeba zobaczyć, takiego widoku oczy nie widziały. No, uśmiech ci wróci, Stefuniu. – Pogania woźnicę klepieniem w plecy: – *Allez, panie starszy!*

Dorożkarz strzela z bata, przysłuchuje się szeleszczącej mowie pasażerów. Pyta przez ramię:

– *Vous êtes les Russes?*

– *Non! Qu'est-ce que vous dites? Nous sommes Polonais* – odpowiada obruszona Stefania, przytrzymując ogromniasty kapelusz, bo właśnie się zerwała zawieja i nastawiona buda dorożki niewiele pomaga.

Za co mnie to nieszczęście spotkało?, myśli. Ile we mnie grzechów przeszłych? Tak mam je odkupić? Śmiercią dziecka? A czy ja w ogóle kiedyś doczekam zdrowego urodzenia?...

Mijają secesyjną kamienicę i nie wiedzą, że w jednym z jej mieszkań siedzi przy fortepianie pan Achille-Claude Debussy, dopracowując fortepianową miniaturę zwaną *Światłem księżycy*. Po kilkunastu minutach są już pod wieżą, pod żelaznym szpikulcem, który zdobi Paryż od jedenastu lat.

– Stasiu, jakie to obrzydlistwo.

– Co ty opowiadasz? To cudo. Myśl techniczna sama w sobie, Stefciu. Toto ma ponad trzysta metrów wysokości. Osiemnaście tysięcy elementów stalowych i kilka milionów nitów.

– Ty mi o technice, a ja o pięknie. Nie wejdem na to, bo mi kapelusz zwieje.

– Jak chcesz, kochanie. Twoja wola. No ale się uśmiechnij do mnie wreszcie. I przytul.

I nie weszli. I nie zobaczyli miasta z wysokości. Może i dobrze, boby było już zbyt cukierkowo z tym oklepanym widoczkiem Paryża z lotu ptaka. Poszli do Cabaret de

Paris na skrzące się nieprzystojnym kankanem występy. A następnego dnia do operetki na *Życie paryskie* Jacques'a Offenbacha, a następnego dnia jeszcze zjedli doskonały posiłek w Ritzu, gdzie Stasiowi najbardziej smakował krwisty chateaubriand z ziemniaczkami i sosem bearneńskim, a potem Lilienstern wymyślił, żeby żonie zrobić zdjęcie pocztówkowe w atelier na Rue Sédillot, a wychodząc od fotografa, moja prababka wreszcie się uśmiechnęła, bo nazajutrz wracali do Warszawy koleją Paryż–Moskwa, a za dwa dni z Warszawy powozem do Glinojcka, a równo za rok, 11 lutego 1901 roku, na początku nowego stulecia, na świat przyszła moja babcia. Babcia Muszka.



Fotografia ślubna podporucznika Adama Królikiewicza i Tomisławy Królikiewicz z domu Lilienstern, grudzień 1919 roku.

Bajki czarowne

Pozwólmy czasowi przepłynąć o dziewiętnaście lat do przodu. Kolejny raz wpatruję się w zdjęcie ślubne moich dziadków – Adama i Tomisławy, Muszki. Na rewersie jest zapisana data: 26 grudnia 1919. Patrzę z zachwytem na szczupłe dłonie mojej babci, wyrzeźbione jak na greckim posągu. Niestety na fotografii tego nie widać, babcia Muszka miała obłędnie zgrabne nogi, nawet jako już mocno starsza osoba. Zero cellulitu. Ale nie o zgrabnych nogach pani Tomisławy teraz będzie. Zajmijmy się dziadkiem Adamem. Też niczego sobie kawaler. Bardzo przystojny, lecz jeszcze nie tą męską urodą, którą będzie ugiął kolana pań i pańien za kilka lat. Przyjrzyjmy się galowemu mundurowi. To mundur szwoleżerski. Zajrzyjmy do mądrych źródeł. Tak, już na pewno w tym czasie Adam Królikiewicz był podporucznikiem 1. Pułku Szwoleżerów. Jednostkę sformowano 8 stycznia 1919 roku z inicjatywy Józefa Piłsudskiego. Z tego też powodu pułk przyjął nazwę swego patrona i szefa, a żołnierze jednostki nosili dumnie na naramiennikach inicjały JP. Czas coś ważnego opowiedzieć o sławnym pułku.

To była absolutna elita wojskowa i towarzyska. Pułk stacjonował w Warszawie, tam, gdzie dziś jest ulica Szwoleżerów, obok Łazienek, niedaleko Belwederu, siedziby swojego patrona. Pozostały jeszcze niektóre pułkowe budynki z minionych lat, te budowane z czerwonej cegły, odziedziczone po carskim wojsku. U wylotu ulicy znajduje się niewielki kościół w kształcie cerkiewki, dziś należący do Kościoła polskokatolickiego. To był kościół pułkowy. Słowo „szwoleżer” pochodzi z języka francuskiego *chevau-léger*, co oznacza lekkokonnego kawalerzystę. Szwoleżerowie 1. Pułku hołdowali maksymie „być pierwszym w boju i pierwszym w salonie”. Inaczej mówiąc, oprócz ostrej szabli i bezwarunkowej służby ojczyźnie – wino, kobiety i śpiew. Mój dziadek stronił od kieliszka. Honor był wypisany nie tylko na sztandarach, ale i w warszawskich plotkach. Co rusz to przez stołeczne salony przebiegały pogłoski o towarzyskich pojedynkach, w których brali udział oficerowie. Ale prawdę mówiąc, były to – poza tragicznymi wyjątkami – raczej teatralne „ustawki”. W szwoleżerskich szeregach służyła śmietanka armii, bo tak sobie życzył naczelny wódz. To oczywiście wzbudzało żołnierską zazdrość. Do dziś krążą nieprzychylne żurawiejki postponujące żołnierzy 1. Pułku. Jedną zapamiętałem z ust dziadka: „Chcesz mieć wstęgi i ordery / Idź zamiatać Belwedery”. Ale były i bardziej wredne. „Z adiutantów i lekarzy / Ma Warszawa pułk gówniarzy”. Albo: „Kręcą dupą, kręcą głową / Chcą być Gwardią Narodową”. Albo: „Cała kupa jest frajerów / W pierwszym pułku szwoleżerów”. Ładni mi „frajerzy”, którzy pierwsi przelewali krew za ojczyznę. Się dziwić, że często nerwy puszczały i kończyło się pojedynkiem? Dostyc często aranżował je Wieniawa-Długoszowski i pilnował, by kule w pistoletach były ślepe, a od szabli padło tylko kilka kropel krwi. Oprócz zazdrości o protektorat belwederski, o to, że pułk pełnił funkcje reprezentacyjne, zawiść wzbudzały fawory, jakimi cieszyli się szwoleżerowie u płci pięknej. No bo w szeregach pułku służyli nie tylko przystojniacy, ale i luminarze

literatury, kultury, choćby tacy jak znany malarz, profesor ASP Michał Bylina, czy pisarz Wacław Sieroszewski, nie wspominając już o legendarnym dowódcy jednostki, poecie, pisarzu i dyplomacie Bolesławie Wieniawie-Długoszowskim. 3 Szwadron zagrał nawet filmie *Iwonka* z Jadwigą Smosarską. No i słynne na całą Polskę hubertusy, pogonie za lisem. No i te bale pułkowe. 10 grudnia, na pamiątkę historycznej bitwy pod Dołhobyczowem, odbywał się słynny raut. W kasynie oficerskim hucznie obchodzono sylwestra, na którym pojawiały się najpiękniejsze stołeczne kobiety. Gwiazdy teatralne i filmowe, Zula Pogorzelska, Hanka Ordonówna, Konrad Tom, Tadeusz Olsza, Adolf Dymśa. Klub Garnizonowy udekorowany był kryształowymi żyrandolami, odbijającymi swój blask w lustrzanych ścianach. Z dwóch stron szerokich schodów stawali odświętnie umundurowani oficerowie wręczający paniom na powitanie bukietki kwiatów. Damy miały już w torebkach karneciki do wpisywania się tancerzy. Orkiestra pułkowa zaczynała poloneza, a potem kołysała do walca, przygrywała do kontredansa, mazura, oberka. Szwoleżer miał zapisane w duszy trzy razy „K”: konie, kobiety i koniak. Ten ostatni atrybut traktowany z umiarem. Trzeba tu wspomnieć jednak, że w kawalerii istniał zwyczaj, by nowy oficer wypił zdrowie kolegów z jednostki. Liczba kieliszków musiała być zgodna z numerem pułku. Także i przy tej tradycji pilnowano trzeźwości, jako że po każdej imprezie trzeba było stawić się na służbie o szóstej rano. Ale oprócz kobiet i koniaków pierwszym „K” był oczywiście koń – najwierniejszy towarzysz broni, kompan w czasie pokoju. Miłość do konia była kultem. O wierzchowca dbano tak samo jak o broń, a nawet z większą troską i miłością. Pamiętam pogrzeb mojego dziadka. Co prawda jego pułk już nie istniał, ale za trumną szedł według zwyczaju kawaleryjskiego nieosiadłany koń. To był święty zwyczaj 1. Pułku. Mawiał dowódca Wieniawa: „Bo w sercu ułana, gdy je położysz na dłoń, na pierwszym miejscu panna, przed nią tylko koń”. Albo inna jego złota myśl: „Nie pożądam konia bliźniego ani żony czy też kochanki twego kolegi. Koni jest na świecie dużo, a kobiet jeszcze więcej. Z wszystkimi przy najlepszych chęciach i kwalifikacjach nie zdołasz się uporać”. Szósta rano. Szwoleżer stawia się w stajni i oporządza swego towarzysza broni przez trzy godziny. Dopiero później śniadanie. Zaraz za koniem w hierarchii stały kobiety¹². No właśnie...

Wracamy do Adama i damy jego serca, odbitej z rąk pułkowego kolegi – Tomisławy Lilienstern. Ślub z panną nie był tylko prywatną zachcianką. Związek małżeński musiał być uzgodniony z pułkową komisją małżeńską. Sprawdzano posąg, wykształcenie panny i pochodzenie. Babcia Muszka miała już zdaną maturę w wybitnym gimnazjum panny Kowalczykówny, a to, że była pół-Żydówką, nijak dowództwu nie przeszkadzało. W pułku służyli szwoleżerowie wyznania mojżeszowego. Dziadek był tylko skromnym podporucznikiem, toteż zgodnie z nakazem pułkowym rodzice panny Muszki musieli subsydiować młodą parę do wysokości pensji rotmistrza.

A zatem jest drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Adam ma przerwę w służbie i walkach. Już doszło do pierwszego starcia polsko-sowieckiego 14 lutego 1919 roku pod Mostami nad Niemnem. Już ma za sobą dzień 11 kwietnia, kiedy to jego pułk skoncentrowano nad rzeką Dzitwą. Stamtąd ruszył do walk o Wilno, do którego wkroczył przez Ostrą Bramę 19 kwietnia. Już wziął udział w pościgu za wrogiem aż za

Mejszagołę, a następnie ruszył na Wilejkę i Dokszyce. Już pułk bił się na froncie litewsko-białoruskim, zdobywając Miadzioł, Głębokie, Szarkowszczyznę, Woronki, i dotarł aż do Dźwiny. Za niedługo podporucznik Adam Królikiewicz ruszy na wojnę polsko-bolszewicką. Ale na razie będzie się żenić. Czas przymrużyć oczy.

Tym razem śnieg nie prószy. Ścieli się na drodze między fabrykancką kamieniczką w Glinojeku a drewnianym kościółkiem parafialnym. Cała ulica Fabryczna skrzy się złotymi odbłaskami słońca. Z kamienicy wychodzi matka Muszki, Stefania Lilienstern, i wprowadza szwoleżera do domu panny młodej. Nie ma rodziców pana młodego, bo już nie żyją, nie ma rodziców Stanisława, bo już nie żyją, nie ma Stanisława, bo już czeka w kościele, by poprowadzić córkę do ołtarza. Jest bochenek chleba i maleńkie kryształowe naczynie, w którym spoczywa szczypta soli. Bochenek trzyma w dłoniach kilkunastoletnia dziewczyna w białym czepeczku. Nazywa się Natalia Czubak. Natalka będzie nianią mojej matki. Adam całuje chleb, kruszy z niego kęs, posypuje solą, następnie z taką samą rewerencją całuje dłoń przyszej teściowej. A potem w drzwiach pojawia się ona: Muszka. Nie ma długiego trenu, tylko modną sukienkę z atłasu koloru écru. Jest zachwycająca, Adamowi mięknią kolana. Pan młody całuje pannę młodą w policzek, następnie w dłoń, okrywa Tomisławę futrem podanym przez roztrzęsioną z emocji Natalkę. Sanie już czekają. To nie wymysł mojej egzaltowanej wyobraźni. Tak było naprawdę i po tysiącokroć było mi opowiedane przez babcię i dziadka. Już nie mogłem tego w kółko słuchać.

Wsiadają do sań, trzask bata woźnicy. Płozy skrzypią i trzeszczą na śniegu. Adam otula piękne nogi narzeczonej derką.

– Zimno? – pyta.

– Nie – odpowiada, dygocząc, Muszka.

– To czemu drzysz?

– Ze strachu.

– Jeszcze możemy sanie zatrzymać i wszystko odwołać.

– Nie trzęsę się ze strachu przed tobą.

– A przed czym? – Adamowi w oczach zakołysała się kreseczka żalu.

– Że za żołnierza wychodzę.

– Żołnierz cię nauczy odwagi, Muszko... Uśmiechnij się.

Adam ogarnia pannę młodą ramieniem.

– Żołnierz może mi zginąć na wojnie – odpowiada panna młoda zdrętwiałymi z zimna ustami.

I co robi szwoleżer, patrząc na te zdrętwiałe usta? Całuje. A potem robi coś, o czym słuchałem w opowieściach wiele, wiele razy, zżymając się, że już wystarczy. Żołnierz obrzuca wzrokiem bajkową przestrzeń i śpiewa do ucha swojej ukochanej: „Pomnę dzieciństwa sny niewysłowne / Baśń lat minionych wstaje jak żywa / Bajki czarowne, bajki cudowne / Opowiadała mi niania siwa / O złotym smoku, śpiącej królewnie / O tym, jak walczył rycerzy huf... Złóż z marzeń wzorzystą mozaikę / Niech przyjdą rycerze tu do mnie / Mów dalej czarowną swą bajkę / Ja bajki tak lubię ogromnie / Ja bajki tak lubię ogromnie”.

Szpaler szwoleżerów czeka przed kościołem z daszkiem podniesionych szabel. Kilku z nich zostanie wkrótce rannych, kilku zabitych, wśród nich będzie rotmistrz Kajetan

Stefanowicz, Ormianin, secesyjny malarz, legionista, poległ 20 września 1920 w Rochaczewie nad wołyńską Słuczą w nadchodzącej wojnie.

Dzień próby. Późnym wieczorem, gdy piszemy te słowa, cisza zapadła nad miastem.

Może jednak dzisiejszej jeszcze nocy, może jutrzejszego rana Warszawę obudzi grzmot dział. Będzie to hasło walki.

Będzie to ostatnie wezwanie do tych, co stoją dotychczas w szeregach a stać mogą, aby spełnili swój obowiązek.

Wielka chwila dziejowa wybiła. Wróg jest już u linii obronnej Warszawy. Odtąd wszelki jego napór, wszelki jego wysiłek rozbić się musi o żelazny wał piersi polskich!

Cała Polska i cały świat cywilizowany, który jest po naszej stronie, patrzeć będzie na ten bój, na to zmaganie się nasze z przeważającą liczebnie siłą.

Z wiarą jednak w zwycięstwo i bez trwogi o jutro zmierzymy się z nieprzyjacielem, ufni, że spięty jedną wolą duch narodu nada szeregom naszym moc nie do przełamania.

Nie poraz pierwszy miasto nasze usłyszy huk armat. Grzmiąły one tu już wielokrotnie.

Mury starej Warszawy pamiętają te chwile. Stare sprzęty po naszych domach dygocą starami wspomnieniami. Odezwie się w nich Grochów, odezwie Wola. Przypomni im się może wybuch, niweczący redutę Ordona. Wszak wówczas „dwieście armat grzmiąło”, a ludność miasta, zgromadzona na wałach, własnymi usypanych rękami, przyglądała się bitwie.

Dzisiaj większa ilość dział zagrzmie pod Warszawą! Nic to!

Tak pisał „Kurier Warszawski” pamiętnego 15 sierpnia 1920 roku. I sprawdziło się: „Wszelki wroga wysiłek rozbił się o żelazny wał piersi polskich”. Obniżmy trochę patetyczny ton, choć cytaty poniższe i tak będą na swój sposób wzruszające, oddają stan ducha tamtych dni. Ogłoszenia:

Kino Palace. Chmielna 9. Pola Negri w dramacie „Ojciec, syn i ona”. Początek o g. 5, 6.30, 8. Uwaga! Wejście dla żołnierzy na I seans bezpłatne.

Zakład krawiecki Z. ZAREMBA. Warszawa, Trębacka Nr. 10, tel. 9777. Zawiadamiam Pp. wojskowych, iż od d. 1-go lipca otworzyłem specjalną pracownię ubiorów wojskowych i przyjmuję zamówienia z własnych i powierzonych materiałów po b. przystępnych cenach.

I jeszcze:

ROZPORZĄDZENIE: Na zasadzie art. 3 lit e) rozporządzenia Rady obrony państwa z dnia 6 sierpnia 1920 r. (D. U. R. P.) Nr. 69, poz 460) zarządzam:

1) Ustanawia się w m. st. Warszawie wraz z przedmieściami następujące ceny maksymalne artykułów pierwszej potrzeby.

Groch polny funt do mk. 7.

Groch Wiktorja funt do mk. 9.

Fasola funt do mk. 10.50.

Mąka pszenna funt do mk. 19.

Mąka razowa żytnia funt do mk. 8.

Mąka pyłowa funt do mk. 10.

Kasza jęczm. zwycz. funt do mk. 9.

Kasza jaglana funt do mk. 9.

Kasza gryczana funt do mk. 9.

Kasza manna funt do mk. 15.
Kasza krakowska funt do mk. 13.
Kasza owsiana (nie płatki) funt do mk. 10.
Chleb razowy funt do mk. 8.
Chleb pyłowy funt do mk. 10.

Dwa dni po odezwie do narodu wydrukowanej w „Kurierze Warszawskim” 1. Pułk Szwoleżerów, liczący aż czterystu pięćdziesięciu kawalerzystów, przeprowadzi brawurową szarżę na wojska bolszewickie pod Arcelinem, w ramach Bitwy Warszawskiej. Sowietci pierzchają przed czterema szwadronami jazdy, siekąc bolszewików karabiny maszynowe osobnego szwadronu. Dzień wcześniej żołnierze w amarantowych otokach zapobiegli utracie Płońska, obronili się przed natarciem bolszewickiej 18. i 53. Dywizji Strzelców z 4. Armii. Jej oddziały wycofywały się spod Warszawy na wschód. Tam doszło do szarży na piechotę bolszewicką, nacierającą na Płońsk. Na rozkaz pułkownika Dreszera oddział rusza do dwukilometrowego ataku. Głuchy stukot kopyt odbija się od pagórka jak przytłumione echo. Z końskich chrap ścieka piana. Ostrogi kłują spienione boki wierzchowców. Skrzypią siodła. Lance do boju, szable w dłoń, między bryzgającymi fontannami ziemi tryskającymi od kul armatnich, na wprost pod świszczące pociski karabinów maszynowych. Tryska krew. Polska i rosyjska. Trzask pękających kości i czaszek. Krzyk i wycie rannych. Przebite ciała, ścięte głowy, rozprute piersi, urwane ręce i nogi. Ginie dwustu bolszewików. Ośmiuset wziętych do niewoli. Zdobyte dwa cekaemy i dwa działa. Straty 1. Pułku są ogromne. We wcześniejszych walkach poległo piętnastu szwoleżerów. Teraz czterdziestu zabitych i rannych. Za szarżę pod Arcelinem pięciu kawalerzystów, wśród nich dowódca pułku, zostało odznaczonych przez Władysława Sikorskiego krzyżami *Virtuti Militari*. Czy za tę szarżę mój dziadek otrzymał wojenny krzyż? Adam już jest porucznikiem, ukończył kurs szkoły kawalerii w Starej Wsi pod Warszawą. Podczas wojny polsko-bolszewickiej był dowódcą plutonu. Ile kul i odłamków, ile szrapneli i cięć ostrzem szabli go ominęło?

Widzę babcię Muszkę stojącą w oknie służbowego mieszkania przy ulicy Ułańskiej. Widzę, jak tłumek żon wybiega z pobliskich domów, słyszę tupot obcasików mieszający się ze stukotem kopyt w kłusie. Słyszę okrzyki powitania, płacz tych, których mężowie nie wrócili z wojny. Część wdów już wie, że nie usłyszą stukotu podków, na które czekają. Muszka doczekała. Na szczęście. Czy możemy sobie odmówić widoku długiego pocałunku? Nie możemy.

Szabla wreszcie na dłużej mogła wyschnąć z krwi. Ale w głowie Adama już od dawna wirowały myśli, które kierowały się nie jedynie w stronę służby. Od dłuższego czasu obserwował kolegów, którzy konia traktowali nie tylko jako towarzysza broni. Używali wierzchowców w innej, pokojowej walce. Wśród nich był major Karol Römmel, wybitny jeździec, olimpijczyk, startujący na igrzyskach w Sztokholmie w 1912 roku, jeszcze w barwach carskiej Rosji. To między innymi pod jego wpływem Adam Królikiewicz zaczął myśleć o pasji, która stała się jego przeznaczeniem. Cóż, jeszcze sześć lat temu kolebał się w siodle jak dziwka na szczerbatym nocniku, ale teraz był już

całkiem sprawnym jeźdźcem. Lecz do mistrzowskich skoków przez przeszkody było daleko jak z Warszawy do Nowego Jorku. Rok 1920 to nie tylko okrutny czas wojny. Zbliżały się VII Igrzyska Olimpijskie, w których po raz pierwszy mieli wziąć udział polscy zawodnicy. Powołano z tego powodu Olimpijską Konną Grupę Sportową. Znaleźli się w niej najzdolniejsi jeźdźcy, wyselekcjonowani z różnych pułków kawalerii, najwybitniejsze konie ściągnięte z pułkowych stajni. Nie pojedą na olimpiadę. Wojna zatrzyma ich w kraju. Będą musieli czekać cztery lata, by udowodnić światu, czym jest jazda polska.

Należy się w tym miejscu ważny wtęt. Otóż jeździectwo w owym czasie było tym, czym dzisiaj jest mniej więcej wyścig Formuły 1. Koń był zwierzęciem wszechobecnym w życiu, w walce, transporcie. Ciągnął, wozził i nosił na swym grzbiecie człowieka, przyczyniając się do rozwoju cywilizacji. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile zawdzięczamy temu przyjacielskiemu czworonożnemu stworzeniu. Toteż jeździectwo, zawody konne cieszyły się ogromną popularnością w całych społeczeństwach. Dziś hipika jest sportem elitarnym. Ale wtedy wojny rozgrywano z końskiego grzbieta, koń był powszechnym środkiem transportu, towarzyszył człowiekowi w każdej chwili życia, od narodzin, gdy lekarz i akuszerka przyjeżdżali dorożką, przez ślubny orszak aż do śmierci, gdy posłusznie ciągnął na cmentarz karawan z trumną. Być wybitnym jeźdźcem w tamtych czasach – to był mir wśród kobiet, zazdrość mężczyzn, sława, przygoda definiująca życie. I tak się roilo w głowie mojego dziadka. Ale cóż, umiejętności jeszcze nie te, no i brak odpowiedniego wierzchowca. A jednak...

Jest jesień 1918 roku. Włodawa nad Bugiem. Majątek ziemski ocalały z wojennej pożogi. Stajnia. W niej dwa konie niewielkiego wzrostu. Gniady wałach i pulchna kasztanka. W majątku staje jeden ze szwadronów formującego się 1. Pułku Szwoleżerów. W którą stronę zmierza kawalerzysta stacjonujący w majątku? Nie, nie do salonu, gdzie piękne panny i damy. Do stajni. Co widzi szwoleżer w stajni? Gniadosza.

– Skąd macie tak kształtnego wałaszka? – pyta szwoleżer, dowódca szwadronu.

– Z wymiany. Austriacy mi wycyganili zdrowego ogiera i dali tego schorowanego, od taboru – odpowiada gospodarz, przebijając nogami, bo już przymrozek. – Może wejdźmy do domu. Obiad czeka, panie oficerze. I wódeczka.

– Sadurski! Dajcie mi z wozu siodło! – krzyczy porucznik do wachmistrza.

– Tak jest, panie poruczniku.

Za chwilę pan porucznik dosiada nowicjusza. Kilka wolt po dziedzińcu. Stępem, kłusem, skróconym galopem. Gospodarz patrzy spod daszka kaszkietu trochę krzywym okiem, bo już wie, co się święci. Rekwizycja.

Ale gdy szwoleżer zsiada z siodła i otwiera usta, by wydać wyrok, ze stajni dochodzi potworne rzenie klaczki. Bicie kopytami po ścianach. Tumult, rwetes, chryja nie do opisanania.

– A to czemu? – pyta pan porucznik, dowódca szwadronu.

– A to pan porucznik narzeczonej nie ma?

Panowie patrzą po sobie, zaciskając szczęki z emocji. Kasztanka rży wniebogłose, wierzga kopytami jak oszalała. Po chwili z ust gospodarza wypływa para i te oto słowa:

– Dobra. Oddam wam dwa konie. Ale pod warunkiem. – Pauza – Wciągniecie mnie do szwadronu.

– Zgoda.

– Wypijemy?

– Strzemiennego. I na chrzciny.

Gniadosz dostał na „chrzcie” imię Jaś, kasztanka – jakżeby inaczej – Małgosia. I w ten sposób jeden z najzdolniejszych koni, sława jeździecka, znalazł się w 1. Pułku Szwoleżerów i trafi wkrótce pod siodło mojego dziadka.

Bęc! Łup! Pac!

Ale zanim Jasiak wkroczył na światowe hipodromy, musiał walczyć o Polskę. Tak go opisuje mój dziadek:

Nieobca mu była żołnierka. O jego przygotowaniu do żołnierskiego życia, do włóczęgi, którą – jak się okazało – uprawiał z zamiłowaniem, świadczyła nie tylko karność, posłuszeństwo i poczucie porządku, lecz również dokładna znajomość musztry oraz umiejętność właściwego zachowania się w różnych okolicznościach wojskowej służby. Koń ten miał już wtedy bogatą przeszłość. Widać było, że z niejednego pieca chleb jadł, niejeden w swoim życiu ogryzł żłób. Nie wątpliwie znał się też na rozmaitych rodzajach broni, w niejednym służył pułku, niejeden kraj przemierzył swymi sprężystymi, pracowitymi nogami, a na swym grzbiecie niejednego nosił jeźdźca. Ślady swej poprzedniej służby w ułanach, husarzach węgierskich, a nawet artylerii konnej miał wypalone na udzie i na szyi. Choć niedużego wzrostu, był bardzo szybki, wytrwały i dzielny. Dał się łatwo prowadzić. Odznaczał się lekkim, bardzo przyjemnym ruchem. Jednym słowem, okazał się doskonałym koniem frontowym.

No i jaki tam z Jaśka „taborowy” koń, jakim go mianował przypadkowy właściciel z Włodawy. Nie znam niestety ani imienia, ani nazwiska dowódcy szwadronu, który wcielił Jasia i Małgosię do 1. Pułku Szwoleżerów. Wiem, że zginął w boju. Z moich ustaleń wynika, że raczej nie była to wojna polsko-bolszewicka, ale polsko-ukraińska albo wyprawa wileńska. Przymrużam oczy i widzę, jak szwoleżerska amarantowa wypustka barwi się obficie szkarłatem. Jeździec chwije się w siodle, rozkłada ramiona, z dłoni wypada mu szabla, a za nią wąskim łukiem spada martwe ciało, bez głowy. Urwał ją artyleryjski pocisk. Stopa została w strzemionach, ciągnięta razem ze zwłokami przez zrytą pociskami ziemię. Wreszcie koń orientuje się, że jego towarzysz nie siedzi już w siodle. Przystaje, niespłoszony armatnimi wybuchami i gwizdem kul. Uszy Jaśka strzygą niespokojnie, koń odwraca wzrok. Widzi bezgłowego trupa umazanego błotem i krwią. Tkwi nad jeźdźcem jak strażnik. Nad polem snuje się dym. Gdzieś tam leżą szczątki czaszki.

Następnego dnia Jasiak odprowadza szwoleżera do grobu. Jest spokojny, wyciszony, jedynie od czasu do czasu skurcze ud i zadu, rozszerzone chrapy dają znać, że coś nie tak. Chyba jest wiosna, chyba kwitną kasztany, chyba zerwała się ulewa. Trumna okryta biało-czerwonym sztandarem ocieka deszczem. Flaga nasiąka wilgocią, biel robi się gęsta i nabiera szarości, czerwień staje się amarantem, a potem purpurą.

Obóz.

– Królikiewicz do mnie! – rozkazuje nowy dowódca szwadronu. – Macie nowego konia.

Adam i Jasiak patrzą sobie w oczy. Jeszcze nie mają pojęcia, jaki wspólny los ich czeka.

Wspomniałem, że Adam ukończył kurs oficerski w Starej Wsi pod Warszawą? Chyba wspomniałem. Szkolenie dotyczyło nie tylko taktyki wojennej, ale i sportowych umiejętności. Surowa dyscyplina na ujeżdżalni i w terenie, w warunkach bojowych.

Jasiek dzielnie znosi niedoświadczonego jeźdźcę, który w skokach przez przeszkody trzyma się w siodle jak worek kartofli, jak dziwka na szczybatym nocniku.

– Panowie! W niedzielę, na zakończenie kursu, robimy zawody jeździeckie! Kto chętny? Wpisywać się na listę!

Lista pełna.

– Królikiewicz? Aaa... nie za wcześnie?

– Spróbuję, panie rotmistrzu.

Spróbował. Zajął czwarte miejsce. Była to w życiu Adama pierwsza tego rodzaju zorganizowana i sędziowana przez fachowców impreza sportowa. Startował w niej w towarzystwie groźnych współzawodników – dobrze zapowiadających się jeźdźców oraz wierzchowców lepszych od Jaśka. Przyjaźń między koniem i jeźdźcą została przypieczętowana na amen. Teraz już w głowie mojego dziadka na stałe stempluje się słowo „sport”.

Jak się rzekło, w 1920 roku polscy kawalerzyści czynili przygotowania do olimpiady, która miała się rozegrać w Antwerpii. Ćwiczenia jeźdźców odbywały się na Agrykoli, w sąsiedztwie koszar i placów ćwiczebnych 1. Pułku. Adam, już dowódca szwadronu szkolnego, stoi przy żelaznym ogrodzeniu, przygląda się przyszłemu olimpijczykom. Z zazdrością i uwagą śledzi ich sposób jazdy, dosiad, najazd na przeszkody. Wraca wolnym, twardym krokiem do pułkowej stajni. Siodła Jaśka, wyprowadza na plac maneżowy i powtarza kolejno z uporem to samo, co obserwował przed chwilą zza ogrodzenia. Bez instruktora, po amatorsku. Jasiek cierpliwie znosi błędy, kolejne bęc!, łup!, pac!, upadki. Pięką plecy i obite pośladki, pali nadwreżony kręgosłup, łupie w kościach. Jeszcze raz noga w strzemieniu, najazd na niską stacjonatę, pac! Jeszcze raz. Jeszcze raz. I jeszcze raz.

– Czekaj, Jasiu. Damy radę. Zrobimy trochę urozmaicenia.

Jasiek patrzy z wyrozumiałością, jak jego jeździec podnosi wyżej belkę przeszkody. Czuje łydkę za mocno ściskającą jego bok. Widzi, że najazd jest źle odmierzony. To się nie może udać. Nie ma takiej możliwości. Łup!

Człowieku, nie tak... Daj mi swobody trochę, nie pompuj mnie łydkami, chcesz mnie zabić?

Bęc!

No dobra, spróbuj jeszcze raz. Tylko wyprostuj się w siodle, a nie jak ta... Jak jej było na tym szczybatym nocniku... Ooo... Rozluźnij wodze, dobrze, czekaj, wezmę oddech... Ej! Udało się! Teraz nawrót, wolta, nie, no za daleko, za szeroki łuk... Lepiej, lepiej... Iiii... Hop! No, jeszcze raz ci się udało. I jeszcze raz. Tylko mniej nerwowo. Człowieku, nie szarp tak wodzami jak furman! Ja jestem spokojny. O, widzisz, że można. Nie, nie można.

Łup!

Zza żelaznej belki ogrodzenia patrzą na upadki jeździeckiego frajera stajenni szwoleżerowie.

– Nic, kurwa, z tego Królikiewicza nie będzie.

– A będzie. Ci to mówię, Stasiak – rzecze wachmistrz Dyśko, żołnierz ze szwadronu Królikiewicza.

- To się, kurwa, załóż.
- A o co?
- A o flaszkę monopolowej.
- Stoi, Dyśko.

Bęc!

Wygrał starszy szwoleżer Stasiak czy wachmistrz Dyśko? Zobaczmy.

Lato 1920. Tor wyścigowy na Polu Mokotowskim. Konkursy hipiczne. Skład olimpijski, Jezu Chryste, z arcyjeźdźcem majorem Rómmlem na czele. Zwariował ten podporucznik Królikiewicz? Startuje? Na niewielkiej zielonej przestrzeni kilkanaście przeszkód. Tłumy. W loży honorowej rząd i wojsko. Gwoździem imprezy jest Wielki Konkurs Myśliwski o Nagrodę Naczelnego Wodza. Można typować zwycięzców. Najniższa stawka 10 marek polskich. Niby nie wypada, ale Adam obstawia Jaśka i siebie samego. Dosiada konia. Honory oddane w stronę loży z oficjelami. Sygnał trębacza. Start. Jasiak rusza galopem. Przeszkody rosną w oczach. Jeździec kładzie się na ostrych zakrętach. Skraca dystans. Dobrze, dobrze. Podąża równowagą ciała za ruchem konia. Jasiak prze do przodu. Bezbłędnie bierze przeszkody. Upojenie. Radość. Adrenalina. Nienaganny przejazd. Ale podobny wynik ma jeszcze kilku jeźdźców. Dogrywka. I?

I hymn narodowy. Puchar. 431 marek za obstawione 10. Wykupiono dwa bilety na Królikiewicza i Jaśka. Jeden nabył sam zawodnik, drugi wachmistrz, szef szwadronu pana podporucznika.

- Stasiak. Widzę flaszkę monopolowej jutro w stajni przy obroku.
- Jeźdźcy nie pojechali na olimpiadę. Musieli walczyć z bolszewikami.



Adam Królikiewicz na Jaśku (1924).

Co się wydarzyło wiosną 1921 roku? Ano:

Sytuacja światowa przedstawia się dość chmurnie. W głównej kwestii odszkodowań Francja jak i w innych kwestiach, żąda wykonania traktatu wersalskiego, a wobec tego Niemcy ze swoją sojuszniczką międzynarodową finansjerą rozwijają przeciw Francji niesłychaną propagandę, usiłującą przedstawić Francję jako imperjalistyczną awanturniczą, pijaną krwią i tryumfem. Opinia francuska nie daje się zbić z tropu przez tę propagandę i pozostaje zdecydowaną. „Temps” pisze, że tygodnie obecnie decydują o losie pokoleń i jeżeli teraz pozwolimy się oszukać, to będziemy niedługo płakać nad tym krwawymi łzami.

Dalej:

WALKA O GÓRNY ŚLĄSK. Czy można dopuścić, by miał być uczyniony jakikolwiek zamach przeciwko wynikom zwycięskich wysiłków ludu górnośląskiego, który pomimo udziału w plebiscycie emigrantów, odniósł bezwzględne zwycięstwo w okręgu przemysłowym?

Bytom. Z powiatu raciborskiego nadchodzą wiadomości o panoszącym się tam terrorze niemieckim.

We wsi Chrzanowice stosstrupperzy ustawicznie napadają na domy Polaków i obrzucają je kamieniami, łżą kobiety itd.

We wsi Gierolcice Niemcy pobili członka komitetu parytetowego Piekarczyka, jednemu zaś z Polaków wrzucili do mieszkania flaszki z gazami trującymi.

Podobnie w pow. Kluczborskim we wsi Smardy wszystkim 18 Polakom, którzy w tej wsi głosowali za Polską powybijano szyby kamieniami. W Bogucicach powiecie Oleskim proboszcz tamtejszej parafji Rother oświadczył, że nie da rozgrzeszenia kobietom, które należą do koła Polek.

W tej samej miejscowości niemiecki urzędnik biura wyborczego Margall w czasie głosowania nie chciał wpuszczać na salę Polaków i pobił przytem kilka kobiet, które domagały się usilnie wpuszczenia na salę. W powiecie rybnickim we wsi Orzepowice stosstrupperzy dokonali kilku napadów na domy polskie.

No, niefajnie było po plebiscycie i dwóch powstaniach śląskich. Trzeba będzie robić trzecie powstanie. A tymczasem zajrzyjmy sobie na dalszą stronę „Gazety Warszawskiej”.

KRONIKA. Wczorajsza niedziela mimo szarego nieba była dniem naprawdę wiosennym. Po ośmiodniowym deszczu zazieleniły się krzewy i pokryły kwieciami drzewa owocowe, a ludność Warszawy tłumnie wyległa na ulice. Był to również dzień uroczystości wojskowych, a więc przede wszystkim odsłonięcie tablicy ku czci poległych w szkole podchorążych i zjazd wojskowych b. formacyj wschodnich, o których sprawozdanie podajemy w innym miejscu. Sensację budził przyjazd bolszewickiej misji, a na ulicy Chmielnej, gdzie bolszewicy zamieszkali i dokoła samochodu bolszewickiego, ozdobionego inicjałami i chorągiewkami czerwonymi gromadziły się tłumy ludzi. Najbliżsi krewni przybyłych gości, członkowie P.P.S. zorganizowali w sali kino Palace obchód wykradzenia 15 więźniów z Pawiaka, a tak przyjazd, jak i obchód P.P.S. tem liczniejszych miały widzów, że dzień wczorajszy był dniem świąt żydowskich. Z tego też zapewne powodu, po raz pierwszy od zaprowadzenia spoczynku

*niedzielnego ustał handel pokątny i wszelkie warsztaty były nieczynne*¹³.

No a co konkretnie wydarzyło się dnia 7 czerwca 1921? Marszałek Piłsudski odwiedził Grudziądz. O, proszę państwa, to ci wydarzenie, gdy przybywa bohater narodowy do miasta. Feta, że ho! Grudziądz szykował się długo i płomiennie do tej wizyty. Powołano specjalny Komitet Powitalny i Organizacyjny. Obywatelscy członkowie tego gremium opracowali szczegółowy program wizytacji i czuwali pilnie nad jej przebiegiem. Naczelnik Państwa przyplłynął statkiem Warneńczyk z Bydgoszczy. Miał wyjść na gościnną ziemię grudziądzką suchą stopą, dlatego u podnóża Góry Zamkowej na Wiśle wzniesiono w tym celu odpowiedni pomost.

Wczesnym rankiem nadwiślańskie stoki i planty zapełniają się ciżbą mieszkańców. Słychać gwar podniecenia przemieszany z wojskowymi komendami – na nabrzeżnym placu stanął w szyku cały grudziądzki garnizon. Wszyscy czekają cierpliwie, uroczystości pożegnalne w Bydgoszczy przedłużają się w nieskończoność. Na dodatek przybycie Naczelnika Państwa opóźnia niski stan wód na naszej królowej rzek. Wreszcie! Po czterech godzinach oczekiwania grudziądzanie widzą płynący rzeką statek z Józefem Piłsudskim i jego świtą na pokładzie. „Wiwat, wiwat, Naczelnik!”, zrywa się gromki okrzyk. Na stoku nabrzeża jaśnieją dostojnym blaskiem litery JP utworzone z ubranych w białe sukienki dziewcząt. Idzie! Idzie pomostem. Dokonuje przeglądu grudziądzkich pułków. Rusza! Rusza w otoczeniu towarzyszących mu osobistości, miejscowej kadry oficerskiej i przedstawicieli władz miasta ku bryle ratusza! Razem z państwem przenosimy się obecnie pod gmach urzędu miasta, gdzie w imieniu mieszkańców wita naszego Wodza zasłużony działacz patriotyczny i szambelan papieski Julian Szychowski. Co za mowa powitalna, co za ukłony uznania! Ale żadne słowa nie oddadzą naszej wdzięczności Panu Naczelnikowi. A teraz, o, słychać tętent końskich kopyt i marszowy tupot żołnierskich butów w rytm marsza Pierwszej Brygady. Jesteśmy przed hotelem Królewski Dwór na głównym rynku. Usta nie są w stanie tego opisać. Kwatera Józefa Piłsudskiego na czas pobytu Jego w naszym mieście znajduje się w mieszkaniu pana generała Zielińskiego przy ulicy Bema. Co widać?! Tłum zatrzymuje orszak, staje odkryty powóz! Naczelnik pozdrawia licznie zgromadzonych grudziądzan! A oto jesteśmy już na ulicy Starej, gdzie dochodzi do nieprzewidzianego, a przecież jakże bardzo miłego wydarzenia. Widzimy, jak młodzież ze Szkoły Budowy Maszyn, pobudzona patriotycznym uniesieniem, zatrzymuje kawalkadę! Na Boga, co robią?! Wyprzęgają konie i własnoręcznie ciągną powóz z ukochanym Wodzem do samej ulicy Bema. Ufff... Po krótkim odpoczynku w mieszkaniu pana generała Zielińskiego nasz Naczelnik zjawia się w kasynie oficerskim 64. Pułku Piechoty. Tu czeka nań spóźnione, ale arcyuroczyste śniadanie. Józef Piłsudski posila się, ale bez zachłanności, a przecież pewnie jest głodny i zdrożony po rejsie z Bydgoszczy. I dalej z wizytą. Z kasyna wyrusza Naczelnik do Muzeum Miejskiego. Tu osobiście dokonuje otwarcia Pierwszej Wystawy Sztuk Pięknych Artystów Pomorza, zorganizowanej przez pana doktora Aleksandra Majkowskiego. Czas nieubłaganie płynie, jest już godzina piętnasta z minutami. Naczelnik Piłsudski w towarzystwie generała Zielińskiego i prezydenta Grudziądza Józefa Włodka odbywa konnym powozem przejażdżkę ulicami miasta, zachwycając się

urokami pomorskiego grodu. Gdzie tylko się pojawia, wywołuje entuzjazm mieszkańców i wiwaty. Nie dziwota. Grudziądz dopiero półtora roku cieszy się przynależnością do nowego państwa polskiego, a wszakże osoba Naczelnego Wodza jest symbolem odrodzonej Polski, czyż nie? Już wieczór, już niebo ciemnieje, a na nim wykwitają gwiazdy i rogal księżycy przyświeca wizytacji Naczelnika.

Późnym wieczorem na cześć znakomitego gościa władze miasta wydały obiad w Królewskim Dworze, a po obiedzie całe towarzystwo udało się do Bazaru na uroczysty raut. Następnego dnia Naczelnik Państwa po krótkim, oficjalnym pożegnaniu opuścił Grudziądz. Kawalkada samochodów wyjechała z miasta w stronę Jabłonowa¹⁴.

Ale jesteśmy jeszcze w Grudziądzu. Skromna kolacja. Marszałek Piłsudski wstaje od stołu. Generał Zieliński i jego małżonka zrywają się na równe nogi.

- Zostańcie, państwo. Wyjdę na balkon papierosa zaćmić.
- Tak jest, panie Naczelniku.

Piłsudski odsuwa szybkim gestem firankę, adiutant uchyla drzwi na balkon. Naczelnik daje mu otwartą dłońią znak, że chce być sam. Wychodzi na taras. Patrzy na czerwonoceglaste dachy Grudziądza, miasta nie tak dawno odbitego z niemieckich rąk. Zastanawia się, ile było w dzisiejszym dniu nadmiernego bałwochwaltwa, a ile szczerzej sympatii. Przecież znaczna część mieszkańców to Niemcy. Pochowali się po mysich dziurach, psia ich mać, by ustąpić miejsca Polakom? A czy kiedyś nie wychyną z tych dziur i nie zaczną gryźć po kostkach? Jak tam, cholera jasna, na Górnym Śląsku? Ile jeszcze młodziotka Polska musi krwawić?

Marszałek wyjmuje z kieszeni srebrną papierośnicę, dwoma palcami dobywa z drugiej kieszeni bluzy pudełko zapalek. Przypala specjalnie dla niego skręconego „marszałkowskiego”. Zapach tureckiego tytoniu unosi się do gwiazd i półksiężyca.

Jakieś dziesięć godzin wcześniej, wtedy gdy Naczelnik schodził z pokładu „Warneńczyka” na grudziądzki ląd, o trzysta kilometrów na południe, nad ulicą Ułańską, nad koszarami 1. Pułku Szwoleżerów wirował lipowy puch. W jednym z oficerskich mieszkań rozległ się krzyk noworodka.

- Dziewczynka – mówi akuszerka do wymęczonej porodem kobiety. Kasztanowe włosy na jej czole zamieniły się w zlepione strąki.
 - Jakie będzie miała imię, pani porucznikowo?
 - Nie wiem... może... Mąż chce... Krystyna...
- 7 czerwca 1921 roku, w wiosenny wtorek, urodziła się moja mama.

Mieszkanie służbowe Adama i Muszki na Ułańskiej 5, obok Łazienek Królewskich, było całkiem spore. Trzy pokoje wraz z salonem. Dwa wejścia, jedno od frontu, drugie przez kuchnię od ulicy 29 Listopada. Do dziś zachowały się nieliczne budynki stawiane z czerwonej cegły, spadek jeszcze po koszarach rosyjskiej kawalerii. Dom, w którym urodziła się moja matka i gdzie mieszkali dziadkowie, już nie istnieje. Został zniszczony podczas II wojny światowej. W 1938 roku nazwę ulicy zmieniono na Szwoleżerów. U wylotu Ułańskiej, tuż przy Czerniakowskiej, rozsiadł się mały kościółek. Wybudowano go jako cerkiewkę pod wezwaniem błogosławionego Martyniana według projektu Leontija Benois. Za panowania 1. Pułku Szwoleżerów świątynia stała się rzymskokatolickim kościołem polowym. Tu moja matka została ochrzczona. Od 1945 świątynia należy do parafii katedralnej Kościoła polskokatolickiego pod wezwaniem Świętego Ducha. A wszystko to w sąsiedztwie Łazienek. Czyż można sobie wyobrazić piękniejsze otoczenie? Rzut kamieniem od jednego z najbardziej urokliwych parków w Europie, kilka minut od historycznego budynku Podchorążówki, z której spiskowcy ruszyli pod wodzą podporucznika Piotra Wysockiego na Belweder, na siedzibę wielkiego księcia Konstantego, dając sygnał do powstania listopadowego. Kiedy w młodości zdecydowałem się na emigrację, śniła mi się nocami Agrykola, chyba jedno z najbardziej malowniczych i magicznych miejsc w Warszawie. W swoich uchodźczych majakach zjeżdżałem jak w dzieciństwie na sankach z samej góry oświetlonej wieczorem światłkami gazowych latarni. Tłą się o zmroku do dziś. Ale dziś śnieg w Warszawie jest zjawiskiem sporadycznym. Zero ślizgów na Agrykoli. Globalne ocieplenie. W dzieciństwie mojej matki o sankach na ulicy, choć śniegu zimą było pod dostatkiem, nie było mowy. Agrykolą jeździły samochody.

Transponuję opowieści mojej mamy w obraz pod powiekami i widzę, jak biegnie za czerwonym dwupiętrowym autobusem marki Saurer, który ma ją zawieźć do gimnazjum Słowackiego, miga jej przed oczami zielony tunel drzew rosnących wzdłuż stromej ulicy, zdyszana wskakuje na platformę pnącego się pod górę, popyrkującego z wysiłkiem autobusu. Krysia chwytą obręcz lewą dłonią, przebiera czarnymi trzewikami, migają w soczystej mgielce spalin białe podkolanówki, faluje marynarski kołnierz mundurka, szkolny beret o mało nie spada jej z głowy, kucyki trzęsą się na wietrze w rytm susów. Jeszcze trzy podskoki, dwa, jeden, hop! Udało się. Jak zawsze, jak codziennie. Kolejne zwycięstwo Królikiewiczówny. I nagle gdzieś z tyłu:

– Kryśka! Kryśka! Powiem ojcu!

To był okrzyk i pogrożenie palcem dowódcy pułku, Wieniawy-Długoszowskiego.

Patrę na chude, wysuszone jak patyczki nogi mojej starej matki. Gdzie się podziały mięśnie na łydkach, gdzie się podziały białe skarpety? Autobus z platformą, na którą wskakiwała jak zając, odjechał w niebyt. „Kryśka! Kryśka! Powiem ojcu!”, roznosi się rytmicznym echem po Łazienkach i znika w alejkach, rozplywa się w zieleniejących konarach. 1 lipca 1942 roku Bolesław Wieniawa-Długoszowski popełni samobójstwo

w Nowym Jorku, skacząc z tarasu na trzecim piętrze domu przy Riverside Drive 3.

Jeszcze raz próbuję odmalować parkowy obraz, tym razem wcześniejszy. Mama chodziła do przedszkola i uczęszczała do szkoły powszechnej, które były pod kuratelą żony Marszałka, Aleksandry Piłsudskiej. Rodzina Wojskowa, tak się nazywała organizacja otoczona opieką pani marszałkowej. Przymrużam oczy.

Późna wiosna. Sobota. To dzień szczególnych zabaw. Wojskowe dzieci mogą porozrabiać w belwederskim ogrodzie. Wrzask maluchów.

– Dzieci! Dzieci! Natychmiast spokój ma być! Kryśka, proszę, buzia na kłódkę!

– A pani da spokój, pani Śnieżanka. Toż nic a nic mnie hałas dzieciarni nie robi.

Kryśka podnosi wzrok. Widzi na balkonie pochyloną postać w błękitnej bonzurce. Zupełnie inną niż na portretach i oficjalnych zdjęciach, zupełnie inną niż na paradach trzeciomajowych, podczas rewii wojskowej, kiedy to Kryśka stała w tłumie z mamą, ubrana w odświętny strój krakowski. On, sam pan Naczelnik, Marszałek Piłsudski macha do niej dłonią.

Przeskakujemy o kilka lat, w okres gimnazjalny, znów jesteśmy na Agrykoli. Kryśka czeka na swój autobus, by jak zwykle wskoczyć na jego platformę. Autobus coś się cholernie spóźnia. Trzeba dreptać na pieczę pod górę. Ulica uścielona pożółkłymi liśćmi. Jesień. Szaruga. Nie chce się iść do szkoły. Kryśka patrzy, jak środkiem ulicy schodzi zwawym krokiem Jasiak Stempkowski, syn pułkowego kolegi Adama, Michała Stempkowskiego. Zasłużonego oficera 1. Pułku. Stempkowski podczas bitwy warszawskiej 1920 został ranny, mimo to poprowadził szarżę na Acelin, gdzie ze szwadronem zdobył ponad dwadzieścia karabinów maszynowych. Wylizawszy się z ran, przejął ponownie dowództwo nad szwadronem i uczestniczył w pościgu za cofającą się Armią Czerwoną. Z cudownym skutkiem przeprowadził atak na stanowiska artylerii. Brawurowo zdobył cztery działa, pięćdziesiąt wozów taborowych, capnął do niewoli kilkuset bolszewików. To jeden z prawdziwych i niekwestionowanych bohaterów pułku. Pamiętam z dzieciństwa „wujka” Michała i jego obłądne poczucie humoru; każda sytuacja nadawała się do kpiny i żartów. Choć los nie szczędził „wujowi” dramatów i tragedii.

Ale wracajmy na Agrykolę, gdzie z jej szczytu zjeżdża na zelówkach po wilgotnych liściach jego syn Jasiak. Mały Stempkowski jest dziś bardzo wesoły i bardzo zdziwiony.

– A ty dokąd, Kryśka?

– A bo co?

– A bo szkoła nieczynna. Na tydzień zamknięta. Zaraza.

– Jaka zaraza? – Kryśka patrzy, jak od Łazienkowskiej nadjeżdża wyczekiwany autobus. Kropelki mżawki rosą policzki dziewczyny.

– Szkarlatyna – odpowiada Jasiak i zjeżdża na podeszwach, mijając popierdujący piętrowy saurer, mozolnie zmagający się ze zboczem Agrykoli.

Kryśka nie poszła do szkoły. Nie było jej w Słowackim przez tydzień. Zaraza. Szkarlatyna. Guzik prawda. Jasiak Stempkowski odziedziczył apetyt na kawały po tatusiu. Czasami było to mocno ryzykowne.

– Co ty niesiesz, Jasiak?

– Nie widzisz? Szuflady z komody. Nie gap się, tylko mi pomóż.

Zasapał się. Kryśka bierze jedną z ciężkich szuflad. Dyszą solidarnie, mijając pomnik Sobieskiego.

– Co chcesz z nimi zrobić?

– Nie zadawaj głupich pytań. Popływamy sobie w nich w Łazienkach razem z łabędziami.

Gdyby nie czujne oko pułkowego wachmistrza, który wyszpiegował kolejny numer rogatego Jaśka, przywitaliby się z karpiami w łazienkowskim stawie. Jan Stempkowski pseudonim „Michał” po 1945 roku będzie walczył z nową władzą ludową. Zostanie rozstrzelany 25 lipca 1950 roku.

Czas zatrzymał się na Ułańskiej 5. Parter. Salon, w nim kominek i czarny fortepian, prezent od wielkiej klawesynistki, ciotki Wandy Landowskiej. Na fortepianie kapryśna Muszka nie chce grać, choć brała lekcje, na kłapie stoi wazon z kwiatami i rząddek fotografii, ot, taka przydatność. Do salonu prowadzi korytarzyk, po lewej stronie pokój, po prawej sypialnia, okna wychodzą na pachnące późnym sierpniem Łazienki. Ciasna kuchnia. W kuchni porcelanowa balia. W balii kilkumiesięczna Kryśka. Płacze. Strasznie płacze.

– Jezu Chryste... Ma gorączkę... Umrze...

– Uspokój się, Muszko. Do śmierci daleko – uspokaja Adam. Ale Muszkę nie jest łatwo uspokoić.

– Cała w tych bąblach! To straszne!

– Gotuj wrzątek.

– Chryste. Na co wrzątek?

– Gotuj, powiedziałem.

Adam idzie do sypialni. Słyszc trzask szuflad. Chrobot miesza się z wrzaskiem niemowlęcia. Muszka stoi jak sparaliżowana, patrząc, jak ciało dziecka pokrywają ropiejące pęcherze. Adam wraca.

– Adaś, co to jest?

– Skalpel.

– Po co skalpel?

– Wodę zagotowałaś?

– Nie.

Adam jest wściekły, stawia garnek na kuchni. Patrzy na żonę, zaciska szczęki, żeby nie wybuchnąć gniewem. Wrzuca skalpel do garnka. Rozkazuje:

– Przynieś z łazienki gaziki. W szafce nad wanną są.

– Gdzie?

– Muszko... W-szaf-ce-nad-wan-ną. I jodynę.

Przyniosła. Adam już trzyma w dłoni odkażony skalpel.

– Nie! Nie! Nie! – Muszka zakrywa oczy dłońmi.

– Wyjdz. Wyjdz stąd.

Muszka wybiega z domu. Po pułku i po Łazienkach roznosi się krzyk: „Nie! Nie! Nie!”.

Pułkowy lekarz nazywa się Tarnawski. Major doktor Stefan Tarnawski. Ten sam,

który od jesieni 1939 roku będzie członkiem Tajnej Organizacji Wojskowej, od 1941 komendantem TOW okręgu krakowskiego, od 1943 dowódcą Kedywu okręgu krakowskiego Armii Krajowej, będzie zasiadał w Szefostwie Służby Zdrowia Komendy Głównej Armii Krajowej. A podczas powstania warszawskiego będzie pełnił funkcję szefa sanitarnego Grupy „Północ”. Ten, który na Starym Mieście zorganizuje szpitale polowe, a po przejściu do Śródmieścia obejmie dowództwo powstańczych punktów sanitarnych przy ulicach Lwowskiej i Śniadeckich. Wybitny pediatra. W 1994 roku awansowany na stopień generała brygady.

– Lepszego użytku z tego skalpela nie mógł pan zrobić, panie poruczniku. Umarłoby dziecko od zakażenia.

Po jednym z cięć skalpela na piersi mamy pozostanie do późnej starości niewielka blizna.

Diabeł bez ogona

Jest 1922 rok, moja mama zaczyna raczkować, a mój dziadek Adam już nie jest raczkującym jeźdźcem. Stoicki Jasiek już nie musi znosić dyletanckich dosiadów, nieznośnych „pompowań” łydkami, kurczowych szarpnięć wodzami, obaj coraz pewniej i sprawniej fruną nad przeszkodami, coraz szerzej otwierają się przed nimi drzwi sławy. Jeszcze na razie to krajowe tryumfy, ale zawsze.

Piotrków. Zawody. Jakiś jegomość uporczywie przygląda się i jeźdźcowi, i koniowi. Nie wytrzymuje. Podchodzi. Przedstawia się:

- Horodyński. Zbigniew Horodyński.
- Królikiewicz. Adam Królikiewicz.
- Wiem, wiem.

Uścisk dłoni. Może trochę nadmiernie mocny. Adam czuje, że świdrujący wzrok pana Horodyńskiego i jego twarda dłoń mogą zwiastować ambaras.

- Co to za koń? – pyta jegomość.

Adam widzi, że trenz na szerokiej klatce tamtego nerwowo faluje. Bez dwóch zdań, pytanie jest podchwytliwe. Jeździec przełyka suchość w gardle i odpowiada:

- Jasiek.
- Może sobie pan porucznik nazywać go, jak chce, ale to jest Mantel.
- Słucham?

– To, co mówię – odpowiada surowym tonem tajemniczy pan Horodyński. – Przyjmowałem tego angloaraba z hodowli węgierskiej jako „remonta” do 1. Pułku Austriackich Ułanów.

- Przyjmował pan?

– Tak. Byłem austriackim oficerem. Niech pomyślę... W tysiąc dziewięćset dziewiątym roku go zwerbowałem.

- Jest pan pewien?
- Zaraz się przekonamy. Musi mieć piętno.

Horodyński odgarnia grzywę. Pod nią widnieje znak wypalony przez Austriaków.

- Ile lat miał wtedy Mantel... Jasiek?

– Panie poruczniku... Zębki, zębki. – Jegomość przybiera nieco lekceważący ton. Wiadomo, każdy koniarz potrafi ocenić koński wiek po wrębach na zębach.

- Jasiek ma już starte rejestry – paruje Adam. – To nie jest młody konik.

Nieznajomy zamyśla się na parę sekund.

- Miał chyba... Tak, na pewno. Miał cztery lata, jak go zwerbowałem. Czyli...
- Czyli teraz ma siedemnaście lat... – konstatuje z westchnieniem porucznik.

Westchnienie było słuszne. Siedemnaście lat dla końskiego zawodnika to jest sporo. Adam widzi wyciągniętą dłoń jegomościa. Wzrok pana Horodyńskiego mocno złagodniał.

- Niech panu, panie poruczniku, służy jeszcze długie lata. Do widzenia.

„Do widzenia”. Ile razy usłyszeliśmy od przelotnych nieznajomych ten zwrot i nigdy już ich na oczy nie zobaczyliśmy? Ile razy taka przelotna znajomość miała wpływ na

nasze życie? W tym wypadku tak było. Gdyby nie pan Zbigniew Horodyński, kibic z Piotrkowa, koniarz, Adam nigdy nie dowiedziałby się o przeszłości swojego wierzchowca. Zatrzymajmy na kilka chwil ten obrazek. Popatrzmy oczami Jaśka, jak postawny jegomość w trenczu oddala się i znika w tłumie. Adam nigdy go już nie spotka. Jak krzyżują się nasze losy? Co czeka pana Horodyńskiego w przyszłości? Teraz siada na trybunie. A co z nim będzie za kilkanaście lat?

Chcę się czegoś dowiedzieć o przelotnym nieznanym. Surfuję po nitkach sieci. Odnajduję:

Martin Fuldner zarządzał majątkiem Lubomirskich w Charzewicach, w GG pełnił funkcję Ministra Rolnictwa. Bywał w Zbydniowie w gościnie u Horodyńskich i jako amatorowi staroci bardzo spodobał się mu serwis porcelanowy, którego Horodyńscy nie chcieli mu sprzedać. Także sam majątek Zbydniów prowadzony był przez Horodyńskich na wysokim poziomie, przynosił dochody i Fuldner pragnął przyłączyć go do administrowanych przez siebie włości.

24 czerwca 1943 roku miało miejsce w dworze w Zbydniowie wesele krewnej Horodyńskich. Przyjęcie było skromne, liczba gości nie przekraczała wraz z dziećmi 20 osób. Po południu państwo młodzi wyjechali w podróż poślubną do pobliskiego Sandomierza. Około godziny 22.00 pod dwór zajechało kilka samochodów i motocykli z żołnierzami SS. Strzałami z broni palnej wymordowali oni wszystkich weselników w tym 13 kobiet i 2 dzieci. Łącznie 19 osób. Masakrę przeżyli tylko Zbigniew i Andrzej Horodyńscy, którzy ukryli się w schowku pomiędzy powalą a podłogą strychu. Zamordowanych Niemcy zakopali, a resztę nocy spędzili na pijatyce. Andrzej i Zbigniew spędzili w schowku, bez jedzenia i picia, 4 dni, bojąc się wyjść z ukrycia, ponieważ po majątku wciąż kręcili się Niemcy. W końcu jednak udało im się uciec. Mordu na Horodyńskich nie udało się jednak Fuldnerowi ukryć. Sprawa stała się niesnaską pomiędzy SS a niemiecką administracją cywilną. Przeprowadzono szczegółowe śledztwo, podczas którego dowódca ss-manów niejaki Ehlers przyznał się do zastrzelenia uczestników wesela, a także wskazał Fuldnera jako inicjatora mordu. Uznano, że Horodyńskich zabito bezprawnie, ich majątku nie może przejąć GG i należy się on spadkobiercom. Zagrabione przez Fuldnera rzeczy nakazano zwrócić. Wyrok śmierci na Martina Fuldnera wydał sąd podziemny. Rozkaz wykonania wyroku podpisał płk Emil August Fieldorf „Nil”, szef Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej. 13 października Zbigniew Horodyński, jeden z braci, którzy przeżyli mord w schowku na strychu, przebrany za oficera SS wraz z kilkoma innymi żołnierzami AK przebranymi w czarne, skórzane płaszcze i tyrolskie kapelusiki wtargnęli do dworu w Charzewicach. Zastali Fuldnera, jego małego synka Horsta oraz kilku oficerów niemieckich. Przeczytano wyrok w języku polskim i niemieckim, po czym zastrzelono Fuldnera i jego synka. Oficerów oszczędzono. Gdy AK-owcy opuszczali dwór, przy bramie zatrzymali żonę Fuldnera Martę, która wracała ze Stalowej Woli bryczką. Przeczytano jej wyrok sądu, a następnie zastrzelono.

W odwecie za śmierć Fuldnera Niemcy 20 października 1943 w Charzewicach rozstrzelali 29 (25?) polskich zakładników (wedle proporcji: za jednego Niemca – 10 Polaków). Andrzej i Zbigniew Horodyńscy zginęli w Warszawie, w lipcu 1944 roku, jako żołnierze AK: Andrzej podczas akcji, a Zbigniew rozstrzelany na Pawiaku¹⁵.

A tymczasem pan Zbigniew Horodyński patrzy surowym wzrokiem na parkur i śledzi

bezbłędny przejazd porucznika Królikiewicza na jeszcze dziarskim kombatancie Mantlu, przepraszam, na Jaśku. Przejazd zakończony. Jeździec i koń wracają do stajni. Adam czuje na swoim ramieniu dotyk aksamitnych chrap. Patrzy w stoickie oczy. Wzdycha.

Nie wzdychaj, Adaś. Wiem. Musisz mieć zmiennika. Ja już... Jeszcze sporo pociągnę, ale, słyszałeś, mam już siedemnaście lat i...

Wachmistrzu! Nie do stajni z nim! Gdzie was, psiamać, niesie!

– Panie porucznikuuuu! Nie mogę skurwysyna utrzymaaać!!!

Wachmistrz Jan Żmuda, jeździec niczego sobie, podoficer austriackiej kawalerii na niejednym grzbiecie siedział. Ale tego narowistego sukinsyna nie jest w stanie utrzymać. Koń jest raczej okrutnej urody, podobny do psa, średniego wzrostu, 156 centymetrów, gniady, obie tylne nogi w koronkach, białe, na nogach – o krótkich i suchych nadpęciach zakończonych nieźle sklepionym, małym kopytem – dobrze ożebrowany korpus. Szeroka pierś, prawidłowo umieszczona długa łopatka i szyja, głowa nieproporcjonalnie duża, nad wyraz garbonose czoło, skośne indiańskie oczy. No i najbardziej charakterystyczna cecha – brak ogona. Konia oszpecono tak zwanym kurtyzowaniem, czyli obcięciem chrząstki ogonowej. Ten nieco barbarzyński zabieg – zwierzę nie mogło się oganiać przed natrętnym muchami – stosowano koniom zaprzęgowym. Prawdopodobnie, by im się ogony nie plątały w ciasną uprząż. Ów dziki, narowisty skurczybyk jest amerykańskim mustangiem. Podobnie jak Jasiek, to weteran wojenny. Walczył w szeregach armii amerykańskiej we Francji. Stamtąd przybył do Polski i już bił się tylko w polskim wojsku. A teraz walczy z wachmistrzem Żmudą Janem. Głowę zadziera ku górze i niesie szwoleżera wyciągniętym galopem prosto do stajni.

– Żmuda, uważajcie! Łeb wam roztrzaska o futrynę!

– Kurwa mać, poruczniku, to diabeł! Nie mogęę gooo utrzymaaać!!!

Adam widzi, że jego ulubiony szef szwadronu karabinów maszynowych niechybnie zginie na rozpędzonym prosto w niskie drzwi stajni szaleńcu. Żmuda zapiera się w strzemionach, bliżej, coraz bliżej wysokich stalowych barier. Jeden suuus, drugi skook. Jeździec i koń znikają w stajni. Adam biegnie w stronę soczystych przekleństw.

– Ty skurwysynu jeden, remundo sakramencka, ciulu, popierdolniku, bydlaku, zatracony synu! – wrzeszczy wachmistrz Żmuda Jan.

A tu patrzą na niego ze spokojem skośne oczy, co jeszcze bardziej wkurwia wachmistrza Żmudę Jana. Chciałby złapać za kij od szczotki i przywalić w dupsko diabła, ale wie Jan Żmuda, wachmistrz, że konia jak kobiety nie bije się nawet kwiatem. Nawet mordercy. Jedno, co można, to skląć, wymazać z pamięci, no i nie dać dodatkowej porcji owsa.

– Niech cię piorun strzeli, kutafonie.

– To ja mam propozycję, wachmistrzu – zagaduje Adam.

– No? – odpowiada roztrzęsiona galareta w postaci Jana Żmudy, wachmistrza.

– Wymieńmy się. „Kutafona” na jednego wałacha z mojego szwadronu.

– A niech pan bierze, panie poruczniku, to bydlę z moich oczu.

Adam patrzy na ledwie widoczne piętno, porośnięte już sierścią na końskim boku. Litera

„A”. Jak Adam.

„Adam, na brydżyka zapraszamy! Zsiądź wreszcie z tego diabła!”. „Adam, do kasyna na bilardzik?! Dobra, chcesz objąć sobie jajka na tym dzikusie, to objaj”. „A posiedziałybyś, Adaś, z nami w ogródku trochę. Z rodziną, a nie z tym indiańskim potworem na maneżu...”. „Panie poruczniku, na drinka może?... A pan zostawi tego sukinsyna, panie poruczniku, nic z niego nie będzie!”. „Adam, ty się już cały w wodospad potu zamieniłeś”. „Adaś... Jest piąta rano, ciemno na dworze... Czy ty kochasz tego dzikiego konia bardziej niż mnie? Zobacz, cały jesteś poobijany i obtarty do krwi”. „On całe życie chodził w zaprzęgu i ma pysk twardy jak żelazo. Nigdy mu nie zmięknie”.

Wreszcie Picadorowi pysk zmiękł. I zaprzęgowy mustang stał się jednym z najsztywniejszych skoczków w historii światowego jeździectwa.

Zamach. Dziś w południe o godz. 12-tej w czasie uroczystego otwarcia salonu Sztuk Zachęta dokonano zamachu na prezydenta Rzeczypospolitej Narutowicza. Prezydent nie żyje. Sprawca zamachu artysta malarz Eligjusz Niewiadomski został aresztowany.

W kwadrans potem przybył przed pałac Zachęty szwadron przyboczny Rzplitej. Ciało Prezydenta, okryte sztandarem Rzplitej, przewieziono do pałacu Belwederskiego. Na stopniach powozu stali adjutant generalny i lekarz przyboczny Prezydenta Rzplitej. Na dziedzińcu pałacowym oddała honory kompanja. Ciało Prezydenta złożone zostało w sali audjencjonalnej. Przy zwłokach, przepasanych wielką wstęgą Orła Białego, pełnił wartę honorową ułani szwadronu przybocznego – pisze „Kurier Lwowski” w dzień po śmierci pierwszego polskiego prezydenta.



Adam Królikiewicz na Picadorze (1923).

Szumiący worek

Jasiek, jego zmiennik Picador i porucznik Adam Królikiewicz zmierzają ku sławie. Nie jest to jeszcze galop, ale już z pewnością nie stęp. Kwiecień 1923 roku. Łazienki pączkują nieśmiałą zielenią. Coraz cieplejsze słońce przebija się przez drobne liście kasztanów, grzeje czerwone mury stajni przy Ułańskiej. Z boksów luzak wyprowadza dwa gniade konie. Jednego kalekę bez ogona. Picador strzyże groźnie uszami, rzuca pioruny z indiańskich skośnych oczu. Jasiek zaś emanuje niewzruszonym spokojem. Adam i Muszka pakują rzeczy do brązowych kufrów. Tomisławę skręca *reisefieber*. Cóż to się kroi? Dla rodziców pierwszy daleki wyjazd, pierwszy prawdziwy debiut jeździecki Adama. A co z córeczką? Pojedzie na ten czas do dziadków, do Glinojcka. A oni, młodzi, piękni, ciągle w sobie zakochani, choć w miłość do kapryśnej Muszki trzeba wkładać wiele wysiłku. Oprócz porucznika Królikiewicza na światowe, międzynarodowe wojskowe konkursy hipiczne do Nicei i Rzymu ruszy jeszcze dwóch jeźdźców: pułkownik Zahorski i major Rómmel – mentor, idol Adama. Czeka ich długa siedmiodniowa podróż koleją. Jak to zniosą konie zamknięte w wagonie towarowym?

Parowóz mknie żelazną drogą do Wiednia, przez Tyrol, mija oczapione śniegiem szczyty Alp. Trviso, granica austriacko-włoska. Papierkowa gehenna celna. Czarny pociąg rusza w dalszą drogę, omija z dala Wenecję, skręca ku włoskiej Riwierze. Muszce już zaczyna przeszkadzać duchota w wagonie, który nie jest pierwszą klasą Wagons Lits Cook. Wreszcie Tomisława daje się udobruchać uwiedziona widokiem zza okna. Mijają dywany pól kwiatowych, palmy, gaje pomarańczowe i oliwne, kaktusy, agawy. Oczy dwudziestodwuletniej pani porucznikowej widzą pierwszy raz taki krajobraz. Musi to zapamiętać, bo czas obfitego szczęścia może być krótki. Tak radzi mąż, lwowski chłopak sierota, którego wychowała wojna. Tak, tak. Rada dla nas wszystkich – cieszyć się chwilą i sycić. Słoneczne dni mogą się skończyć nagle i niespodziewanie. Ale zostawmy na boku czcze filozofowanie, wracajmy do pociągu pędzącego w stronę włoskiej i francuskiej Riwiery.

- Adaś, niedobrze mi. Nie mogę patrzeć w przepaść.
- To nie patrz, Muszko.
- Kiedy nie mogę nie patrzeć. Czy nas nie przestanie rzucać tak na boki?
- Nie przestanie.

Pociąg mknie wężowymi zakrętami nad stromym urwiskiem, rozsiewając dym z lokomotywy po lazurowym niebie.

- Kochanie. Idę z Sergiuszem i Karolem dopatrzeć koni.
- Jak to dopatrzeć? – Muszka wydyma lekko wargi.
- Czy im nie za gorąco.
- Mnie jest za gorąco.
- Muszko...

Tak, Jaškowi jest wyraźnie za gorąco. Na domiar złego nie zdążył zrzucić zimowej sierści i zamienić jej na letnią szatę. Jego alumn Picador zerka na swojego mentora i podziwia stoicki spokój mistrza. Uczy się od „profesora” równowagi ducha. Ale gorąc

nie daje wytchnienia. Muszka musi to jakoś znieść. Tak, mili państwo, nie było czegoś takiego jak klik! – i chłodna bryza owiewa nas z klimatyzacji. Pozostawał wachlarz.

Już na szczęście Nicea. Można spocząć w ekskluzywnym hotelu Westminster, w przewiewnym apartamencie. Jasiak i Picador też mogą odpocząć w chłodniejszych stajennych boksach. „Profesor” przygląda się międzynarodowemu towarzystwu. W kolejnych konkursach wyostrzy się na konkurencję jak brzytwa. Uczeń Picador pójdzie w ślady swego mentora. I oto mamy skutek: drugie miejsce drużynowe w Pucharze Narodów, tuż za włoskimi mistrzami, którzy wiodą prym na świecie. Teraz Rzym.

Skoro tak – jesteśmy w Wiecznym Mieście. Mamy już maj. Student i „profesor” wysuwają się na czoło podczas rzymskich zmagania. Już są po nicejskich doświadczeniach. Pewni siebie. Co im tam światowa konkurencja Włochów, Francuzów, Belgów, Hiszpanów, Portugalczyków, Szwajcarów, Szwedów, Holendrów i Niemców. Choć walka jest ostra. Ciężka rozgrywka. Jasiak i Adam zdobywają drugie miejsce w Wielkiej Nagrodzie Miasta Rzymu. Nadchodzi morderczy bój w konkursie myśliwskim Premio Cecilia Metella. Jasny gwint, pewne zwycięstwo „profesora” kradnie belgijski koń Acrobat. Adam zmienia Jaska na Picadora. Odbiera Belgowi pierwszeństwo. Uczeń dorównał mistrzowi. Dwa razy biało-czerwona flaga zawisnie na maszcie. Raz na najwyższym, raz na trzecim miejscu. A w ogólnej klasyfikacji drużynowej młodzieżka Polska zdobywa w Pucharze Narodów znów drugie miejsce.

Muszka patrzy z dumą na swojego męża i jego kolegów. Warto było pocić się w dusznym wagonie, nie warto było stroić fochów. Wszyscy zerkają na młodego jeźdźca z ciekawością. Römmel, wiadomo, sławny olimpijczyk, ale ten nieznanym nikomu debiutant Królikiewicz?

- Adaś?...
- Wiem, Muszko. Duszno i gorąco.
- Chodź tu do mnie.
- Nie jest mi gorąco. Chodź tu do mnie, powiedziałam.

W oknie hotelu Palazzo Manfredi faluje muślinowa firanka, raz po raz przesłaniając widok na oświetlone zmierzchem białoróżowe mury Koloseum.

Zostawmy ich. Nie uchodzi podglądać. Przenieśmy się o prawie dwa tysiące kilometrów na północ.

Glińnojeck, jak co roku o tej porze, zaczyna intensywnie pachnieć bzami i słodki zapach miesza się z wonią cukrowej melasy.

- Funiu! Ktoś do drzwi dzwoni! – krzyczy pan inspektor Lilienstern.
- Listonosz! Stasiu, przyjmij go, ja Krysie ubieram! – pada odpowiedź z dziecięcego pokoju, z którego widać fabryczny park i korty. Przez półuchylone okno zawiewa chłodniejsza bryza znad Wkry.
- Krysuniu, rączki do góry... O tak, babcia ci teraz zapnie sukienkę na guziczki, a potem zobaczymy, co to za wiadomość pan Goldman przyniósł. Natałko, wewnij jej spinę we włoski.

Niania Natałka poprawia sobie czepek na głowie i wykonuje polecenie. Stefania już posiwała z lekka, pod błękitnymi oczami sterczą binokle na złotym łańcuszku, którym

Kryśka lubi się bawić, ściągnąwszy babci okulary z nosa. Ale babci Funi nic a nic to nie przeszkadza. Stefania jest cierpliwa, uśmiechnięta, spokojna i łagodna.

W drzwiach werandy stoi lekko przygarbiony Goldman listonosz. Goldman listonosz ma na głowie pocziarską czapkę, ale reszta to chałat. Listonosz Goldman w piątki i soboty nie roznosi listów. Dzisiaj jest czwartek. Zatem Goldman może przynieść z poczty telegram. Na Fabryczną z poczty, z Bema 1, jest bliźniętka. Do Polnej w prawo i w lewo. Siedem minutek piechotą. Pięć szybkim krokiem. Telegramy Goldman listonosz roznosi szybkim krokiem, a jak na stanie jest wolny rower Opel Russelsheim, to i jeszcze szybciej. Dzisiaj nie było na stanie roweru, dlatego Goldman jest zdyszany. Zresztą listonosz Goldman nie lubi używać roweru, bo mu się chałat płacze w łańcuch. Ale ogólnie Abraham Goldman lubi swoją pracę. To bardziej zacna fucha niż handel śledziami w Ciechanowie. Lubi nosić ciężką torbę z listami, lubi dostarczać dobre wiadomości, złych nie lubi, chociaż i takie ma obowiązek donosić. Ciekawe, jaką telegraficzną wiadomość dziś przyniósł panu inspektorowi Liliensternowi.

– Dzień dobry jaśnie wielmożnemu panu inspektorowi.

– Zaraz się okaże, czy dobry, Goldman.

– Oby taki był, panie inspektor.

Stanisław rozrywa zaklejony papier, czyta. Stanisław przytył, jeszcze bardziej wyłysiał, ale zachował w twarzy serdeczną jasność.

– Dobra czy zła, panie inspektor?

– Goldman chciałby za dużo wiedzieć – odpowiada pan inżynier. Ale po sekundzie mówi z jowialnym uśmiechem: – Dobra, panie Abraham, bardzo dobra.

– *Zai gezunt*. Lubię przynosić tylko dobre wiadomości.

– *Gezunt, gezunt* – odpowiada Stanisław. – Ale Goldman pozwoli, że resztę zachowam dla siebie.

– A gdzież ja bym śmiał pytać się o resztę, jaśnie wielmożny panie inspektor.

– Macie tu, o. – Stanisław wyjmując portfel z marynarki, wylicza banknoty napiwku.

– Aj waj! Pięć tysięcy marek? Dziękuję wielmożnemu panu inspektorowi.

Żadne tam „aj waj!”. Za pięć tysięcy marek listonosz Abraham Goldman może sobie i dzieciom kupić litr mleka. Szaleje inflacja. Stanisław zastanawia się, dokłada drugie pięć tysięcy. Goldman kłania się czapką listonosza. I z uśmiechem odchodzi.

– Jak będzie już lipiec, to ja raków nałowię dla panu inżynierowi. Miłego dnia szanownego pana inspektora życzę.

– *A gut szabes* – odpowiada Stanisław i czuje, jak mu te słowa spływają jakimś suchym bólem do serca, przypominając zapach woskowych świec i czulentu. Następnie pan inspektor odwraca się na pięcie, jakby nie mógł przez lekko zażawiony wzrok dojrzeć pochylonej sylwetki znikającej za krzewem bzów. Wraca spojrzeniem do telegramu.

– Stefuniu! Chodźże tu szybko, są wiadomości!

– Jakie wiadomości? – Stefania pojawia się w progu z Krysią na rękach. Wczesnoranne słońce oświetla siwiznę Funi i czarną jak smoła grzywkę Krysi. Czepek Natalki wychyla się ciekawsko zza framugi.

– Adaś i Muszka wracają z Włoch i Francji. Adasiek jakieś cenne puchary pozdobywał. – Stanisław macha telegramem.

– Krysiu, ty słyszysz, co twój tatuś?...

Stanisław Lilienstern kładzie szeroką ciepłą dłoń na ciemnej grzywce wnuczki. Patrzy w czarne oczy dziewczynki i myśli, jakie one podobne do oczu jego matki.

Moja mama pamięta do dziś szumiący worek, w którym Goldman przynosił latem raki do fabrycznej kamieniczki. Trochę się bała tego szumiącego worka.

Jaki będzie rok 1924? Zobaczymy. Ogólnie powiedziawszy, wszyscy mają nadzieję, że reforma pana Władysława Grabskiego zatrzyma wreszcie hiperinflację, która wywołała kryzys skarbu państwa, ruchawki i doprowadziła do upadku rządu pana Wincentego Witosa. Królikiewiczowie witają Nowy Rok nie w bogatym garnizonowym kasynie w alei Szucha, lecz w nieco skromniejszej sali, na terenie pułku. Bal mimo oszczędności wprowadzonych przez dowódcę jest wykwintny i zachowuje wszystkie formy towarzyskie obowiązujące na pułkowych rautach. A zatem bukietki powitalne dla pań, karnety, odświętne suknie szyte u najlepszych krawców warszawskich czy z Domu Mody Bogusława Hersego. Oficerowie w pełnej gali. Pułkowa orkiestra wzbogacona smyczkami gra walca wiedeńskiego, argentyńskie tango, shimmy i aktualny szlagier rozbrzmiewający na parkietach całego świata – *La Rositę*.

Przysmykam powieki i próbuję dać się rozkołysać. Idzie mi to słabo, talent do tańca odziedziczyłem po dziadku Adamie, czyli jestem drętwą stołową nogą. Ale na szczęście gasną światła i cała sala zaczyna odliczać ostanie sekundy mijającego 1923 roku. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden!... Strzelają korki szampana, nad Agrykolą rozpryskują się sztuczne ognie, oświetlają ośnieżony park Łazienkowski, grają ze ślepaków trzy ustawione pod granicą pułku działa. Jaki będzie nadchodzący rok dla świata i Polski? Za tydzień hiperinflacja osiągnie w kraju apogeum, za jednego dolara trzeba będzie wybulić 10 250 000 marek polskich. Ale już w styczniu Sejm przyjmie ustawę o naprawie skarbu państwa i reformie waluty. W marcu Rada Ligi Narodów przyzna Polsce teren na półwyspie Westerplatte. W kwietniu złoty polski zastąpi markę polską. Minister spraw wojskowych Władysław Sikorski rozkazem zmieni „jazdę” na „kawalerię”. Zygmunt Weiss ustanowi rekord Polski w biegu na dwieście metrów wynikiem 22,7 sekundy. Rządy polski i sowiecki podpiszą wreszcie ostateczny protokół w sprawie przebiegu linii granicznej pomiędzy obu państwami. Stefan Żeromski postawi ostatnią kropkę w swojej nowej powieści *Przedwiośnie*. W katedrze warszawskiej spocznie trumna Henryka Sienkiewicza. George Gershwin zapisze pierwszą nutę *Błękitnej rapsodii*. Piotrogród zostanie Leningradem. Mahatma Gandhi wyjdzie z więzienia. Powstanie firma IBM. Przed Sądem Ludowym w Monachium rozpocznie się proces Adolfa Hitlera i monachijskich puczystów. Hitler zostanie skazany na kilkuletnie więzienie, ale wyjdzie po kilku miesiącach. No i w Paryżu odbędą się VII Igrzyska Olimpijskie. A to ważne dla naszej opowieści.

Zajrzyjmy do noworocznego wydania „Kurier Warszawskiego”. Ale nie na pierwszą stronę, tylko na czwartą. Co tam słyhać? Ano...

Teatr QUI-PRO-QUO. „KRÓL ÓWIEK”. Wielka rewja aktualna w 2 akt. z udziałem całego zespołu.

TANÓW Shimmy, Fox-Blues, Boston, Tango-Milonga, Java, Cammel-walk, udziela Art. Bal. Lucjan Wajszczuk. Nowy-Świat Nr 19. Kompletu towarz., studenckie, młodzieży. Lekcje oddzielne.

Poszukuję pożyczki 22, 500 Złotych Polskich równ. kursowi franka szwajc. pod gwarancją

pierwszej hipoteki na wysoki procent. Oferty pod „Pewność” do Biura Ogłoszeń. Rudolf Mosse Marszałkowska 124.

Miłosierdziu czytelników polecamy:

– Dziewczynę. 18-letnią robotnicę fabryczną, która skutkiem tragicznego upadku z 5-go piętra ma uszkodzoną kolumnę pacierzową i straciła władzę w nogach. Leży w szpitalu. Aby mieć możliwość chodzenia, potrzebne są aparaty ustalające.

– Służącą, lat 17, umiejacą haftować, chorą na gruźlicę kości (nie może chodzić), przebywa w szpitalu, z którego nie może wyjść, gdyż potrzebny jest but ortopedyczny.

Orkiestra wojskowa wzbogacona smyczkami gra posuwistego bostona na trzy czwarte. Muszka rozgląda się za mężem.

– Adaś, nie widziałeś Adasia? – zagaduje pani Królikiewicz swego niedoszłego wybranka, Adama Sokołowskiego.

– O którego Adasia pytasz, Muszko? Bo jeden przed tobą stoi.

– O mojego – odpowiada kąśliwie Tomisława.

– Żałuj, że twój nie ten, co przed tobą stoi.

Muszka nie żałuje. Choć jeszcze w tym roku rotmistrz Sokołowski będzie się piąć po szczeblach kariery państwowej, zostanie przydzielony z Kapituły Orderu Virtuti Militari do Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie w charakterze słuchacza V Kursu Normalnego, a po ukończeniu kursu i otrzymaniu dyplomu naukowego oficera Sztabu Generalnego zostanie przydzielony do Departamentu II Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych. Ale Muszka, jak się rzekło, nie żałuje. Choć zniknięcie męża w tej chwili wywołuje płamy złości na jej długiej, smukłej szyi.

– Zatańczymy? – Rotmistrz Sokołowski wysuwa dłoń w białej rękawiczce, schylając z szacunkiem głowę.

– A nie ma cię w moim karnecie – droczy się Tomisława.

– Ale ja mam chyba specjalne względy.

Muszka daje się uwieść wolnemu bostonowi. Rotmistrz czuje zapach jej ciała tchnący nutką modnego od roku chanel No. 5. Bostonowe trzy czwarte, zapach perfum, bliskość biustu byłej narzeczonej zwracają rotmistrzowi w głowie. Jego usta nachylają się do ucha kobiety i szepczą:

– Żal, Muszko, straszny żal...

Nie przysłuchujmy się dalszym szeptom. Idźmy szukać Adama. Dokąd? To oczywiste.

– Panowie, oby ten rok był dla nas dobry.

Na porucznika patrzą w stajennym boksie dwie pary końskich oczu. Jedne wypełnione dobrotliwym spokojem, drugie dzikie, indiańskie. To będzie dobry rok dla tych panów. Porucznik zostanie awansowany na stopień rotmistrza, a jego konie...



Fotografia dwudziestoparoletniej Tomisławy Królikiewicz.

Znów mkniemy znaną nam już żelazną drogą przez Alpy ku francuskiej Riwierze. Dwa tygodnie jeździeckich zmagania. Nicea. Czy Jasiak zdaje sobie sprawę, że razem z przytłaczającym, dusznym afrykańskim sirocco spłynie na niego największe sportowe zwycięstwo? Na razie duchota zatyka końskie nozdrza i piersi. Ptaki oszalały z przerażenia, liście drzew schną w oczach i unoszą się jak konfetti w rozprężonym do białości powietrzu. Jak w takich warunkach startować? A jednak. „Profesor” bije konkurencję, wygrywając ze stu kilkudziesięcioma końmi i jeźdźcami. Zdobywa bodaj największe hipiczne trofeum jeździeckie tamtych czasów – Wielką Nagrodę Miasta Nicei, Grand Prix de la Ville de Nice. Przy akompaniamencie hymnu narodowego, przy asyście samego ministra, generała Sikorskiego, Jasiak przyjmuje wstęgę, a jego jeździec otrzymuje puchar przechodni z rąk mera miasta. Mały, niepozorny, już osiemnastoletni koń wytrzymał pustynną burzę, która z hukiem i impetem wtargnęła na hipodrom, i został zwycięzcą. A przecież o mało nie przegrał konkursu.

Adam ma już za sobą połowę bezbłędnego przejazdu, gdy wietrzny, upalny wir odbiera mu orientację. Jeździec zapomina, jaka jest kolejność przeszkód. Koń, nie przerywając galopu, pędzi na oślep poganiany łydkami ogłupiałego porucznika. Adam

wpada w panikę, mgła przesłania mu oczy. Liczą się ułamki sekund. Cały przejazd musi być ukończony w dwie minuty. Którą brać przeszkodę? Dokąd galopować? Czas jakby staje w miejscu, a właściwie rozciąga się w nieskończoność. Nagle przed oczami wyrasta jakaś nienamierzona wcześniej przeszkoda. Jest coraz bliżej. Trzy, dwa skoki galopu, jeden. Ciszę przerywa gwałtowny jęk publiczności. Jeździec orientuje się, że pomylił kolejność. To może wyłączyć go z zawodów, będzie dyskwalifikacja. Adam w ostatniej chwili ucieka wolta pod niewłaściwej przeszkody. Przez mgłę w oczach odnajduje prawidłową. Najeżdża na nią zdecydowanym galopem. Jasiak frunie nad belkami i rwie co sił w nogach. Musi nadrobić stracony czas. Koń zamienia się w naprężoną strunę. Ostatni skok. Są na mecie. Zmieścili się w normie czasu. Trzy karne punkty. Ale to i tak najlepszy wynik. Biało-czerwona flaga na maszt.

Patrzę na lekko zardzewiały, ale wciąż dumny medalion, który spoczywa na półce mojej biblioteki. Na niej napis: *Internat. Concours Hippique. Luzern. 1924. Preis der Hotels von Luzern*. Kiedyś wisiał przy końskim boksie. W boksie stał Picador. Picador odniósł w tamtym, 1924 roku w Szwajcarii nad Jeziorem Czterech Kantonów kilka zwycięstw, wygrał Wielką Nagrodę Lucerny.

Który z mistrzowskich wierzchowców stanie do najważniejszej walki tego roku, a być może do najważniejszego startu w jego sportowym życiu?

Paryż. 27 lipca. Ostatni dzień olimpiady. Polacy startują w pierwszych igrzyskach po odzyskaniu niepodległości. Ale wciąż są bez medali. Stadion Colombes. Włoch, kapitan Lequio, chwieje się w siodle przy zeskoku. Podbiega fotoreporter i pomaga jeźdźcowi wsunąć się z powrotem na koński grzbiet. Taki przypadek według regulaminu klasyfikuje się wykluczeniem z zawodów. Polska ekipa nie zgłasza protestu. Kapitan Tommaso Lequio di Assaba jest drugi, rotmistrz Adam Królikiewicz trzeci. Brązowy medal. Za chwilę megafony ogłaszają, że polscy kolarze zdobyli drużynowo srebrny medal.

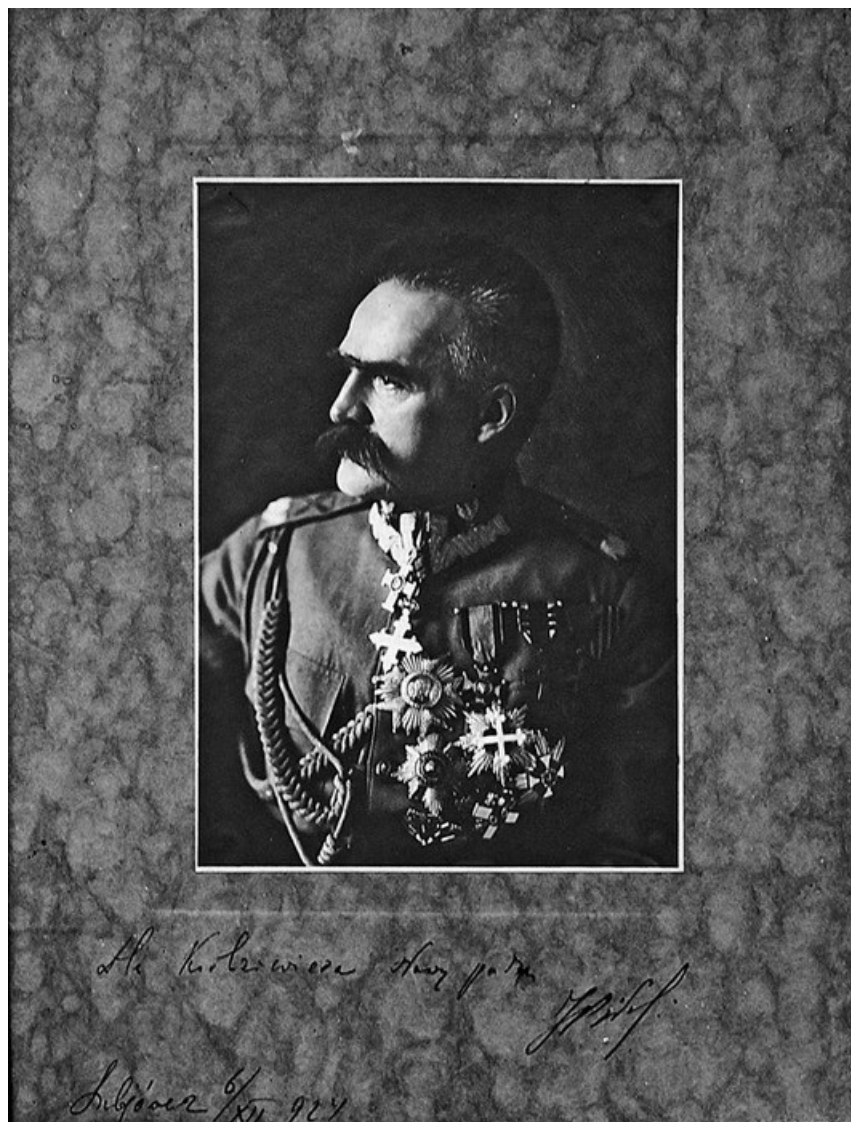
To był dobry rok. Władysław Grabski powstrzymał hiperinflację. Adam Królikiewicz, mój dziadek, zdobył na Picadorze dla Polski pierwszy indywidualny medal olimpijski. Pożółkła prasowa notatka zachowana w archiwum dziadka:

Rezultaty osiągnięte przez polskich kawalerzystów, zadziwiły świat sportowy, bo cóż to za rzadki gość zatrzepotał na olimpijskim maszcie zwycięzców? Często widziano barwy amerykańskie, fińskie, angielskie, francuskie, włoskie.

Co robi chorągiew biało-czerwona?

To rotmistrz Królikiewicz nasze barwy narodowe umieścił na olimpijskim maszcie zwycięzców w Paryżu.

I pomyśleć, że zaledwie dziesięć lat wcześniej ułan Królikiewicz pierwszy raz dosiadł kozackiego konia, co się skończyło sromotnym upadkiem na chęcińskim bruku.



Fotografia marszałka Józefa Piłsudskiego z odręczną dedykacją dla majora Adama Królikiewicza (1924).

Papierośnica

Niewiele z ogromnej liczby sportowych trofeów dziadka Adama pozostało. Prawie nic. Wszystkie cenne puchary, medal olimpijski, nagrody spłonęły razem z hangarem Ośrodka Zapasowego Kawalerii w Garwolinie we wrześniu 1939. Ale jedna z niewielu pamiątek ocalała. Jest wzruszająca i ogromnie miła dla oczu. Toteż trzymam ją na półce naprzeciw stołu, przy którym klecę opowiadki. Strzeże jej uzbrojony w dwa rewolwery Clint Eastwood spozierający z plakatowego portretu. Adam i Clint mają coś wspólnego w wyrazie twarzy. Surowość pokrywającą nienachalną wrażliwość. Ale do rzeczy. Tą cenną pamiątką po dziadku jest srebrna papierośnica. Na jej wieczku widnieje sześć miniaturek osadzonych przez zręcznego jubilera: odznaka i proporczyk 1. Pułku Szwoleżerów, mini Virtuti Militari oraz winietka przedstawiająca małą muszkę. Poniżej złote podpisy „Kryśka” i „Muszka”. Ale najciekawsze jest wnętrze papierośnicy. Zapraszam, obejrzyjcie grawerunek. Nie byle co: „Prezydent Rzeczypospolitej Zwycięzcy na konkursach hipicznych 1 p. szwoleżerów. 10. XII. 1924”. Data wskazuje, że to pewnie prezent urodzinowy od prezydenta Wojciechowskiego. Ale nie mniej ekscytujące są wygrawerowane autografy: „Własiewiczówna, Jadwiga Wajsówna, Halina Konopacka, Kwaśniewska Maria”. Dla tych, którzy może nie kojarzą: Maria Kwaśniewska – brąz w rzucie oszczepem podczas igrzysk w Berlinie 1936, 41,80 m. Halina Konopacka – pierwsze złoto olimpijskie dla Polski podczas olimpiady w Amsterdamie i jednocześnie rekord świata w rzucie dyskiem, 39,62 m; miss igrzysk w Amsterdamie. Jadwiga Wajsówna – dyskobolka, podwójna olimpijska medalistka; w Los Angeles brąz z wynikiem 38,74 m i srebro w Berlinie, 46,22 m No i Stanisława Własiewicz – podwójna medalistka w sprincie na 100 metrów; złoto w Los Angeles i srebro w Berlinie. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że ten prezydencki prezent dla dziadka został podpisany głównie przez płeć piękną. Zawsze mieliśmy waleczne dziewczyny. Patrzę z melancholią na srebrny przedmiot, ale przed oczami wiruje mi wspomnienie Adama o zgoła innej papierośnicy. Tym razem prezencie dla kolegi dziadka. Bohaterem tej sekwencji będzie nasz narodowy heros, major „Hubal”. Nie każdy wie, że Henryk Dobrzański był świetnym jeźdźcem. A był. Ale niepospolitym.

Jest rok 1925. Londyn. W metropolitalnej hali Olympia rokrocznie odbywają się prestiżowe pokazy jeździeckie i opromieniona sławą wystawa koni. W boksach sto najlepszych sportowych rumaków z całego świata. W repertuarze startów – Puchar Narodów, na który ostrzą sobie apetyty dumni i trochę zadufani gospodarze. W naszej ekipie startują oprócz Królikiewicza Szosland, Dziadulski, no i Dobrzański. Miejscowi kibice złąknieni zwycięstwa rodaków nie mają wielkiego pojęcia o Polsce, toteż nasi zawodnicy robią, co mogą, żeby dać łupnia pysznym Angolom. Podpułkownik Karol Rómmel, wiadomo – mentor. Zdzisław Dziadulski to typ jeźdźca o uroczym nonszalanckim stylu, nagroda nie jest dlań najważniejszym celem. Elegancja i nieskazitelny dosiad wzbudzają zachwyt i aplauz. I to czasami wystarczy. Kazimierz Szosland prezentuje spokój, pracowitość, doskonałe wyczucie konia, nieco

flegmatyczne podejście do walki. Adam Królikiewicz, filar ekipy, to wiara w tryumf i wola zwycięstwa. Opanowany, nieustępliwy. No i wreszcie rotmistrz Henryk Dobrzański. Twardy, ryzykant, gwałtowny watażka. Przy tym piekielnie przystojny. Złota czupryna i złote, choć porywcze serce.

No i zaczyna się wielki Puchar Narodów, drużynowa walka na śmierć i życie o pięknie kuty puchar księcia Walii. Napięcie sięga zenitu. Dobrzański ma dwa bezbłędne przejazdy. Anglicy dostają po nosie. To Italia zdobywa Puchar Narodów, Polacy zajmują zaszczytne drugie miejsce. Anglicy są trzecią drużyną na pudle. Ale, ale – nieoficjalny wynik indywidualny głosi, że najlepszym jeźdźcem zawodów jest rotmistrz Henryk Dobrzański.

Ceremonia dekoracji. Późny wieczór i ciepłe światła lamp, obecność londyńskiego high life'u i asysta pary królewskiej z Jego Królewską Mością Jerzym V tworzą z uroczystości teatralnie podniosłą galę. Nic, tylko odbierać nagrody, błyszczeć w blasku fleszy i reflektorów. Konie otrzymują uroczyste wstęgi przypięte do naczółka, Włosi przyjmują puchar z rąk Jego Księżęcej Wysokości Edwarda, fanfary, hymny i co tam jeszcze. Rotmistrz Dobrzański pręży się w siodle, bo przecież za chwilę otrzyma nagrodę dla najlepszego indywidualnego jeźdźca. A tu nic, proszę szanownych państwa. Ani marnego złamanego sygneciku, ani podstawki do wazonu. Literalnie *nothing*. Adam widzi, jak na czole rotmistrza rysuje się niebezpiecznie pęczniejąca z wściekłości żyła. Złość jest usprawiedliwiona, bo jeździectwo to sport honorowy, demokratyczny, w którym od dawna nie ma różnic płci, kobiety i mężczyźni startują na takich samych zasadach. Adam nawet nie próbuje odgadnąć myśli, które buzują pod czaszką rozwścieczonego do ostatnich granic polskiego oficera. Kiedy wracają Kensington High Street do Royal Palace Hotel, z ust Dobrzańskiego wreszcie wylewają się tłumione w mózgu myśli, wytryskują jak smoła z piekielnego kotła. A brzmią one mniej więcej tak, za co przepraszam wrażliwsze oczy i uszy:

– To skurwysyny pokręcone... Angielskie smarki, żeby ich rozpiżdziło na cztery strony świata... Organizatorzy zatraceni... Owce i kozy im hodować na tej zasranej wyspie, a nie zajmować się jeździectwem!

– Heniu, ciszej – próbuje ostudzić piekło Adam.

– Co ciszej?! Co ciszej?! Niech się świat dowie, że tym flegmatycznym kutafonom żaden jeździec ręki nie powinien podawać!

– Heniu, może whisky na uspokojenie nerwów? Idziemy do baru? – Szosland wskazuje kierunek.

– Nigdy tych angielskich szczyn do ust nie wezmę. Idźcie sami.

Trzask! Drzwi pokoju 123 zamykają się z hukiem za rozgrzanym do czerwoności przyszłym partyzanckim atamanem. Szosland, Królikiewicz i Dziadulski patrzą po sobie.

– Kaziu, Zdzisiu, zapraszam na szklaneczkę. Mam pomysł, jak rozbroić tę bombę – inicjuje Adam.

– Jaki pomysł? – pyta z drzeniem w głosie Szosland.

Spojrzenie Królikiewicza już od pewnego czasu spoczywa na glinianym dzbanku, który zdobi hotelowy parapet.

W apartamencie 123 najbliżsi, ukochani pobratymcy z sodeł próbują ułagodzić

wzburzone fale przewalające się po ciele i duszy rotmistrza Dobrzańskiego. Ale diabelska pręga za nic nie chce zniknąć z czoła Henia. Pukanie do drzwi. Adam wstrzymuje oddech. Błyskawiczna wymiana spojrzeń między kolegami. W progu pokojówka z wielkim, uroczyście opakowanym w złotawy papier zawiniątkiem. Panna wręcza na srebrnej tacy kopertę, stawia pakunek na stole i szybko umyka z progu. Lekko się trzęsie i nieco blednie, widząc iskry sypiące się z oczu polskiego oficera. Henryk rozrywa kopertę. Czyta wykaligrafowany list. Szatańska pręga wolno znika z czoła.

– Słuchajcie! Księżę Walii naprawia *faux pas*! Przeprasza za niezręczność i w uznaniu moich wyczynów przesyła nagrodę. Oooo, moi kochani, za wcześniej odsądziliśmy ich od czci i wiary.

„Odsądziliśmy”, powtarza w duchu Adam z sarkazmem.

– To naprawdę dżentelmeni najwyższej klasy – kończy dytyramb Henio.

Adam wstrzymuje oddech. Szosland martwieje. Dziadulski staje na wszelki wypadek bliżej drzwi. Ciach! Dobrzański rozrywa jednym ruchem ozdobny hotelowy papier, spod którego wyziera jak wywalony złośliwy jęczor pospolity gliniany dzbanek, zwinięty z hotelowego parapetu. Po jaką cholere ja tam wlażem za moim dziadkiem?... Dzbanek przelatuje obok mojej głowy i z potwornym trzaskiem rozpryskuje się na ścianie.

– Wy skurwysyny! Ciule pokrecone! Pozabijam was, psubraty! Zastrzelę jak psów! – Jezu Chryste, Heniu! Co ty robisz?

Adam widzi, że Henio wygrzebuje z walizki pistolet. Odbezpiecza go. Koledzy biorą nogi za pas. Odwrót. Paniczna ucieczka. Po hotelowym korytarzu roznosi się dziki, nienawistny wrzask.

To nie koniec historii. Ma ona swój *happy end*. Parę dni później Anglicy istotnie naprawili swoje *faux pas*. Henryk Dobrzański otrzymał od księcia Walii złotą papierośnicę, nagrodę dla najlepszego jeźdźcy londyńskiego Pucharu Narodów 1925.

Nie. Ta historia w gruncie rzeczy nie ma swojego szczęśliwego zakończenia. Nie mam pojęcia, co się stało ze złotą papierośnicą. Major Henryk „Hubal” Dobrzański, oficer, który nie uznał klęski wrześniowej i walczył dalej partyzancko przeciw hitlerowcom, poległ w ciężkiej walce 30 kwietnia 1940, trafiony kulą w serce. Księżę Walii został królem Edwardem VIII, ale musiał abdykować, ponieważ wdał się w romans z niejaką panią Simpson. Nie wiadomo, gdzie jest papierośnica majora Henryka Dobrzańskiego. Do dziś nie ma pewności, gdzie się znajduje, gdzie jest bezimienny grób „Hubala”. Papierośnica majora Adama Królikiewicza jakoś cudem ocalała. Odkładam ją na półkę.



Papierośnica ofiarowana Adamowi Królikiewiczowi przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Wygrawerowane autografy największych polskich sportmenek: Stanisławy Walasiewiczówny, Jadwigi Wajsonowej, Haliny Konopackiej i Marii Kwaśniewskiej.

Skrzynka z krasnoludkami

Trwa kawaleryjska szarża, polscy jeźdźcy galopują zwycięsko przez najświetniejsze hipodromy świata. Jasiek i opromieniony sławą mustang bez ogona – już mniej dziki, obłaskawiony przez rotmistrza Adama Picador – zadziwia kibiców zgromadzonych na prestiżowych konkursach w Genewie, Mantonie, Monako, Monte Carlo, Villefranche, Beaulieu, Marsylii, Paryżu, Madrycie, Szwajcarii. Rok 1925 jest jednym wielkim cwałem po kolejne zwycięstwa, do tego stopnia znaczącym, że rozważano, by Picadora już nie dopuszczać do startów w nicejskich zawodach. Ale jakoś szalbierczy trik formalistyczny udało się ominąć. Królikiewicz startuje na Picadorze jako jeździec cywilny. Były pociągowy koń bez ogona zdobywa I nagrodę w konkursie Potęgi Skoku i Zręczności. Zajmuje trzecie miejsce w konkursie myśliwskim Monaco. Co tu się zresztą chwalić ustami wnuka. Posłuchajmy sprawozdawcy nicejskiego „Le Petit Niçois”:

Raz jeszcze drużyna polska wyróżniła się i zalsniła największym blaskiem, tak jak czyniła zresztą od dnia otwarcia konkursów, potwierdzając swą niezaprzeczalną wyższość przez swą postawę i przez równość [...].

Drugą serię o nagrodę Monaco wygrał najlepszy jeździec polski, as asów ekipy, sympatyczny rotmistrz Królikiewicz, który dokonał zdumiewającego wyczynu, jakim było zdobycie pierwszego miejsca na Jašku, trzeciego na Picadorze i czwartego na swoim znanym koniu Cezarze, który zdobył już brawurowo wiele nagród w konkursach.

Może pomnę ekstatyczny artykuł z nicejskiego dziennika „L’Éclair de Nice”, bo sam mój dziadek uznał, że za dużo w nim dytyrambów. Ale o, mamy bardzo interesujący komentatorski zapis konkursu Grand Prix de la Ville de Nice, które było najważniejszym punktem zawodów w Nicei. Ta sama gazeta:

Piąty handicap. Rów poszerzony jest o 100 cm, przeszkody podwyższone; parcours staje się bardzo poważny. Jeden koń ma tylko go zaatakować: to zwycięzca zeszłego roku w konkursie Monaco – Picador! Prowadzi go najlepsza szpicruta starego kontynentu, rotmistrz Królikiewicz. Czy pełen blasku jeździec polski zdoła go przebyć? Oto z cudowną łatwością Picador przechodzi wszystkie po kolei przeszkody. Przed trybuną sędziowską jest płot. Przeszkoda rzuca cień. Zmylony tym Picador strąca poprzeczkę. Ale dalej kończy bez błędu, fruując ponad drągami, rowami i bankietami. Zrywa się burza oklasków i flaga biało-czerwona wznosi się na maszt. Gdyby nie ten cień, parcours byłby na pewno bez błędu. Rotmistrz Królikiewicz zdobywa po raz drugi puchar Nicei.

Muszę tu mocno zaznaczyć, że owszem, w tamtym czasie rotmistrz Królikiewicz był uważany za jednego z najlepszych jeźdźców na świecie, ale niewiele ustępowali mu jego wspaniali koledzy: Szosland, Zgorzelski, Dziadulski, Kawecki, Anders (tak, tak), Toczek, Kulesza, Antoniewicz, Roycewicz, Komorowski, Skupiński, Starnawski, Gutowski, Pohorecki, Skulicz, Trenkwald, Wickenhagen, mentor Rómmel oraz Henryk Dobrzański. Wspomnienia mojego dziadka nie pomijają zachwytów, jakie panowie oficerowie wzbudzali wśród pań nie tylko swoim kunsztem sportowym, ale i męską, kawaleryjską charyzmą. Niektórzy ulegali pokusom, niektórzy byli zapatrzeni tylko

w urodę swoich wierzchowców, a Adam? Cóż, wypada mi przytoczyć jego słowa *in extenso*:

Wszystkie te wyrzeczenia ponosiłem z miłości do konia oraz pasji do sportu. A nade wszystko dla tej, która była mi w życiu najmiłą troską i dozgonnym towarzyszem, dzieląc ze mną smutki i radości. Dla tej, która wierzyła, że przynosi mi szczęście, że jest moją gwiazdą i maskotką, obecnej przy mnie prawie we wszystkich (z małymi wyjątkami) stadionach zagranicznych i krajowych, obserwującej z zapartym tchem moje wysiłki w walkach o zwycięstwo – mojej żony.

Znów jesteśmy w Grudziądzu. Znów jest wiosna. A dokładnie 20 kwietnia 1926 roku. Od kilkunastu miesięcy państwo Królikiewiczowie nie stacjonują w Warszawie, ale tutaj. Czy mała Krysia wie, że w dniu, w którym się urodziła, Marszałek Piłsudski wizytował to pomorskie miasto? Oczywiście, że nie ma o tym najmniejszego pojęcia. A dziewięćdziesięciosześcioletnia kobieta?

– Mamo, wiesz, że 7 czerwca, w dniu twoich urodzin, Piłsudski był w Grudziądzu?

– Co ty powiesz? Marszałek? Nie wiedziałam.

Patrzę, czy przypadkiem Marszałek nie zejdzie z fotografii i nie potwierdzi moich słów albo nie wychynie ze ściany zbudowanej z cegieł getta. Nie wychodzi. Jest w porządku. Dziś mama w dobrej formie. Przymrużam oczy i widzę pięcioletnią dziewczynkę w obszernym grudziądzkim mieszkaniu, w kamienicy przy ulicy Moniuszki. Trzeba mocniej przymknąć powieki. Pierwsze piętro. Mieszkanie z balkonem. Czy to ocalałe domy na przykład spod numeru 6? Być może. Turkot powozu o bruk. Bruk pozostał do dziś na Moniuszki 6. Adam wraca z garnizonu. Rotmistrz Królikiewicz został powołany na kurs instruktorów jazdy do grudziądzkiego Obozu Szkolnego Kawalerii.

– Tatusi, co to?

Razem z ordynansem Fedorukiem wnoszą jakieś wielkie pudło.

– Radio.

– Co to radio? – pyta Krysia.

– Taka mówiąca skrzynka.

„Halo, halo, Polskie Radio Warszawa, fale 480!”

Jaki to mógł być radiodbiornik? Przypuszczam, że ten Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego. Seria 5LB/2. Pięcioletni, reakcyjny, typu rezonansowego. Zasięg obejmował całą Europę. PTR było pierwszą fabryką założoną przez polskich inżynierów, specjalistów produkujących na rzecz wojska, montujących również cywilny sprzęt radiowy w Polsce. Ale wracajmy do salonu przy Moniuszki.

– Co to tak mówi, tatusiu?

– Krasnoludki.

Krysia zagląda na tył skrzynki. Ojciec kręci gałką.

– Żeby lepiej słyszeć, co mówią krasnoludki, to trzeba pokręcić tą gałką, o, żeby je dostroić, a tą, żeby mówiły głośniejsze albo ciszej.

– Tatusi! Krasnoludek gra na trąbce!

– Tak, i do tego hejnał z wieży mariackiej. Bo to jest krakowski krasnoludek, Krysiu.

Już niedługo z tej skrzynki przemówi „krasnoludek” tekstem Józefa Piłsudskiego,

spisanym na łamach „Kuriera Porannego”:

Stają do walki, jak i poprzednio, z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści.

Dwa dni później Marszałek Piłsudski dokona przewrotu. A radio nada komunikat Rady Ministrów:

Szerzona od dłuższego czasu przez spiskowców i burzycieli ładu i porządku zbrodnicza agitacja wśród wojska spowodowała smutne następstwa. Kilka oddziałów wojska z kilku powiatów zebrane w okolicy Rembertowa, podniecone fałszywymi pogłoskami i uwiedzione sfałszowanymi rozkazami, dało się pociągnąć do złamania dyscypliny i wypowiedzenia posłuszeństwa Rządowi Rzeczypospolitej.

Pułk Adama weźmie udział w tych dramatycznych wydarzeniach. 12 maja szwoleżerowie opuścili koszary i obsadzili strategiczne punkty miasta. 4. szwadron i szwadron karabinów maszynowych na moście Poniatowskiego, 1. i 2. szwadron w rejonie placu Trzech Krzyży, a 3. szwadron usadowił się przy lotnisku Okęcie. Oczywiście oddziały walczyły po stronie Marszałka. Szczupluteńkie siły broniły koszar, toteż te zostały zdobyte przez oddziały rządowe. „Amarantowi” walczyli na Brackiej, Poznańskiej, Emilii Plater, Nowowiejskiej. W bratobójczych walkach poniosło śmierć około dwudziestu szwoleżerów, ponad pięćdziesięciu zostało rannych. Na szczęście Adama nie było w tym czasie w Polsce. Był w Rzymie razem z Picadorem i Jaśkiem.

Jesteśmy w Gliniojecku. Znów jest maj, ale w tym roku słodko-gorzki z powodu przewrotu majowego. Wkradamy się do salonu, gdzie przy pięciolampowym odbiorniku typu 5LB/2, przy brązowej skrzynce z gałkami siedzi odświętnie ubrana w aksamitną granatową sukienkę z białym kołnierzykiem Krysia. Obok babcia Funia w koktajlowej sukni i dziadek Staś w niedzielnym garniturze. Natalka stoi z boczką. Też wystrojona. Radio nadaje patetyczne sprawozdanie krasnoludka, głos spikera to dźwięczny tenor i „ł” przedniojęzykowo-zębowe.

– Halo, halo, na falach Polskiego Radia łączymy się z państwem z nowego rzymskiego hipodromu Villa Glori! Na tle zielonych wzgórz jaśnieją białe, cienkie sztachety. Słońce świeci dziś jasno, choć nie grzeje. Dziwaczna, rozkapryszona wiosna. Tłum na trybunach, tłum przed trybunami. *Fine fleur* rzymskiego towarzystwa złożony z najszlachetniejszych historycznych nazwisk, najpiękniejszych kobiet, najpotężniejszych polityków i finansistów. W łoży królewskiej Wiktor Emanuel z córką hrabiną Jolantą Calvi di Bergolo. Szkoda, że państwo tego nie widzą! Ale zapewne już dochodzą do waszych uszu skoczne dźwięki *Marcia Reale*. Pozwólcie, szanowni radiosłuchacze, że wysłuchamy włoskiego hymnu w milczeniu... A cóż to za wspańiały ceremoniał?! To wstęp do najciekawszej rozgrywki konkursów konnych o Puchar Narodów, przepysznie w złocie wyczelowany, ofiarowany przez Mussoliniego narodowi, z nadzieją, że jego przedstawiciele nie dadzą sobie odebrać owego trofeum w tych największych zawodach, odbywających się rokrocznie w Rzymie. Skład naszej wyprawy jest świetny. Jedzie Szosland na Morinusie, Toczek na Hamlecie, Królikiewicz na Picadorze. Ci ostatni – jeździec i koń – popularni już tutaj niezmiernie, podziwiani i uznani. Jazdy Królikiewiczza zachwalać nie trzeba. Chłuba nasza, którą przed laty widzieliśmy jako

jeźdźca doskonałego, pełnego młodzieńczej fantazji i natchnienia – dziś przedstawia się jako mistrz skończony, świadomy swych środków, panujący nad koniem znakomicie, zrośnięty z nim niemal duszą i ciałem. O! Już się szmer na trybunach rozległ... Wchodzi na tor Picador pod Królikiewiczem. Spokojny, skupiony, bez fochów i objawów zdenerwowania. Wbiega truchtem, z lekka charakterystycznie, z zadowoleniem kręcąc głową. Roztropnie, w pełni poczucia własnej odpowiedzialności, zajmuje miejsce przed znakiem *partenza*. Rozlega się sygnał dzwonka i zaczyna się...

– Natalka! Nie kręć gałką!

– Przepraszam, panie inspektorze. Chciałam lepiej dostroić...

– Jeździec tu z koniem nie walczy, zwierzęcia nie poskramia, jakby stanowili jedną myśl i wspólny harmonijny wysiłek. Bez trudności, ruchem naturalnym i celowym przesadza najmilsze zwierzę płoty, bariery, murki i cokolwiek mu ludzka przemyślność na drodze ustawiła, a robi to z wdziękiem, tak, rzekłbyś, łatwo i bez wysiłku, że zdumienie ogarnia, iż każdy tego nie potrafi. Czemuż to przeszedł na czysto, nie zrobiwszy ani jednej omyłki?! Z uczuciem niesamowitej wdzięczności patrzę na bieg Picadora z gardłem ściśniętym jakimś wzruszeniem. Ten koń – to przecież nie jest zwykłe zwierzę, które sobie oto harcuje po łące. On wie, że patrzą na niego tysiące oczu krytycznych, on wie, że musi przejść bez błędu, on wie, że walczy o honor i imię polskiego jeździectwa. Przepraszam państwa za wzruszenie w głosie, ale ten koń to przecież znajda bez rodowodu, wzięta z taboru pułkowego, w którym – jak z lubością powtarza jego jeździec – wojnę przesłużył. A jednak skacze lepiej i pewniej od setek rasowych rumaków. Nasz Picador nie jest ładny. Nie obrazi się, gdy mu to powiem... Uroczą młodą rzymianką, siedzącą obok mojego radionadawczego stanowiska, mówi z pewnym zawodem w głosie: *Ma come e brutto questo cavallo! Pare un sigaro toscano*. Że nasz narodowy koń brzydki jak toskańskie cygario? Szanowna pani, proszę posłuchać odpowiedzi pani towarzysza: *Quello non cammina come un cavallo – cammina come un orologio!* „On nie chodzi jak koń – chodzi jak zegarek!”. *Viva Picador! Viva Królikiewicz! Viva Polonia!*

– Krysiu, co ty robisz, kochanie? – pyta babcia Funia, ocierając łzy batystową chusteczką. – Nie zaglądamy do środka tej skrzynki, perełko.

– Babciu, a tatuś tutaj też się skurczył na Picadorze w krasnoludka?

Czarne jak węgielki oczy dziewczynki szperają pod radiowym pudłem.

Patrzę w gasnące oczy mojej matki.



Fotografia kilkuletniej Krysi Królikiewicz z babcią Stefanią Lilienstern.

Dwa listy oraz portfel

Jesteśmy na amfiteatralnym rzymskim stadionie Piazza di Siena położonym na terenie Villa Borghese na Monte Pincio, wśród starożytnych murów okolonych strzelistymi cyprysami i rozłożystymi piniami. Noc jest księżycowa, po arenie snują się cienie gladiatorów. Ale za dnia huraganowe oklaski odbijają się echem od starych kamieni. Gladiatorzy ustępują miejsca jeźdźcom i ich rumakom.

– Słyszysz?

Już słyszę coraz słabiej...

A teraz Mediolan. Stadion, na którym rozproszone światło lampionów sieje poświatę na parkur.

Co to, cyrk?

– Nie. Palazzo dello Sport. Stadion. Widzisz? Trybuny pełne twoich kibiców.

Widzę. Jeszcze widzę. A to, teraz gdzie jesteśmy?

– W Londynie. Olimpia.

Za dużo świateł... A teraz... Za dużo mgły... Ciągle Anglia?

– Aldershot, ichni obóz wojskowy. Patrz, Jaśku, zielony, czworokątny stadion cichej Lucerny. Spójrz tam, srebrna plama, to Jezioro Czterech Kantonów, a tam, o, biała kołdra masywu Pilatusa.

Widzę.

– Dasz radę?

Zobaczymy.

Dał radę.

Jeszcze raz przymykam oczy i za wspomnieniem dziadka Adama unoszę się nad Lazurowym Wybrzeżem wzdłuż linii kolejowej, która przenika tunelami przez podnóże gór tonących w szmaragdowym morzu, dalej serpentyną Grande Corniche, zboczem, nabieram szybkości, by wskoczyć ostrym zakretem na malowniczą drogę Moyenne Corniche, omijam ryzykancko autokary wypełnione turystami i tnące lazurową przestrzeń kabriolety, fiaty, chevrolety, fordys, zaglądam do wnętrza i widzę różne obrazki, czasami dłoń kierowcy na pięknym kolanie pasażerki, a w tym zielonkawym chevroletcie, na brązowej skórze siedzenia, cóż to?, rewolwer? O, na tylnym siedzeniu walizka, pewnie pełna dolarów. Ups, rejestracja sycylijska. Może lećmy dalej. Może wlepmy się w bajkowy krajobraz utkany zielonym kłębowiskiem roślinności, skropiony plamami goździków i odbłaskami południowego słońca. Dosyć. Mam zadyszkę i trochę mnie mdli, nie tylko od barw bajkowego obrazka. Przysiadam na tarasie restauracji Château Madrid. Na szczęście kelner mnie nie widzi.

– *Garçon!*

Wołanie dobiegło gdzieś z boku. Zerkam przez ramię. Przy stole zasłanym do podłogi śnieżnobiałym obrusem siedzi mój dziadek w towarzystwie dwóch oficerów, porucznika Pohoreckiego i rotmistrza 23. Pułku Ułanów Grodzieńskich, Edmunda Chojckiego. Przyglądam się uważnie twarzy tego ostatniego, bo to choć poboczna, ale

ważna postać tej opowieści. Rotmistrz ma ostre rysy, trochę wydłużone uszy, wąs. Przystojny mocną męską urodą. Zamawia:

– *Trois cafés fort avec du lait, s’il vous plaît.*

– *C’est un excellent choix le matin, monsieur.*

Garçon odchodzi posuwistym, tanecznym krokiem.

– Słuchajcie – mówi mój dziadek niskim, trochę gardłowym głosem z cieniem lwowskiego akcentu. – Mamy pewien sportowy problem.

– Ty, Adam, masz jakiś, panie, problem? – dziwi się Pohorecki. – Największa ilość startów... Najwięcej zwycięstw tutaj. Masz, chłopie, jak w banku następną wielką nicejską.

– Nie chodzi o parkur ani o Grand Prix de la Ville.

– A o co? – mruczy spod wąsa Chojecki.

– O Puchar Perroquet.

– O co? – dopytuje się Pohorecki.

Adam ciężko wzdycha.

– O konkurs pijacki.

Nigdy, przenigdy nie udało się Polakom wygrać tego prestiżowego konkursu. Zdziwieni? Jeszcze jeden mit upadł?

Na odcinku przelotowej arterii biegnącej wzdłuż Riwiery, na sławnej Promenade des Anglais stoją dwa luksusowe hotele – Ruhl i Negresco. Nieopodal przyczał się jeden z najświetniejszych nicejskich nocnych lokali – Perroquet. Niezbyt obszerny, ale za to nastrojowy, a jeszcze bardziej drogi. To tu oprócz sportowych trofeów należało zdobyć jeszcze jedną cenną nagrodę nicejską: Puchar Perroquet. Zawodnicy hipicznych konkursów, a właściwie ich gardła i trzewia musiały się zmierzyć z nie byle jaką konkurencją. Wszystko według szlachetnych zasad i w bardzo oficjalnej oprawie. Panowie oficerowie stawiają się nie w mundurach, ale w smokingach, z towarzyszeniem honorowo odegranych hymnów i narodowych flag zwisających ze ścian. Przygotowane areny startu, czyli stoliki. Komisja sędziowska przy osobnym, zasiada w niej zwycięzca ubiegłorocznego konkursu. Godność przewodniczącego jury przypada najczęściej Francuzom, Włochom, Hiszpanom i Portugalczykom, czyli nacjiom obytym z piciem szampana. Jak się rzekło, polski wynik – zero. Aha, impreza jest czysto męska. Trudy pijackie nie dla oczu pań.

– Poruczniku, liczymy na ciebie – zachęca Adam.

– A bo niby, bo co? – Pohorecki nerwowo patrzy na wnoszoną baterię butelek Dom Pérignon. Wszystko według przepisu, którego wymaga trunek, uznany przed pięcioma laty za kategorię *cuvée de prestige*: lód w kubałkach chłodzi szampana, by nie przekroczył przepisowych trzech stopni Celsjusza.

– A bo jesteś najmłodszy – dopieka rotmistrz Chojecki.

– Adam najbardziej doświadczony – paruje porucznik.

– Ale ze słabą głową – ucina Królikiewicz.

– Szkoda, że nie ma z nami Wieniawy. Zapędziłby to towarzystwo w kozi róg.

– Jest jak jest. Liczymy na ciebie, poruczniku. – Ciężka dłoń Chojeckiego opada na drżące ramię porucznika.

Strzał korków! Start! Wyfraczona obsługa napełnia perlistym płynem ogromne jak garnki kielichy, po brzegi, prawie z meniskiem. Zasady są żelazne – nie można szampana odgazować mieszaniem. Podniesione w górę kielichy, sygnał sędziego:

– *Messieurs, commencez!*

Gulgocze w gardłach, chlupocze w kiszkach, nosem idą bańki, ani jedna kropla nie może spłynąć po brodzie, bo będą punkty karne albo dyskwalifikacja. Adam czuje, że wystarczy, że już głowa i trzewia zamieniły się w platynowy płyn, który wcale nie wydaje się czystą szlachetnością.

– Przepraszam was, chłopcy, ale chyba muszę... – Zrywa się od stolika.

– Eeeedeek... Króóóliikiewiiiicz naprawdę ma chyba słabąąą głooowęęę... – wydusza z siebie beniaminek.

– Trzymasz się?

– Noooo...

Drugi etap. Druga tura. Drugi przejazd. No i beniaminek odpada w klasyfikacji, czyli od stołu. Teraz zostają pojedynczy reprezentanci narodowych drużyn. Same asy. Znów nieźnośnie perlą się kielichy garnki. Do skutku, kto odpada, ten odpada. Proszę państwa! Pozostało tylko trzech zawodników: Hiszpan, Francuz i Polak! Szkoda, że państwo tego nie widzą! Rotmistrz Chojecki nie dość, że czyni to najszybciej, to jeszcze najdostojniej! Trzyma pion jak kij od szczotki, gdy reszta zawodników ledwo stoi na nogach! O, wynoszą Włocha. Co za widok... Wygląda jak Hamlet niesiony na tarczy Fortynbrasa! Włoch, proszę państwa, krzywi się jakimś dziwnym uśmiechem, ale niepodobnym do Łuku Tryumfalnego, tylko do Łuku Kłęski. Niech żyje Polska! Mamy, mamy wreszcie upragniony Wielki Puchar Perroquet!

Otwieram przymrużone oczy. Znika mi z pola widzenia szlachetna twarz pana rotmistrza. Wiosną 1940 major Edmund Chojecki zostanie rozstrzelany w Katyniu. W 1943 jego ciało zidentyfikowano podczas ekshumacji i oznaczono numerem 480. Przy zwłokach zostały odnalezione: legitymacja oficerska, legitymacja Orderu Virtuti Militari i dokument jego nadania, trzy pocztówki, dwa listy oraz portfel.

Brylanty babci Muszki

Zjedz coś, Adasiu.

– Nie mam apetytu.

Muszka podsuwa mężowi bliżej talerz. Na białej porcelanie leżą kuszące wołowe ozorki w sosie beszamelowym. Ale ich zapach nie mami rotmistrza, wręcz odwrotnie, przyprawia o mdłości. Adam odsuwa ze wstrętem porcję. Oczywiście Tomisławy robią się jeszcze bardziej okrągłe niż zwykle.

– Źle się czujesz, kochanie? Może zamówię likier miętowy?

– Nie, dziękuję.

– Herbaty?

– Dziękuję, Muszko.

Adam próbuje odwrócić spojrzenie i posłać je gdzieś hen, dalej niż brązowe wnętrze rzymskiej restauracji hotelu Santa Lucia. Ale żona wyciąga szczupłą dłoń okrytą koronkową rękawiczką i przytrzymuje męża za brodę.

– Patrz na mnie, Adam. Ty masz łzy w oczach?

– Nie.

– Co się stało?

Adam milczy, zacinając usta w kreskę. Muszka czyta w myślach męża:

– Picador?

Adam kiwa głową.

– Czym ty się martwisz? Idzie jak piorun. Mam ci zacytować recenzje „Le Petit Niçois”? Nie widziałeś szaleństwa w Nicei? A tu, w Rzymie... Startuje dwieście koni i nie ma dla niego konkurencji.

– To jest jego łabędzi śpiew, Muszko.

– Co ty opowiadasz?

Adam przelyka ślinę, wciąga nosem smugę woni beszamelu snującą się nad stolikiem, przepija ją winem i odsuwa nietknięte ozorki na bezpieczną odległość.

– Puchnie bardzo szybko, robi się zmęczony zbyt łatwo, ma już nieczyste ruchy.

– Nie widać tego.

– Ale ja czuję. I on czuje. Muszko, kochanie, on ma już siedemnaście lat... – Głos Królikiewicza tłumi nerwowa chrypka.

– Jasiak jest starszy, a...

– Jasiak już dawno zasłużył na emeryturę – przerywa jej mąż. – To cud, że jeszcze...

– Nie kończy zdania.

Muszka milczy. Przestało jej smakować ravioli.

– Co zamierzasz?

– Dziś dostałem propozycję...

W tym momencie oboje czują identyczne ukłucie w piersiach. Przyćmione światło jakby jeszcze ściemniało, podłużne wnętrza restauracji jakby jeszcze bardziej się wydłużyło.

– Chcesz sprzedać Picadora?

– To ostatni moment, kochanie.

Nic, tylko milczenie. Muszka zdejmuje rękawiczkę z prawej dłoni. Taki gest u Tomisławy oznacza groźną stanowczość.

– Nie możesz go sprzedać.

– Dlaczego?

– To własność pułku.

Adam zaciska szczęki. Chrząka. Mówi matowym głosem:

– Już jest mój. Wykupiłem go od pułku. Według przepisów ze względu na wiek jest już wybrakowany...

– Wybrakowany?!

– Wojskowo wybrakowany.

– Ile zapłaciłeś? – naciera Muszka.

– Tylko trzysta złotych – odpowiada pokornie Adam.

– Nic o tym nie wiem.

– No, tak jakoś wyszło.

– Kto ma być nowym właścicielem?

– Kobieta. Amazonka. Znasz ją, Muszko. Hrabina Dentice di Frasso.

– Ile?

Adam mówi przez ściśnięte gardło:

– Cztery tysiące dolarów.

– Jezu Chryste!

Wyjaśnijmy, dlaczego z kształtnych ust Muszki wyrwał się aż taki okrzyk. Cena dobrego samochodu wynosiła w tamtym czasie trzysta dolarów. Ale to nie był jęk zachwyty; tak samo jak w głowie rotmistrza pod czaszką mojej babci zaskwierczała myśl: najbliższy przyjaciel ma być sprzedany za cztery tysiące dolarów.

Andiamo finita, la signora contessa. Mieśmy to już za sobą, pani hrabino.

– *Si, capitano.*

Pani Dentice di Frasso wyjmuje książeczkę czekową. Drobną dłonią wypisuje dolarową kwotę na wodnym znaku towarowym Banca Commerciale Italiana. Wyziera listek czeku. Podaje. I już. Adam czuje, że serce mu stanęło. Jednym z warunków sprzedaży było zatrzymanie Picadora w dyspozycji rotmistrza do zakończenia konkursów. Drugą klauzulą było zobowiązanie, że w razie kolejnej sprzedaży Adam zostanie o tym poinformowany. A ze swej strony hrabina di Frasso przyrzekła, że Picador dokona żywota w jej pałacowym majątku Villa Madama, położonym nad Tybrem. I to wszystko. Parę minut. A potem kilka godzin wspólnego płaczu w zamkniętym szczelnie apartamencie hotelu Santa Lucia. Widzę babcię i dziadka, jak leżą wtuleni w siebie na zmiętym łożu. Nie zdjęli ubrań, ogarnęli się ramionami i on – jak zapisuje Adam we wspomnieniach – płacze, że niczym Judasz oddał duszę za pieniądze.

Przenoszą się do Mediolanu, by dalej startować. Picador już nie jest własnością Adama. Hrabina będzie startować w konkursie amazonek. Królikiewicz widzi, jak nowa właścicielka siodła konia damskim siodłem. Adam kręci głową, radzi, by prowadziła

konia po męsku. Picador jest przyzwyczajony tylko do takiego dosiada. Pani Dentice roni łzy ze zdenerwowania.

– Niech pani mu tylko zaufa. Nic więcej. *Capisci, signora contessa?* Tylko mu zaufać. Zaufała. Wygrała.

– Wiesz już, stary, pewnie, co się stało... Dlaczego nie ja cię osiodłałem? Patrzą indiańskie oczy. Nieruchome i mądre. Tak, z pewnością już wie.

Za część owych „judaszowych” dolarów Adam musiał natychmiast kupić zmiennika, by kontynuować zawody. Był nim włoski wałach Unigeno. I od razu na nowym nabytku rotmistrz odniósł niebywałe zwycięstwo. Potęga Skoku, czyli inaczej mówiąc, rekord w skoku wzwyż przez przeszkodę. 2,20 m, rekord Polski. Dacie wiarę, że ten skok zostanie wyrównany dopiero w 2010 roku? Ale niestety wynik Królikiewicza nie zostanie uznany z powodów proceduralnych. Formalistyczny Polski Związek Jeździecki stwierdził, jakoby budowa przeszkody nie była przepisowa. Trudno, legenda i tak jest zapisana i widnieje w annałach. A tak nawiasem mówiąc, rekord świata Potęgi Skoku należy ciągle do Chilijczyka Alberto Larraguibela Moralesa i wynosi 2,47. Został ustanowiony w 1949 roku i do dziś nikt go nie pobił. Znajdźcie mi drugą taką dyscyplinę sportu, w której rekord świata nie jest pobity przez prawie siedemdziesiąt lat.

Wychodzą z budynku Banca Commerciale Italiana przy Via del Corso. Adam trzyma w ręku walizeczkę pełną banknotów.

– Chcesz, kupię ci brylant.

– Nie chcę.

Muszka odwraca twarz od męża.

Katastrofa „Titanica”. „Titanic” był prawdziwym miastem pływającym, musiał więc zabrać na czas podróży odpowiednią ilość żywności. W chłodniach więc umieszczono: Świeżego mięsa 75. 000 funtów, świeżych ryb 11. 000 funt., kartofli 80. 000, jajek 40. 000, a oprócz tego tysiące funtów jarzyn, mąki, lodu, wyrobów cukierniczych i.t.d. Kredens olbrzymia zawierał 21. 000 talerzy i półmisek, oraz kilka ton nakryć stołowych. Długość korytarzy i miejsc spacerowych na pokładach wynosiła 2 mile ang. Każdy z 4 kominów „Titanica” pionowo mógłby być zamieniony na salę jadalną dla 50 osób. Najdroższy przejazd na tym okręcie wynosił 870 funt. sterl (około 8,700 rb.), za co podróżny otrzymywał apartament złożony z 2 pokoiów sypialnych, garderoby, łazienki, salonu, pokoju dla służby i oddzielnego miejsca spacerowego, z utrzymaniem całodziennem. Najtańszy przejazd w klasie trzeciej kosztował 7 funt. 15 szylingów (70 rb.).

Hm... A zatem rodzina panny Rose DeWitt Bukater musiała wybulić sporo kasy, Jack Dawson raczej nic, bo wygrał w karty bilet, śmierć i miłość. Zostawmy Kate Winslet i Leonarda DiCaprio. Dlaczego cofam się o czternaście lat i zaglądam do „Kuriera Warszawskiego” z 18 kwietnia 1912 roku, to się zaraz okaże. Otóż w 1926 roku opromieniona jeździecką sławą Polska została pierwszy raz zaproszona na arcyprestizowe zawody o Puchar Narodów do Nowego Jorku. Ministerstwo Spraw Wojskowych wytypowało trzech oficerów: majora Toczka z 10. Dywizjonu Artylerii Konnej, porucznika Szoslanda z 2. Pułku Ułanów i rotmistrza Adama Królikiewicza z 1. Pułku Szwoleżerów. Według wymogów organizatorów bez – uwaga – osób towarzyszących. Muszkę kosztowało to parę dni dąsów, ale musiała się dostosować do amerykańskiego regulaminu. Dzielnie przygotowała się na rozstanie. Wreszcie na czas wyjazdu ojca Krysia nie pofrunie pod skrzydła babci Funi do Głinojecka.

Ciężka sprawa z końmi podczas tej amerykańskiej eskapady. Jasiek był już mocno wymęczony wcześniejszymi startami, ewidentnie zasługiwał na emerytalny odpoczynek, Picadora już nie było w polskiej stajni. Toteż Adamowi oprócz świeżego Unigena trafił się jego zmiennik, nowy przyjaciel, Jacek. Jacuś był świetnym koniem, ale nieobliczalnie nerwowym. Z Warszawy jeździecka wyprawa rusza przez Zbąszyń, Berlin, Aachen, Brukselę do Antwerpii, skąd ma płynąć do Nowego Jorku. Dziś taka podróż i transport koni odbyłyby się drogą powietrzną. Tak, tak, dopiero za dwa lata uruchomi się pierwsze regularne połączenie między Europą a Ameryką – sterowcem. Zaledwie siedem lat wcześniej Brytyjczycy John Alcock i Arthur Brown samolotem Vickers Vimy przebrnęli non stop Atlantyk, a pierwszy samotny przelot nad Atlantykiem Charlesa Lindbergha odbędzie się rok później. Pionierski przelot pasażerskiego samolotu nastąpi za lat trzynaście. W 2019 roku będziemy obchodzić osiemdziesięciolecie tego wydarzenia. Tylko osiemdziesiąt lat, jedno pokolenie. Warto sobie to uprzytomnić, moszcząc tyłek w fotelu na trasie Okęcie–J.F.K. Dobra, dosyć oczywistych refleksji.

Jesteśmy w porcie, w Antwerpii. Ranek 5 listopada, punktualnie wyznaczona ósma na zegarze. Godzinny marsz z końmi z gościnnych stajni 3. Pułku Ułanów Belgijskich.

I oto u nabrzeża widać majestatyczny, nieruchomy „Lapland”, wchłaniający w paszcze swoich ładowni skrzynie z towarami. W takich boksach za chwilę znajdą się – nie ma wyboru – polskie konie. Adam patrzy na wysokie burty statku niepewnym wzrokiem. Nie zachęca go morska podróż. Adam jest kawalerzystą, nie wilkiem morskim. A do tego te burty i pokład pamiętają tragedię Titanica. SS „Lapland” pływa pod liniową banderą White Star Line. White Star Line jest linią, nad którą wisi fatum. W 1873 roku RMS „Atlantic” zatonał opodal Halifaksu, zabierając ze sobą na dno prawie sześciuset pasażerów. W 1893 poszedł pod wodę „Naronic”. W 1909 zatonał RMS „Republic”. Wymieniać dalej? Proszę bardzo. Trzy bliźniacze statki poszły karmić rybki: „Olympic”, „Britannic”, no i „Titanic”. Czy takie samo fatum wisi nad siedemnastoletnim Laplandem? Na razie jakoś się trzyma i świetnie pamięta tragedię swojego kuzyna „Titanica”. To ten statek przyjął na pokład stu sześćdziesięciu siedmiu rozbitków z „niezatapialnego” liniowca.

Adam odmierza nerwowo długość statku. „Lapland” ma dokładnie dwieście czterdzieści kroków.

Jasna cholera, ile czasu taka stalowa bryła idzie na dno? Aha, Jacek też coś złego wyczuwa w wilgotnym powietrzu. Za nic w świecie nie chce wejść do drewnianego boksu, którym za pomocą dźwigu ma być przetransportowany na pokład liniowca. Zapiera się kopytami, rży, kopie, zarył się czterema nogami w stały ład. Jednym ślepiem celuje w czarną otchłań klatki, drugim okiem łypie na majora Toczka. Bo major Toczek hipnotyzuje drania przez szkła binokli. Na nic czary-mary. Jacek nie chce płynąć przeklętym statkiem i już. Nie pomagają zachęty, nawet słodka marchewka i jeszcze słodsza kostka cukru.

– Jacuś, Jacenty, włąźże, cholero jedna.

Wreszcie luzak, wachmistrz Żygała, owija koński łeb derką. Ufff...

Ładownie końskie wyścielone pierwszorzędnym torfem, boksy dość wygodne, ale co będzie, jak zacnie bujać? Się zobaczy. Kotwica w górę. Dym z komina. Syrena na pożegnanie. Stalowe cielsko Laplanda drgnęło. Antwerpia znika na horyzoncie. Panowie – do sali restauracyjnej, bo niby dokąd.

– Chłopaki. Co będziemy, panie tego, robić przez te dziesięć kołyszających dni? – pyta prowokacyjnie major Toczek.

– Pluć i łapać – odpowiada Szosland.

– My będziemy pluć, a ty, Kaziu, panie tego, będziesz łapać – karci porucznika major. Porucznik kładzie uszy po sobie. – Czekam na pomysły. Adam?

Królikiewicz zastanawia się, obrzucając wzrokiem drewniany wystrój restauracyjnego wnętrza. Rzeczywiście, co tu robić oprócz doglądania koni? Może by i innych obiektów zacząć doglądać? Adam sięga po listę pasażerów leżącą na stole obok złocących się koniakami kieliszków. Lecz Toczek jest szybszy, zgaduje myśli rotmistrza.

– A zatem mamy, panie tego, trzy klasy na tym pokładzie. Przejrzyjmy, panie tego, pierwszą, czy mamy tu jakieś polskie nazwiska pań, panie tego. Aha, i żeby było jasne. – Ostentacyjnie zwija kartę w niedostępny oczom kolegów rulon. – Pierwszą znalezionej Polkę rezerwuję dla siebie. Po starszeństwie, panie tego. Czy to jasne jest, panowie? Drugi według szarzy – rotmistrz Królikiewicz.

– Ja mogę być trzeci – odpowiada Adam. – Kazik najbardziej szpetny na gębie. Niech

ma handicap.

– Adam, bo wiesz...

– No, nie wiem. A co? – paruje rotmistrz z uśmiechem. Lubi się droczyć z Kazikiem, a Kazik Szosland wcale nie najbrzydszy, przeciwnie, cholernie przystojny.

Nad stołem krzyżują się ironiczne błyski oczu, zakończone stuknięciem szkła o szkło. Major Toczek ucina przyjacielską zwadę:

– Dobra, panie tego. Porucznik drugi. Ale ja biorę tak czy owak pierwszą Polkę z pierwszej klasy.

– Tak jest, panie majorze! – Ton Szoslanda jest nieco drwiący.

I ma rację porucznik. Rozkaz był wart kpiny. W pierwszej klasie nie ma ani jednej polskiej damy. Toczek ciężko wzdycha.

– Bez tych rozpaczliwych westchnień, Michał. Szukaj w drugiej klasie – pociesza Adam.

– Druga klasa, panie tego... – burczy pod nosem „dowódca” loterii.

Nie ma żadnej i w drugiej klasie. Trzeba więc szukać w trzeciej.

– Jest, panie tego... – Major wydaje z siebie z jęk zawodu. – Pani Katarzyna Jajko. Z Nowego Sącza...

– Nie jęcz, Michał – pociesza „dowódcę” Adam. – Pewnie góralka. Naostż ciupagę i ruszaj w te góry.

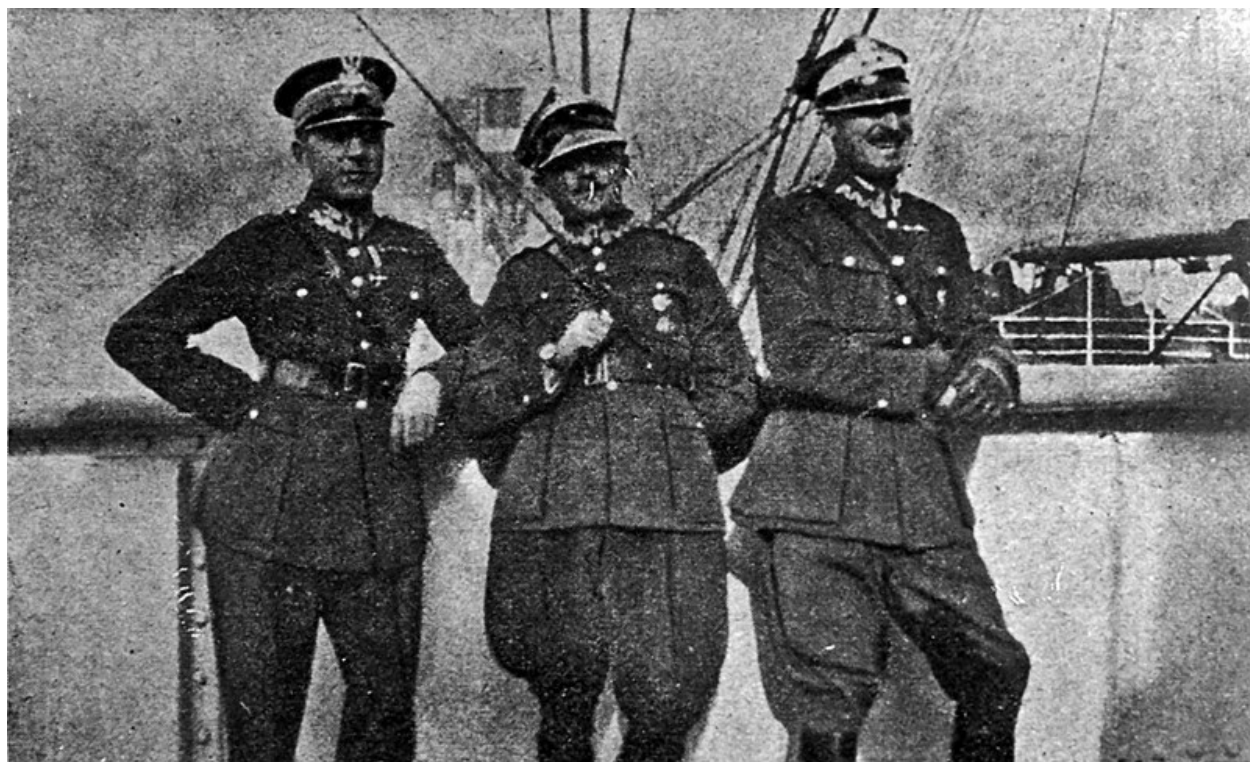
– No, panie tego, zobaczymy, jakie to Jajko.

Polskie Jajko – jak się okazało – było świeże i dość znacznych rozmiarów, tak że można nim było od biedy nasycić pierwszy okrętowy głód. Według doniesień mojego dziadka następną wylosowaną przez Szoslanda na loterii była więcej niż korpulentna pani z Białegostoku. Taki ślepy los, panie tego. Adam dyskretnie nie wspomina dalszych szczegółów. A co się trafiło rotmistrzowi Królikiewiczowi? Ano, skończyły się polskie nazwiska. I tak by nic z tego nie wyszło. „Laplandem” zaczęły miotać fale. Rotmistrz Królikiewicz zamiast oddać się miłosnym kołysaniom, oddał się chorobie morskiej. Wachmistrz Żygała – nomen omen – również. Muszka mogła być całkiem spokojna o wierność męża.

Niknie z oczu Europa, za prawie sześć tysięcy kilometrów morskiej drogi przywita ich Statua Wolności. Ale na razie sakramencko buja. Tylko żołądek starszego szwoleżera Bieńkowskiego znajduje się na swoim miejscu. Toczek i Szosland udają, że a co tam. O pani Katarzynie Jajko z Nowego Sącza brak danych. Leżaki na spacerowym pokładzie zmieniły się w szpitalne łoża. Mijam je ostrożnie, bo pasażerowie raczej zielonkawi, a usta niepewnie drżą w cierpieniu. Adam chwieje się na nogach niczym trup na urlopie. Chciałbym podejść do mojego trzydziestodwuletniego dziadka i jakoś go podtrzymać na duchu, ale i tak by mnie nie usłyszał. Schodzę razem z oficerami do ładowni. Niepokój o konie. Bucefały straciły apetyt. Stoją na szeroko rozstawionych nogach. Ich jeźdźcy masują ścięgna i mięśnie, by pobudzić krążenie krwi. Te cenne nogi muszą być gotowe do startów.

Mija tydzień rejsu. Nagle słupek rtęci na termometrze rośnie. Robi się ciepło, nawet duszno. SS „Lapland” mija Nową Fundlandię. Spójrzcie w niebo. Pierwsze skrzydlate zwiastuny lądu. Mewy. Morze wreszcie nabiera spokoju. Czujecie powiew poranka? Widzicie wychylające się zza mgły kontury? Pasażerowie wybiegają na pokład. Oni też

to widzą: Nowa Ziemia przybliża się z minuty na minutę. I wreszcie ona – Statua Wolności, *Liberty Enlightening the World*, *La liberté éclairant le monde*, Wolność opromieniająca świat.



Na pokładzie SS „Lapland”. Od lewej: rotmistrz Królikiewicz, major Toczek, porucznik Szosland (fotografia zamieszczona w książce *Od Nicei do Nowego Yorku*).

Parę ważnych nowojorskich adresów. Oczywiście Piąta Aleja. Tu stoi dwudziestodwupiętrowy drapacz chmur Hotel Baltimore, gdzie jeźdźcy się zatrzymują. Sto pięćdziesiąt pokoi i – jak zaznacza dziadek Adam – każdy z łazienką! Rotmistrz mieszka na osiemnastym piętrze. Wychyla się przez okno i czuje zawrót głowy. Z dołu dobiega ludzki gwar i szum samochodów, są to przeważnie legendarne fordyskie model T. Drugi adres: Durnland Riding Academy. Prywatna ogromna ujeżdżalnia mogąca pomieścić około trzystu koni, tam będą zdeponowane rumaki naszych reprezentantów, aż na trzecim piętrze. Tłok, rozgardiasz, kręte korytarze, pokrzykiwanie służby stajennej, dudnienie orkiestry, która przygrywa trenującym sportowcom. Polskie konie są oszołomione, ale muszą się dostosować do panujących tu nieco luźnych zwyczajów. W ogóle polscy jeźdźcy są odrobinę zdeprimowani luzacką, trochę cyrkową atmosferą, która bardziej przypomina show niż poważne zawody sportowe, jak to jest przyjęte na starym kontynencie. Taki też od samego początku panuje styl w trzecim, najważniejszym budynku. Madison Square Garden, Manhattan, między Siódmą i Ósmą Aleją i 31. i 33. Ulicą, przy dworcu Pennsylvania, niedaleko Broadwayu. Olbrzymia, kryta hala, gdzie mają się odbyć zawody, na które czeka cały Nowy Jork. Widownia mogąca pomieścić osiemnaście tysięcy widzów. Arena marmurowa, gładka, mniej więcej czterdzieści na pięćdziesiąt kroków. Może być torem kolarskim, kortem tenisowym lub hokejowym lodowiskiem. Ale najczęściej jest areną bokserską. Tym razem ma być wyścielona miękkim podłożem, ustrojona kwiatami, zielenią, no i – jak zapewnia obsługa – wspaniałymi przeszkodami. Będą przeważać w nich takiety, drewniane listewki układane na podpórkach, cholernie łatwe do zrzutki. Szosland, Toczek, Królikiewicz kręcą nosami. Tor jeszcze nie gotowy. Zdążą?

– *Gentlemen. Gonna be ready tomorrow at six a.m.* Będą panowie mogli przejechać arenę.

Będą mogli. Razem z konkurentami: Francuzami, Belgami, Hiszpanami, Holendrami, Amerykanami i Kanadyjczykami. Adam odstępkuje na moment od kolegów, przechodzi przez jeszcze nie gotowy parkur. Klnie pod nosem, widząc znienawidzone takiety, równie nieprzyjazną londyńską bramkę, wita się z no, w miarę sympatycznym murkiem i stojącą obok niego zieloną i pachnącą hurdą, czyli żywopłotem. Te przeszkody są co prawda wysokie, ale lubiane przez konie i jeźdźców. Zacytuję słowa dziadka, bo warto:

Z hurdą jak z młodą niewiastą – zawsze przyjemnie się spotkać.

Gdy następnego dnia o świcie jeźdźcy zjawiają się w Madison Square Garden, wszystko jest przygotowane tip-top. Jeszcze wczoraj nieco ponure wnętrza rozkwitło istnymi ogrodami kwiatów. Arena wypełniona miękkim torfem i trocinami. Zdziwienie: rozprężalnia tak mała, jakby jej w ogóle nie było. Jeszcze większe zdziwienie: jeźdźcy mogą przejechać konno, zapoznając się z przeszkodami. W Europie grozi za to dyskwalifikacja. Cały wic zawodów hipicznych polega przecież na tym, że koń musi pokonać nieznaną sobie teren. Na arenie hałas, rozgardiasz, bałagan. Tłum jeźdźców i amazońek w towarzystwie stajennych, przyjaciółek i kolegów. Każdy skacze, jak chce,

bez porządku i ustaleń. Trudno, Polacy muszą się dostosować do *American order*.

Południe. Uroczysty lunch wydany dla zawodników z udziałem mera Nowego Jorku. Przypatrzmy się nieco tej postaci, bo ciekawa. James Walker, a właściwie Jimmy Walker, ma czterdzieści pięć lat, jest burmistrzem z ramienia Demokratów od niecałego roku i będzie nim do roku 1932. Fotela pozbawi go z hukiem skandal korupcyjny. Mister Walker doprowadził do legalizacji zawodów pięściarskich w Nowym Jorku. Jimmy jest swego rodzaju legendą tego miasta, będzie się go wspominać jako ważny element epoki romantyzmu, jazzu i prohibicji. Powstaną o nim filmy i musicale. Przystojny, szczupły, wysoki.

Burmistrz Walker nalewa sobie szklaneczkę wody mineralnej i wznosi toast za jeźdźców. Adam zerka na etykietę. „Apollinaris Mineral Water”. Wącha płyn, podnosi butelkę pod światło. Mineralna ma piękny złocisty kolor. Rotmistrz upija łyżeczek.

– Uuu... Mocna ta mineralna.

– Niczego sobie – potwierdza major Toczek.

– *Ladies and gentlemen!* Wybaczcie, że wnoszę toast tą pospolitą wodą z bąbelkami, ale przypominam, że znajdujemy się w Stanach Zjednoczonych, gdzie surowe prawo zakazuje handlu i spożycia alkoholu. Trudno, takie czasy. Nasz kraj jest demokracją i tak zdecydowała demokratycznie demokratyczna większość. Wierzę, że wy, jako reprezentanci najbardziej demokratycznego sportu, jesteście w stanie to zrozumieć. Jeździectwo to jedyna dyscyplina olimpijska, której uczestnikami są dwaj zawodnicy pochodzący z zupełnie innych zwierzęcych gatunków. A jednak stanowią jedność. I za tę jedność, która uosabia demokrację, wnoszę toast wodą mineralną z bąbelkami!

Woda z bąbelkami bardzo szybko jest wchłaniana przez gości. Twarze rozluźniają się, języki się plączą. Demokratycznie.

Nadchodzi pierwszy dzień zawodów. Toczek, Szosland i Królikiewicz jeszcze raz obwąchują przeszkody. Włoska stacjonata, rząd trzech przeszkód jedna za drugą, paskudna rzecz, na przekątnej cholernie wąski mur, parę kroków dalej zielony żywopłot schowany w szerokim okserze, na zakręcie w lewo stoi bielona naturalna stacjonata, dalej straszy sakramencko szeroka i wysoka potrójna, pochyła triplebarre, wreszcie bielony parkan, a za nim ostatnia zmora, londyńska bramka. Na każdej z przeszkód cieniutkie jak papier taktety. Strącenie tylko jednej części przeszkody przednimi nogami – cztery punkty karne, tylnymi – dwa punkty, wyłamanie lub odmowa – jeden punkt. Cały przebieg ma czterysta metrów, przeznaczono nań dwie minuty, wysokość przeszkód 140–160 centymetrów. Jeźdźcy będą zaraz startować. Rozejrzyjmy się po trybunach.

Krzesa bliżej areny zajęły panie w wieczorowych sukniach, panowie w smokingach. Wyżej, na tańszych miejscach, zbita ciżba. Dzwonek, start. I następne zdziwienie dla europejskich uszu. Po każdym udanym skoku rozlega się huragan oklasków. Konie ze Starego Kontynentu są nieprzyzwyczajone do takiego aplauzu. U nas można bić brawo dopiero po przejeździe. No ale co się dziwić, w Ameryce nawet na koncertach symfonicznych klaszcze się po każdej części utworu, a nie na koniec. Co kraj, to obyczaj.

Adam wyjeżdża na parkur na Unigenie. Patrzy z nienawiścią na taktety. Wystarczy podmuch końskiego brzucha, by listewka sfrunęła z przeszkody jak kartka papieru. Najeżdża na przeszkody wolno i delikatnie, niczym lis. Każdy krok wyliczony, tempo ostrożne, skok jak na zwolnionym filmowym klatkażu. Nie ma mowy o brawurze i fantazji, którą tak lubią i którą charakteryzują się polscy kawaleryjscy jeźdźcy. Jakoś się udało.



Trening przed wyjazdem do Nowego Jorku. Od lewej: rotmistrz Adam Królikiewicz, major Toczek, porucznik Szosland.

Wreszcie najważniejszy dzień zawodów. Jest 25 listopada 1926 roku. Walka o najświetniejszą nagrodę sezonu – The International Military Trophy, czyli po naszymu Puchar Narodów. Zespołowa walka. Warto ją wygrać. Warto przypomnieć, czym jest Polska. Jeszcze parę dni temu „The New York Times” zamieścił wzmiankę o przyjeździe polskich zawodników obok ekscytującej wiadomości, iż do Nowego Jorku sprowadzono białego słonia z Indii. Adam nie wie, którego konia wybrać do walki – Unigena czy płochliwego, ale zaciętego Jacka.

– Weź mojego Faworyta – proponuje Toczek. – Adaś, nie zastanawiaj się, panie tego. Zobacz, jak duszno jest w tej hali. Widzę, jak twoje konie się męczą. Mój Faworyt, panie tego, ma większe płuca.

Większe płuca, mniejszy charakter, odpowiada w myślach Adam.

– Nie wiem, nie wiem...

Chętnie nachyliłbym się do ucha dziadka i podszeptał mu, ale co ja się tam znam. Unigeno to koń o ogromnej potędze skoku, ale serce ma słabsze, tu trzeba przyznać rację majorowi. Jacek jest nieobliczalny, stać go na różne niespodzianki. Jak będzie reagował wściekły temperament na okrzyki i aplauz z trybun? A co będzie, gdy swoim zwyczajem, wyładowując złość, zacznie „szczekać” na cały Madison Square Garden? Wybuchnie salwa śmiechu i spłoszy Jacentego do reszty. Ale z kolei on taki waleczny...

– Dokąd ty, Adaś, panie tego? – Toczek patrzy, jak Królikiewicz zmierza w stronę trybun, tam, gdzie siedzą konsul Gruszka i jego urocza małżonka. Adam prosi o pożyczenie dziesięciocentówki. Pani Gruszkowa wyjmuje z portmonetki dime’a. Adam rzuca monetą, łapie ją w czapkę. Los zadecydował: Jacek.

Parkur podobny do wczorajszego, tylko jeszcze bardziej wredny, bo przeszkody są podwyższone. Prezentacja ekip. Polacy wylosowali przedostatnie miejsce startowe. Gdy przed trybunami przejeżdżają polscy jeźdźcy, przez tłum przebiega szmer polskiej mowy. Dużo rodaków. Przysiadam na schodkach obok polskiego sektora i oddaję głos dziadkowi:

Pomyślałem o kraju. Daleko za oceanem czekano na pierwszą wieść, na suchą notatkę – Polacy na takim a takim miejscu. Ponad tłumem, wśród siedmiu flag jaśniała wspaniałymi kolorami biało-czerwona chorągiew. Czy będzie dzisiaj wciągnięta na maszt zwycięzców?

Rusza Toczek na Hamlecie. Adam wycofuje się z areny, nie chce patrzeć na przejazd przyjaciela. Aplauz rozdziera ściany Madison Square Garden. Zrywam się ze swoich schodków. Krzyczę razem z polskim tłumem. Parkur przejechany bez błędu.

Szosland na Redgledtacie. Znów ryk tryumfu. Znów bezbłędny przejazd.

Kolej na Adama. Dziadek trzyma Jacka za pysk. Jacenty wydusza z siebie nerwowe poszczekiwanie. Pierwsza przeszkoda bezbłędna. Druga. Jacek wyrывa do przodu, jest nie do opanowania. Zrzutka, cztery punkty karne. Zimny pot zlewa plecy Adama. Następne przeszkody bezbłędnie wzięte. Osiem kroków do pionowego nieznośnego płotu. Uda się? Tak. Reszta przejazdu bez zrzutki. Tylko cztery punkty karne. Siadam na schodkach mokry jak szczur.

Teraz Amerykanie. Groźni, ale nie najgroźniejsi. Tuż po nich, w drugiej serii, najwięksi rywale Polaków, Francuzi. Jadą znacznie gorzej. Tym razem uzbierali dwadzieścia jeden punktów. Belgowie dołują. Także Kanadyjczycy, Holendrzy, Hiszpanie i Amerykanie. A Polacy? Znów pierwszy do boju rusza major Toczek. Znów Adam umyka z areny. Ja też wolę nie patrzeć. Toczek zjeżdża z parkuru. Błady i zielony. Rozpacz. Dwa „przody”, jeden „zad” i dwie taktety. Jedenaście punktów do tyłu. Teraz rusza Szosland. Na szczęście tylko cztery i pół punktu. Adam musi zamknąć pulę. Jacek się wyrывa. Adam ściąga mu pysk. Jedno wyłamanie, jedna takteta. Tylko półtora punktu w plecy. Adam zjeżdża z areny.

Za chwilę orkiestra zagra polski hymn. Polscy jeźdźcy najlepsi. Publiczność wstaje z miejsc. Generał Henry T. Allen przypina Jackowi niebieską wstęgę zwycięstwa. Jacek walczył kiedyś pod dowództwem generała, bo Jacek to Amerykanin, podobnie jak Picador. Tak to się plecie. No i jeszcze nagroda – olbrzymia drogocenna taca z czterema złotymi podkowami, po powrocie do kraju zostanie wręczona prezydentowi Mościckiemu. Gazety zapomniały o białym indyjskim słoniem. Dzienniki w dziesiątkach milionów egzemplarzy piszą o polskich jeźdźcach.

I taki jeszcze suplement. Nasi kawalerzyści odwiedzają akademię wojskową West Point. Zaprojektowaną przez Tadeusza Kościuszkę. Witają ich salwy armatnie i szwadron czarnoskórych kawalerzystów. To na pamiątkę, iż generał Kościuszko, umierając, zapisał swój majątek na wykupienie niewolników. A tak w ogóle to Polacy wygrali Puchar Narodów trzy razy. W 1929 roku porucznicy Starnawski, Zgorzelski i Gzowski zdobyli już na zawsze Puchar dla Polski.



Polska ekipa jeździecka po tryumfach w USA z wizytą u prezydenta Ignacego Mościckiego.

Zabieram głos, aby imieniem narodu polskiego dać wyraz uczuciom i myślom, które opanowały w tej chwili serca milionowej rzeszy obywateli tej Rzplitej. Poryw, serdeczne wzruszenie, hołd jednomyślny tysięcy od Bałtyku do Karpat, od Wisły aż po rodzimą dla poety Ikwę świadczą, że naród cały w fakcie odzyskania dla ziemi naszej najdostojniejszych prochów widzi i czuje znamiona głębokiego znaczenia. Czynimy bowiem przedewszystkiem akt sprawiedliwości w stosunku do wielkiego człowieka, którego los wydał na tułaczkę, cierpienia, wygnanie i nędzę. Czynimy zadość upokarzającym dla naszej narodowej dumy wspomnieniom żebraczego niemal pogrzebu w złotny odwieczarz obcego miasta. Na miejsce ubożuchnej trumny kładziemy sztandary narodowe, kładziemy purpurę, marmury i wieńce. Na miejsce przeraźliwej ciszy i opuszczenia stanowimy bicie wszystkich dzwonów, salwy i pochylene przed nim wszystkich sztandarów.

Tak witał w ojczyźnie prezydent Mościcki trumnę z prochami Słowackiego. Wiadomo, komu zawdzięczamy sprowadzenie szczątków poety do kraju. Temu, który trzymał na szafce nocnej oprawną w skórę księgę z poematem *Król-Duch*, temu, który znał na pamięć *Beniowskiego* – Piłsudskiemu. Widok płynącego Wisłą statku „Mickiewicz” przyozdobionego ciężkimi girlandami, bicie dzwonów, salwy armatnie, chóralne śpiewy, sypiące się z mostów kwiaty i wieńce, oto, co moja mama pamięta z dzieciństwa jako pierwsze poważne – tak, nie bójmy się patosu – patriotyczne wspomnienie. Widzę, jak stoją z Adamem na grudziądzkiej skarpie.

– Patrz, Krysiu, i zapamiętaj na całe życie.

„Mickiewicz” z prochami Słowackiego cumuje uroczyście w Grudziądzu, skąd popłynie do Warszawy, a stamtąd z honorami do Krakowa, gdzie wieszcz zostanie pochowany na Wawelu. Moja matka ma sześć lat i za przykazaniem ojca zapamięta tę chwilę do końca życia. Jak całe jej pokolenie. Słowacki, Mickiewicz, Norwid, także dla niektórych Joseph Conrad, będą drogowskazami dla całego jej pokolenia. Za kilkanaście lat to pokolenie będzie kamieniami rzuconymi na szaniec. Ale na razie stoją odświętnie ubrani na wiślanej skarpie i odprowadzają statek zachwyconym spojrzeniem dziecięcych oczu, wsłuchują się w mało zrozumiałe patetyczne słowa prezydenta Mościckiego, patrzą na żałobny wagon kolejowy, który dostojnie sunie do Krakowa, słuchają rozkazu Marszałka wypowiedzianego na tonącym w deszczu wawelskim dziedzińcu: „W imieniu rządu Rzeczypospolitej polecam panom odnieść trumnę do krypty królewskiej, by królom był równy”. Mało jeszcze rozumieją z kazania biskupa Godlewskiego:

Prochy Juliusza Słowackiego pleśnią lat pokryte, wstąpiły na Wawel do świątyni narodu, aby na ziemi polskiej tym razem u stóp Bogarodzicy naszej, obok Mickiewicza prochów, na wieczność spocząć. Nie do zgliszcz, nie do rumowisk powraca wieszcz z wygnania, jak ongi Prorok Pański do gruzów Syjonu. Nie do Ojczyzny, ćwiekami rozdartej, zdeptanej, targanej, ale do wolnej, do zmartwychwstałej Polski, której pożądał i o której marzył w sennych widziadłach i płomieniach ekstaz, i do Polski nowej, do braci swoich, u jego szczątek śmiertelnych skupionych, dzisiaj – z wyżyn wawelskich duchem swoim i dziejami tego ducha

przemawia.

Kilkulatkowie nie wczytują się jeszcze w strofy Lechonia:

*Tę trumnę całą w kwiatach, tę drogę wspaniałą,
Bicie dzwonów i blask ten, co kościół rozjarzył,
Kiedyś sobie ubogi suchotnik zamarzył.*

Padły państwa olbrzymie, aby tak się stało¹⁶.

Albo Tuwima:

*Witaj, trumno wążiutka!
Co tam stuka w popiele?
Czaszka, wyschłe piszczele,
Paryskiej ziemi grudka,
Nie wiem co, ale niewiele...*

Dzień dobry, biedny aniele¹⁷.

Ta „trumna cała w kwiatach”, którą „bicie dzwonów i blask ten, co kościół rozjarzył”, zawiera kosteczki, które zmieściłyby się w podróznym tobołku, tak niewiele zostało z ciała poety. Wiedział Marszałek, co robi, sprowadzając prochy wieszczka do ojczyzny, jednocząc wokół pogrzebu cały naród, bo naród lubi się jednoczyć wokół uroczystych pogrzebów. Co z tego w narodzie zostaje, to już inna sprawa. Wiem jedno, moja sześćoletnia mama stoi na wiślanej skarpie i słucha słów ojca, oficera, któremu nieobce są słowa poety spoczywającego w uroczystej trumnie: „Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy, / A drugie tu pół dla szczęścia zachowa”¹⁸. W roku 1927 Krzysław Baczyński ma także, jak moja mama, sześć lat. Już niedługo napisze: „Jeno wyjmij mi z tych oczu / szkło bolesne – obraz dni, / które czaszki białe toczy / przez płonące łąki krwi”¹⁹. Jeszcze stoją na skarpie wiślanej, jeszcze patrzą za żałobnym wagonem mknącym po czarnych nitkach szyn, jeszcze nie rozumieją, czym się sycą. Wkrótce się przekonają na „płonących łąkach krwi”.

Czytam w krakowskim „Czasie” z 28 czerwca 1927 roku:

Jeśli ramię działające ma być silne i mocne, jeśli rozmach jego ma się otrzeć o krańce horyzontu, musi czerpać swą siłę z zapatrzenia się w krainę poza realny widnokrag sięgającą. [...] Tworzenie mitu i potrzeba jego istnienia są tak wielkie i tak dla życia ludzkich grup niezbędne, że ilekroć ustaje „pęd mito-twórczy”, tylekroć rodzi się bezwład i niemoc czynu. Trzeba koniecznie zaopatrzyć się w jakieś słońce, trzeba uwierzyć w jakąś wiarę, trzeba oślepić się blaskiem jakiegoś mitu, aby móc na szalę historii rzucić ważny następstwami ciężarny czyn.

Dziś już nie patrzymy z przekąsem na romantycznych zapaleńców, na zapalnych i gorących bojowników powstań i nie mamy już dla nich sceptycznego uśmieszku i w pozytywizm owiniętego morału, bo wiemy, że krew z ich ran była posiewem wiary w niepodległość i pokarmem narodu, upadającego pod krzyżem cierpień²⁰.

Trumna odpływa na południe. Zatrzyma się jeszcze w Toruniu, Włocławku, Płocku, Wyszogrodzie, Modlinie, wreszcie dobrze do brzegów Warszawy. Bateria armat huknie w Alejach Jerozolimskich dwudziestoma i jednym wystrzałem, orkiestra wojskowa odegra *Marsz żałobny* Chopina. Wniosą trumnę do purpurowego wagonu numer 10. Przybrany kirem pociąg zatrzyma się w Skierniewicach, Koluszkach, Piotrkowie

Trybunalskim, Radomsku, Częstochowie, Zawierciu, Sosnowcu i Katowicach. Przed godziną dwudziestą pierwszą pociąg przybędzie do Krakowa. Wagon z trumną Słowackiego zostanie przetoczony na pomost nad ulicą Lubicz. Po uroczystości powitania prochy Słowackiego przeniesione zostaną do zaaranżowanej na Barbakanie kaplicy, gdzie spoczną przez całą noc wśród wart honorowych i oddających cześć krakowian²¹.

A tymczasem Adam, który na pamięć zna *Pana Tadeusza* i często usypia córeczkę trzynastozgłoskowcem, przepowie na dobranoc Krysi słowa tego, na którego trumnę dziecko patrzyło rozwartymi oczami:

– Szli krzycząc: „Polska! Polska!” – wtem jednego razu / Chcąc krzycheć zapomnieli na ustach wyrazu; / Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna, / Szli dalej krzycząc: „Boże! ojczyzna! ojczyzna!” / Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka, / Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?”²².

Nie wiem, jaki sen śniła moja mama tamtej nocy. Nie wiem, jaki sen śnił tamtej nocy Marszałek Piłsudski, nie mam pojęcia, co się przyśniło Romanowi Dmowskiemu, a co mogło się przyśnić Ignacemu Daszyńskiemu, też nie mam zielonego pojęcia.

Londyn po raz wtóry. Tym razem bardziej kusicielski niż poprzednim razem. Startują w sławnej Olympii, a po Londynie polscy jeźdźcy będą gościć w Aldershot, na terenie koszar kawalerii Gwardii Królewskiej. Trzeba tu wspomnieć, że zawody hipiczne były częścią ogromnego show, któremu przewodziła postać tytanicznej postury, o groźnym spojrzeniu i krzaczastych brwiach, lord Lonsdale. Wpisuję jegomościa w wyszukiwarkę, by wyobrazić sobie bohatera londyńskiego epizodu. Faktycznie, można się przestraszyć hrabiego, wygląda trochę jak członek rodziny Addamsów. Lord Lonsdale, jak się rzekło, jest gospodarzem całej imprezy, która w tamtych czasach była jednym z najważniejszych londyńskich wydarzeń. Jak już to kilkakrotnie chyba wspominałem, koń w owych czasach był codziennym towarzyszem człowieka, elementem uzbrojenia, częścią logistyki, środkiem transportu. Toteż coroczne wystawne targi końskie odbywające się przy Hammersmith w dwuhektarowej hali przyciągały tłumy. Jednym z konkursów były szranki, w które stawały konie pociągowe.

Na arenę wjeżdżają ciężkie zaprzęgi ciągnięte przez olbrzymie piwowarskie konie. Odbywa się skomplikowana i bardzo efektowna parada połączona z ewolucjami, powożeniem. Jury pod surowym okiem lorda Lonsdale'a ocenia umiejętność powożenia, typ konia, wzrost, budowę, dobór par koni, kondycję, ruch w stępie i kłusie, toaletę, pielęgnację, uprzęż, a także wygląd woźniców. A ci to rosłe byczyska. No właśnie.

Oto jesteśmy świadkami, jak Jego Hrabiovska Mość lord Lonsdale dekoruje trzech pierwszych zwycięzców. Dżentelmen jest odziany w ciemny tużurek, na głowie cylinder, który jeszcze dodaje mu wzrostu. W kąciku ust nieodłączne cygaro, które ponoć wolno mu trzymać w ustach nawet w obecności króla. Ale cóż to się dzieje? Ostatni zawodnik odłącza się z szeregu i wdaje się w jakąś słowną utarczkę z Jego Lordowską Mością. Ewidentnie czuje się pokrzywdzony. Niestety nie możemy dosłyszeć rozgorączkowanych słów, którymi woźnica atakuje hrabiovskie ucho. E tam, i tak nie zrozumielibyśmy potoku wyzwisk, bo są one wypowiedane w cockneyowskim dialekcie. Wychylam głowę, by lepiej się przyjrzeć utarczce. Widzę, jak lord Lonsdale zdejmuje z głowy cylinder i podaje eleganckie nakrycie stojącemu obok majordomusowi. Następnie, nie wyjmując ani na sekundę z ust cygara, strzela pięścią w pysk awanturującego się woźnicę. Na trybunach zalega martwa cisza. A następnie wybuchają oklaski, które cuca obitego impertynenta. Nieszczęśnik zbiera się z gleby i niemrawo umyka z areny.

Zaglądamy do „Daily Mail” z dnia następnego:

Wczorajszy incydent, który wydarzył się na arenie Olympii podczas pokazów zaprzęgowych koni piwowarskich, skutkuje rekompensatą, jaką wyznaczył jednemu z woźniców sir Lonsdale. Utarczka słowna, którą wywołał nieszczęsny wozak, miała swoje przyczyny w wielkiej miłości tegoż do swych koni, które w mniemaniu właściciela zostały niesłusznie skrzywdzone niską klasyfikacją. Toteż rozumiejąc okoliczności lord Lonsdale uhonorował woźnicę osobistą nagrodą, wypłacając z własnej kieszeni kwotę wysokości

5 funtów szterlingów.

Jakoś nie idzie naszym jeźdźcom w pierwszym dniu zawodów. Coś nie gra, jakieś dziwne roztargnienie, za dużo bodźców, z których najgorszą pokusą jest widok ponętnych damskich kształtów. Cholera bierze naszych kawalerzystów, gdy widzą wysportowane sylwetki krążące po hali Olympii, ta ich wyniosłość, pozorna angielska obojętność... Krew wrze w żyłach, a krew nie woda. Jak ją ostudzić? Ano, znajduje się rodak, warszawiak, student z Oksfordu, nazwijmy go „Franek”. Franio nie odstępuje naszych jeźdźców na krok, widzi rozgorączkowanie i rozprężenie w ekipie.

- Panowie, nie możecie się tak męczyć. Zabieram was.
- Dokąd?
- Byliście, panowie, w czerwonej dzielnicy?
- Nie.
- To będziecie.

Następnego dnia, po wizycie na Soho, ekipa odniosła znaczne sukcesy.

Przenosimy się o czterdzieści mil od Londynu. W Aldershot nie ma pokus. Jak to w koszarach. Spartańsko. Startuje sto koni. Nie przelewki. Adam jest już po pierwszej części zawodów, gdy nagle prawie zwała go z nóg potworny ból w nerkach. Kara za londyńskie grzechy? Ambulans. Szpital wojskowy. Poczekalnia. Sanitariusz znika. Znikąd pomocy. Kamienie w nerkach rzną do obłędu. Gdzie się wszyscy, do jasnej cholery, podziali?! Aaaa... *Tea time.*

Jezu Chryste... Jeśli szybko mi jakoś ten wściekły ból zlikwidują, zdążę jeszcze na drugą część zawodów, snuje gorączkowe myśli Adam. Muszko... Ratuj!

Akurat, dziadku. Już cię babcia poratuje... Wreszcie znajduje się jakaś pielęgniarka, z którą od biedy można się dogadać po niemiecku. Ładują nerkowego pacjenta do łóżka. I nagle – jak ręką odjął, bóle mijają. Trzeba pędzić na stadion. Adam wyskakuje z łoża boleści. Błyskawicznie się ubiera. Ale gdzie są buty? Nie ma butów. W drzwiach staje dyżurny sanitariusz, widzi pacjenta gotowego do ucieczki.

– *Go back to the bed, immediately!*

Adam się szarpie.

– Buty! Do jasnej cholery, gdzie moje buty!

– *Yes, yes, boots.*

Pielęgniarka umyka. W drzwiach staje angielski łapiduch z butami w ręku. Patrzy na wariata, który jeszcze przed chwilą wył z bólu, a teraz wyje za butami. Adam łamie język na angielskiej mowie, lekarz łamie na francuskiej. Ale wreszcie wyjaśnia się, o co chodzi z butami. To zabezpieczenie przed ucieczką. Takich kawaleryjskich jełopów, którzy czmychali ze szpitala, było tu już kilku. Potrafili urwać się z lazaretu nawet na bosaka. Tym razem polski jeździec umknie obuty. I zdąży jeszcze na drugą część zawodów. Z kamieniem w nerce zdobędzie drugie miejsce.

Muszko, *sorry...*

A co w Polsce? Co w stajni przy ulicy Ułańskiej? Jasiak się pochylił, obrósł starczą

szczecina. Wychodzi z boksu. Nie jest uwiązany, może się snuć po pułku, jak mu się żywnie podoba. Nawet i do kuchni zajrzy. Powącha, co w garnku. A jak mu się zapach nie spodoba, da znać kucharzowi o swojej dezaprobachie donośnie, tylną częścią ciała. Ma prawo zasłużony kombatan do wszystkiego. Na ścianie boksu pamiątki zwycięstw. Patrzy na nie Jasiak zamglonymi już oczami.

No i gdzieś ty się podział?

– W Londynie byłem, Jaśku.

Beze mnie?

– Bez ciebie.

Glinojeck.

– Stefuniu! Nocnik!

Inspektor Stanisław Lilienstern ma już swoje lata, trochę podupada na zdrowiu, lepiej się trzyma młodsza Stefania. Ale postura pana Liliensterna nadal groźna i mocna. Jest jeszcze krucha niania Natalia, no i Krysia, która podczas zagranicznych wojaży rodziców spędza czas u dziadków w cukrowni Izabelin. Świat wokół wydaje się czarowny, tajemniczy, czasami groźny. Sam tego doświadczyłem, spędzając w dzieciństwie wakacje w Glinojecku. Cukrownia jeszcze była czynna. Dziś pozostały z niej tylko fragmenty murów, zapuszczony park, wspomnienie dawnej świetności, zrujnowany fabrykancki pałacyk. Izabelin nie przetrwał ani komuny, ani przemian ustrojowych i konkurencji, cukier dziś nie jest białym złotem jak kiedyś. W 1977 roku rozpoczęto budowę nowej cukrowni we wsi Zygmuntowo, położonej zaledwie kilka kilometrów od staruszki. Produkcja ruszyła pełną parą w 1985 roku. Starą cukrownię Izabelin definitywnie zamknięto na cztery spusty w 1987 i skazano na powolną śmierć. Po odzyskaniu suwerenności od roku 1997 do 2010 właścicielem nowej cukrowni Glinojeck w Zygmuntowie został koncern British Sugar Overseas, a później fabrykę przejęła spółka Pfeifer & Langen.

W mojej pamięci wakacje w Glinojecku u „cioci” Natalki to smak grubej pajdy chleba posmarowanej grubo masłem, na którą sypało się jeszcze grubszą warstwę – a jakżeby inaczej – cukru. To łowienie ryb ze Stasiem Czubakiem, synem Natalki, w dzikiej Wkrze, pełnej śmiertcionośnych wirów. To zapach kombinezonu „wujka”, męża Natalki, który nosił na sobie woń węglowego dymu. „Wujek” był maszynistą wąskotorowej kolei, która obsługiwała cukrownię. Bardzo się chwaliłem wszem wobec, że mam wujka maszynistę. Wspomnienie ma smak niedojrzałych papierówek, po których dostałem potwornych bólów brzucha i gorączki, to też wspomnienie, które do dziś wzbudza strach w trzewiach, kiedy o mało nie podpaliłem skromnej chatki „cioci” i „wujka” Czubaków. Wreszcie pamięć przyprawia o najprawdziwszy dreszcz grozy. Horror spowodowany był tragicznym wypadkiem. Kilku robotników cukrowni wpadło do kadzi z wrzącą melasą i żywcem się w niej ugotowało. Jeszcze teraz przechodzą mnie dreszcze na wspomnienie tłumnego pogrzebu cukrowników i szeleszczą mi w uszach szczegółowe opisy ich męczeńskiej śmierci. Ale w refleksjach mojej mamy Glinojeck jest sielanką, wyidealizowanym obrazem dzieciństwa i młodości. Miejscem wypadów drezyną do pobliskich lasów, swawolnych przejazdów dwukółką czy linijką do sąsiednich ziemiańskich posiadłości. To bale przebierańców, pierwsze miłości i pierwsze pocałunki. To kąpiel w wirzastej rzece, na brzegu której stały eleganckie łaźienki, gdzie można było przebrać się w pasiasty kostium kąpielowy i czepek. To wreszcie ciepłe, opiekuńcze oczy babci Funi i czarne jak węgle, pełne błysków humoru dziadka Stasia.

– Stefuniu, nocnik! Czy ty nie masz dla męża litości?

– Może ja ci podam, dziadku? – Do sypialni zagląda czarna czupryna.

– A tobie, Kryśka, nie uchodzi.
– A może sam sobie weźmiesz, dziadku?
– Schylać się nie mogę – pojękuje pan inspektor Stanisław Lilienstern. – Lumbago mnie zmogło.
– Co to jest lumbago?
– Heksenszus.
– Cccooo?
– Inaczej postrzał czarownicy, Krysieńko.
– Czarownica cię postrzeliła, dziadku? Za co?
– A za to, że twój dziadek jest oczajduszą i birbantem. – Wreszcie w progu pojawia się babcia Funia. W dłoniach trzyma wyparzony porcelanowy nocnik z błękitnym chabrem na dnie. Krysia nie lubi tego przedmiotu, bo kojarzy jej się z torturami, z nasiadówkami, które musi pobierać, kiedy się nabawi zapalenia pęcherza po kąpielach we Wkrze.

– Wyjdź, Kysiu, bo dziadek będzie teraz siusiał i przeraźliwie jęczał.

Przepowiednia się sprawdza. Podnoszeniu z łóżka zbolełego inspektora Liliensterna towarzyszą niewysłowione męki. Trzeba wyjaśnić przytyki pani Lilienstern wobec małżonka. Ze birbant i oczajdusza? Ano raz na jakiś czas Stanisław robi męskie wypady do stolicy. Towarzyszy mu często brat Adama, Waclaw. Stanisław uwielbia wizytować operetkę, kabarety Morskie Oko i Qui Pro Quo w podziemiu Galerii Luxenburga przy Senatorskiej 29, gdzie można posłuchać i popatrzeć na Bodo, Hankę Ordonównę, Fogga, Mirę Zimińską, Zulę Pogorzelską, uśmieć się z Dymyzy, Olszy, otrzeć łezkę wzruszenia podczas występu wodewilisty Gustawa Cybulskiego, no i wysłuchać łamańców językowych Járosegó. A potem do Adrii na flaszeczkę wiśnióweczki Baczewskiego. I nie wiadomo, kiedy człowiek, mocno pod gazem, znajdzie się w dorożce, a dorożkarz łapserdak pledu pożałuje i człowieka, psia jego mać, zawieje, i lumbago w lędźwiach gotowe, i człowiek jęczy, i nawet o nocnik musi prosić. O wstydzie.

Następnego dnia już jest lepiej. Już w krzyżu nie łamie. Stanisław i Krysia siedzą przy haftowanym obrusiku w kuchni. Kryśka męczy się nad wstrętnym kakao. Patrzy na oka pływające na powierzchni kubka. Kryśka nie cierpi tej tłustej lury.

– Pij, Krysieńko – namawia babcia Funia.

– Kiedy nie mogę.

– Możesz i musisz. Musisz być silna i mocna jak tatuś. Bo jak dziadek to raczej nie. Dziadek to słabeusz.

Stanisław gromi małżonkę, ale tylko oczami, bo usta pod wąsem krzywią się w uśmiechu. Babcia Funia wzrusza ramionami i majestatycznie opuszcza progi kuchni. Pan inspektor Stanisław Lilienstern odczekuje moment, uchyla okno i lu!, wylewa wstrętne, tłuste kakao na klombik. Szybka niema wdzięczność w czarnych oczach Krysi. Babcia Funia w progu. Zagląda do pustego kubka.

– No i widzisz. Smakowało?

– Tak, babciu.

– To dlaczego masz taką krzywą minkę?

- A... bo... mi się ząb rusza – kłamie Kryśka.
- A to zaraz nitkę przywiążemy do ząbka i do klamki, i...
- Nie! – stopuje Stanisław żonę. – Pojedziemy do doktora Gliksona do Ciechanowa.

Doktor zrobi to bezboleśnie.

- Nie chcę do doktora – krzywi się jeszcze bardziej Kryśka.
- Słuchaj, co dziadek mówi. Dziadek jest mądry, praktyczny i...
- I oczajdusza, i birbant – wtrąca Kryśka.

Jadą służbowym fiatem. Drogą na północ. To tylko dwadzieścia kilometrów z haczykiem. Już są w miasteczku. Suną w stronę Starego Rynku. Nad Ciechanowem góruje ceglany gotyk kościoła farnego. Mijają całkiem znaczne domostwa murowane i przygarbione drewniane. Kryśka ma kiepską minę.

- Ale dziadku, ten ząb... – Zaczyna usteczka, bo nie chce powiedzieć prawdy, że mleczak wcale się jeszcze nie rusza.

- Co ząbek, wnusiu?
- Nic, dziadku.
- Nie martw się. Doktor Glikson tak zrobi, że nie będzie bolało.

Jadą Staromiejską, mijają synagogę przy ulicy Zakroczymskiej, mijają stragany, mijają beczki z tłustymi śledziami, słodkiuchne owoce, parujące kiszki, chrupiące bajgle, kruche ciastka, gorzką czekoladę, bąbelkowaną wodę sodową, długie szale, różnorakie skarpetki i także same sznurowadła, fikuśne spinki, igły wszelkiej długości, kolorowe nici, błyszczące lusterka, biało-czarne tałesy, stare gazety, mijają nawoływania: „O rodzic i kinder! Gejts aher cu di wata cukrowe ikh sitrinowa lemonjada!”, mijają mycki, mijają brody, mijają chałaty.

Gabinet dentystyczny doktora Michała Gliksona mieści się na Starym Rynku pod numerem 6. Na pierwszym piętrze. Drzwi do gabinetu doktora Michała Gliksona nie wyglądają zachęcająco. Łuszczą się z białej farby. Doktor Glikson ma na sobie również niezbyt świeży fartuch uwiązany na plecach i o zgrozo, gdzieśgdzie upstrzony plamkami krwi. Kryśka czuje, jak dusza ucieka jej w pięty. Siada posłusznie na fotelu. Patrzy na narzędzia tortur leżące w szklanej szafce.

- A który to ząbek boli, moje kochanie? – pyta dentysta.
- Nie boli, tylko się rusza – wtrąca inspektor Lilienstern.
- Czy to pana ząbek, panie inspektor Lilienstern? Ja się pacjentki zapytuję.
- Ale to ząbek mojej wnuczki – paruje Stanisław.
- To ja uprzejmnie dziadka upraszam, żeby poczekał na poczekalni.
- Nie ruszę się stąd, panie Glikson.
- Napieram pana, panie Lilienstern.

Dziadek Stanisław wzdycha i jednak posłusznie opuszcza gabinet. Przysiada na skrzypiącym krześle w poczekalni. Lumbago znów się odezwało w krzyżu. Kryśka widzi, jak potworna paszcza szczypiec zbliża się do jej buzi.

- Się o nic, dziecko, nie obawiaj się. Otwórz szeroko buziaczek.

Przez drzwi gabinetu przenika głośny krzyk Krysi: „Aaaaaa!!! Panie Glikson!!! Dziadku, ratunku!!!”. Inspektor Stanisław Lilienstern wpada jak nawałnica. Widzi zakrwawioną buzię wnuczki, zakrwawione szczypce, a w ich szczękach zakrwawiony mleczak. Pan inspektor Stanisław Lilienstern nie może utrzymać nerwów na wodzy

i bije w pysk doktora Michała Gliksona. Doktor Michał Glikson osuwa się na podłogę i na chwilę traci przytomność. A gdy ją odzyskuje, wypowiada te oto słowa:
– No, panie Lilienstern... Żeby Żyd bił Żyda?



Fotografia pracowników cukrowni „Izabelin” w Głinojecku. W dolnym rzędzie pierwszy z prawej Stanisław Lilienstern (1929 lub 1930).

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy „do ludności”, „do żołnierzy”
Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak
W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić,
Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę
Ojczyznę szarpać deklinacją
I łudzić kolorowym godłem,
I judzić „historyczną racją”
O piędzi, chwale i rubieży,
O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach;
Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin,
Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
Że za ojczyznę – bić się trzeba;
Kiedy rozścierwi się, rozchami
Wrzask liter pierwszych stron dzienników,
A stado dzikich bab – kwiatami
Obrzucać zacznie „żołnierzyków”. –
– O, przyjacielu nieuczony,
Mój bliźni z tej czy innej ziemi!
Wiedz, że na trwogę biją w dzwony
Króle z panami brzuchatemi;
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: „Broń na ramię!”
Że im gdzieś nafta z ziemi sikła
I obrodziła dolarami;
Że coś im w bankach nie sztymuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tłuste szuje
Cło jakieś grubsze na bawełnę.
Różnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj, broniąc swej krwawicy:
„Bujać – to my, panowie szlachta!”²³

Takie oto ostre strofy spłynęły na papier spod pióra Juliana Tuwima w roku 1929. Przeczytajmy *Do prostego człowieka* z uwagą, wsłuchajmy się w groźny pomruk szeleszczący pomiędzy wierszami. Nie jest fajnie w odrodzonej Polsce i na świecie. Narasta konflikt. Centrolew idzie na ostre zwarcie z obozem sanacyjnym. W Niemczech Heinrich Himmler zostaje Reichsführerem bojówek SS. Za chwilę runie nowojorska giełda, rozpocznie się katastrofalny kryzys ekonomiczny, spychając społeczeństwa i narody w ubóstwo. Oczy i serca Niemców zwrócą się w stronę dwóch skrajnych partii – komunistów i narodowych socjalistów. Świat zacznie się staczać w nędzę. Ale jeszcze Adama stać na zakup wyśmienitego konia. Piętnaście tysięcy złotych to ponad trzy roczne oficerskie pensje.

Milord nie jest cudem urody. Półkrwisty, dojrzały już, typ lekko artyleryjski. Brudny kasztan, wzrost średni, masywna budowa, krótka szyja, ładnie zaznaczona białą linią strzałki. Wybitny skoczek. Odważny, ale niestety nerwowy, żeby nie powiedzieć histeryczny. Lecz paradoksalnie poniżej opisane zdarzenie nie było spowodowane przez nerwusa Milorda, tylko przez jego zmiennika, o wiele spokojniejszego Regenta. Nigdy nie wiadomo, co lub kto będzie przyczyną nieszczęścia.

Kolejny raz jesteśmy w Nicei. Upadki z konia to chleb powszedni. Już na początku swojej kariery Królikiewicz kilkakrotnie tracił przytomność, świece stawały mu przed oczami, lądował w szpitalu z wstrząśniętym mózgiem i połamany kośćmi. Jeden z kolegów stracił życie na parkurze, a słynny major Toczek doznał urazu głowy i musiał się poddać trepanacji czaszki. Już do końca życia pozostanie kaleką. Jeździectwo to sport dla żelaznych kobiet i mężczyzn. Jak bardzo twardych, okaże się nieraz w tej opowieści.

A zatem, trach!, Adam leci z grzbietu Regenta na ziemię i traci przytomność. Nosze, ambulans, szpital. Lekarz diagnozuje uszkodzenie barku, nie stwierdza żadnego złamania.

– *Tout va bien, monsieur capitaine.*

Tout va bien, czyli mogę startować..., cieszy się w duchu Królikiewicz.

Hotel. Łóżko. Ból okrutny nie ustępuje. Na szczęście Muszka w Polsce, boby ręce załamywała.

Wezmę gorącą kąpiel, może coś ulży. O Chryste... Nic nie pomaga.

Adam puka do drzwi Szoslanda.

– Kaziu, możesz mi natrzeć ten cholerny bark?

– Czeka, Adaś, mam fluid koński.

– O Jezu Chryste...

– A może dutkę ci zaaplikuję, cierpiętniku?

„Dutka” to takie oszustwo kawaleryjskie, przyrząd składający się z dwóch palików i pętli, którą skręca się na końskim pysku, by odwrócić uwagę zwierzęcia od zasadniczego bólu. No oczywiście Kazio Szosland okrutnie sobie żartował. A tu, psiamać, cierpienie coraz większe. Znowu szpital. Tym razem wojskowy. Prześwietlenie. Rentgen nic nie wykazuje. Jeszcze kilka dni udreki i reakcja na stłuczenie powinna przejść. A gdzież tam. Sztywność szyi, klucie w łopatce i prawym barku. Nie ma mowy o udziale w zawodach.

– Adaś. Jest cudotwórca pod Niceą.

Jadą do cudotwórcy w solidarnym komplecie: Szosland i Kulesza. Obskurna chata, paskudne wnętrze, typ podejrzany. Chucha, dmucha, czaruje. Sewek Kulesza nagle zrywa się z taboretu, miota się w drgawkach po izbie. Znachor kiwa głową z ukontentowaniem: tak właśnie ból czmychnął z ciała pana rotmistrza. Idiota nie wie, że Sewek to kpiarz. Ten cyrk kosztował trzydzieści franków. A ból nie mija. Adam godzinami wysiaduje na zydelku przed stajnią, wystawiając plecy do słońca. Lekka poprawa.

Zbliża się dzień najważniejszego startu. Puchar Narodów. Trzeba podjąć wyzwanie mimo bólu. A, co tam, ryzyk-fizyk, pojedzie na nerwowym Milordzie. Polacy wygrywają z konkurencją dziewięciu ekip. Adam przez całe zawody pokonuje czterdzieści przeszkód. Szczerozłoty puchar Copa d'oro wręczony przez Mussoliniego.

Warszawa. Ból nie ustępuje. Diagnoza dwóch wyśmienitych doktorów – pułkownika Tadeusza Sokołowskiego i majora Levitoux – złamane dwa kręgi szyjne. Adam kilka miesięcy spędzi pod wyciągiem, zawieszony na brodzie, w twardym łożu boleści. Królikiewicz startował ze złamanym kręgosłupem.

„Czarny czwartek”. „Kurier Warszawski” z dnia 24 października 1929 roku:

Stan pogody. Spostrzeżenia państwowego Instytutu meteorologicznego w Warszawie z d. 24-go b. m.: Dziś w południe temperatura +6.0 stopni Cels., wilgotność 100%, stan nieba: mgła. Rozkład ciśnienia w Europie: Głęboka depresja ze środkiem nad morzem Norweskiem i Islandją ogarnia kraje Europy zachodniej, północnej i częściowo środkowej; nad Anglią południową wytwarza się ponadto drugorzędna depresja. Obszar wyżowy syberyjski zalega Rosję wschodnią wraz z Uralem. Prawdopodobny przebieg pogody w Polsce: Rankiem chmurno i mglisto, potem pogodniej. Na wschodzie i w górach przymrozki, na zachodzie w ciągu dnia ocieplenie. Słabe wiatry miejscowe lub cisza.

No tak, cisza przed burzą. Niedługo niejeden od tej burzy osiwieje.

SIWIZNA. To starość, zanik energii potrzebnej do wydajnej pracy. Tak myśli szef-przełożony, spoglądając na siwiejącego współpracownika. Łatwo tego uniknąć, używając płynu „ORIENTINE”, który nie plami, nie brudzi, jest zupełnie nieszkodliwy i stopniowo, nieznacznie dla otaczających przywraca siwym włosom pierwotny, naturalny kolor i miękkość.

Niejeden będzie wkrótce ogarnięty niezłym bólem głowy.

Przy bólu głowy, zaziębieniu, reumatyzmie ASPIRIN-tabletki.

Papież Pius XI, czyli Achille Ratti, urodził się 31 maja 1857, zasiadł na tronie papieskim w 1922 roku, a zmarł tuż przed II wojną światową w roku 1939. Potępiał „wykluczanie Boga ze społeczeństwa”, występował przeciw laickiemu liberalizmowi, ostro krytykował niemiecki narodowy socjalizm i totalitarny ateizm sowiecki, doprowadził do podpisania przez Benita Mussoliniego traktatów laterańskich.

Ksiądz, nazwijmy go X, był wikarym parafii pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Grudziądzu, a jednocześnie katechetą w szkole powszechnej. Do Publicznej Szkoły Powszechnej imienia Marii Skłodowskiej-Curie uczęszczała Krysia Królikiewicz, czyli moja mama. Pewnego dnia, nudząc się na lekcji religii, prawie przysypiając od monotonnego głosu księdza katechety, dorysowała umieszczonemu na zdjęciu w podręczniku papieżowi wąsy.

– Co to jest?!

Donośny głos księdza X rozlega się po klasie, odbija echem od ścian, wyfruwa przez uchylone łukowate okno z drugiego piętra i spada piorunem wzdłuż ceglanych murów na ulicę Skłodowskiej.

– Wąsy – odpowiada dziewczynka. Cichutko, więc jej głos nie ma szans przetoczyć się po bruku ulicy Skłodowskiej-Curie.

Ksiądz X nerwowo pociera dłonie, przy czym zapomina, że ma palce umorusane kredą, a kreda w połączeniu z czernią sutanny przedstawia może nie jakiś wysublimowane komiczny obraz, ale jest na tyle śmieszny, że usta Krysi wyginają się w uśmiechu.

– Z czego się śmiejesz, Królikiewiczówna?

– Z niczego – odpowiada w ogóle niezdeprimowana Królikiewiczówna.

Ksiądz X w nieświadomości swej opiera ubabrane kredą dłonie na szerokich biodrach, pozostawiając na czarnej sutannie odciski parówkowatych paluchów. Tego już za wiele. Klasa wybucha śmiechem.

– Cisza mi tu!!! – wrzeszczy katecheta i znów jego głos wędruje przez szparę w oknie w stronę Grudziądza. Ksiądz X przypatruje się czarnym oczom Królikiewiczówny, w których migoczą beczelne iskierki. Ksiądz wikary nie lubi tej małej czarnulki. Bardzo jej nie lubi.

Żydówka, myśli sobie ksiądz katecheta. Ani chybi Żydówka. No jasne, czemu rysuje świętokradcze wąsy na obliczu Jego Świątobliwości: Ży-dów-ka.

– Dlaczego dorysowałaś wąsy papieżowi? – pyta, zniżając ton do groźnego pomruku; jego twarde, pomorskie „r” świdruje uszy.

– Nie wiem – odpowiada Krysia.

Oho, wrodzona diabelska podświadomość. Sama nie wie, dlaczego nienawidzi Kościoła świętego.

– Wyjdiesz teraz, spakowawszy książki, i przyjdiesz z rodzicami.

– Mama ma grypę, a tata na ćwiczeniach.

– Mnie to nic nie obchodzi! Rrrraz, dwa mi z klasy i przyść z rrrrodzicami!!! –

warczy ksiądz X.

Krysia nie ma już iskierek w oczach. Ma łyzy. Patrzy na koleżanki. Znikąd pomocy. Nie, to nie jest buda taka jak w Warszawie. Tam znalazłoby się kilka koleżanek, które by się na pewno nie przestraszyły warkotu wikarego i stanęły w jej obronie, bucząc za tłustymi plecami katechety.

Do domu na Moniuszki trzeba przejść przez kanał o nazwie Trynka, ponoć zaprojektował go sam Mikołaj Kopernik. Muszka ma faktycznie prawie trzydzieści dziewięć stopni gorączki i Krysia nie chce mamy martwić.

– Co tak wcześnie ze szkoły, kochanie?

– A bo dezynfekcję, mamuś, robią. Ze względu na tę gripę.

– Boże, żeby to tylko nie była znowu ta hiszpanka. Wypij na wszelki wypadek syropu z cebuli i miodu. Stoi w słoiku na kredensie w kuchni. Tylko łyżkę czystą weź.

– Dobrze, mamu – odpowiada Krysia, zaciskając zęby, bo nie lubi kłamać. Nie ma żadnej dezynfekcji w szkole, nie łyknie syropu, bo go nie cierpi. A tak nawiasem mówiąc, moja matka chorowała na gripę w swoim długim życiu może dwa razy. Tymczasem Krysia kryje łyzy w oczach, ciągnie za sobą tornister i zmierza do swojego pokoju. Nagle wyrasta przed nią jakiś olbrzym w mundurze szeregowca.

– *Szczo stało* pannie Krysi? – pyta z ukraińskim zaśpiewem.

– Nic, Fedoruk, nic się nie stało.

– *Pobaczyty, szczo stało.*

Fedoruk – już go z lekka musnęliśmy w tej opowieści – jest Rusinem, ordynansem rotmistrza. Królikiewicz ma sympatię do Ukraińców, mimo że chcieli mu odebrać ukochany Lwów. Fedoruk jest wiernym, najwierniejszym ordynansem. Pleczysty, dobroduszny, jowialny. Krysia patrzy, jak Fedoruk sięga do kieszeni spodni i wyjmuje z niej pomiętą szarą torebkę. Otwiera zawiniątko. I po wnętrzu mieszkania rozplywa się niebiański zapach tureckiego miodu.

– Na – zachęca Fedoruk.

Krysia wyjmuje z papierowej torebki nierówny ułamek zakazanej słodyczy.

– Dziękuję, Fedoruk.

– Tylko panu rotmistrzowi *niczoho ne skazaty*, że karmię pannę słodyczami.

Minęło kilka godzin. Słońce już przestało zaglądać do okien mieszkania na pierwszym piętrze przy 3 Maja. Na schodach słychać stukot obcasów kawaleryjskich oficerów. Z kuchni dochodzi zapach rosółu przygotowanego przez Fedoruka. Ordynans pomaga rotmistrzowi ściągnąć buty.

– Co taka mina, Fedoruk? – pyta Adam. – Pani Muszce ciągle źle?

– Już lepiej. *Lichomanka mieńsze*. Rosół czeka na pana rotmistrza.

– Ty coś ukrywasz, Fedoruk.

Ordynans przewraca oczami i wskazuje wzrokiem pokój dziecięcy. Adam nie zagląda do bolejącej żony, kroczy w stronę zamkniętych drzwi córki. Puka grzecznie.

– To ja, tatuś.

Na rotmistrza patrzą załzawione czarne oczy. Adam czuje, że coś mu utkwilo w grdyce.

– Co ci, Kryśka?

– Nic.

– Kiedy widzę. Mów.

Adam siada na krawędzi żelaznego łóżka. Sadza sobie córkę na kolanach. Gładzi ją po czarnych jak smoła włosach, poprawia równo przyciętą grzywkę. Krysia patrzy, jak twarz ojca odbija się śmiesznie w mosiężnej kuli zwieńczającej ramę łóżka. Widok jak w gabinecie krzywych luster, taki jak kiedyś widziała w wesołym miasteczku, które zatrzymało się parku Saskim. Warszawa, Warszawa...

– Wyrzucili mnie ze szkoły, tato.

Czoło Adama przecina bruzda. Zaraz nastąpi wybuch. Krysia sztywnieje ze strachu.

– Za co? – pyta matowym głosem Adam.

– Za wąsy.

– Za wąsy? Chyba nie twoje, córciu. Jeszcze ci wąsy nie wyrosły.

– Za wąsy papieża.

Adam wpatruje się w dorysowane papieskie wąsiska na fotografii w podręczniku religii. Tłumi śmiech.

– Pana to śmiesz, panie Królikiewicz? – burczy ze złością katecheta.

– Rotmistrzu, rotmistrzu Królikiewicz – poprawia Adam.

Wikary robi się purpurowy na twarzy, potem lekko zielenieje. Myśli sobie: „Rotmistrz”, piłsudczyk, ani narodu, ani Kościoła świętego nie uszanuje.

– Więc co pana tak śmiesz... – i dodaje z ostentacyjną pogardą: – Panie rotmistrzu?

– Że do twarzy ojcu świętemu w wąsach.

Tego już dosyć! To jakiś spisek! Żydowski! Sanacyjny! Masoński!, bulgocze w księżowskiej głowie.

Pius XI co prawda nie nosił wąsów, ale za to zwalczał faszyzm i nazizm. A ksiądz X, kiedy do Grudziądza wkroczą hitlerowcy, w te pędy podpisze volkslistę. Będzie brał czynny udział w *Intelligenzaktion*. Bojówki Selbstschutzu, formacje SS i policji niemieckiej zamordują na pomorskich terenach blisko czterdzieści tysięcy przedstawicieli polskiej elity.

List polecony

Co się wydarzyło w roku 1932? Ano, na początku tego roku w procesie brzeskim skazano przywódców Centrolewu. Tuż potem krakowska policja aresztowała dwóch członków Ligi Zielonej Wstążki, rozrzucających ulotki wzywające do bojkotu żydowskich sklepów. Zastrajkowali górnicy, a wkrótce ruszyło z protestami trzysta tysięcy robotników. Obniżono zasiłki dla bezrobotnych. W zamieszkach w Pabianicach zginęło pięciu demonstrantów. Chłopi zaczęli szumieć w proteście leskim, protest stłumiono. Wybuchł powszechny strajk chłopski. Jadwiga Wajsówna ustanowiła rekord świata w rzucie dyskiem wynikiem 40,345 m. Zygmunt Heljasz ustanowił rekord świata w pchnięciu kulą wynikiem 16,05. Janusz Kusociński zdobył złoty medal na igrzyskach w Los Angeles. Z polskiej ziemi wzbił się samolot RWD-6. Zalegalizowano kontakty homoseksualne i podpisano pakt o nieagresji ze Związkiem Sowieckim. Utworzono Białowieski Park Narodowy. Piloci Żwirko i Wigura odnieśli zwycięstwa na międzynarodowych zawodach lotniczych. Już niedługo zginą w katastrofie lotniczej pod Cieszynem. Rozpoczęto produkcję fiata 508. Założono klub hokejowy Podhale Nowy Targ. Warszawski Klub Narciarzy wybudował schronisko na Polanie Chochołowskiej. A na świecie? Też ciekawe sprawy. Brytyjczycy zaarrestowali Gandhiego. Mahatma rozpoczął strajk głodowy. Stany Zjednoczone ostro zaprotestowały przeciw inwazji japońskiej na Mandzurię. Do senatu USA wybrano pierwszy raz w historii kobietę. Sześć milionów Niemców wylądowało na bezrobociu. Japończycy zajęli Szanghaj, a wkrótce Harbin. Adolf Hitler uzyskał niemieckie obywatelstwo, dzięki czemu będzie mógł ruszyć do wyścigu o prezydencki stołek Republiki Weimarskiej. Ale w nadchodzących wyborach przegra z Hindenburgiem. Al Capone wylądował w kiciu. W Paryżu niejaki Paul Gorguloff zastrzelił prezydenta Francji. W Londynie ruszyła stacja BBC, która niedługo nada pierwszy eksperymentalny program telewizyjny. Amelia Earhart przeleciała samolotem z USA do Irlandii Północnej. Pan António de Oliveira Salazar został faszystowskim premierem Portugalii i sobie przepremierował przez następne trzydzieści sześć lat. Szwajcaria umorzyła dług wojenny Republice Weimarskiej. Bojówki komunistyczne zaatakowały bojówki NSDAP. Osiemnaście trupów. Walt Disney nakręcił pierwszy kolorowy film animowany. Benito Mussolini ustanowił festiwal filmowy w Wenecji. Hermann Göring został przewodniczącym Reichstagu, a za chwileczkę NSDAP wygra wybory parlamentarne. Paul von Hindenburg rozpoczął rozmowy z Adolfem Hitlerem w sprawie utworzenia nowego rządu. Liga Narodów ogłosiła deklarację o równouprawnieniu Niemiec w rozbudowie sił morskich. Bezrobocie w USA sięgnęło jednej trzeciej ludności. Odkryto pierwszy doustny antybiotyk. Wyprodukowano pierwszą zapalniczkę marki Zippo.

Zróbmy sobie przegląd prasy:

Furtka gdańska. Gdańsk systematycznie, mimo iż należy do obszaru celnego Polski, lekceważy zarządzenia polskich władz celnych i uniemożliwia polskim kontrolerom celnym wypełnianie obowiązków. Bezczelna samowola gdańskich władz celnych naraża państwo

polskie na liczne straty, tak że komisariat jeneralny Rzplitej w Gdańsku musiał w tej sprawie 15 września 1931 roku energicznie interwenjować w nocie skierowanej do wysokiego komisarza Ligi narodów.

Może coś z życia?

Zabójstwo przy ul. Żelaznej. Przy ul. Żelaznej 89, w zakładzie stolarskim Józefa Paprockiego, pracował na próbę jako terminator od 2 tygodni 18 letni Henryk Sierański, syn wdowy z Sobolewa (pow. garwoliński). W ub. sobotę czeladnik 21-letni Józef Dominiak, pracujący tam od roku, polecił S. przynieść jakieś narzędzie. Chłopiec nie usłuchał, wobec czego Dominiak uderzył terminatora heblem. Sierański nie chcąc być dłużnym zadał D. cios młotkiem. Zajście zlikwidował Paprocki. Czładnik groził terminatorowi zemstą. W nocy z niedzieli na poniedziałek około godz. 3, Dominiak powróciwszy podchmielony z miasta, schwycił deskę i uderzył nią w głowę śpiącego terminatora. I tym razem Paprocki zajście zlikwidował, Sierański zaczął tracić przytomność, lekarz stwierdził wylew krwi do mózgu i niezwłocznie przewiózł młodzieńca do szpitala Dz. Jezus. Tam S. nieodzyskawszy przytomności zmarł. Dominiak zbiegł. Policja zajęła się odszukaniem zabójcy.

Samobójstwo pod tramwajem. Wczoraj o godz. 10 m. 30 na ulicy Zygmuntowskiej, róg Jagiellońskiej, pod elektrowóz linii „25” jadący w kierunku Bazyliki, skoczył nagle stojący za słupem na chodniku jakiś mężczyzna. Motorowy puścił w ruch wszystkie hamulce, lecz było za późno. Desperat dostał się pod wagon. Desperata przewieziono do szpitala Przemienienia Pańskiego. Tam lekarz stwierdził ogólne potłuczenie, oraz pęknięcie podstawy czaszki. Ze znalezionych dokumentów okazało się, że jest to 21-letni Stanisław Politykiewicz (Syrokomi 9), bez zajęcia. Stan ciężki²⁴.

Tak to się działo na świecie, w Polsce, w Warszawie, na Żelaznej i na Zygmuntowskiej, róg Jagiellońskiej. A jak się działo w Głinojecku?

Stasiu? Pan doktor Zierniejko przyjechał z Warszawy. Czy ty mnie słyszysz, kochany?

– Tak, Stefuniu, słyszę.

Stanisław Lilienstern słyszy ciepły głos małżonki. Ale jakby przez ścianę z waty. W progu staje doktor Zierniejko. Doktor Zierniejko jest nikczemnego wzrostu, ale jowialny. Przyjechał do Głinojecka aż z Warszawy, jak oznajmiła Stefania, z prywatnej kliniki Omega. Pochyla się nad ciężko chorym Stanisławem Liliensternem.

– Jak się czujemy, panie inżynierze?

– Szkaradnie. Coś pan poradysz na te cholerne duszności? Oddech mam tak krótki jak pstryk palcami.

– Będziemy się starać, panie inżynierze.

– To się, doktorze Zierniejko, postarajcie.

Lekarz kiwa głową, wyjmując z sakwojazu słuchawki. Osłuchuje, opukuje, mierzy choremu ciśnienie, kręcąc głową. Następnie wyławia z torby jakiś słoik z czymś niezbyt przyjemnym dla oka.

– Co to za draństwo?

– Pijawki.

– Co? A idź pan z tym w jasną cholere.

– Stasiu... Nie kłóć się z panem doktorem – strofuje od progu Funia.

– Pijawki dobre na duszności, panie inżynierze. Upiją krwi i ciśnienie spadnie jak

kamień z serca.

– Moje serce już tylko pod kamień się nadaje – odpowiada Stanisław. A Stefania przełyka gorzką grudkę.

W plecy pana inspektora wsysają się obrzydliwe pierścienice, by utoczyć krwi i uratować serce pana inżyniera. Ale serce Stanisława Liliensterna, syna Doroty i Markusa, już tylko pod kamień się nadaje...

Budzi go gwałtowny dzwonek u drzwi. Stanisław podnosi ciężkie powieki.

– Stefuniu! Ktoś dzwoni!

Cisza. Nie ma nikogo w mieszkaniu. A dzwonek natarczywie brzęczy.

– Natalka!

Lecz Natalki także nie ma. Stanisław podnosi się z trudem z łóżka, wsuwa opuchnięte od podagry stopy w rozdeptane kapcie i człapie do drzwi. Za progiem ktoś to? Listonosz Goldman. Rower ustawił przy murku.

– A co tam, panie Goldman? – Stanisław z trudem wydobywa słowa.

– A list polecony panu inspektorowi.

– Polecony? – dziwi się Lilienstern. – Skąd?

– A z Lublina się widzi. Od rodziców.

– Od kogo?... Przecież rodzice... Skąd Goldman w ogóle wie, że od rodziców?...

– Pan inżynier ładnie złoży tu podpis. O tu.

Listonosz Goldman podsuwa kwit i pluje dla zwilżenia na ołówek kopiowy. Stanisław kreśli podpis drżącą ręką. Goldman przerzuca pasek torby przez chałat. Zabiera rower spod murku.

– Poczekajcie, Goldman. Parę groszy dam wam za fatygę.

– Za takie listy napiwek to grzech śmiertelny, pan inspektor. *A gut szabes.*

– Dziś szabat?... – dziwi się Stanisław Lilienstern. – Goldman?... Jeździcie rowerem w szabat?

Lecz listonosz Goldman nic nie odpowiada, tylko pedałuje w stronę cukrowni. Łańcuch skrzypi, bo Goldman go nie naoliwił. Lilienstern otwiera kopertę i czyta list.

Dorota zdejmuje z kredensu świecznik, idzie do kuchni, by przynieść z pieca płonąca szczapę, zapala świece, błogosławi sobotę, błogosławi światło. Wykonuje trzy okrężne ruchy rękami nad płomieniami, by przyjąć szabat przez umysł, ciało i duszę. Zakrywa oczy, by spojrzeć na świece dopiero po odprawieniu modlitwy. *Baruch Ata Haszem, Eloheinu, melech haolam aszer kidszanu bemicwotaw weciwanu lehadlik ner szel szabat.* Teraz Markus stawia na obrusie puchar z koszernym winem, symbol radości. Odmawia modlitwę. Można spożywać wieczerzę. *Szabat Szalom.*

W roku 1932 umarł w Glinojcku mój pradziadek Stanisław Lilienstern.



Stanisław Liliensztern, lata trzydzieste XX wieku.

Kałuża i nóż rzeźniczy

Dokąd mam dziś pójść? Może na maneż, popatrzeć na rekrutów? Tak, pójdę sobie...

Jasiek opuszcza boks udekorowany sportowymi tablicami zdobytymi na hipodromach Europy. Wychodzi ze stajni pierwszego szwadronu, którym dowodzi Adam. Adama dziś nie ma.

Adam wojażuje gdzieś tam, a niech sobie wojażuje i zdobywa na innym grzbiecie puchary. A niech tam, co mi tam, nie jestem zazdrosny.

– Patrzcie na tego, o. Jak leśny duch czy coś.

– Co to, koń chodzi sobie sam po pułku?

A chodzi, chodzi, szwoleżerze. Sobie chodzę, gdzie chcę.

– To nie jest zwykły koń – stworcuje rekruta wachmistrz Harla. – To Jasiek.

– O kurwa mać, za przeproszeniem uszów pana wachmistrza.

– Nie moje uszy przepraszaj, tylko kombatanta.

Nie musisz przepraszać, chłopcze. Nie takie się kurwiszenie słyszało. I na parkurze, i tam... gdzie... No pamięć zawodzi... Na polu bitwy... A kurwij sobie, synku. I tak już ledwo słyszę.

Jasiek patrzy smętnym, przymglonym wzrokiem, jak wachmistrz Harla musztruje rekrutów. Uczy ciąć łozy, uczy rąbać szablą w pełnym galopie, uczy klucia manekinów lancą, uczy zdejmować pierścienie. Jasiek wodzi smętnym wzrokiem. Już nie ten Jasiek, posiwiiał, zapadły mu się boki, zęby z wiekiem wydłużyły jak łopaty, głowa pobieliała.

Dosyć... Nie mogę patrzeć, jak chrzanią robotę. Jeszcze z nich wachmistrz Harla musi wiadra potu wycisnąć. Tam pójść?... Co to za zapach? O nie! Ambulans weterynaryjny. Jodyną zalatuje... O nie... A tam, od strony kuchni?... O, grochówka... A może najpierw do ogródków szwadronowych? Co to, nic w nich nie rośnie? Tylko szronem bruzdy pokryte? A co to mamy? Grudzień mamy, zaraz śnieg spadnie i będą święta... No to do kuchni na tę grochówkę.

Jasiek wchodzi po schodach do pułkowej kuchni. Uwielbia wizytować to miejsce.

– Masz, Jasiek. Należę ci do menażki – mówi szef. – Tylko mi tu nie nasraj jak wtedy. Jak żarcie będzie do dupy, to ci nasram.

– To ci, Jasiek, jeszcze marcheweczki dodam, żebyś mi nie nasrał. Smakuje?

Smakuje. Tym razem ci nie nasram, chłopie. A teraz dokąd?... A pokręcę się może po Agrykoli. O, kałuża. Trochę przymarznięta, ale się może da utaplać. O, jak dobrze... Zimniutko. I byczo, bo ta grochówka trochę za ciepła była. O, tam jeszcze milej, stawek złodowaciały. O jak dobrze... Dobrze mi, dobrze... Dokąd ja idę, dokąd ja galopuję, dokąd? Co oni mi każą robić? Każą skakać przez jakieś przeszkody? Głupcy, idioci, kretyni. Po co skakać, jak można to ominąć. A posłucham, skoczę sobie, a dokąd ja skaczę, dokąd ja frunę, do tego szarego jak zdechły mech nieba... Tam, tam, tam. Jeszcze raz skoczę. Ale dlaczego nie opadam na ziemię? Dokąd mnie kopyta niosą?... Trębacz trąbi na obrokowanie. Ale co mi tam trębacz.

Jasiek zasnął 9 grudnia 1933 roku, w wigilię święta pułkowego, w dzień urodzin

Adama.

W 1933 roku Adam Królikiewicz został awansowany do stopnia majora. Po kilkuletniej pracy instruktorskiej w Centrum Wyszkozenia Kawalerii w Grudziądzu, po majorowskim morderczym kursie w Rembertowie w ośrodku wyszkolenia taktycznego dla dowódców broni połączonych. Trzeba się było pożegnać ze stopniem rotmistrza, który jest najbardziej kawaleryjską szarżą, śnioną przez każdego młodszego oficera. Teraz na Adama miały spaść wojskowe obowiązki, które w znacznym stopniu ograniczały sportowe starty. Major Królikiewicz zostanie wysłany na arcyważny kurs jeździecki do Włoch, do sławnych szkół w Pinerolo i Tor di Quinto oraz do francuskiego Saumur. Dlaczego akurat tam, a szczególnie do Italii? A bo to Włosi wiedli prym w tak zwanej ekwitacji, czyli w wyszkoleniu jeździeckim. Otóż pewien oficer, niejaki Federico Caprilli, był twórcą nowego, głośnego systemu jazdy konnej. W największym skrócie: dziewiętnastowieczna szkoła ekwitacji zasadzała się na pruskim systemie manieżowym, który charakteryzował się bezwzględny posłuszeństwem konia wobec jeźdźca. Służył temu cały zestaw ograniczeń, nakazów, bodźców, usystematyzowanych ruchowych poleceń, łydkami, wodzami, palcatem, ostrogami i tak dalej. Młody kapitan Caprilli odkrył zaś, że jeśli koniowi pozostawi się swobodę, doprowadzi to do lepszego zespolenia wierzchowca z jeźdźcem. Tę włoską szkołę nazwano „naturalną” i króluje ona do dziś. Zwolennicy „starego” testamentu kształcili jazdę konną idealną na parady i musztry, wykonywaną na ujeżdżalniach, płaskich placach, manieżach. Natomiast rewolucjonista kapitan Caprilli odkrył, że tę pruską metodę o kant tyłka można potłuc, jeśli się chce konia prowadzić skutecznie w terenie. A gdzie działa kawaleria? Na placach i manieżach owszem, ale podczas defilad. Walczy się w polu, w lasach, na wzgórzach, skacząc przez potoki, pokonując rzeczne brody. Jest w tej włoskiej szkole coś więcej niż system, to swego rodzaju filozofia. Jeśli koniowi pozostawi się pełną swobodę ruchu, pozwoli mu się na instynktowne szukanie własnej równowagi i oszczędzanie sił, jeździec i wierzchowiec stają się całością. Rewolucyjny system Caprillego, jak każda nowina, początkowo wywołał burzę protestów wśród zwolenników starej szkoły, która wolała konia spinać i podporządkowywać bezwzględnie jeźdźcowi. Ale to się musiało zmienić, kiedy Włosi zaczęli osiągać nadzwyczajne sukcesy w sporcie hipicznym. To tak jak dziś wszelkie nowatorskie zmiany w przemyśle motoryzacyjnym testuje się na torach Formuły 1 i podczas rajdów samochodowych. Krótko mówiąc, włoska naturalna szkoła jazdy zawładnęła światem i z tego właśnie powodu mój dziadek major znalazł się na uniwersyteckim, rzecz można, szkoleniu w Pinerolo i Tor di Quinto, w mekce hipiki. Obie szkoły w latach 1920–1933 gościły w swoich murach oficerów kawalerii z dwudziestu dwóch państw. Od Afganistanu i Albanii, przez Amerykę, Anglię, prawie wszystkie kraje europejskie, po Argentynę, Paragwaj, Turcję i Persję. Nauki i doświadczenie wyniesione z włoskiej ziemi zaowocowały podręcznikiem napisanym przez dziadka. *Jeździec i koń w terenie i skoku* do dziś jest uważany za biblię hipiki. Dzięki włoskim kursom Adam Królikiewicz przeszczepił naturalną szkołę do Polski, będąc szefem ekwitacji w grudziądzkim Centrum Wyszkozenia Kawalerii.

Podrzymskie Tor di Quinto było bogate w przeszkody i urozmaicenia terenowe,

łącznie ze „ścianą płaczu”, czyli stacjonatą na stromiźnie o nachyleniu czterdziestu pięciu stopni, którą po przeskoczeniu przeszkody pokonuje się na złamanie karku w pełnym galopie. To jeden z przykładów włoskiej mordęgi, która ma na naturalnych przeszkodach w jeźdźcu, kawalerzyście wyrobić odwagę, chęć ryzyka, zmysł orientacji i męstwo. Ale pobyt w renomowanej szkole położonej na przedmieściach Rzymu, nad Tybrem, to nie tylko wspomnienie hartowania się kawaleryjskiej i jeździeckiej stali, to nie tylko dozogonna miłość mojego dziadka do Italii, jej uroków, kuchni, krajobrazu i kultury. To także narastanie obawy, a nawet lęku przed panoszącym się we Włoszech faszyzmem. Do tego dodajmy jeszcze jeden tragiczny epizod.

Tradycyjny Hubertus, czyli konny pościg za lisem. Uwaga: lis jest tylko hasłem, to nie zwierzę goni się cwałem, ale jeźdźca, który ma przyczepioną do ramienia lisią kitę. Kto dogoni uciekiniera i zerwie rudy ogon, wygrywa. A zatem Hubertus. Jeźdźcy stoją na wzgórzu. Dziadek w szwoleżerskim mundurze. Obok cywil, który rozpoznaje sławnego Królikiewicza.

– *Signore maggiore, era il proprietario di Picadoro?*

– *Si.* To był mój ukochany koń – odpowiada major.

– A wie pan, że jakieś dwa lata temu Picador brał tu udział w pogoni za lisem? Ja go dosiadałem.

– Pan? – pyta Adam i czuje, jak mu jakaś sucha gruda wypełnia żołądek.

– *Si.*

– A nie hrabina di Frasso?

– Pani di Frasso nie ma już od kilku lat w Rzymie. Splajtowała. Zwinęła wszystkie swoje dobra.

– A... co... z Picadorem?... – Major czuje, jak gruda przesuwają mu się z żołądka do serca.

– No właśnie, też go sprzedała.

Jeździec ma adres handlarza końmi. Mieszka opodal. Na Via Monterosi.

– Tak... Picador już był stary. Sprzedałem. *Ho venduto.*

– Komu?

– Dorożkarzowi.

– *Adresso.*

Dorożkarz mieszka w pobliżu Campo de' Fiori.

– Był już bardzo stary. Męczył się. *Ho venduto.* Sprzedałem.

– *Chi si vende?*

– Chłopu na Zatybrzu.

– Adres.

Zatybrze.

– *Picadoro... Abbiamo mangiato Picadoro.* Zjedliśmy Picadora.

Zagadka kanclerza Hitlera.

Bardzo interesująca, bardzo zagadkowa sytuacja. Skrajny nacjonalizm, który zlepiał tę spółkę rządową, nie może wystarczać w sprawach gospodarczych, finansowych, socjalnych. Hitler jest i musi być, bo tak obiecywał swej owczarni, radykalistą społecznym. Nie na sposób marksistowski, oczywiście. Ale w każdym razie na sposób, który nie może mijać się z dążeniami wielkiego przemysłu i wielkiej własności rolnej. [...] Jakaż to ma być polityka, któraby nie zmniejszała popularności Hitlera, któraby go nie zgrała doszczętnie, owszem któraby mu pozwoliła zdać egzamin męża stanu? Awantury zewnętrzne? Czy one dadzą pracę bezrobotnym, nakarmią głodnych, odrodzą ekonomię niemiecką.

Wysoce interesująca sytuacja.

Nieprawdaż, że nadzwyczajnie interesująca? I dalej czytamy w „Kurierze Warszawskim” z 31 stycznia 1933, dzień po dojściu Hitlera do władzy:

Obok hasła anti-marxistowskich brzmiały w programie hitlerowskim równie siarczyste hasła anti-żydowskie. Jakże teraz będzie z walką z Żydami? [...] Na razie musimy się ograniczyć do poniższej informacji, którą przynosi stateczna i ostrożna Prager Presse: [...] Wiadomo, że Hitler winien jest 140 tys. marek współwłaścicielowi firmy Stein. Oczywiście, wydawało się od wieków naturalnem, że antysemita kazali Żydom dostarczać sobie funduszy. [...] Pan A. Levy (alias Ludwik Hagen) i p. Salomon Oppenheim – oto główni wspólnicy interesów banku Schroeder i Stein, który zbiera się do ułatwienia udziału hitlerowców w rządzie. W ten sposób Hakenkreuz, krzyż łśniłby na firmamencie niemieckim obok gwiazdy Dawida [...].

Dziś dzieją się rzeczy na świecie, o których się filozofom nie śniło.

Zaiste, wyobrażenia panów redaktorów wykracza poza myślowe horyzonty. Już wkrótce będą się działy na świecie rzeczy, o których filozofowie i dzienniki prawnicowe oraz te „stateczne i ostrożne” nawet w najgorszych czarnych snach nigdy nie śniły.

REWOLWERÓWKĘ do armatur i prętów kupię. Telefon 10-04-85.

Od 1934 roku major Adam Królikiewicz jest szefem ekwitacji, szefem wyszkolenia jeździeckiego Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. Już nie startuje. Puchary i nagrody zdobyte przez cały okres sportowych zmagania zajmują w CWK dwa hangary. Tylko w latach 1920–1926 Adam brał udział w dziewięćdziesięciu czterech zawodach i zdobył osiemdziesiąt jeden nagród, w tym dwadzieścia cztery razy tryumfował.

Jest rok 1935. Rok wcześniej z rozkazu Józefa Piłsudskiego rząd sanacyjny zamyka za drutami Berezę Kartuskiej przeciwników politycznych. W tymże roku 1935 prezydent Ignacy Mościcki wprowadza konstytucję kwietniową, która otwiera drzwi rządowi autorytarnemu. W tymże roku Adolf Hitler ogłasza, że Niemcy będą się zbroić, co znaczy, że kanclerz zrywa traktat wersalski. Powstaje Wehrmacht. Odbywa się też premiera filmu *Tryumf woli* autorstwa Leni Riefenstahl, nakręconego podczas zjazdu NSDAP w Norymberdze. Reichstag uchwała ustawy norymberskie; obywatelem Rzeszy może być tylko osoba krwi niemieckiej; zabrania się małżeństw i stosunków płciowych

między Żydami a Niemcami; wprowadzono pojęcie *Mischling*, i prawnie ustanowiono kto jest „kundlem”: Żyd półkrwi to osoba mająca dwoje żydowskich dziadków, Żyd ćwierćkrwi – osoba mająca jednego żydowskiego dziadka. W tymże roku Niemcy ogłaszają program rozbudowy floty wojennej, zaraz zwodują dwa pancerniki, dwa krążowniki, szesnaście niszczycieli i dwadzieścia osiem okrętów podwodnych. Władze Prus Wschodnich wydają zakaz rozpowszechniania *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza. W tymże roku polscy jeźdźcy wyjeżdżają na sportową wyprawę do Szwajcarii i Belgii, gdzie Adam ulegnie pewnej kusicielce o fiołkowozielonkawych oczach.

Jak mój dziadek donosi w zapiskach, „kuszące bóstwo” pochodziło znad Tamizy. Angielski chłód tylko przysłaniał temperament ukryty w dwudziestoletnich kształtach dojrzałej kobiety. Z wielką chęcią przymrużam oczy: ma kasztanowe włosy, wspaniale kontrastujące z morelową karnacją, bosko harmonijne ciało. Dobra, nie przeskoczę zachwyty dziadka:

W kostiumie kąpielowym była prześlicznym zjawiskiem, zwracając uwagę bezbłędną proporcją swych rozwiniętych, wysportowanych kształtów oraz zadziwiającą harmonią ruchów.

– Dziadku! To nie koń, to kobieta!

– Nie wtrącaj się. Powiem ci tyle, że czar kobiecości emanował z jej postaci podniecającym urokiem, rozpałał mi zmysły, nasuwając nieodparcie grzeszne myśli.

No dobra, przystosuję się do tej drżącej frazy. Obraz nabiera pastelowych barw, widzę, jak dziewczyna wbiega z niewielkiej plaży do chabrowego Jeziora Czterech Kantonów. Klatkaż zwolniony, krople wody rozpryskują się w srebrne pyłki, rosą jej kasztanowe włosy, kontrastują z odległą dekoracją ośnieżonego wierzchołka Pilatusa. Słyszę delikatny i wcale nie kiczowaty akompaniament kilku fortepianowych klawiszy w stylu Desplata. Scena, owszem, jest może i z melodramatu albo ckliwej komedii romantycznej, ale nie będę tego na głos mówił dziadkowi, żeby mu nie popsuć pastelowych wspomnień.

– Jak miała na imię?

– Ellen.

– Pierwszy raz ją zobaczyłeś na tej plaży?

– Tak. Ale później widziałem ją przy stajniach. Znała się świetnie na koniach.

– Jak się dogadywałeś? Łamiesz język na angielskim, że głowa boli.

– Mówiła świetnie po włosku.

– A co to za babsko, dziadku, które nie spuszcza jej z oczu?

– No właśnie... Niejaka panna Dorothy... *Dame de compagnie*... Pilnuje jej jak strażnik królewskich klejnotów.

– Nie boisz się, że będzie kryzys małżeński? Katastrofa? Dziadku, mówię do ciebie.

A on zawzięcie milczy. Ja też sobie pomilczę, patrząc na to bóstwo, skąpane w srebrze i słonecznym złocie. A niech tam...

– Dziadku, kto to?...

– Tuptuś. A żeby go jasna cholera.

– Tuptuś?

– Januszek Komorowski. Od wczoraj wchodzi mi w drogę.

Nagły, mglisty szwenk przenosi mnie do sali tanecznej luksusowego hotelu National, położonego – a jakżeby inaczej – nad urokliwym brzegiem jeziora. Bardziej romantycznej scenerii nie można sobie wyobrazić. Co widzę? Widzę, jak Tuptuś obtańcowuje Ellen w rytmie tanga *Poemo*. Śpiewak popisuje się hiszpańszczyzną tylko w refrenie, resztę ciągnie smętnie po angielsku. *It was a dream of sweet love / hours of happiness and loving, / it was the poem of yesterday, / that I dreamed, / of gilded color, / vain chimeras of the heart, / it will not manage to never decipher, / so fleeting nest, / it was a dream of love and adoration*. Faktycznie – patrzę na Ellen i czuję w „sercu fantazje, które trudno rozszyfrować”.

- Dziadku, on ją bardzo śmiało podrywa.
- No przecież widzę.
- Musisz ją poprosić do następnego tańca.
- Ze mnie tancerz jak z koziej dupy trąba.

Ej, widzę, że Ellen rzuca Adamowi ukradkowe spojrzenie ponad ramieniem Tuptusia. Ten błysk nie umyka uwadze czujnej Dorothy. *It was a dream of love and adoration...*

Szwenk. Jesteśmy znów na słonecznej plaży. Nad lustrem wody to się unosi, to kryje w toni kasztanowa główka dziewczyny. Ellen nurkuje bez czepka. Niknie w szmaragdowej głębinie. Plask! Tuptuś wbiega do wody i chce się popisać swoimi łamańcami. Adam patrzy na to z zazdrością. Taki z niego pływak jak tancerz. Zakotłowało się, zabalgotało. Natarczywy Tuptuś znika pod wodą. Wynurza się półprzytomny. Prycha, kaszle. Ellen holuje topielca do brzegu. Adam czuje, jak gorąca fala nadziei zalewa mu ciało. Patrzę na Dorothy. Jej kamiennym oczom nic nie umknie. Dobrze, że panna nie widzi błysków w moich oczach. Nie widzi, bo dla niej jestem niewidzialny.

Popycham lekko dziadka w stronę rudowłosej. Niech mi babcia Muszka wybaczy. Adam nie ma wyboru. To bal pożegnalny. Dziadek nieporadnie morduje tango *Poemo*, tańcząc z wdziękiem snopowiązałki. Ale widzę, że fiołkowitzielonkawę oczy Ellen iskrzą zachwytem. Gdzie oni są? Zniknęli mi gdzieś w tłumie. Koścista Dorothy rozgląda się z paniką w oczach za uciekinierami. Czas wrócić do zapisków Adama.

Wymknęliśmy się z grona rozbawionego towarzystwa szukając samotności. W bajecznej dekoracji górskiej przyrody w całej jej krasie znad szczytu Pilatusa wychylił swą pełną twarz stary figlarz księżyc – patron zakochanych. Przymrużywszy oko, z pobłażliwym uśmiechem dał nam swe rozgrzeszenie.

Po bezsennej, ostatniej balowej nocy – odurzony szczęściem – następnego dnia z żalem i serdeczną tęsknotą opuszczałem niezapomnianą Lucernę. Wraz z nią żegnałem na zawsze mój niepowtarzalny sen o fiołkowitzielonkawych oczach.

Deutschland über alles

*Deutschland, Deutschland über alles,
über alles in der Welt,
Wenn es stets zu Schutz und Trutze
brüderlich zusammenhält
Von der Maas bis an die Memel,
von der Etsch bis an den Belt.
Deutschland, Deutschland über alles,
über alles in der Welt!*

„Niemcy, Niemcy ponad wszystko, / Ponad wszystko na świecie, / Jeśli zawsze dla obrony / Po bratersku są związane / Od Mozy aż po Niemen / Od Adygi aż po Belt / Niemcy, Niemcy ponad wszystko, / Ponad wszystko na świecie!”

Gówno prawda. Albo tylko po Niemen i po Belt, albo ponad wszystko na świecie. Flaga ze swastyką od roku już jest oficjalną flagą Niemiec. Teraz *Hakenkreuz* mnoży się tysiącami, jest lasem sztandarów powiewających nad studwudziestotysięcznym berlińskim stadionem. Mamy rok 1936. Zakończenie XI Igrzysk Olimpijskich w Berlinie. Organizatorzy postanowili zrobić ukochanemu Führerowi prezent na finał olimpiady. Dwa zespołowe zmagania jeździeckie – wszechstronny konkurs konia wierzchowego oraz konkurs skoków przez przeszkody o Nagrodę Narodów. Startuje kilkanaście drużyn, ale Niemcy mają być *über alles*. Od początku igrzysk gospodarze muszą zdobywać jak największą liczbę medali, mają pokazać światu swoją przewagę mięśni, mózgow i tęczyzny. Germańska wola musi tryumfować nad resztą globu. A zatem w ostatnim dniu olimpiady jeźdźcy spod znaku swastyki muszą pokonać resztę świata w jednej z najtrudniejszych i najbardziej prestiżowych dyscyplin. WKKW, czyli Wszechstronny Konkurs Konia Wierzchowego, składa się z trzech części: 1) próby ujeżdżania – jeźdźcy muszą popisać się arcyprecyzyjnym, arcyskomplikowanym prowadzeniem wierzchowca; 2) próby terenowej – bieg, można go nazwać *cross*, gdy jeździec i koń pokonują mordercze przeszkody terenowe, muszą wykazać się wytrzymałością, umiejętnością i szybkością; 3) próby skoków przez przeszkody, tu chyba nie trzeba niczego wyjaśniać.

Rzeź. Piekielny bieg w terenie. Startuje siedemnaście drużyn, z których – uwaga – dwanaście zostaje zdyskwalifikowanych. Radio i prasa niemiecka wychwalają pod niebiosa rzadkie bohaterstwo porucznika Wagenheima. Germański heros mimo złamanej ręki następnego dnia dokończychampionat. Nikt nawet nie pisał, że bohaterski porucznik Wagenheim powinien być zdyskwalifikowany, jako że dwukrotnie udzielono mu pomocy podczas upadku z konia. Nic, ani mru-mru. Ani słówka o Polakach, którzy w pierwszej próbiechampionatu byli – sic! – lepsi od Niemców. Mordy w kubek, *Herren Journalisten*, że gospodarze drużynowo są na szóstym miejscu. Porucznik Wagenheim ze złamaną ręką jest bohaterem narodowym, a rotmistrza Kaweckiego z żebrami pękniętymi po upadku, z zatkanym od kontuzji oddechem owiano chmurą milczenia.

– Dasz radę jutro, Zdzisiu?

Adam patrzy z niepokojem na bladego jak szpitalna ściana rotmistrza. Major Adam Królikiewicz musi dbać o swoich podopiecznych, jest szefem olimpijskiej ekipy.

– Dam.

Zza okna sanitarki dobiega skandowanie tłumu: *Deutschland, Deutschland!*

Jedną z najcięższych do pokonania przeszkód w przełaju stał się tak zwany stawek. Tam było najwięcej wypadków. Tylko Niemcy wiedzieli, jak należy pokonać tę morderczą przeszkodę. A trzeba ją było najechać z lewego skraju niskiej bariery, bo po tej stronie stawek był płytszy. Zawodnik, który podjechał do bariery środkiem lub z prawej strony, po skoku zapadał się razem z koniem w głębinę sięgającą bioder. Musiało się to skończyć upadkiem, za który wlepiano najwięcej punktów karnych. Z pięćdziesięciu trzech zawodników tylko kilku przeszło stawek bez błędu. Zgadnijcie, jaka nacja im przewodziła. Takich „niespodzianek”, o których wiedzieli Niemcy, było jeszcze kilka na torze. Nasi jeźdźcy – Kulesza, Roycewicz – oraz ich konie wyszli z tej terenowej próby mimo bolesnych upadków bez większego szwanku, oprócz nieszczęśnika rotmistrza Kaweckiego. Do „niespodzianek” można także zaliczyć incydent związany z Roycewiczem, którego sędzia bezprawnie cofnął na jednej z przeszkód, przez co rotmistrz na swoim Arlekinie musiał nadrabiać pięć kilometrów. Ale szczęśliwie dojechał do mety w odpowiednim czasie. W ten sposób polski zespół znalazł się na trzecim miejscu. Następnego dnia, jak już wiemy, odbywa się finał championatu – konkurs skoków.

Bułgarzy, którzy zajmują drugie miejsce, odpadają z kretesem. Niemcy trzymają swoje obligatoryjne pierwsze miejsce. Ale... Oto porucznik Wagenheim wywraca się z koniem po raz kolejny... Znowu udzielono mu pomocy. Rzecz dyskwalifikująca. Sędziowie nie uznają protestów. W ten sposób Niemcy odbierają Polakom złoto. Na piersiach naszych jeźdźców zawisają srebrne medale. Anglicy są trzeci na podium. Tak kończy się drużynowa walka we Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego.

Następne zawody, następna szansa dla Polski. Tym razem w drużynowym konkursie skoków o Nagrodę Narodów startują: Zbieg pod rotmistrzem Sokołowskim, Dunkan pod porucznikiem Komorowskim i Warszawianka pod porucznikiem Gutowskim. Niestety, nadzieje pryskają. Większość ekip – to już zasada tych igrzysk – zostaje zdyskwalifikowana. I tak Polacy znaleźli się w godnym towarzystwie Włochów, Belgów, Anglików, Amerykanów, Szwedów, Norwegów, Czechów, Duńczyków, Rumunów, Węgrów i Turków. Zgadnijcie, kto zwyciężył? Zgadliście. Reichsportfeld huczy: *Deutschland, Deutschland über alles!* Po raz kolejny złote medale są wręczane Niemcom przy wtórze salw armatnich, w blasku reflektorów, przy akompaniamencie okrzyków i podniesionych ramion: „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz”.

Ale, ale. Żeby nie było nam za słodko z tym w pocie wywalczonym srebrem we Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego... Otóż proszę sobie wyobrazić, że zakwestionowano nagrodę. Dopiero na skutek odwołania się przez Polski Związek Jeździecki do najwyższej instancji – Kongresu Międzynarodowego Związku Jeździectwa w Paryżu – po paru miesiącach zwrócono Polsce srebrny medal.

Gaśnie olimpijski znicz. Spływa z masztu olimpijska flaga. Nie zostanie wciągnięta za cztery lata w Japonii. Zastępcze igrzyska będą się rozgrywać co najwyżej w obozach jenieckich. Wróćmy na chwilę na główną trybunę stadionu, gdzie stoi persona, która chce być najważniejszym człowiekiem na świecie. Polska „srebrna” ekipa zostaje przedstawiona Führerowi. Spójrzmy na trzy stop-klatki: rotmistrz Zdzisław Szczęsny Kawecki – zginie za cztery lata, rozstrzelany w Katyniu. Henryk Leliwa-Roycewicz – będzie dowódcą batalionu Kiliński podczas powstania warszawskiego. Major Adam Królikiewicz – szef ekipy... Jego losy zostaną szczegółowo opisane na dalszych stronach. Na razie przypatrzmy się temu zamrożonemu w bezruchu obrazowi. Owa sekunda zadecyduje o życiu mojej matki, a prawdopodobnie i o moim. Dziadek stoi sztywno przed Adolfem Hitlerem. „Jeden wódz” patrzy na polski mundur, jakby chciał nań splunąć.

Substancja jest lepka, kleista, ma kolor flegmy. Bo to jest flegma. Spływa wolno po pagonie, po zielonym suknie munduru, już ma tknąć medali wiszących na piersi. Jest wśród nich polski krzyż Virtuti Militari, francuska Legia Honorowa, a także Szwedzki Krzyż Królewski, są podwójne Krzyże Walecznych z mieczami, Krzyż Niepodległości, Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi, Gwiazda Rumunii, Corona d'Italia.

Muszka wyjmuje z torebki chusteczkę i błyskawicznie wyciera plwocinę z munduru męża. Widzi w oczach Adama ogień. Widzi zaciskające się pięści.

– Adaś, nie rób tego. Będzie międzynarodowa afera...

Naprzeciw majora stoi szczył w krótkich spodenkach, w brunatnym mundurku, ze swastyką na rękawie. Adam ma ochotę roztrzaskać pysk gówniarza z Hitlerjugend na milion kawałków. Jest lato 1938 roku. Wolne Miasto Gdańsk. Adam nie zabija germańskiego szczyła. Mówi:

– *Wusstest du, dass die Beleidigung der polnischen Offizier?*

– *Ja* – odpowiada gnojek z hakenkreuzem na rękawie i odwraca się na pięcie. Krysia widzi łzy w oczach ojca.

Adam stoi przed hotelową szafą. Wisi w niej cywilny garnitur. Adam przez moment nie może złapać oddechu. Ręce mu zeszywniały, ziemia umyka spod stóp. Nie, nie wyciągnie cywilnego ciucha z szafy. Robi to Muszka.

– *Włóż. Załóż garnitur, kochanie.*

Adam posłusznie odpina guziki oficierskiego uniformu. Czuje pod opuszkami palców wypukłość orzełka. Przysięga sobie, że to ostatni raz, kiedy czyjaś plwocina zmusiła go do zdjęcia munduru. Krysia stoi za plecami ojca. Ma suche oczy. Choć pragnie, by były mokre od żalu i nienawiści.

Srebrna trumna, mądry topielec i morski kapitan wychodzą ze ściany

Odwiedzam mamę regularnie. Regularnie obserwuję, jak na miejscu wykorzenionej mirabelki przy Andersa 10 rośnie apartamentowiec. Zasłyszana wymiana zdań na podwórku, pod którego betonową powłoką być może leżą żydowskie kości:

– A co to za dom budują tam obok na podwórku?

– A Żydzi dla Żydów budują.

„Żydzi dla Żydów budują”, dźwięczy mi w uszach raz po raz, gdy patrzę na ściany mieszkania mojej matki, wzniesione z cegieł getta. Jakie z nich dziś będą wychodzić duchy? Może wreszcie spotkam się ze snem mojej mamy o Marszałku Piłsudskim?...

Krysiu, musisz ciepło się ubrać.

– Mamo, nie chcę jesionki. Jest już wiosna.

– Nie ma gadania, Kryśka – strofuje ojciec. – Dopiero co padał śnieg. Okrutna pogoda.

To prawda. 3 maja, w święto Konstytucji, padał śnieg. Pogrzeb Marszałka odbędzie się w zimnie i ulewnym deszczu. Taka polska aura. Kryśka będzie musiała włożyć jesionkę. A pod jesionką szkolny mundur z marynarskim kołnierzem. Dzięki dawnemu narzeczonemu Muszki, Adamowi Sokołowskiemu, obecnie szefowi Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych Marszałka, Krysia nie będzie musiała marznąć, nawet trochę się zgrzeje, bo państwo Królikiewiczowie będą żegnać Piłsudskiego z okien budynku przy placu Zamkowym. Dostaną specjalną przepustkę na tę okazję. Jest 15 maja 1935 roku. Srebrna trumna spoczywa na lawecie zaprzężonej w sześć koni. Sunie przez gęsty tłum do katedry Świętego Jana. Mszę celebryje kardynał Aleksander Kakowski. Troszkę było z tym zamieszania, bo Marszałek konwertował się do Kościoła ewangelicko-augsburskiego, aby móc wziąć ślub z Marią Koplewską. Na szczęście później wrócił ponoć potajemnie na łono Kościoła katolickiego. Zostawmy sprawy wiary Marszałka, już Pan Bóg to jakoś rozwikła. Popatrzmy, jak kondukt rusza z katedry na Pole Mokotowskie. Tam, w zimnie i deszczu pożegna go defilada wojskowa. Laweta spoczywa na specjalnie ułożonym torze. Huknie salwa, zagwiżdże lokomotywa. Pociąg rusza w ostatnią, powolną podróż do Krakowa. Lawetę żegnają tysiące. Po krakowskich uroczystościach żałobnych trumna zostanie złożona w wawelskiej krypcie Świętego Leonarda, a po intensywnej, drażliwej, dwuletniej utarczce między kardynałem Sapięgą a rządem Marszałek uda się na ostateczny wieczny spoczynek w wawelskiej krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Pośmiertne utarczki. Polska aura. Jesionka Krysi zawisa w szafie. Wreszcie nadchodzi wiosna. A po niej lato, a po lecie jesień, a po jesieni zima, znowu wiosna i lato...

Trochę mi głupio. Trochę mi głupio patrzeć na moją piętnastoletnią mamę całującą się z chłopakiem. Siedzą nad brzegiem Wkry w Głinojecku. Tak myślę, że to pierwszy w życiu pocałunek. Krysia czuje, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Gorący prąd przepływa od ust do łądźwi. Odsuwa się lekko od ust chłopaka. Chłopak, Julek, ma

dokładnie tyle lat, ile Krystyna. Nosi okulary, które w tej chwili zaparowały od gorących oddechów. Julek nosi szkła, bo czyta bardzo dużo książek. Julek jest bardzo mądry, inteligentny i tym imponuje Krysi. Dlatego Krysia całuje się z Julkiem. Ale niestety oprócz zachwyty nad mądrością Julka nie czuje do chłopca nic więcej. Dlatego po nagłym uderzeniu gorąca w piersiach odrywa usta od ust chłopca. Julek jest naprawdę inteligentny. Wie, że coś nie tak. Jest mu przykro. Odwraca wzrok, przeciera szkła okularów o kąpielowe spodenki i patrzy na szumiącą Wkrę.

– Pójdę popływać – mówi speszony.

– Jak chcesz – odpowiada równie speszona Krysia.

Julek zdejmuje kolorową bawełnianą koszulę i idzie w stronę rzeki. Krysia patrzy na wiotkie ramiona chłopca i zamienia je w myślach na umięśnioną klatkę piersiową stryjecznego brata, Tadeusza. Tadeusz junior bardzo się Krysi podoba, ale tylko tyle, bo są przecież bliskimi kuzynami. Tymczasem chudy Julek odkłada na kamień okulary i zanurza się w rzece. Gdzieś zaterkotał dzięcioł, ale przygłuszył go szum nurtu. Pachnie wilgocią, w powietrzu wirują pyłki lip przywiane z fabrykanckiego parku. Krysia przymyka oczy, jakby chciała zatrzymać pod powiekami ten sielankowy obrazek.

– Kryśka! Kryśka!

Dziewczyna gwałtownie otwiera oczy, powidok pryska jak mydlana bańka. Julek krzyczy, podnosząc rękę. Nie, to nie jest okrzyk radości. Julek krzyczy „ratunku, na pomoc!”. Topi się. Porywa go wir. Dziewczyna skacze do wody. Kilka wprawnych uderzeń ramionami. Jest bardzo wysportowana. Jeszcze dwa machnięcia kraulem. Już, już. Chwyty za ramię. Julek się krztusi. Wzrok błędny, nieprzytomny. Chłopak chwytając dziewczynę wpół i wciąga pod wodę. Nie wiadomo, ile razy wir obraca splecione ciała i pcha na dno. Czerń w oczach. Woda zalewa krtań. Oddech spływa do żołądka. Krystyna czuje, że traci przytomność, nie może się wyrwać z kleszczy ramion chłopaka. Wreszcie. Uwalnia jedną rękę i pięścią uderza z całej siły w głowę topielca. Julek na moment traci przytomność i rozluźnia uścisk. Kryśka chwytając go za włosy, podciąga do siebie, lewą ręką owija jego szyję, prawą wiosłuje do brzegu. Pod prąd, omijając wiry. Wyciąga topielca na brzeg. Pochyliła się. Otwiera usta chłopca, wyciąga język. Znow jej wargi dotykają jego warg. Ale to już nie jest namiętny pocałunek. Julek podnosi powieki, chwytając oddech. Patrzy w przerażone oczy dziewczyny, w której się kocha, dziewczyny, która nie kocha jego. Julek dożyje późnego wieku. Nazywał się Owidzki. Był wybitnym reżyserem radiowym, dyrektorem Teatru Polskiego Radia. Moja mama odprowadza go zamglonym wzrokiem. Julek znika gdzieś w ścianie mieszkania przy ulicy Andersa...

Otóż, proszę szanownych państwa, proszę sobie wyobrazić, co się stało podczas mojego rejsu na Jamajkę.

Minęło lato, minęła jesień, nadeszła zima. Lipy i bzy w parku pokryły się szronem, Wkra zamarzła, dach cukrowni tonie w śniegu. Jest Boże Narodzenie. Na choince płoną świece, na stole wigilijna wieczerza, a stół przykryty obrusem, pod którym teraz ja kładę sianko podczas świąt Bożego Narodzenia.

– Otóż, jak mówię, wyobraźcie sobie, nasz statek dopływa do wybrzeży tej kwitnącej

wyspy...

– Jasiu, a jak się nazywał ten wasz statek? – wtrąca z ciepłym uśmiechem na ustach Stefania Lilienstern.

– Karolla – odpowiada bez mrugnięcia okiem Jan Lilienstern. Jan i świętej pamięci Stanisław byli blisko spokrewnieni. Jan Lilienstern tak jak jego kuzyn przechrcił się i w 1913 roku stanął przed ołtarzem ze stryjeczną siostrą mojej prababci Stefani, Stanisławą Miłobędzką. Słowem, przy wigilijnym stole zasiada rodzina. Oprócz mojej prababki są jeszcze moi dziadkowie, Adam i Muszka, moja mama Krysia, daleka ciotka Sółkowska, która nie dosłyszy i pali fajkę, oraz syn Jana i Stasi, Wojciech, poważny facet, bo inżynier elektryk. Pan inżynier patrzy na ojca z cieniem zażenowania w oczach. A Janek dalej peroruje:

– Wyobraźcie sobie, że już, już podpływamy do Jamajki, gdy nagle od północnego zachodu pojawiają się dwie korwety. Wystawiam lunetę przez burtę, patrzę ci ja, wyobraźcie sobie, wyostrając wzrok, i co widzę? Nie zgadniecie, wyobraźcie sobie. Czarną flagę z trupią główką widzę!

– Tato... – próbuje przerwać Wojciech, poważny facet, bo inżynier elektryk.

– Nie przerywaj mi, synu.

– Właśnie – dorzuca Krysia zauroczona opowieścią.

– Już kontynuuję, Krysieńko, już, już, nie niecierpliw się. Wydaję rozkaz, by wytoczyć działa na pokład, wyobraźcie sobie. Na mój kapitański rozkaz armaty huczą jak stutysięczne grzmoty. Ale, ale... Wyobraźcie sobie, że...

– Co mówisz, Jasiu? – przerywa przygłucha ciotka Sółkowska, pykając fajkę.

– Mówię, ciociu, że piracka załoga już, już przygotowuje się do abordażu, aż tu ci nagle, wyobraźcie sobie, jak nie gruchnie szkwał z jasnego nieba...

– Jasiu, szkwał grucha z czarnego nieba – śmieje się pod nosem Adam.

– Ano właśnie, że nie, wyobraźcie sobie! Ten szkwał gruchnął z jasnego nieba, bo niebo rozjaśniła błyskawica.

– I co, i co? – pyta Krysia.

Adam dusi się ze śmiechu. Muszka trąca męża łokciem.

– No i jak nie zahuczy fala, wielka jak, wyobraźcie sobie, jak ten budynek w Nowym Jorku, co to go, wyobraźcie sobie, wybudowano sześć lat temu, jak...

– Empire State Building – dopowiada syn, Wojciech Lilienstern, ze złości przygryzając od środka policzek.

– O to, to, to! Ten właśnie. I jak ta fala nie gruchnie, wyobraźcie sobie, i po piratach zostały tylko pływające szczątki.

– A co z waszym statkiem? – dopytuje się dziadek.

– Z Kamaryllą?

– Karollą, Jasiu, przed chwilą twoja jednostka nazywała się Karolla, wyobraź sobie.

– A zgadza się. Ale po tym wypadku kazałem armatorowi zmienić nazwę, wyobraźcie sobie, na Kamaryllę, bo to takie bardziej przyjazne imię. No cóż... Jakoś nadludzkim wysiłkiem dopłynęliśmy do brzegów Jamajki.

Żona Jana Liliensterna, Stanisława, zakrywa ze wstydu dłońmi twarz. Bo Stanisława wie, że wszyscy wiedzą, że jej mąż nigdy nie był nad morzem. Nawet w Juracie.

A moja mama widzi stryjka Jasia Liliensterna w kapitańskim mundurze. Pan kapitan

wsiada na pokład i odpływa gdzieś za ścianę mieszkania przy ulicy Andersa. Moja mama widzi też kuzyna Wojciecha, porucznika Oddziału V Łączności KG AK pseudonim „Wiktor”, który za kilka lat zostanie zdradzony przez konfidenta gestapo, trafi na Pawiak i zostanie zamęczony. Szpiclem był niejaki Staszauer, prowadził knajpę na Mazowieckiej. Za Kotarą to był tajny lokal Geheime Staatspolizei. Zdrajca został zlikwidowany przez podziemie. Staszauer był Żydem, Wojciech „Wiktor” Lilienstern był pół-Żydem. Ojciec i syn wsiąkają w cegły ocalone z getta i odpływają statkiem na Jamajkę, na zawsze.



Krysia Królikiewicz (pierwsza z lewej) z przyjaciółmi w Gliniojecku, prawdopodobnie 1937 r.

Suknia z jasnoblękitnej tafty

Dosiad, Kryśka, dosiad! Wyprostuj sylwetkę! Co to, jesteś garbus z Notre Dame?! Pięty w dół w strzemionach?! I nie telep się jak worek kartofli! Kryśka!

Kryśka prostuje sylwetkę. Wie, że oprócz srogiego spojrzenia ojca patrzą na nią łakome oczy grudziądzkich podchorążych. Kryśka wie, że robi wrażenie: bryczesy z irchowymi lejami, wcięty seksownie żakiet, toczek, plastron, no i zgrabne buty z cholewami od Niedzińskiego, szewca europejskiej sławy. To próba generalna przed wielkim wydarzeniem jeździeckim. Kryśka chce, musi dobrze na nim wystąpić. Niech teraz pozerają ją wzrokiem podchorążowie, niech patrzy na nią Michał Sobański, w którym Kryśka potajemnie się podkochuje. Chłopak ma oczy słodkie jak dwie landrynki, jest szczupły, prosty niczym struna, z kpiarskim uśmiechem na ustach. To wystarczy, żeby zakotłowało się w siedemnastoletniej głowie. Tylko niechże ojciec teraz na nią tak nie krzyczy. Wstyd. Michał patrzy. Niech już jej ojciec nie trzyma na lonży jak na postronku.

– Kłus! Dłonie do siebie! Anglezuj, a nie trzęś się jak dziwka na szczerbatym nocniku!

Dosyć! Dziewczyna ściąga wodze i zatrzymuje konia. Zeskakuje zgrabnym, ale wściekłym ruchem z siodła.

– Co ty robisz?! – krzyczy major. – Wracaj natychmiast na siodło!

– Nie!

Dziewczyna idzie szybkim krokiem w stronę stajni. Ciągnie za sobą konia, tak mocno i zamasyście, że lonża wypada majorowi z dłoni. Twarz Adama robi się czerwona ze złości. Ojciec nie widzi łez w oczach córki. Ale widzi je Michał. Widzi, niestety widzi, że pękła, że się maże. Kryśka znika w stajni. Po kilkunastu sekundach słyszy za swoimi plecami kroki i zduszony złością głos ojca:

– Co to ma znaczyć?

Kryśka się odwraca i major dostrzega w oczach córki perliste łzy.

– Płaczesz?

– Nie. Mam tylko mokre oczy. Ze złości. Jak mogłeś... jak mogłeś mnie nazwać dziwką na szczerbatym nocniku?

Ojcu dech zaparło w płucach. Głos mu mięknie.

– Krysiu... To tylko taki kawaleryjski szpas.

– To sobie szpasuj swoich podchorążych, a nie mnie! – odszczekuje się dziewczyna. Jej głos jest tak mocny i stanowczy, że konie w boksach gwałtownie unoszą głowy, a majorowi miękną kolana.

– Córeczko, nie podnoś głosu na ojca.

– Tatusiu, nie podnoś głosu na córkę.



Hubertus 1938, Krysia Królikiewicz na koniu Cabalero.

Krysia zdejmuję z głowy toczek i wychodzi ze stajni.

– Kryśka, rozsiódłaj konia! – major stara się zachować resztkę rezonu. Ale raczej nic z tego nie będzie, bo słyszy krótką, bezczelną odpowiedź córki:

– Nie.

Jest jesień 1938. Na grudziądzkim maneżu osiada nieprzyjemna mżawka. Drobne, zimne krople liżą czerwone dachy i mury podchorążówki. W ogóle jest parszywie, chociaż zbliża się to wyśnione przez Kysię jeździeckie święto – Hubertus. Będzie pogoń za lisem, będzie bal w Królewskim Dworze, będzie walc z Michałem, będzie suknia z błękitnej tafty.

– Nie będzie żadnego balu – mówi kategorycznie major.

– Adaś... – próbuje pertraktować Muszka. Ale nic z tego:

– A gdzie ty się tak, dziecko, spieszysz? Masz dopiero siedemnaście lat.

– Tato, proszę cię. Bardzo cię proszę.

– Nie.

– Adaś...

Fedoruk stoi w progu salonu. Wycofuje się pod rozkazującym spojrzeniem majora. Fedoruk już dawno odbył swoją obligatoryjną służbę, ale został na ordynansie u pana majora. Nie chciał wracać na Ukrainę.

– Nawet mowy nie ma – ciągnie stanowczo Adam. – Poczekaj, Kryśka, jeszcze się natanczęsz, jeszcze niejedną będziesz miała taki bal.

Szelest papieru. Fedoruk wnosi do gabinetu jakiś pakunek. Stoją tam już wyprostowane, spięte, Krysia i Muszka. Krysia jeszcze nie wie, co się kryje pod papierem.

– *Szydko*. Coby pan major nie zobaczył.

I teraz już Krysia widzi, co kryje opakowanie: piękną jasnoblękitną taftę.

Szelest materiału. Krojczyni, pani Rudecka, jak wskazuje jej nazwisko, ruda niczym marchewka, odsuwa się o krok.

– Pani Rudecka, trzeba jeszcze zebrać w talii.

– Tak jest, pani majorowo.

– Mamuś, jest dobrze, jest bardzo dobrze!

To dopiero druga przymiarka, a olbrzymi klosz fruwa przy każdym obrocie. Misternie upięte rękawki szumią na ramionach jak skrzydła. Skromny dekolt zdobią różowe stokrotki. Widzę swoją matkę i naprawdę dech mi zapiera. Ciekawe, jak zareaguje dziadek. No bo spisek babci Muszki musi przecież wyjść na jaw.

– Fedoruk, jak wyglądam?

– Panna Krysia wygląda *jak słońce wranci. Jak pryncesa*.

– Fedoruk, przynieś z szafy pantofelki – poleca Muszka.

– Tak jest, pani majorowa.

– O tu, widzi pani, pani Rudecka, tu, jakby zebrać w tym miejscu na zakładkę.

– Oczywiście, pani majorowo. Zrobi się.

Krawcowa podbiera palcami materiał i przypina zakładkę szpilką. W drzwiach staje Fedoruk, trzymając na dłoniach srebrne aksamitne pantofelki na niewysokim obcasie, kupione przez Tomisławę w Paryżu. Czubki pantofelków iskrzą się refleksami. I w tym momencie ścienny zegar wybija godzinę czwartą. Krysia patrzy z przerażeniem na cyferblat.

– Ojciec zaraz... Szybko, pani Rudecka, proszę mi pomóc zdjąć...

– Nie – stanowczo rozkazuje pani majorowa.

– Co ty, mammo?...

– Chodź tu do mnie. Niech Fedoruk przyniesie grzebień z mojej toaletki.

Po chwili Krysia ma warkocz upięty w koronę. Fedoruk chrząka. Nie wiemy, czy to obawa przed gniewem majora, czy zachwyt na widok „królowny”.

Za oknem słychać turkot dorożki. Zabłocone oficerki pną się po schodach. Krysia, Muszka, pani Rudecka i Fedoruk wstrzymują oddech. Wahadło zegara odlicza sekundy. Skrzypnięcie drzwi. Kroki po posadzce. W progu gabinetu staje major. Stoi i stoi. Stoi tak przez dobre pół minuty, nie mogąc wydusić słowa. Nie ze złości. Z zachwytu.

Był Hubertus. Była pogoń za lisem. Podchorąży Michał Sobański został zwycięzcą. Był bal na Królewskim Dworze. Przed obłędnie elegancki hotel zajechały lśniące samochody, powozy, karety. Do tańca zagrała słynna orkiestra Krasińskiego. Krystyna wpłynęła na parkiet w jasnoblękitnej taftowej sukni. Dała się zawirować Michałowi w walcu. Może to był *Nad pięknym modrym Dunajem*, może *Künstlerleben*. Nie dowiemy się już tego. W każdym razie Krysia już nigdy w życiu nie zatańczy na takim balu.

Nigdy. Epoka się skończyła.

W świetle tych wyjaśnień Wysoka Izba oczekuje zapewne ode mnie, i słusznie, odpowiedzi na ostatni passus niemieckiego memorandum, który mówi: „Gdyby Rząd Polski przywiązywał do tego wagę, by doszło do nowego umownego uregulowania stosunków polsko-niemieckich, to Rząd Niemiecki jest do tego gotów”. Wydaje mi się, że merytorycznie określiłem już nasze stanowisko. Dla porządku zrobię resumé. Motywem dla zawarcia takiego układu byłoby słowo „pokój”, które pan kanclerz Rzeszy z naciskiem w swym przemówieniu wymieniał. Pokój jest na pewno celem ciężkiej i wyczerpującej pracy dyplomacji polskiej. Po to, aby to słowo miało realną wartość, potrzebne są dwa warunki : 1) pokojowe zamiary, 2) pokojowe metody postępowania. Jeżeli tymi dwoma warunkami Rząd Rzeszy istotnie się kieruje w stosunku do naszego kraju, wszelkie rozmowy, respektujące oczywiście wymienione przeze mnie uprzednio zasady, są możliwe. Gdyby do takich rozmów doszło – to Rząd Polski swoim zwyczajem traktować będzie zagadnienie rzeczowo, licząc się z doświadczeniami ostatnich czasów, lecz nie odmawiając swej najlepszej woli. Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenną. Tą rzeczą jest honor²⁵.

Wiruję za błękitnym odbłaskiem tafty ze wspomnień matki, unoszę się nad grudziądzkim lasami, nad jeziorem Rudnik, „czarną odnogą” ozłoconą jesiennymi liśćmi, słyszę jej słabnącym słuchem galop końskich kopyt wzdłuż stromego zjazdu do Wisły, widzę jej przyblakłym spojrzeniem kolorowe kawaleryjskie proporczyki, wielką ujeżdżalnię, stajnie. A potem wszystko milknie w rytmie na trzy czwarte, nikt nie jak tamta epoka, usycha jak życie starej kobiety.

Słomkowy kapelusz

Świat traci barwy. Już nie jest pastelowy. Nigdy po prawdzie taki nie był, ale teraz robi się cienisty, jeśli nie barwy smoły lub zakrzepłej krwi. Coś już stało się wcześniej, zdarzenie o posmaku kasandrycznej przepowiedni. Tragedia miała miejsce w czasie matury. Ostatniej matury tamtego pokolenia, matury 1939. Jedna z koleżanek mamy z licealnej klasy nie zdała egzaminu dojrzałości. Popelniła samobójstwo. Według relacji mamy odebrała sobie młode życie, skacząc do grudziądzkiej Trynki. Nie znam imienia i nazwiska tej dziewczyny. W każdym razie traktuję jej śmierć jak koszmarny omen nadciągającej katastrofy, w której jedną z głównych ról będą grać roczniki, nazywane „pokoleniem Kolumbów”, w tym maturzyści ostatniego przedwojennego egzaminu dojrzałości. A jaki prawdziwy egzamin dojrzałości będą musieli za chwilę zdawać? Czas i los oszczędzą dziewczynie wyłowionej z grudziądzkiego kanału tego testu dorosłości. Kompletnie abstrakcyjnie w tym kontekście brzmi wymiana zdań między mną i mamą:

- Pamiętasz coś z tamtej tragedii?
- Smutek i przerażenie. I... – mama urywa myśl.
- I? – dopytuję się, czekając cierpliwie, aż iskra wróci na swoje miejsce w synapsach starej kobiety.

Usta mamy niewyraźnie szepczą:

- Słomkowy kapelusz...
- Słomkowy kapelusz?
- Pierwszy raz w życiu miałam na głowie tak piękny kapelusz. Wtedy... Na rozdaniu matur... Bardzo mi się podobał. Płakałam po koleżance, ale bardzo mi się podobał ten słomkowy kapelusz.

Stop. Zatrzymajmy się w tym miejscu. Stoimy na granicy dwóch światów. Moja osiemnastoletnia mama połyka łyż, jeszcze o tym nie wie, że ból i gorycz będą teraz nieodłącznym atrybutem nadchodzącego świata. Dziewczyna ma na głowie słomkowy kapelusz. Jasny, żółty, pastelowy. Przedmiot o barwach mijającej epoki. Jest maj. Kwitną kasztany, pachną bzy i tak dalej. Za chwilę będą wakacje, potem zaplanowane studia na polonistyce, potem dorosłe życie, plany, marzenia. Krysia spędza lato u babci Funi w Głinojecku. Jeszcze kąpiele we Wkrze, jeszcze wypadu drezyną do Szyjek, do gęstych lasów, do pobliskich majątków ziemskich, „a lato było piękne tego roku”, napisze poeta w swoim wierszu, jeszcze niebo jest czyste błękitem, ale jeden z wakacyjnych kolegów Krysi wyjeżdża w pośpiechu do Junackich Hufców Pracy. A w Grudziądzu, gdzie stacjonuje major Królikiewicz, trwa z tajnego rozkazu mobilizacja. Według dyrektywy Adam zostanie oddelegowany do ośrodka kawalerii w Garwolinie pod Warszawą. Tam razem z majorem będą przerzucone osobiste rzeczy rodziny, w tym cenna, bogata kolekcja nagród jeździeckich.

W fabrycznym mieszkaniu dzwoni telefon.

- Krysiu, mama dzwoni z Grudziądza! – woła babcia Funia z salonu.
- Tak, mamo, słyszę dobrze.

– Przyjeżdżam do ciebie, córeczko.

– Coś się stało?

– Ojciec każe nam przyjechać do Warszawy.

No tak, konstatuje w myślach Kryśia. Koniec wakacji.

– Przyjeżdżam jutro – ciągnie Muszka. – Wyślijcie po mnie samochód z cukrowni. Wsiądę w Ciechanowie.

– A nie jedziemy do Krakowa?

– Nie.

W tym miejscu potrzebne jest wyjaśnienie. Rodzina państwa Królikiewiczów buduje w Krakowie na Dębnikach okazałą willę, półkamienicę. Wzniesioną na działce osiedla spółdzielni mieszkaniowej legionistów. Niewykończony jeszcze dom mieści się na ulicy Czarodziejskiej 6. Po pewnym czasie Czarodziejska zmieni nazwę na Praska.

– Mamy jechać razem do Warszawy. – Głos Tomisławy brzmi jak rozkaz.

– Mamusi, czy coś się stało?

Połączenie zostało przerwane. Celowo? Być może, wszak Muszka dzwoni ze służbowego telefonu Centrum Wyszkożenia Kawalerii, do którego już dotarły tajne rozkazy o mobilizacji.

Pociąg zatrzymuje się w Ciechanowie. Tomisława nie może się przedrzeć przez tłum pasażerów. Ludzie wracają znad morza, koniec wakacyjnego wypoczynku.

– Gdzie się pani pcha? – Opasły jegomość w przepoconym gabardynowym garniturze nie daje pani Królikiewicz precyzyjnie się przez korytarz.

– Ja tu wysiadam! Proszę mnie przepuścić!

– Jak mam panią przepuścić? Nie widzi pani, że się ruszyć nie mogę? Aua! Niechże mi łaskawa pani nie depta po odciskach.

Samochód wysłany przez dyrekcję cukrowni czeka na próżno przed budynkiem ciechanowskiej stacji. Pociąg rusza. Muszka nie może wysiąść z wagonu. Samochód z cukrowni odjeżdża bez pani Królikiewicz. Tomisława wysiada z pociągu dopiero razem z cizbą letników na Dworcu Głównym w Warszawie. Stamtąd, z potężnego gmachu oddanego do użytku podróżnych rok wcześniej, rusza do Głinojecka autobusem. Trudno przebrnąć przez Marszałkowską i Emilii Plater. Ulice są rozryte rowami.

Warszawa przygotowuje się do akcji przeciwlotniczej. 20 tys. mieszkańców stolicy buduje rowy.

Akcja budowy rowów przeciwlotniczych w Warszawie rozwija się w szybkim tempie. Świadczy o tym z jednej strony powiększająca się stale ilość punktów, w których prowadzone są roboty, z drugiej zaś – ilość osób, które masowo zgłaszają się, ofiarowując ochotniczo swą pracę. Przy robotach widzi się ludzi starszych i dzieci, kobiety i mężczyzn, ludzi zaprawionych do pracy fizycznej oraz tych, którzy łopatę trzymają w ręku pierwszy raz w życiu. O ile w pierwszym dniu prac roboty prowadzone były tylko w 50 punktach miasta, w drugim dniu liczba ta podniosła się do 136 miejsc, a wczoraj rano roboty objęły już 200 punktów w stolicy. Aby wszyscy mieszkańcy najbardziej narażonej na ataki lotnicze tzw. strefy I Warszawy byli całkowicie zabezpieczeni przed grozą ataków powietrznych, trzeba wybudować rowy przeciwlotnicze jeszcze w 70 miejscach. Ilość osób zgłaszających się ochotniczo do kopania rowów stale się powiększa. Pierwszego dnia pracowało około 4000

osób, drugiego dnia liczba ta wzrosła do 6500 osób. Wczoraj do godz. 9-ej r. przy kopaniu rowów zatrudnionych było 17000 osób, zaś po południu już 20000. Wiele osób, nie rozporządzając wolnym czasem, deklaruje tylko 3–4 godziny dziennie, toteż istnieją w ciągu dnia takie okresy, gdy na niektórych robotach odczuwa się brak rąk do pracy. Ponadto należy uwzględnić, że wśród zgłaszających się do pracy znajduje się wiele dzieci, których słabe siły nie mogą podjąć ciężkiej stosunkowo pracy. W niektórych punktach miasta budowa rowów została już wczoraj ukończona. Są to: plac Małachowskiego, plac Napoleona, plac Inwalidów, plac Zbawiciela, ul. Senatorska, N. Świat nr 35, 41, 43 i inne. W miejscach tych trwają jedynie drobne poprawki, wykończanie pochylni i schodków. Ludzie pracujący przy budowie rowów skierowani zostaną do innych miejsc. Wczoraj po południu przy kopaniu rowów na terenie Ministerstwa W.R.i P. wziął udział min. Świętosławski, wicemin. Maciszewski i wyżsi urzędnicy Ministerstwa. Na dziedzińcu placu Zamoykich przy ul. Senatorskiej pracowali przy budowie rowów artyści teatrów stolicy: Maszyński, Dymśa, Roland i inni. Liczne osoby, którym brak czasu albo choroba nie pozwalają na czynny udział przy robotach, nadsyłają w zamian pieniądze na zakup narzędzi. [...] Dla ułatwienia wszystkim, którzy pragną składać ofiary pieniężne na fundusz przeznaczony na rowy przeciwlotnicze otwarte zostały konta w PKO nr 6.162 oraz w KKO. m. st. Warszawy nr 2.402, dokąd należy przekazywać pieniądze. [...] Przykładem dla wielu młodych mężczyzn i kobiet może służyć 83-letnia staruszka, która wraz z innymi bierze udział w kopaniu rowów przeciwlotniczych w obrębie Targówka, przeznaczając na ten cel kilka godzin. Zgodnie z apelem Izby Rzemieślniczej w Warszawie szereg organizacji rzemieślniczych zwołał specjalne zebranie w celu przedstawienia swym członkom konieczności masowego udziału w tej akcji zarówno pracodawców, jak i pracowników. Związek Stowarzyszeń przyjaciół wielkiej Warszawy zwrócił się również z wezwaniem do wszystkich stowarzyszeń związkowych, zalecając im przyciągnięcie do tej pracy wszystkich członków stowarzyszeń związkowych oraz prowadzenie całej akcji w ścisłym porozumieniu z terenowymi komisariatami OPL.

Tak donosi „Gazeta Polska” 30 sierpnia owego roku.

Patrzę nieruchomym wzrokiem na prababcię Stefanię. Funia ma oczy pełne łez.

– Muszko... To już koniec wakacji? – pyta pani Lilienstern.

– Mamo – odpowiada Muszka, upychając najpotrzebniejsze rzeczy córki do niewielkiej tekturowej walizki – nie wiesz, co się dzieje?

– Co się dzieje? – Znów to niby bezbrzeżnie naiwne pytanie. Ale to nie jest bezbrzeżnie naiwne pytanie. „Co się dzieje?” to są trzy słowa wypowiedziane z gardłem ściśniętym przerażeniem, to kwestia, którą się stawia w najistotniejszych chwilach. I choć nie ma na nie odpowiedzi, ów znak zapytania ma prawo zawisnąć ponad czasem. „Co się dzieje?”... To samo pytanie rozbrzmiewało w głowie dobrej, kruchej kobiety, kiedy siedem lat temu odchodził z tego świata jej mąż. Żyd przechrzta, inspektor cukrowniczy, dusza człowiek. Zostawił ją, odchodząc gdzieś na skraj niewiadomego. A teraz Funia patrzy przez łzy na ukochaną wnuczkę, poprawiając jej słomkowy kapelusz na czarnej czuprynie.

– Babciu, nic się nie dzieje – odpowiada wnuczka, nie wiedząc, co mówi.

Wsiadają do cukrowniczego fiata. Sam pan inspektor Linke odwiezie moją mamę

i babcię Muszkę do Ciechanowa. Funia widzi, jak słomkowa plama kapelusika rozplywa się w złotej przestrzeni. Czas chyba zmienić szkła w binoklach. Z Ciechanowa Tomisława i Krysia ruszają przysadzistym chevroletem Komunikacji Samochodowej PKP do stolicy. Przystanek w Płońsku. I wreszcie pada realna odpowiedź na pytanie: „co się dzieje?”. Słysząc ją z tub megafonów, brzmi jak suche uderzenie pięścią w twarz: Polska została zaatakowana przez Niemcy.

Krysia podnosi wzrok. Na kryształowo błękitnym niebie pojawiają się czarne cienie i całymi eskadrami przykrywają słońce. Bieleją na nich krzyże. Warszawa grzmi i dymi od bomb. Podmuch wybuchu zrywa z głowy słomkowy kapelusz. I słomkowy kapelusz ulatuje w smolistą przestrzeń.

Ranne pantofle i miód turecki

Nie mam pojęcia, na jakiej ulicy w Warszawie mieszkał brat mojego dziadka, Marian, najstarszy z ośmiu braci Królikiewiczów. W każdym razie było to Śródmieście, dzielnica posiekana na gęstą siatkę ulic i mniej lub bardziej ciasnych podwórek. Marian dosłownie za chwilę skończy pięćdziesiąt dziewięć lat. Urodził się we wrześniu. Wszyscy bracia Królikiewiczze wyfrunęli już ze Lwowa, życie ich rozsiało po Polsce, część osiadła w Krakowie. Kazimierz po wyjściu z niewoli, do której trafił w 1920 roku, wylądował w Moskwie, gdzie skończył architekturę i ożenił się z Rosjanką. Wrócił wreszcie do ojczyzny po latach, ale żony nie mógł zabrać ze sobą, musiał się rozwieść. Władze sowieckie nie pozwoliły swojej obywatelce na osiedlenie się w burżuazyjnej Polsce.

Zostajemy w stolicy, na którejś ze śródmiejskich uliczek. Tak na moje oko są to okolice Noakowskiego, Lwowskiej, może Pięknej? Tam, gdzie przed wojną, a i dziś w kilka minut można przeskoczyć z podwórka na podwórko. Marian jest już prawie trzydzieści lat w małżeńskim związku z Wandą z domu Popecką. Mimo ciepłych wrześniowych nocy Wandzie marzną stopy. Według rodzinnych przekazów Wanda była trochę chimeryczna. Tego na sto procent nie wiem, w każdym razie nawet w lecie było jej zimno w stopy. A ulubione kapcie zostały u koleżanki z sąsiedztwa. Marian bardzo kocha swoją żonę i nie chce, by marzły jej stopy, nawet we wrześniu. Idzie po ranne pantofle. Wanda zostaje sama w mieszkaniu i podkręca gałkę radia IKA. Słucha przemówienia prezydenta Warszawy. Stefan Starzyński dziękuje mieszkańcom za ich wysiłek i prosi o dalszą pomoc w przygotowaniu obrony stolicy. Ranne pantofle są tam, gdzie miały być, u koleżanki Wandy z sąsiedniej ulicy. Marian wraca do domu. I wtedy nadlatują samoloty Luftwaffe. Nie wiadomo, czy to był odłamek bomby, czy zwykły pocisk. W każdym razie Marian już nie zaniesie ukochanej żonie pantofli. W tym wypadku słowo „ranny” nabiera zupełnie innego znaczenia.

Garwolin leży siedemdziesiąt kilometrów od Warszawy. Dla eskadry heinkli czy junkersów to chwilka. W Garwolinie mieści się Ośrodek Zapasowy Kawalerii. Zbombardowanie Ośrodka Zapasowego Kawalerii „Garwolin” zajmie Luftwaffe drugą chwilkę. Adam stoi na dziedzińcu i widzi, jak jego świat, w który wierzył i któremu oddał się na służbę, trawi ogień, jak zamienia się w popiół. Cały dorobek życia zgromadzony w magazynach, meble, rzeczy osobiste, całe wyposażenie sportowe, trofea, puchary, wszystko trawi ogień w kilkanaście minut. Muszka i Krysia zostają tak, jak stały. Z niczym. Z pustką w oczach stoi Adam Królikiewicz nad zwęglonymi końskimi trupami. Jedna dziesiąta narodowej dumy – polskiej kawalerii – w parę chwil zamieniła się w krwawe strzępy. Historycy będą się od tej chwili zastanawiać nad słabością sanacyjnego państwa, bo to państwo miało nie oddać ani jednego guzika z munduru. I niech historycy się tym zajmują. My pozostaniemy przy końskich zwłokach.

- Adam, musimy coś zrobić ze „sportowcami”, które zostały w Grudziądzu.
- Najlepsze konie jak najszybciej trzeba przerzucić w bezpieczne miejsce. –

Królikiewicz wyrywa się z otumanienia. Patrzy w zacięte oczy przyjaciela, majora Szoslanda. Kazimierz odpowiada:

– Na Wschód.

Major Królikiewicz i major Szosland milczą, nie mogąc oderwać spojrzeń od rozerwanych końskich szczątków.

Czy to koniec, mamo?

– Nie. Została nam willa w Krakowie i ten kuferek ze zdjęciami. – Muszka wskazuje na walizkę, w której leżą jakieś resztki pamiątek, na wierzchu lśni w odblasku dogasającego pożaru magazynów i stajni portret marszałka Piłsudskiego z dedykacją dla „sławy pułku”.

– Mamo... Ja nie o to pytam... Ja pytam, czy to koniec?...

W tym momencie w drzwiach służbowego mieszkania staje Adam. Ma sine podkowy pod oczami.

– Fedoruk zanieś rzeczy do samochodu. – Nie wiadomo, czy był to rozkaz rzucony ordynansowi, który stoi za plecami majora, czy oznajmienie rzucone żonie i córce.

Fedoruk jakby się przygarbił.

Nie, to nie ciężar bagaży go przytłacza. Inny ciężar przygniata szerokie plecy Ukraińca.

– Do jakiego samochodu? – pyta męża Muszka.

– Wyjeżdżacie. Same. Ja do was dołączę później.

– Dokąd wyjeżdżamy, tato?

Major odpowiada słowami, które nie mają nic wspólnego z pytaniem córki:

– Tu nic nie zostało.

– Czy to jest koniec, tato?

– Nie, córeczko. To jest dopiero początek.

Jest 8 września 1939 roku.

Z Garwolina do Sarn na Wołyniu jest pięćset kilometrów. Przez Lublin i Kowel. Normalnie podróż zajmowała w tamtych czasach dziesięć godzin. Ale kiedy drogę blokują tłumy warszawskich uciekinierów, którzy na skutek niefortunnego rozkazu opuszczają stolicę, wjazd trwa kilka dni. Krysia pierwszy raz w swoim życiu widzi trupy. Czasami ścielą się w poprzek szosy, jakby chciały zatrzymać ucieczkę. Końskie zwłoki nadymają się jak balony, rzucone do rowów śmierdzą, niczym nie przypominają ułańskich rumaków ani skoczków frunących przez przeszkody. Czasami trzeba użerać się z żołnierzami, którzy chcą zarekwirować auto na potrzeby wojska. I gdyby nie przepustka wypisana w Garwolinie... Czarny fiat 518 przebija się na wschód, jak najdalej od niemieckiego najeźdźcy. Sunie w miodowym blasku września jak żółt na chorych nogach. Zatrzymuje się na rynku w Kowlu.

– Pani majorowa, *bud' łaska zaczekajcie*.

– Dokąd idziesz, Fedoruk? – pyta Muszka zaniepokojona.

– *Kupyty chlib i mołoko*.

– Zostań z Krysią. Ja pójdę.

– Może ja pójdę? Ty popilnuj mamy – oferuje się Krysia.

- Panna jest Polka. A tu *mnoho Ukraincew*.
- No i co z tego? W Polsce jesteśmy – argumentuje dziewczyna.
- *Niczoho*.

Fedoruk oddała się ciężkim krokiem i znika w tłumie między straganami. Huczy tam od mieszanych polsko-ukraińsko-żydowskich pokrzykiwań.

– Mamo, co Fedoruk mówi? Przecież jesteśmy u siebie. Nie mogę mleka i chleba kupić, o, jak tamci?

– Zdrzemnij się, córeczko. Boże, cała śmierdzą potem. Tylko dwie sukienki na zmianę...

Krysia przymyka ołowiane powieki, za chwilę przyśnie, już zapada w mglisty półsen. Zza srebrnej kurtyny wyłania się czyjaś znajoma twarz. Szarozielone oczy, z których bije spokój i bezpieczeństwo. Równy krok na lekko pałakowatych nogach.

– Tata?

To nie sen. To jawa. Na rynku zatrzymały się dwa służbowe wojskowe samochody. Z jednego wysiada Królikiewicz, z drugiego Kazimierz Szosland. Za szybą buicka widać bladą twarz kobiety i słabo uśmiechniętą buzię chłopca. To żona i synek Szoslanda. Major kroczy w stronę magistratu:

– Krysia? Muszka?

Padają sobie w ramiona.

– A gdzie Fedoruk?

– Poszedł po chleb i mleko. Tato, nieogolony jesteś?

– Do pułku muszę dołączyć... – odpowiada zatopiony w myślach major.

Muszka wysupłuje się z objęć.

– A gdzie pułk?

Adam się zastanawia. Ma zaciśnięte usta. Zerka czujnym okiem na przechodzących obok ludzi.

– Rozproszony.

– Konie? Gdzie konie, które mieliście transportować?

W tym momencie z twarzy Królikiewicza na dobre odpływa krótka radość. Zamienia się w złość, nawet we wściekłość.

– Gdzie ten Fedoruk, do jasnej cholery?

– *Dla chliba i mołoka win piszow*, pan major.

Za plecami Adama stoi uradowany, z gębą jak księżyc w pełni Fedoruk. Podaje Tomisławie bochen, w kance chlupie mleko.

– To ostatnie, co ja zdobył.

Ordynans wsuwa w dłoń Krysi zawiniątko z szarego papieru, w którym kryje się jakaś niespodzianka.

– Hm?

– Pst. *Mowczy*. – I dodaje półszeptem: – *Miod tureckyj*.

Dobre pytanie: „A gdzie konie?”. Major Królikiewicz i major Szosland otrzymali rozkaz, by przetransportować najlepsze polskie konie sportowe z Grudziądza do Sarn. Niestety, pod Górą Kalwarią...

Nadlatujący wizg wdziera się w uszy.

– Wszyscy do rowów! – rozkazuje Adam.

To nie trwa długo. Pominę opis wybuchów i świst odłamków, terkot wystrzałów polskich karabinów wymierzonych w samoloty. Kulki nie mają szans, by dolecieć do wiszących na niebie czarnych maszyn z białym krzyżem. Słysząc potworne rzenie końskie, jak płacz, skowyt. Adam i Kazimierz podnoszą się z rowu. Major Szosland przytrzymuje chwiejącą się na nogach żonę Stefanę. Kobieta przyciska pięść do piersi. Po chwili zasłania synowi oczy. Szosa jest złana krwią, zasłana końskim mięsem, urwanymi łbami, odciętymi kończynami. Jedno zwierzę podnosi głowę z asfaltu i rzeniem woła pomocy.

– Chryste... To Arlekin Roycewicza... – wydusza z trudem Szosland. – Matko... Trzeba go dobić.

Adam i Kazimierz patrzą na siebie. W oczach pytanie: „kto?”. Wreszcie Adam wyjmując z kabury pistolet. Pada suchy strzał.

Drugie dobre pytanie: „Gdzie pułk Adama?”. 1 Pułk Szwoleżerów rzeczywiście został rozdzielony. Początkowo walczy wspólnie w grupie Mazowieckiej Brygady Kawalerii części Armii „Modlin”. Bije się na wysuniętej pozycji obronnej, a następnie w rejonie Przasnysza. Od 5 do 7 września walczy zacięcie na linii Narwi w okolicach Pułtusza i Serocka. Pod ciężkim niemieckim naporem wycofuje się na linię Bugu. Od 11 września zostaje rozdzielony na dwie części. Mniejsza walczy pod dowództwem Grupy Operacyjnej generała Andersa. Druga, większa, idzie na wschód. Tam, gdzie teraz pilnie poszukuje jej major Królikiewicz, ale nijak nie może nawiązać łączności.

– Ostatni kontakt był tutaj. – Adam zakreśla palcem na mapie oś Rudzienko–Cierpięta–Leśnogóra. – Ale dziś... Nie wiem... Nie wiem... Psiamać, nie wiem.

Tak. Nawet walczące szwadrony szwoleżerów straciły ze sobą łączność, a cóż dopiero oddelegowany do innych zadań major.

– Co robimy? – pyta drętwo Szosland.

Adam podnosi wzrok znad mapy, chce dojrzeć twarz przyjaciela, ale kontra światła lampy wiszącej u powały zagarnia cały widok. Nie można dostrzec oczu Kazimierza. Trudno określić, co się w nich kryje. Królikiewicz znów pochyla się nad płachtą mapy.

– Jutro się przygotowujemy, pojutrze skoro świt ruszymy w stronę Brześcia. Może tam złapiemy jakiś kontakt.

– Na północny zachód? W stronę niemieckiego natarcia? Adam! A co z rodzinami?

– Zostawimy je tutaj, w majątku państwa Curve.

– Stefa jest chora na serce. – Głos Szoslanda rwie się nerwowo.

– Kaziu, w majątku jest ponad sto osób. Znajdzie się tu jakaś życzliwa dusza. A może

nawet lekarz.

Szosland kiwa głową.

Jesteśmy zatem w majątku państwa Curve pod Sarnami. W bogatym, obszernym pałacyku, który pod swój dach przyjął około setki uciekinierów. Pani Stefania leży w łóżku samej gospodyni. Do sypialni wchodzi major Szosland. Ciężki mundur zatańczył na wytapetowanej w prążki ścianie. Kazimierz całuje śpiącego syna w głowę, pochyla się nad żoną.

– I jak? – pyta

– To ja, Kaziu, pytam: I jak?

– Adam proponuje ruszyć z powrotem w stronę linii frontu. Tam szukać pułku.

Stefania odwraca twarz do ściany. Mówi cicho:

– Dobrze proponuje, Kaziu. Powinniście tam razem ruszyć.

– A co z tobą i Andrzejkiem, Muszką i Krysią? – Retoryczne pytanie zawisa w półmrocznej przestrzeni.

– Zostaniemy tutaj. Nic nam się nie stanie.

– Brałaś, kochanie, digitalis?

– O mnie się nie martw, Kaziu. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

– Ale jak ruszę, to mnie nie będzie.

Izba, w której zatrzymali się Adam, Muszka i Krysią, jest nieco większa. Oklejona innymi tapetami, w jednolitym kolorze écru. Major przemierza pokój równymi krokami, tam i z powrotem. Na biurku stoi kryształkowe radio Złota Ramona. Krysią ma słuchawki na uszach.

– Co tam mówią? – pyta ojciec.

Krysią nie słyszy. Adam nachyla się nad jej ramieniem i powtarza pytanie.

– Aaaa... przepraszam... Mówią, że armia polska pokona wroga.

– Jasne. A tak konkretnie?

– Że w Antoniewie-Zdziarowie czy jakoś tak, w każdym razie w okolicach Sochaczewa polska armia zatrzymała natarcie niemieckie i zniszczyła dwadzieścia dwa czołgi. Tato, wygrywamy wojnę!

– Tak, kochanie, wygrywamy – wzdycha major.

Do izby zagląda okrągła głowa Fedoruka.

– *Dopomoha z czymoś*, pan major?

– Idźcie pomóc państwu gospodarzom, Fedoruk. Tyle gąb do wyżywienia, że nie wiem.

– Rozkaz, pan major.

Faktycznie, kuchnia państwa Curve aż się prosi, by mieszać w garnkach. Ludzie leżą pokotem w salonie, w gościnnych pokojach, nawet w gabinecie pana Curve. Zgaśmy na razie światło. Niech idą spać. Jutro wstanie dzień i nie będzie to dzień szczęśliwy. Następnego dnia, w niedzielę, czyli w dzień święty, zza pagórków, zza kurtyn lasów, z porannej mgły wynurzą się dziwni jeźdźcy. W mundurach przypominających łachmany, niektórzy w trzewikach, niektórzy na bosaka. Na czapkach będą mieli czerwone gwiazdy. Nadchodzi świt 17 września.

Tato... – odzywa się Krysią zduszonym głosem. – Co on gada, że Rosjanie wczoraj?...

Sam posłuchaj. – Oddaje ojcu słuchawki.

Został odczytany przez Polskie Radio komunikat urzędowy, mówiący o tym, że rząd rosyjski, rząd sowiecki w deklaracji premiera Mołotowa oświadczył, że zachowuje stanowisko neutralne wobec wojny polsko-niemieckiej. Pomimo to jednak oddziały rosyjskie zajęły część polskiego terytorium pogranicznego. Wobec tego oświadczenia o neutralności sowieckiej armia polska nie prowadzi akcji wojennej przeciw armii sowieckiej, natomiast rząd polski założył protest przeciw naruszeniu granicy.

Co z tego wynika? Wynika z tego, że Rosjanie po prostu uwierzyli Berlinowi, że nas w ogóle już nie ma. Niemcy bardzo często w swojej historii w różnych wojnach, zbyt szybko dochodzą do przekonania, że w ogóle przeciwnika już nie ma. Tak było w końcu sierpnia i pierwszych dniach września 1914 roku: armia francuska nie istniała. Meldunki wszystkich dowódców dywizji, korpusów, armii do Głównej Kwatery wysyłane mówiły, że przeciwnik leży rozbity, rozgromiony, że teraz tylko pościg zwycięski należy rozpocząć, że siły francuskie w ogóle już nie istnieją. Takie jeden za drugim szły meldunki do Głównej Kwatery, no i niespodzianka spotkała ich bardzo bolesna i bardzo ciężka.

To jest taka analogia, że niby i my również nie istniejemy i jesteśmy w komunikatach niemieckich rozbici, i że w ogóle nas już nie ma. Znowu tak są upojeni tymi zwycięstwami i znowu może być bardzo bolesna dla nich niespodzianka.

Otóż z tego wszystkiego wynika, że Rosja po prostu uwierzyła, że jesteśmy już rzeczywiście wykończeni przez Niemców; no a przecież tu godzina za godziną przynoszą właśnie w tym momencie bardzo silną niespodziankę. Oto bowiem wczoraj odnieśliśmy poważny sukces na froncie południowo-wschodnim. Tam pod Lwowem wzięliśmy 5000 jeńców i 100 czołgów. To jest duża rzecz przy tych siłach, jakie zostały zaangażowane. Rząd ani myśli opuszczać terytorium polskiego. Rząd gwałtownie zaprotestował przeciw wykorzystaniu tej sytuacji, jaką Rosja zapragnęła wykorzystać. Za tym poszła Anglia i Francja, a pamiętajmy o tym, że Polska jest sprzymierzona z Anglią, że to przymierze wyraźnie określa, że jeżeli jakkolwiek agresja, z jakiegokolwiek strony spotka Polskę i Anglię, natychmiast przymierze zostanie uruchomione i wszystkie konsekwencje tego przymierza. A więc agresja Rosji na Polskę – to wojna z Anglią, to wojna z Francją, to wojna z Rumunią, boć mamy z Rumunią przymierze przeciwrosyjskie. Czy do takich konsekwencji Rosja chciała doprowadzić, jest więcej niż bardzo wątpliwe. Można się spodziewać, że znowu godziny następne przyniosą zwrot sytuacji, przyniosą nowe odmiany tej ciągłej zmiennej historii, która rozpoczęła się dni temu osiemnaście.

Wojna trwa. Raz zakręcone koło historii obraca się coraz szybciej, tworząc wir coraz większy. W ten wir wpadają, toną coraz to inne narody, coraz to nowe państwa i będą dalej wpadały, boć przecież nie są czym innym, jak częścią procesu historycznego. Proces ten jest bolesny. W męce i trudzie, we krwi i wysiłku odbywa się, ale jest to proces konieczny. Proces konieczny, aby doprowadzić do rezultatu końcowego, a tym rezultatem musi być zwycięstwo. Zwycięstwo prawdy nad złem, prawa nad bezprawiem, siły nad przemocą i dla tego zwycięstwa warto żyć, warto wydobyć z siebie wszystkie siły, jakie człowiek z siebie wydobyć jest w stanie²⁶.

A teraz oddaję głos mamie, jej zapisane wspomnienie:

Ojciec prosił, żeby się wszyscy zebrali przed gankiem, w parku. Pamiętam moment: na tle zachodzącego słońca ojciec ogłosił hiobową wieść – atak Sowietów, nóż w plecy. Rozkaz

naszego dowództwa: wymarsz na Rumunię. Myśmy mieli w planie wymarsz – major Szosland z żoną, z synkiem, my z kierowcą, znaczy moja mama, ojciec, ja. Nad ranem, bardzo wcześnie, przed wschodem słońca żeśmy wstali. Przypominam sobie taki moment: przyszedł kierowca i powiedział: „Panie majorze, niech pan zdejmie mundur”.

W holu stoi wieszak. Na nim ogromna ilość ubrań. Adam podchodzi, przesuwa ręką po cywilnych płaszczach. Długo, trwa to kilkadziesiąt sekund. Za plecami Adam ma żonę i córkę. Przed oczami – cywilne ciuchy. Nie wiem, co ma w tej chwili w głowie mój dziadek.

– Mamo... – szepcze Krysia. – Ty to widzisz?... Tata nagle posiwiął...

Major Adam Królikiewicz tylko macha dłonią. I nie zdejmuje munduru.

Czy warto przymrużyć oczy? W jaki świat się przenosić razem z moją rodziną i państwem Szoslandami? Gdzieś na Wołyń, w okolice Sarn? W kleszcze dwóch nawał? Jaki zapach ma strach zmieszany z wonią wrześniowych gruszek i jabłek? Jaki kolor ma kończący się świat? Jaki dźwięk ma nadchodząca apokalipsa?

Tupot nóg. Okrzyki. Trzask drzwiczek samochodów i oddalający się warkot silników. Pałac, ogród, majątek państwa Curve gwałtownie pustoszeje. Według rozkazów uciekinierzy ruszają w kierunku rumuńskiej granicy. Adam, Tomisława i Krysia stoją już gotowi do odjazdu przy fiacie. Kierowca Szoslandów siedzi za kierownicą buicka.

– Gdzie major Szosland? – pyta Królikiewicz.

Kierowca bezradnie rozkłada ramiona.

– Fedoruk, idź sprawdź.

Fedoruk rusza.

– Czekać. Sam pójdę.

Adam idzie szybkim krokiem w stronę drzwi pałacu. Gdzieś w zamieszaniu zniknęli właściciele. Major biegnie amfiladą do drzwi sypialni. Gwałtownie je otwiera. Szosland przykląkł. Też nie zdjął munduru. Na łóżku Stefania w nocnej koszuli. W kącie pokoju stoi przerażony Andrzejek.

– Kaziu! Ruszamy. Natychmiast.

– Jedźcie. My musimy zostać. Stefa ma atak serca.

Adam zaciska wargi. Biegnie znów przez amfiladę pokoi. Na posadzce leżą śmieci i jakieś pozostawione przez ludzi drobiazgi. Major nie dostrzega, że niechcący nadepnął na coś miękkiego. To pluszowa zabawka. Małpka. Jakieś dziecko zgubiło ją w zamieszaniu.

– Czy jest wśród was lekarz?

Okrzyk majora rozchodzi się po złotawej przestrzeni i zostaje bez odpowiedzi. Ostatnia grupa uchodźców opuszcza majątek. Zostają tylko Królikiewiczowie, Fedoruk, kierowca i Szoslandowie. No i gospodarze z grupką służby.

Błada, skamieniała twarz pani Stefy. Zroszona gęstymi kroplami potu. Oddech ciężki. Zamglone oczy wędrują spojrzeniem po bursztynowej przestrzeni.

– Dzwonił pan do miasta? – pyta Szosland pana Curve.

– Tak. Ale doktor Tuczko... – Grasejujący głos właściciela grzęźnie mu w gardle.

– Co doktor Tuczko?! – prawie krzyczy Adam.

– Doktor Tuczko powiedział, że jest zajęty.

– Czym?! – tym razem pytanie Adama to prawdziwy krzyk.

– Nie wiem – odpowiada gospodarz.

Gdzieś trzasnęła w przeciagu okiennica.

– Doktor Tuczko jest Ukraińcem i niechętnie... – wyjaśnia mgliście pani Curve.

– Do jasnej cholery, nie mógł pan zadzwonić do polskiego lekarza?!

– Adaś – próbuje uspokoić męża Muszka. – Nie podnoś głosu. Stefa potrzebuje spokoju.

– Dzwoniłem. Ale wszyscy polscy lekarze już wyjechali.

W tym momencie z krtani pani Szoslandowej wydobywa się głęboki charkot.

– Kaziu...

Muszka odwraca się w stronę Krysi.

– Zabierz stąd Andrzejka.

Dziewczyna posłusznie wyciąga rękę do chłopca. Andrzejek przez krótką chwilę nie wie, o co chodzi. Stoi jak sparaliżowany. Wreszcie posłusznie daje się ująć za rękę. Wychodzą z sypialni, delikatnie zamykając drzwi. Trzask zapadki jest bardzo nieprzyjemny. Brzmi w uszach Krysi na podobieństwo strzału. Idę za nimi. Stąpam delikatnie po deskach podłogi, tak by mnie nie usłyszeli. Widzę dwie sylwetki w strudze wrześnieego słońca. Jej – już kobiecej, jego – jeszcze chłopięcej.

– Czy mama umrze?

– Nie – odpowiada Krysia. Zatrzymuje się. Na coś nadepnęła. To pluszowa małpka. – O, jaka fajna. Jakies dziecko zgubiło. Chcesz, Andrzejku?

– Nie. Nie jestem już dzieckiem. I nie mów do mnie „Andrzejku”. Jestem Andrzej.

– Jasne.

Wychodzą w słońce do ogrodu, do sadu. Idę za nimi. O kilka kroków z tyłu. Patrzę, jak moja osiemnastoletnia mama zatrzymuje się pod owocowym drzewem. Sięga do gałęzi.

– Chcesz gruszkę? – pyta chłopca.

– Tak.

Krysia zrywa dojrzały, nabrzmiały sokiem owoc. I teraz czuję, jaki zapach ma tamta chwila. To zapach gruszki zmieszany z jakimś kwaśnym, trudnym do opisania odorem.

Fiat i buick zaraz ruszą spod dworu. Fedoruk pakuje resztę walizek do kufra, szofer Szoslandów prowadzi razem z majorem panią Stefanię. Jej samopoczucie polepszyło się na tyle, że można zaryzykować podróż, choć do granicy rumuńskiej szmat drogi, prawie pięćset kilometrów. Szosland usadawia żonę na tylnej kanapie auta. Wyjmuje z raportówki mapę. Razem z Adamem rozkładają ją na masce samochodu.

– Tu jesteśmy. – Kazimierz wskazuje palcem punkt. – Do Zaleszczyk kierujemy się na Równe i Tarnopol. Wszystko jasne.

– Czekaj. Wiemy, jak wyjechać z majątku do głównej drogi? Nie wiemy.

Adam rozgląda się po ogrodzie. Pod szopą stoi trzech mężczyzn. Jeden z łopata, drugi z widłami, trzeci z siekierą. Major podchodzi.

– Gdzie pan Curve?

– *My ne znajemo* – odpowiada najwyższy z nich w ochlapanym rudym błotem soroczce.

Dziwne, myśli Adam, bardzo dziwne. Czuje na sobie nieruchome oczy mężczyzn. Ten z grabiami, kościsty ogrodnik, zaczyna powolnym ruchem zgarniać liście z ziemi.

– A wiecie, jak dojechać do głównej drogi?

– *Znajemo* – odpowiada ten z siekierą i z uśmiechem odwiesza narzędzie na kołek.

Adam czuje, jak ulatnia się jego niepokój. Uśmiech Rusina jest jasny i szczerzy.

– *Wy powynny naliwo do cerkwy. A potim widrazu za kładowyszczem.*

– Dziękuję.

– *Nechaj Boh wede was.*

Jadą. Tak jak Ukraińcy kazali. Na lewo do kościoła i na prawo za cmentarzem. Ale nie ma głównej drogi. Jeszcze raz. Na lewo do kościoła i na prawo za cmentarzem. I jeszcze raz. Na lewo do kościoła i na prawo za cmentarzem. Zatrzymują się. Adam klnie przez zęby.

– Fedoruk, nic nie pokręciłeś?

– Pan major wie, że ja tylko *kaczaju koleso*, tylko kierownicą kręcę.

Szosland nachyla się do uchylonej szyby fiata.

– Jeździmy w kółko. Oszukali nas, bo...

I nagle wszystko staje się jasne. Od strony cmentarza rozlegają się strzały. Wizg opon na szutrze. Nie ma co podejmować potyczki. Ukraińcy czekają już na swoich wybawców, którzy mają ich wyzwolić spod pańskiego polskiego buta.

– Fedoruk... – mamrocze Krysia. – To są twoi rodacy... Dlaczego?... Co my im złego zrobiliśmy? Powiedz.

Ale Fedoruk nie odpowiada. A oczy Krysi robią się jeszcze czarniejsze. A zapach gruszki w jej dłoni, zmieszany z kwaśnym odorem, jest jeszcze bardziej intensywny.

Świt jest złościście piękny. Dojeżdżają do wzgórza. Dwa samochody toczą się skosem. Rżyska skrzą się na poboczach. Droga pełna wertepów. Fiatem trzęsie. Ale nagle jakby wszystko zwalnia, dotacza się i staje w miejscu.

Zza płaskiego wierzchołka wysuwa się jakaś ciemna kreska. Kreska zamienia się w konną tyralierę. W oczach Krysi wygląda to jak koniec świata. Są brudni, spoceni, zamiast strzemion powrozy, karabiny na sznurkach, twarze zacięte, niektóre skośnookie, policzki nieogolone, a na czapkach czerwone gwiazdy. Dziewczyna patrzy i nie może uwierzyć, nie chce uwierzyć, nie chce widzieć, chce cofnąć czas, ale czas się nie cofa, czas sunie do przodu jak kolumna bolszewickiej armii.

Krysia patrzy na matkę. Profil Tomiśławy jest nieruchomy, ledwie muśnięty odbłaskiem słońca zza brudnej szyby samochodu. Dziewczyna patrzy na ojca. Nie widzi jego twarzy, bo Adam siedzi z przodu, obok kierowcy. W głowie zaczyna jej świdrować jedno słowo, przekłeta mantra: „mundur, mundur, mundur, mundur”. Fedoruk zatrzymuje samochód. Na szczęście Fedoruk nie jest w mundurze. Ale ojciec i Szosland jadący w drugim samochodzie...

– *Kto wy?* – Sowiecki oficer zagląda przez uchylone odrobinę okno. Mało co chyba widzi na szczęście.

– *Ważnyje ludi jedut* – odpowiada Fedoruk po rosyjsku.

– *Kakaja-to bumaga u was jest?*

– *Nie było wriemieni wziat’.*

Oficer się zastanawia. Długo. Każe całkiem opuścić szybę. Wcisną łeb do środka. Widzi na kolanach majora okrągłą czapkę z amarantowym otokiem. Mundur kryje cień, Adam przesuwając daszek tak, by Rosjanin nie dostrzegł orzełka. Oficer odchodzi na bok. Prowadzi z kimś cichą rozmowę. Droga zapełnia się uciekinierami z zachodu. Furmanki, tłok, rejwach. Oficer wraca.

– *Pojechali.*

– *Towariszcz, dajcie nam kakuj-nibud’ bumagu* – prosi Fedoruk.

– *Powiedzcie, że komandir Stojanow was puścił. To wystarczy.*

Można odetchnąć. Jadą, przedzierając się kilka kilometrów przez tłum uciekinierów. Stać! Znowu patrol. „Komandir Stojanow” zadziałał. Słońce już wyżej. Znowu „stać!”.

– *Kuda?*

– *Ot komandira Stojanowa.*

– *Wychodite iz maszyny! Wysiadać!*

– *Pan major, koc!* – szepcze Fedoruk.

Muszka błyskawicznie rzuca mężowi zielony wojskowy pled, którym przykryła nogi. Adam zarzuca go na mundur. Wysiadają. Z buicka zostają wyciągnięci Szoslandowie. Krysia widzi, jak z wojskowej kolumny, która tu jakimś dziwnym trafem się zaplątała, zostają wywleczeni polscy żołnierze. Mija kilkanaście minut. Tyle trwa segregacja. Podoficerowie na lewo, oficerowie na prawo. Grupka rodziny Szoslandów i Królikiewiczów stoi nieco z boku. Na razie nietknięta. Bojcy prowadzą oficerów

w pole. Repetują karabiny i rewolwery. Muszka zakrywa córce oczy. Nie musi. Krysia zacisnęła je aż do bólu. Kiedy otwiera, widzi nieruchome źrenice sowieckich żołnierzy. Rozwiał się echo wystrzałów. Teraz już jest jasne, że ci dwaj na poboczu to polscy oficerowie. Jeden z bojców zrywa koc z ramion Adama. Przyszedł i na nich czas.

– *Swołocz.* – Czerwonoarmista spluwa pod nogi. – Koniec z wami, polskie pany.

Fedoruk wtrąca:

– *Oni choroszyje ludzi, ostawtie ich.*

– A ty kto?

– Ukraińiec.

– I u polskich panów na postronku chodzisz, wszo? Zabrać go!

– Fedoruk! – Krysia nie może oderwać oczu od kopanego i bitego Fedoruka. Adam zaciska szczęki i pięści. Muszka zamieniła się w kamienną figurę. Zabierają gdzieś wiernego Rusina.

– Ty i ty za rów. *Tuda* – rozkazuje bojec.

Trzech sowieckich żołnierzy popycha Szoslanda i Adama na drugą stronę przydrożnego rowu. Stefania i Muszka, Krysia i Andrzejek zostają po drugiej stronie. Bojcy szykują broń. I nagle z gardła Tomisławy wyrывa się krzyk przerywany płaczem. Jej rosyjski nie jest idealny, ale jest. Przydały się lekcje na pensji panien Kowalczykówny i Jawurkówny.

– *Jesli wy chotitie rasstrielat' naszych mužej, rasstrielajtie nas wsiech!* Jeśli chcecie rozstrzelać naszych mężów, rozstrzelajcie nas wszystkich! – Odwraca się do zdrętwiałej z przerażenia córki. – Daj rękę. – Krysia podaje dłoń matce. – Stefa, Andrzejek. Za mną.

Kobiety i dzieci przechodzą na drugą stronę rowu i stają obok mężów, ojców. Krysia patrzy w czarny wylot karabinowej lufy. Podnosi wzrok do nieba, by spojrzeć po raz ostatni na chmury. Są kłębiaste. Krysia ma przy sobie pluszową małpkę, bez sensu. I dzieje się rzecz dziwna. Nadzwyczajna, niesłychana. Będę o tym słyszał dziesiątki razy w opowieściach babci i mamy. Bojec, ten dowodzący i wrzeszczący, podchodzi do Muszki i rozkazuje:

– *Pakażytie waszy ruki.*

Babcia wyciąga dłonie. Tamten dotyka ich gładkiej skóry.

– *Wot i burżujskije ruki.*

– *Ja nie burżujka.*

– A kto?

– *Uczitielnica fortepiano* – kłamie bez zająknienia moja babcia, która za nic nie chciała usiąść do fortepianu, prezentu od ciotki Wandy Landowskiej.

– *Nu da... Artistka.*

– *Da.*

Rosjanie kochają artystów. I dzięki temu moja matka nie została rozstrzelana gdzieś w ukraińskim rowie. I dzięki temu dane mi było przyjść na świat za szesnaście lat. Jeszcze tylko Rosjanin wytrąci małpkę z dłoni dziewczyny.

Zamknęli ich w niewielkim kolejarskim domku na uboczu drogi. Postawili bojców z karabinami na straży. Zakazali wyglądać przez okno. W pośpiechu zerwali z palców i dłoni biżuterię, ściągnęli zegarki, Adamowi skonfiskowali lornetkę, aparat

fotograficzny. Na szczęście jakimś cudem nie dobrali się do walizki. Izba ciemna, wypełniona ołowianym milczeniem. Co chwila wpada jakiś bojec i wrzeszczy. Krysia nie pojmuje obcych słów. Niczego nie pojmuje.

– Czego ty ode mnie chcesz? – Dziewczyna czuje brudne łapska na swoich piersiach. Żołdak rzuca ją na łóżko. Zionie wódą. Próbuje zgwałcić. Ale nie ma szans, pięści Adama są silniejsze. Tylko że żołdak ma nagan, a major jest bezbronny. Po interwencji Muszki bojec opuszcza broń. Ale zaczyna wrzeszczeć. Brzmi to jak wściekły zwierzęcy skowyt. Szarpie mundur majora, odrywa kołnierz z pułkowymi emblematami. Robi się duszno, ciemno, gorąco. Nad głową osiemnastoletniej dziewczyny przepływa jakaś czarna, cuchnąca chmura, oczy zakrywa mgła. I wtedy moja matka postanawia popełnić samobójstwo. Ale nie wie, jak pozbawić się życia. Może zarzucić sznur w wychodku? Ale sznura nie ma. Poza tym jest pilnowana przez bojca, gdy idzie za potrzebą. Tamten cuchnący czerwonoarmista, który chciał ją zgwałcić, gdzieś poszedł sobie pijany. Ten ma skośne oczy. Uśmiecha się nieśmiało. Coś mówi. Krysia słabo go rozumie. Z kieszeni drelichowych spodni wystaje pluszowa małpka. Jak trafiła do tego żołnierza? Może za stakańczyk bimbru? A po co mu pluszowa małpka? Może dla młodszego braciszka, bo na ojca nie wygląda. Ile może mieć lat? Dziewiętnaście? Skąd jest? Z Kamczatki? Może z Syberii? Co on mówi? Coś o ucieczce, że „wasz ojciec w mundurze...”, że to się może źle skończyć, że rozstrzelają.

– *Wam nužno uchodit'* – szepcze czerwonoarmista. – *Ponimajesz?*

Ale Krysia nic z tego nie pojmuje. Nad Krysią wisi czarna próżnia i pytanie, jak by tu się powiesić.

Te dźwięki są straszne dla uszu. Łamanie szwoleżerskiej czapki. Zrywanie epoletów z dystynkcjami. Wygląda to potwornie: z munduru, który był chlubą i honorem, zostały strzępy.

Trzecia, może czwarta noc. Skośnooki bojec stoi pod drzwiami. Opiera się o ceglany mur i podnosi swoje skośne spojrzenie do gwiazdzistego nieba. Czuję, jak wzbiera w nim wściekłość, jak ogarnia go furia. Przecież dawał znak, mówił tej czarnookiej dziewczynie. Co jeszcze ma, *job ich mat'*, zrobić?

Zgrzyt zamka. W progu rozdeptane kamasze. Wąskie oczy ciskają iskry.

– *Uchoditie. Niemiedlenno!*

Szoslandów już nie ma. Też jakiś ludzki żołdat ich wypuścił? Szoslandowie przeżyli. Major Szosland zginie w lasach pod Grodziskiem Mazowieckim w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach 20 kwietnia 1944 roku.

Ulotka:

Rzotnierze Armii Polskiej! Pańsko-burżuazyjny Rząd Polski, wciągnąwszy was w awanturniczą wojnę, pozornie przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronę. Ministrzy i gienaralowie, schwycili nagrabiome imi złoto, tchórzliwie uciekli, pozostawiają armię i cały lud Polski na wolę losu. Armia Polska pocierpięła surową porażkę, od którego ona nie oprawić wstanie się. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom i siostram ugraża głodna śmierć i zniszczenie. W te ciężkie dni dla Was potężny Związek Radziecki wyciąga Wam ręce braterskiej pomocy. Nie przeciwie się Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Wasze przeciwienie bez kożyści i przerzeczono na całą zgubę. My idziemy

do Was nie jako zdobywcy, a jako wasi braci po klasu, jako wasi wyzwoleńcy od ucisku obszarników i kapitalistów. Wielka i niezwoleczona Armia Czerwona niesie na swoich sztandarach procującym, braterstwo i szczęśliwe życie. Rzotnierze Armii Polskiej! Nie proliwacie doremnie krwi za cudze Wam interesy obszarników i kapitalistów. Was przymuszają uciskać białorusinów, ukraińców. Rządzące koła Polskie sieją narodową rużność między polakami, białorusinami i ukraińcami. Pamiętajcie! Nie może być swobodny naród, uciskające drugie narody. Pracujące białorusini i ukraińcy – Wasi procujące, a nie wrogi. Razem z nami budujcie szczęśliwe dorobkowe życie!

Inna ulotka:

Co pozostało wam? O co i z kim walczyacie? Dla czego narażacie życie? Opór wasz jest bezskuteczny. Oficerowie pędzą was na bezsensowną rzeź. Oni nienawidzą was i wasze rodziny. To oni rozstrzelali waszych delegatów, których postaliście z propozycją o poddaniu się. Nie wierzcie swym oficerom [...]. Bijcie oficerów i generałów. Nie podporządkowujcie się rozkazom waszych oficerów. Pędźcie ich z waszej ziemi. Przechodźcie śmiało do nas, do waszych braci, do Armii Czerwonej. [...] Bronią, kosami, widłami i siekierami bij swoich odwiecznych wrogów – polskich panów²⁷.

Letnie pantofelki, jesienne trzewiki

Letnie pantofelki rozpadły się na dwudziestym kilometrze. I Krysia, i Muszka musiały iść następne dwadzieścia kilometrów boso. Dokąd? Do Lwowa. To było najbliższe leżące przyjazne miasto. Adam tu się urodził, tu corocznie z braćmi odwiedzali grób rodziców na cmentarzu Janowskim, tu mieszkało sporo przyjaciół.

– Adaś... już nie mam siły...

Muszka przysiadła w rowie. Stopy krwawią. Adam próbuje zatrzymać furmankę, ale chłop widzi cudaka w jakimś niezidentyfikowanym obszarpanym mundurze i batem pogania konia. Do majora dociera, że od tej chwili każde przypadkowe spojrzenie obcego może się skończyć katastrofą. A słońce parzy, a ziemia oddycha wrześnieją wonią.

– Weź mamę pod rękę, Krysiu. Pod lewą. Ja stanę z drugiej strony.

– Adaś...

– Nie dyskutuj, Muszko.

I tak we trójkę idą w stronę Lwowa. W stronę ukochanego miasta.

Lwów wita ich zwisającymi z balkonów, z okien, z latarni czerwonymi flagami z sierpem i młotem. Krysia się zatrzymuje. Plac Mariacki tonie w sowieckim karminie.

Ulica Janowska, obok kościoła Reformatów.

Ciche pukanie do drzwi. Państwo Tokarscy są znajomymi Adama. Bezpiecznymi, bo to cywile. Niewiele wiem o tych życzliwych ludziach, którzy przyjęli moich dziadków i matkę pod swój dach. Bo dach państwa Królikiewiczów runął. Tam, gdzie w Krakowie, stoi na Praskiej 6 niewykończona willa, ale Kraków od 17 września jest już w innym kraju niż Lwów. Rozpołowiono Polskę. A zatem trzeba tkwić na łaskawym chlebie u dobrych państwa Tokarskich.

– Pan major?... Pani Muszka? Krysia... Wchodźcie, wchodźcie szybko. – Pani Tokarska rozgląda się po klatce schodowej. Co prawda mieszkają tu głównie Polacy, ale nie wiadomo, co kto w duszy kryje. Czerwone flagi wiszą także w polskich oknach.

Muszka choruje. Rany na stopach płoną, grozi zakażenie. Serce osłabło. Od tego czasu moja babcia będzie się uskarżała na chorobę wieńcową. Adam zapuszcza brodę, by zmienić wygląd. Jego twarz jest ogólnie znana. Nieraz drukowała zdjęcie sławnego lwowiaka „Gazeta Lwowska”. „Gazeta Lwowska” teraz obok „Czerwonego Sztandaru” będzie propagandową gadzinówką. Pominę nazwiska, które się „Sztandarowi” wysługiwały, bo trochę wstyd. Królikiewicz wychodzi z kamienicy tylko raz na jakiś czas. Po zmroku. Przyjrzyjmy się, gdzie będzie mieszkał major, olimpijczyk, szef wyszkolenia jeździeckiego polskiej kawalerii. Schodzimy do piwnicy. Zapraszam.

– Luksusów nie ma, Adaś – wzdycha pan Tokarski.

– Nie potrzeba mi luksusów.

– Wstawi się łóżko polowe, mocniejszą żarówkę się wkręci. – Pan Tokarski przestępuje z nogi na nogę.

– Nie, Marcin. Słabsza żarówka – mniejsze ryzyko.

– Może i masz rację.

Co robić we Lwowie? Siedzieć na garnuszku dobrych państwa Tokarskich? Do dziś nie wiem, jakim cudem majorowi udało się uchronić półroczną odprawę oficerską, którą odebrał jeszcze w Sarnach. A miał pułkownikowską pensję ze względu na wysokie stanowisko, jakie piastował w wojsku. Polskie złote jeszcze miały wartość w okupowanym Lwowie. Tak będzie do grudnia, kiedy to sowieckim ukazem nastąpi oficjalne wycofanie z obiegu złotego i zastąpienie go rublem. Tu czas się na moment zatrzymać, wyjść z piwnicy, gdzie się ukrywa mój dziadek. Rozejrzyjmy się nieco.

Tajnym protokołem dołączonym do paktu Ribbentrop-Mołotow 23 września 1939 Lwów został całkowicie przejęty przez Armię Czerwoną. 22 września 1939 dowódca obrony Lwowa, generał Władysław Langner, podpisał z dowództwem sowieckim akt kapitulacji. Jednym z warunków podpisania było umożliwienie wymarszu polskich żołnierzy i policjantów na Rumunię. Ale ten punkt umowy strona sowiecka oczywiście złamała. Po złożeniu broni Polacy zostali aresztowani i wywiezieni w głąb ZSRR. A oficerów uczestniczących w obronie Lwowa zamknięto w obozie w Starobielsku. No i wiadomo, co się z nimi stało. W większości zamordowano ich w Charkowie i wrzucono do dołów śmierci w Piatichatkach. Tuż po rozpoczęciu okupacji Lwowa NKWD zaaresztowało co znaczniejszych obywateli miasta. Policjantów lwowskich rozstrzelano za rogakami na szosie na Winniki. Lwów z rozkazu Stalina został włączony do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. 9 i 10 grudnia NKWD aresztowało około dwóch tysięcy zarejestrowanych oficerów Wojska Polskiego. Osadzono ich w poklasztornym więzieniu Brygidki przy ulicy Kazimierzowskiej, a potem wywieziono w głąb ZSRR, gdzie ślad po nich zaginął. Teraz już jasne, dlaczego mój dziadek zapuścił brodę, wychodził na powietrze tylko po zmroku i ukrywał się w piwnicy?

Krysiu...

– Tak, tato.

Krysiu patrzy na upstrzoną przez muchy dwudziestowatową żarówkę wiszącą u sufitu piwnicy. Zarośnięta twarz ojca niknie w półcieniu.

Dziwnie..., myśli sobie Krysiu. Ładnie mu z brodą. Tylko posiwiał jeszcze bardziej.

– Nie możesz marnować czasu, Krysiu.

– Nie marnuję, tato. Pomagam pani Tokarskiej.

Ojciec kiwa głową. Mówi z naciskiem:

– Zapisz się na uniwersytet.

– Na sowiecki uniwersytet? – obrusza się dziewczyna.

– Od pana Tokarskiego wiem, że jeszcze jest polski.

Po części to prawda, panie majorze. Niby Uniwersytet Jana Kazimierza nadal funkcjonuje, ale już niedługo zostanie przemianowany na Lwowski Państwowy Uniwersytet ZSRR. Zajęcia jeszcze do grudnia będą się odbywały według polskich programów, ale już 18 października odwoła się polskiego rektora profesora Romana Longchamps de Brier. Na jego miejsce władze sowieckie powołają Ukraińca Mychajłę Marczenkę. Pomalutku nastąpi pełna sowietyzacja uczelni. Pierwszym krokiem będzie zawieszenie wykładów na Wydziale Teologicznym. Następnie towarzysz profesor

Marczenko zarządzi: językiem urzędowym uniwersytetu jest język ukraiński. Potem towarzysz profesor Marczenko wyrzuci kilkunastu polskich pracowników naukowych Wydziału Prawa. Na początku grudnia Wydział Humanistyczny zostanie podzielony na Wydział Historyczny i Wydział Filologiczny. A potem zatwierdzi się nowy statut uczelni, a w nim podstawową zasadę: „uniwersytet ma kształcić kadry dla dobra radzieckiej komunistycznej ojczyzny”.

Ale to za chwilę. Jeszcze na uczelni działa polonistyka. Krysia chodzi na wykłady.

– Gdzie pani mieszka, panno Krysiu?

– Na... Łyczakowskiej... – kłamie Krystyna.

Chłopak jest czarnooki, bardzo przystojny, szczupły, pachnący. O przenikliwych, inteligentnych oczach. Jerzy jest kolegą z wydziału.

– Nie trzeba. Sama trafię do domu.

– Ja bardzo panią proszę. Proszę mi nie odmawiać.

Krystyna zastanawia się. Jeśli odmówi – wzbudzi podejrzenie. Jeśli się zgodzi – kłamstwo wyjdzie na jaw. A przecież nie może dać się odprowadzić na Janowską. Na Janowskiej w piwnicy ukrywa się jej ojciec, oficer Wojska Polskiego. Tak, chłopak jest czarnooki, bardzo przystojny, szczupły, pachnący, o przenikliwych, inteligentnych oczach, jest kolegą z wydziału. Ale nosi czerwoną opaskę na lewym ramieniu. Krystyna godzi się na asystę. Niech chłopak odprowadzi ją pod wymyślony adres.

Z ulicy św. Mikołaja, gdzie mieści się polonistyka, na Łyczakowską jest pół godziny piechotą. Jerzy ma nadzieję, że w trzydzieści minut zawróci dziewczynie w głowie.

– Pani tu urodzona?

– Nie. W Łodzi. We Lwowie mieszka moja rodzina. Przyjechałam z rodzicami na wakacje no i... No i tak się stało, jak się stało.

– Dobrze się stało. Prawda?

– Co pan ma na myśli? – Dziewczynie przebiega po plecach nieprzyjemny dreszcz.

Mijają ulicę Głowińskiego. Zapada szary październikowy zmrok.

– Mam na myśli to, że w ten sposób mogę panią odprowadzać do domu.

– Aha.

– No i oczywiście, że jesteśmy tam, gdzie nam będzie lepiej. – Chłopak rzuca Krystynie jasny uśmiech.

– To znaczy?

– To znaczy już nie w burżuazyjnej Polsce. – Uśmiech jest jeszcze jaśniejszy.

– I dlatego studiuje pan polonistykę? – pyta dziewczyna z błyskiem w czarnych oczach.

– Czy pani jest Żydówką?

– Dlaczego pan pyta?

– Bo ma pani smutne oczy.

– Nie bardziej smutne niż pańskie. Proszę już mnie dalej nie odprowadzać. Moja matka zawsze stoi w oknie i nie pozwala mi rozmawiać z obcymi mężczyznami.

Krystyna odwraca się na pięcie. Tak gwałtownie, że uszkadza sobie obcas jesiennych trzewików. Ściskając pod pachą podręcznik Krzyżanowskiego, odczekuje w bramie na Łyczakowskiej, aż czarnooki, pachnący chłopak z czerwoną opaską na ramieniu na

dobrze zniknie z oczu. Potem ostrożnie będzie musiała przejść na Janowską, tam, gdzie jej ojciec ukrywa się przed NKWD w piwnicy. Nie będzie to łatwa droga, bo obcas w jesiennych trzewikach naderwany.



Krystyna i Tomisława Królikiewicz, Lwów, jesień 1939.

Walizka z podwójnym dnem

Mój Boże... Z tą walizką uciekaliśmy ze Lwowa do Generalnej Guberni... – powiedziała moja matka, spoglądając na kufer, ciemnozielony, poobijany, z okuciami na rantach.

To było jakieś dwadzieścia lat temu, kiedy z rodziną przeprowadzaliśmy się do nowego mieszkania na Natolinie. Moja żona wydobyla tę zapomnianą walizkę z piwnicy i postanowiła zrobić z niej kwietnik. Stary, wyświechtany kufer nabrał nowego blasku i znaczenia. Nie wiedzieliśmy, że walizka była przerobiona przez mojego dziadka tak, by można w niej było przemyścić resztki rodzinnej biżuterii i zakupione na lewo we Lwowie dolary.

Robiło się już duszno. Nie tylko w mieszkaniu państwa Tokarskich, nie tylko w piwnicy, gdzie się ukrywał major, ale i w całym Lwowie. Sąsiedzi państwa Tokarskich zaczęli patrzeć podejrzliwym wzrokiem na przedłużającą się gościnę „rodziny” z Polski. A szczególnie pewna suchotnicza sąsiadka.

– Ta ci państwo, pani Tokarska, ta co to oni?

– Siostra cioteczna z córką – odpowiada pani Tokarska.

– Ciekawe – odpowiada tamta, pokaszując, a echo kaszlu roznosi się po klatce schodowej.

Pani Tokarska czuje, że nagle zaczyna ją boleć żołądek, i odpowiada:

– A ciekawość pierwszy stopień do piekła, pani Bakunowiczowa.

Zacna pani Tokarska natychmiast gryzie się w język, bo nagle uświadamia sobie, że nie może być zbyt obcesowa wobec chuderlawej sąsiadki, bo sąsiadka ma męża Ukraińca. Bakunowicz to porządny człowiek, pracował w magistracie, a wcześniej w Wiedeńskim Banku Związkowym na placu Smolki 5, dobry, dobroduszny, bardzo za Polską był, no ale przecież to Ukrainiec.

Co się z nami porobiło, myśli zacna pani Tokarska, że już do własnych sąsiadów przestaliśmy mieć zaufanie. Bo przecież państwo Bakunowiczowie przychodzili do nas na święta katolickie, a my do nich na prawosławne. Co się porobiło za jednym pstryknięciem palców, zdumiewa się pani Tokarska.

– Pani Tokarska. Ta mnie nic do tego, że to nie jest pani rodzina, że tamój w piwnicy słyszeć szurania i żarówka się pali. Ale niech państwo uważają na siebie, bo ludzie różne są, pani Tokarska.

– Dziękuję za radę, pani Bakunowiczowa.

– Proszę uprzejmie, pani Tokarska.

Zgromadzili się przy dębowym owalnym stole: Adam, Tomisława, Krystyna, pan Tokarski i pani Tokarska. Nad stołem wisi mosiężny żyrandol zdobny w klosze z kolorowymi kwiatami. Pachnie herbatą i marchewkowym ciastem, które upiekła gospodyni.

– Trzeba uciekać. – Głos Adama jest chrapliwy, jakby lekko zduszony w krtani.

– Dokąd, Adasiu? – pyta Muszka.

– Do Generalnej Guberni. Do Krakowa.

- Tam są Niemcy, tato – dorzuca Krysia.
- Lepsi Niemcy niż Sowieci – odpowiada major. – A poza tym mamy dom...
- Niedokończony – wtrąca Muszka.
- To się dokończy. W Krakowie są bracia, rodzina... – kontynuuje stanowczym tonem Adam, ale żona znów mu przerywa:

- Jak chcesz się dostać do Generalnej Guberni?
- Przez zieloną granicę.

Zapada milczenie. Tylko słyhać, jak pan Tokarski miesza trochę zbyt głośno cukier w szklance. Mówi:

- Znam przemytnika.
- Ile to może kosztować? – pyta Adam.
- Dużo nie weźmie od polskiego oficera.
- Ani mi się waż mówić, że jestem oficerem.
- Racja, racja – przyznaje pan Tokarski.

Racja, racja. Jeszcze nie wiadomo, co Stalin zamierza ostatecznie uczynić z kilkunastoma tysiącami polskich oficerów, ale to oczywiste, że dla NKWD nawet podejrzenie o przynależność do Wojska Polskiego musi się skończyć natychmiastowym aresztowaniem.

- Skontaktuj mnie z tym człowiekiem – na pół prosi, na pół rozkazuje major.

Człowiek nazywa się Kowalski, to znaczy na pewno się tak nie nazywa. Jest typowym batiarem, a na oko Adama wciąż czynnym albo byłym złodziejaskiem ze słynnej lwowskiej szkoły doliniarzy. Spotykają się w Strzelnicy nad dwiema halbami piwa. Kowalski ma bystre wilcze oczka, grubą bliznę na policzku i niemiłosiernie bałaka.

- Ta panie szanowny, wszystko da się wyfasować za odpowiedni grajcar.
- Znaczą się, ile chcesz pan buchnąć? – Adam umie się odwinąć po lwowsku.
- Ta nie obrażaj pan uczciwego człowieka. Ja owszem, fifak jestem, ale nie buchacz.

Akurat, myśli sobie major. Ciekawe, ile kieszeni obrobiłeś we lwowskich tramwajach. Lecz podoba mu się ten „fifak”, cwaniaczek. Oczka ma wilcze, ale w swej dzikości jakoś tam uczciwe.

– Ta wszystko będzie dla szanownych państwa na glanc wyrzuczone. Umówiony bałagała zawiezie szanownych państwa do samiutkiego Przemyśla. Ja dołączę do szanownych państwa na granicy, a tam będzie już wszyściutenieńko przygotowane, coby megać na gubernię.

– A pograniczniki sowieckie i szwabskie? Oberchabka duża? – dopytuje Adam. Jakoś mu miło, że wrócił lwowski zaśpiew i ukochany bałak.

- Ta joj, ta wszystko w cenie, ta wszystko fertig.
- Ile? – pyta major.

Kowalski podnosi daszek baciarówki i drapie się po głowie.

– Ta widzę, żeś szanowny pan lwowiak i łyta nie jesteś. Ta joj, ta to wezmę za trzy dusze sto dolarów. Może stoić?

- Stoi.

Stuk, stuk. Dwa kufle piwa pieczętują umowę.

- Tylko nie zapomnijcie, szanowne państwo, jakie ciepłe mantle nałożyć, bo listopad,

kurna jego mać. I za dużo maneli nie brać. Tak żeby się wszystko w jednej walizce zmieściło.

Walizka była własnością państwa Tokarskich. Mój dziadek był złotą rączką. Potrafił w niej zrobić drugie dno. Tak oto moja mama, babcia i major Królikiewicz ruszyli na przeprawę przez zieloną granicę. Ale jeszcze zanim wyruszyli, mamę i babcie Muszkę czekało dziwne przeżycie. Na pożegnanie pan Tokarski wykazał się jeszcze jednym szczerobliwym gestem. Załatwił bilety do lwowskiej opery, czyli do Teatru Wielkiego. Ten, kto był we Lwowie, wie, co to za miejsce, zaprojektowane przez profesora Zygmunta Gorgolewskiego. Pełne eklektycznego przepychu, dostojne i bogate. Nie wiem, jaka to była opera, moja mama tego nie pamięta. Jedyne, co zostało jej w głowie, to widok żon sowieckich oficerów ubranych wieczorowo w nocne koszule. Z drogi do Przemyśla mama też mało co pamięta, tak była przerażona. Ale wszystko się udało. Kowalski nie zwiódł. Bałaguła, chyba lekko podpity furman, zawiózł Królikiewiczów nad San. Tam chyba przejął ich lwowski przemytnik. Przeszli bezpiecznie z sowieckiej części Przemyśla na swoją stronę. Swoją, choć nie była już polska, ale zagrabiona przez hitlerowskie Niemcy. Stamtąd walizka z podwójnym dnem dojechała do Krakowa. A w niej na lewo kupione dolary i najpotrzebniejsze manele, w tym fotografie, które wiszą teraz na ścianie mieszkania mojej starej matki. W walizce kwitną kwiaty.

Gadzinówka „Goniec Krakowski” z dnia 28 grudnia 1939 roku donosi:

Führer wśród swoich żołnierzy na Zachodzie. Najmilszy podarunek świąteczny dla żołnierzy niemieckich. Na froncie zachodnim 28 grudnia. Führer i Naczelny Wódz armji niemieckiej Adolf Hitler obchodził święta Bożego Narodzenia wśród swoich żołnierzy na froncie zachodnim. W dniu 23 grudnia Führer odwiedził pozycje pułku „Grossdeutschland” oraz swego oddziału przybocznego jak również jedno z lotnisk polowych. W dn. 24 grudnia nastąpiło zwiedzenie kilku pozycji artylerji przeciwlotniczej w strefie obrony powietrznej Rzeszy oraz kilku fortów. Po zwiedzeniu pozycj na wyżynie Spicherer, Führer spędził wieczór w kilku pancernych pozycjach przed Saarbrücken. W dniu 25 grudnia Führer i Naczelny Wódz kontynuował inspekcję frontu zachodniego. Odwiedził on eskadrę myśliwską na jej lotnisku oraz wizytował kwaterę pułku piechoty Lista, w którym służył podczas wojny światowej.

Wesołe święta. Nie ma co. Dalej czytamy:

Stała komunikacja lotnicza między Berlinem a Moskwą. Berlin 28 grudnia. W ostatnich dniach odbyły się rokowania między przedstawicielami niemieckiej Lufthansy a zarządem floty powietrznej przy radzie Komisarzy Ludowych Z.S.R.R, „Aeroflot” w sprawie podjęcia regularnej komunikacji lotniczej między Berlinem a Moskwą. Prowadzone w przyjacielskim nastroju pertraktacje doprowadziły do umowy między obydwu organizacjami. Stosownie do życzeń obu rządów, regularna komunikacja lotnicza między Berlinem a Moskwą rozpocznie się z dniem 21 stycznia 1940.

A zatem nie da się ukryć, że Moskwa i Berlin są w przyjacielskim nastroju. Może zerknijmy do ogłoszeń?

POTRZEBNE eleganckie i zgrabne panienki do garderoby i do sprzedaży papierosów w pierwszorzędnej kawiarni w Krakowie. Pierszeństwo władające niemieckim. Zgłoszenia od 2-3, ul. Szopena 4. m. 11.

Ani chybi eleganckie i zgrabne panienki z priorytetowym językiem niemieckim są zapraszane do pierwszorzędnej kawiarni *nur für Deutsche*, tylko dla Niemców.

Zatem, jak się dowiadujemy, Führer i Naczelny Wódz spędził święta razem z żołnierzami na zachodnim froncie. Major Królikiewicz, jego żona Tomisława i córka Krystyna spędzili święta Bożego Narodzenia w Krakowie na ulicy Starowiślnej, u rodziny. Ale rodzina Królikiewiczów już nie w całości będzie świętować. Jak wiemy, najstarszy z braci, Marian, zginął we wrześniu. Mieczysław jest internowany na Węgrzech, Waław trafił do niemieckiego oflagu II C w Woldenbergu, Stanisławowi udało się uciec do Wielkiej Brytanii, Oktawian jest w Warszawie. Tak więc na smutnej wigilii u cioci Gieni, żony Mieczysława, na ulicy Starowiślnej 4 oprócz Adama, Muszki i Krysi pojawią się Tadeusz i Kazimierz. Będzie skromnie, ale lwowskiej kutii nie zabraknie. Adam załatwi pszenicę, mak i miód. Major nie zgoli jeszcze brody. Musi nadal się ukrywać, tym razem przed hitlerowcami. Tak, tak... Mają się dobrze Rosjanie z Niemcami. Już wkrótce Aeroflot i Lufthansa połączą siły. Krysia, choć elegancka i zgrabna, nie będzie pracować w pierwszorzędnej kawiarni *nur für Deutsche*. Zapisze

się na architekturę przy krakowskiej ASP, ale wkrótce z niej zrezygnuje, bo okaże się, że utworzony wydział jest niemiecką pułapką. Jeszcze raczkujące, ale już sprawne polskie podziemie dostanie cynk, że Niemcy mają aresztować studentów i wywozić do Rzeszy na roboty. Władze okupacyjne zarzuciły sieci na polską inteligencję. Już odbyła się *Sonderaktion Krakau*, już podstępnie aresztowano elitę krakowskich profesorów. Ponad stu osiemdziesięciu nauczycieli akademickich trafiło za druty Sachsenhausen. W tymże obozie koncentracyjnym całą okupację spędził mój ojciec. Ale wracajmy na Starowiślną, gdzie chwilowo przemieszkują Adam, Muszka i Krystyna. Willa na Dębnikach jeszcze nie jest dostatecznie wykończona, jeszcze kapie na głowę z dachu i herbata w szklankach zamarza. Na Starowiślniej u cioci Gieni jest rodzinnie i ciepło. Na choince palą się świece, nad stołem płynie kolęda. Pamiętam z dzieciństwa te chrapliwe głosy stryjów wyśpiewujące *Lulajże, Jezuniu* z mocnym lwowskim akcentem. Najbardziej tubalnie kolędował Kazimierz. Przymrużam powieki, widzę jego garbaty nos i lekko zażawione oczy. „Bóg się rodzi, moc truchleje”... Czyżby? Moc ma barwę brunatną, moc w niedalekiej Bochni rozstrzelała pięćdziesięciu dwóch Polaków, moc rozpoczęła masakrę warszawskiej ludności w Palmirach, zginie tam około tysiąca siedmiuset mieszkańców stolicy, moc już splądrowała w Krakowie żydowskie sklepy i mieszkania, wyrzucając właścicieli na bruk, moc już nakazała im nosić opaski z gwiazdą Dawida. „Bóg się rodzi, moc truchleje”?

Ausweis, bitte.

Tomisława drżącą dłonią sięga do torebki. Podaje żandarmowi dokumenty. Patrzy z przerażeniem na zegarek. Za pięć minut godzina policyjna. Żandarm wolno przegląda kenkartę, czas płynie. Niemiec przygląda się czujnie twarzy Muszki. Odchodzi na bok do kumpli z patrolu. Naradza się z nimi. Wskazuje palcem na kobietę. Tomisława ma na sobie lichą pelisę i niewielki kapelusz z szeroką wstążką. Czas płynie. Most Dębnicki. Już wybiła godzina policyjna. Żandarm wraca. Nie oddaje dokumentów.

– Czy pani wie, że już jest godzina policyjna. *Ausgangssperre*. – Zagląda do kenkarty – *Frau Kro-li-kie-witz*.

Moja babcia zaczyna się tłumaczyć łamanym niemieckim, że przecież pan żandarm zatrzymał ją pięć minut temu. Tamten nie odpowiada, świńskie oczka świdrują Muszkę na wylot spod hełmu. Na piersiach faluje blacha ryngrafu. I nagle z ust wypływają cztery słowa:

– *Du bist ein Jüdin.*

Muszka czuje, że pod obcasami jej trzewików most Dębnicki usuwa się, pęka, a ona wpada w topiel Wisły.

– *Nein. Ich bin Polin.*

Żandarm zagląda uważnie do dokumentu.

– Panieńskie nazwisko Lilienstern. *Dies ist ein jüdischer Name.*

– *Mein Vater war ein Schwede.* To jest szwedzkie nazwisko – kłamie bez zajknięcia Muszka. Delikatnym gestem próbuje odpiąć zegarek z dłoni. Omega jest złota. Ale pan żandarm oddaje kenkartę.

– Proszę się więcej nie spóźniać, *Frau Kro-li-kie-witz*. Pewnie się rodzina w domu martwi.

– Danke.

Most pod trzewikami majorowej Tomisławy Królikiewicz już nie pęka. Do domu na Praskiej jest kilkaset metrów, a wydaje się, że to kilometry. W oknie willi stoi wyprostowany Adam, obok córka. Skrzypnięcie drzwi na pierwszym piętrze.

– Mamo...

– Muszko...

– Dobrze, wiem. Zasiedziałam się u Gieni. Przepraszam.

– Czy coś się stało? Jesteś blada – pyta Adam.

– Nic się nie stało – odpowiada krótko Muszka.

Adam czujnym okiem lustruje żonę, widzi jej drżące dłonie, dostrzega rozpiętą złotą bransoletkę na przegubie ręki.

– O matko. Tak biegłam, że mi się zegarek odpiął.



Fotografia okupacyjna Tomisławy Królikiewicz (1943).

Leżą w małżeńskim łóżku. Obok na szafce nocnej stoi lampa z białym amorkiem dźwigającym bordowy abażur. Ta lampa towarzyszy mi do dziś swoim ciepłym światłem. Pewnie była świadkiem tych przyciszonych głosów:

- Kochanie...
- Tak, Adasiu.
- Muszę wyjechać.
- Dokąd?
- Lepiej, żebyś nie wiedziała. Tak będzie bezpieczniej.
- Rozumiem.
- Nie mogę tak siedzieć beczynnje.
- Rozumiem.
- Dasz sobie radę, Muszko?
- Tak. – Ciężka pauza. – Kiedy wyjedziesz?
- Jutro.
- Rozumiem.

Następnego dnia major Adam Królikiewicz wyjedzie do majątku państwa Byszewskich do Słupi, gdzie rozpocznie działalność konspiracyjną. Tomisława i Krystyna zostaną w okupowanym Krakowie. Major nie dowie się o incydencie na moście Dębnickim.

Niemcy to skrupulatny naród. Policzyli krakowskich i podkrakowskich Żydów co do jednego. Było ich sześćdziesiąt osiem tysięcy czterystu osiemdziesięciu dwóch. Spisu dokonano już w listopadzie 1939 roku. Była to jedna z największych społeczności żydowskich w Polsce. Gros krakowskich Żydów żyło na historycznym Kazimierzu, ale od roku 1867 sporo rodzin zamieszkało poza żydowską dzielnicą, otwierając własne interesy w całym mieście. Hitlerowcy wkroczyli do Krakowa 6 września 1939 roku, tworząc z miasta stolicę Generalnego Gubernatorstwa. Od tego momentu krakowianie wyznania mojżeszowego przestali być normalnymi mieszkańcami grodu. Adolf Hitler mianował Generalnym Gubernatorem niejakiego Hansa Franka. Hans Frank zamieszkał na Wawelu, obok grobowców polskich królów, poetów i narodowych bohaterów. Hans Frank to były minister sprawiedliwości Bawarii i stanu w rządzie Rzeszy, były komisarz Rzeszy do spraw ujednoczenia wymiaru sprawiedliwości, autor słów: „Nikt nie może być skazany bez możliwości obrony”; „Nikt nie może być pozbawiony czci, wolności, życia i zarobku bez orzeczenia sądowego”; „Każdy oskarżony musi mieć możliwość wyboru obrońcy”; „Nikt nie powinien być traktowany jako wróg społeczności narodowej bez udowodnienia mu jego winy”. W praktyce Hans Frank nie wdrażał powyższych złotych myśli. A już broń Boże nie stosował ich wobec Żydów. No, ale wiadomo, według Hansa Franka Żydzi byli podludźmi i można było sobie darować wszelkie zasady moralne. Toteż gubernator Hans Frank kazał zamknąć wszystkie krakowskie synagogi i zarządził założenie Judenratu, rady żydowskiej. Pierwszym przewodniczącym Judenratu został Marek Biberstein, żydowski nauczyciel i działacz społeczny. SS-Oberscharführer, niejaki Paul Siebert, wyznaczył członków Judenratu, polecając w pierwszym rozkazie, by Żydzi oddali władzom niemieckim wszystkie kosztowności i dzieła sztuki z krakowskich synagog. W 1940 roku została powołana Żydowska Służba Porządkowa, Jüdischer Ordnungsdienst. Kierował nią Symche Spira, półanalfabeta, szklarz z zawodu, a z zamiłowania erotoman i donosiciel. W kwietniu 1940 roku gubernator Hans Frank postanowił, że Kraków będzie najczystszy miastem Generalnego Gubernatorstwa, ergo miastem bez Żydów. Od listopada 1939 roku wszyscy Żydzi, w tym dzieci w wieku od dwunastu lat, musieli nosić opaski z gwiazdą Dawida. Sprzedano ich dokładnie pięćdziesiąt trzy tysiące osiemset dwadzieścia osiem.

Jednym z posiadaczy opaski z gwiazdą Dawida jest pan Gotlib, dawny właściciel eleganckiego sklepu z pasmanterią, galanterią skórzaną i przepięknymi dodatkami do odzieży, sklepu o nazwie Vigio, mieszczącego się na linii C-D przy Rynku Głównym w Krakowie. Pan Gotlib został wraz z rodziną wysiedlony ze swojego mieszkania, pozbawiony własności salonu Vigio, ale według zarządzenia Kommissarische Leitung, mógł wraz z żoną pracować w swoim dawnym sklepie.

Jest dziewiąta rano. Państwo Gotlib przychodzą do salonu. Natychmiast zdejmują opaski z prawego ramienia. Krystyna widzi wściekłość w ich oczach. Nie, nie strach, nawet nie upokorzenie – wściekłość. Krystyna pracuje u państwa Gotlibów. Stoi przy kasie i ladzie jako ekspedientka. Państwo Gotlibowie trzymają się z dala od oczu

klientów, pracują na zapleczu. Pan Gotlib zakłada zarękawki i pilnie pochyla się nad księgami rachunkowymi. Wszystko musi być *richtig*, bo zarządca sklepu *Herr Kluge* rozlicza rachunki co do jednego grosza.

Zabrzączał dzwoneczek u drzwi wejściowych. Do salonu wchodzi dama w zgrabnym kostiumie wciętym w tali, w kapelusiku z piórkiem i woalce na twarzy. Przez siateczkę przezierają mocno umalowane oczy, spod woalki karminowe usta. Krysia w pierwszym momencie traci oddech na widok damy. Dawno nie widziała tak urodziwej i strojnej kobiety.

– Słucham panią, czym mogę służyć?

– Chciałabym się rozejrzeć – mówi elegantka.

– Ależ oczywiście. Proszę uprzejmie – odpowiada usłużnie ekspedientka.

Dama przechadza się wzdłuż lady, rozsiewając intensywny zapach perfum. Zdaniem Krysi jest to *soir de Paris*. Krystyna uwielbia tę woń, o której zwykle się mówi, że jest „szalem namiętności”. Marzy, by kiedyś skropić się takim zapachem i zawrócić komuś w głowie tak mocno, jak jej teraz w głowie się zawraca. Krysia ma już prawie dwadzieścia lat, ma prawo do takich marzeń. Ale nie stać jej na *soir de Paris* marki *Bourjois*, na woń paryskiego wieczoru. Krysia zarabia marne grosze, by jakoś z matką utrzymać się przy życiu. Ojciec wpada z konspiracyjnej Słupi raz na jakiś czas, ale nie przywozi nic prócz wałówki. Słonina, kaszanka, czasami baleron. Dobrze i to. Major jest złotą rączką, własnym wysiłkiem próbuje doprowadzić razem z bratem Kazimierzem willę na Praskiej do stanu użyteczności. Musi to robić ostrożnie – ukrywa się przecież.

Dama w woalce ciągle przechadza się po salonie, teraz jest przy półkach z galanterią skórzaną. Kładzie wypielegnowaną dłoń na brązowych rękawiczkach z cielecej skórki. Krysia widzi pięknie pomalowane na purpurowy kolor paznokcie. Też kiedyś chciałyby tak sobie pomalować paznokcie.

– W jakiej cenie te rękawiczki?

– Trzysta pięćdziesiąt złotych – odpowiada ekspedientka Królikiewicz.

– Boże! Ale drogo!

Drogo. Może przez chwilę przyjrzymy się cenom w tamtym czasie. Chleb razowy – 15,50 zł za kilogram, kartofle – 5 zł za kilogram, jaja – 2,90 zł za sztukę. Tak, rękawiczki są bardzo drogie, kosztują prawie miesięczną pensję Krysi.

– To cieleca skórka, wyprawiona i uszyta w Wiedniu, proszę szanownej pani.

– A ten portfelik z wężowej skórki? – pyta pachnąca dama.

O, Krysia dostrzega jej pończochy ze szwem, też marzy o takich pończochach. Ale nie ma na nie szans, więc czasem rysuje sobie kredką do oczu szew na gołych łydkach, imitując w ten sposób wyśnzione nylony.

– Trzysta siedemdziesiąt pięć złotych – odpowiada.

Pachnąca dama wydyma karminowe usta.

– Ciągle bardzo u tych Żydów drogo – kwituje, machnąwszy dłonią z czerwonymi paznokciami.

Krystyna nic nie odpowiada, choć ma chęć kopnąć pachnącą damę w przezgrabny tyłek. U jakich Żydów? U *Herr Klugego*... Krysia milczy i tylko uśmiecha się z przymusem. Tamta wychodzi ze sklepu, zostawiając za sobą smugę wieczoru Paryża i srebrny dźwięk dzwoneczka u drzwi.

Zapadł zmierzch. Krakowski, smutny, szarawy, bezbarwnie pachnący. Zza szyby dobiega stukot kopyt i terkot kół dorożki. W sklepie zaś słychać odgłos klawiszy kasy i szloch dziewczyny. Z zaplecza wysuwa się jak cień pan Gotlib.

– Co się stało, panno Krysiu?

– Nie zgadza się...

– Co się nie zgadza? – pyta zaniepokojony pan Gotlib, poprawiając granatowe zarękawki.

– Kasa... Utarg się nie zgadza, panie Gotlib.

Pan Gotlib podchodzi do książki rachunkowej, naciska srebrny klawisz kasy, szuflada z trzaskiem się otwiera. Pan Gotlib skrupulatnie liczy banknoty i bilon. Kładzie dłoń na ramieniu Krystyny, przechodzi wzdłuż lady, licząc i stukając ołówkiem w szybę. Potem to samo robi z galanterią leżącą na półkach.

– Panno Krysiu, mam.

– Tak? Co?

– Wiedeńskich ciełych rękawiczek brakuje.

– Panie Gotlib... – szlocha dziewczyna. – *Herr Kluge* mnie zabije.

– *Herr Kluge* jeszcze nie zabija – odpowiada z bladym uśmiechem pan Gotlib.

– To mnie wyrzuci z pracy. Ja nie mam za co oddać tych pieniędzy do kasy. Ukradła... Ukradła... pinda jedna... – Łzy ciekną po policzkach.

– Panna Krysiu się nie martwi.

Pan Gotlib podchodzi do dziewczyny i aksamitną dłonią wyciera jej wilgoć z policzków. Następnie sięga do kieszeni spodni, wyjmując z niej wytarty portfel, z szerokiej przegródki wysupłuje banknoty. Odlicza równe trzysta pięćdziesiąt złotych i wkłada do szuflady w kasie.

– Już dobrze, już dobrze, panno Krysiu. *Herr Kluge*... – Pan Gotlib zawiesza głos i macha dłonią – a pies z nim.

Przed zamknięciem drzwi eleganckiego sklepu Vigio na linii C–D Rynku Głównego w Krakowie państwo Gotlib założą opaski z gwiazdą Dawida.

Trzeciego marca 1941 roku gubernator dystryktu krakowskiego doktor Otto Wächter zarządził założenie getta w Krakowie. Wszyscy Żydzi mieszkający w Krakowie musieli przenieść się tam do 20 marca. Państwo Gotlib także. Choć jeszcze pozwolono im pracować w swoim dawnym sklepie z galanterią. Wyjątkowo nie dotyczyło państwa Gotlibów poniższe obwieszczenie:

LX. OBWIESZCZENIE STAROSTY MIEJSKIEGO. Dot.: używania plant i Głównego Rynku przez żydów. Chodzenie po drogach i placach na skwerach tzw. plant wzbronione jest od dnia 1 maja 1940 r. żydom; wyjątkowo jest to tylko dopuszczalne na odcinku między hotelem Royal a gmachem Głównej Poczty oraz chodzenie przez planty drogą będącą przedłużeniem arterij komunikacyjnych.

Poza tym wzbronione jest żydom przebywanie w Sukiennicach oraz chodzenie po Głównym Rynku.

Wykroczenia przeciwko memu zarządzeniu będą surowo karane.

Kraków, dnia 29 kwietnia 1940. Starosta Miejski Schmid.

Imieninowy telegram

Glińojek. Rejencja ciechanowska. Zarządza nią, jak i całym Prusami Wschodnimi, nadprezydent Erich Koch. Erich Koch jest bezwzględny władcą, ale i spryciarzem. Już w pierwszych dniach okupacji hitlerowcy przystępują do grabieży mienia Polaków. Requirują tony żywności, okolice Ciechanowa ogałającą z cukru i buraków cukrowych. Grabia smary i paliwa, skóry i wełnę. Plądrują sklepy, składy i hurtownie. Przyjmują w zarząd wszystkie ważniejsze zakłady przemysłowe, cukrownie i młyny, rzemieślnicze warsztaty usługowe. Nakładają kontrybucje na ludność rejencji, szczególnie na Żydów. Wszystko to według wskazań Führera. Ale przesprytny *Herr* nadprezydent Koch prowadzi na terenie swoich ogromnych włości osobistą politykę. A jakże, jest lojalnym przydupasem Hitlera, ale nie może się powstrzymać, żeby przy okazji nie kręcić swoich własnych lodów. Gdzie się da, kombinuje prywatny interes. Skupmy się na okolicach Ciechanowa. Prezydent Koch zakłada tu fundację i bierze pod jej skrzydła czterdzieści dwie wioski rejencji ciechanowskiej, a także przejmuje jako właściciel pięć prosperujących cukrowni: Borowiczki, Ciechanów, Krasiniec, Nową Wieś, no i – oczywiście – Izabelin. Fundacja Kocha miała niby wspierać materialnie żołnierzy Wehrmachtu walczących na Wschodzie, ale w rzeczywistości zasilała prywatne konto *Herr* nadprezydenta. Kiedy Koch trafi po wojnie do polskiego pudła, będzie się gęsto tłumaczył, że czynił tak dla dobra miejscowej ludności²⁸.

Erich Koch umrze w polskim więzieniu w Barczewie w 1986 roku. Do dziś jest tajemniczą postacią. Pogłoski mówią, że współpracował z peerelowskim wywiadem, że znał tajemnicę zniknięcia Bursztynowej Komnaty. Takie tam. W każdym razie prawdą jest, że w barczewskim pierdłu przesiadywał za czasów komuny razem ze Stefanem Niesiołowskim i Władysławem Frasyniukiem. Szczerze nienawidził polskich opozycjonistów, wyzywał ich po polsku od najgorszych skurwysynów.

Ale przymrużmy oczy i wróćmy do okupacyjnego Glińojeka. Jak już wspomniałem, cukrownia „Izabelin” znajduje się pod pieczę Fundacji *Herr* Kocha. Prababcia Funia, wdowa, mieszka samotnie w fabrycznym domu. Jest ciepły wrześnieowy poranek. Za oknem słycać skrzypnięcie rowerowego łańcucha i brzęknięcie dzwonka. Stefania podnosi zmęczony wzrok i nakłada okulary; cieszy się, bo to znak, że poczta jedzie. I rzeczywiście w progu stoi listonosz o purpurowej facjacie.

– Telegram, pani Liliensternowa.

Pani Lilienstern nie może się powstrzymać od pytania:

– Panie Jarczyk, nie wie pan, co z... z... Goldmanem?

– Jak to co? W getcie ciechanowskim. Jak wszystkie żydki z okolicy.

– Tak, tak – mruczy Stefania. – Wiem, wiem.

– Się kłaniam, pani inspektorowej i życzę zdrówka, bo to się widzi, że imieninowo telegram przyszedł – bąka purpurowy listonosz Jarczyk i cierpliwie czeka na napiwek. Stefania nie ma ochoty wręcać datku, ale coś ją pcha w głąb sieni. Sięga po portmonetkę i wtyka purpurowemu Jarczykowi jedną markę. Niech sobie gębę nią zatka. Dzyń, dzyń, dzwoni dzwonek, skrzypi łańcuch, listonosz znika w głębi ulicy

Fabrycznej. Stefania patrzy na znikającą tłustą sylwetkę, którą z trudem utrzymuje rower, kiedyś tak zgrabnie prowadzony przez listonosza Goldmana, mimo że mu się chałat wkręcał w łańcuch. Stefania czyta telegram ozdobiony różyczkami. Życzenia z Krakowa od Muszki, Adasia i ukochanej Krysieńki. Stefania zastanawia się, wychodzi z domu. Idzie prosto Fabryczną, mija wyboiste skrzyżowanie przy Płockiej, drewniany kościółek z lewej strony, wreszcie staje przed cmentarzem. U straganiarki kupuje dwa znicze i dwie róże. Jedną białą, drugą czerwoną. Najpierw kładzie tę białą obok znicza, na maleńkim nagrobku w końcu cmentarza. Potem na czarnej granitowej płycie zapala znicz obok czerwonej róży. Patrzy na owalną nagrobną fotografię męża. A w głowie dudnią słowa: „...w getcie ciechanowskim. Jak wszystkie żydki z okolicy... w getcie ciechanowskim. Jak wszystkie żydki z okolicy...”.

ODEZWA do ludności żydowskiej.

Z polecenia wyższej Władzy Gmina żydowska przeprowadza rejestrację ludności żydowskiej.

W tym celu winni zgłosić się wszyscy zamieszkali tutaj żydzi obu płci w lokalu żydowskiej kuchni ludowej przy ulicy...

„Jak wszystkie żydki z okolicy... Jak wszystkie żydki z okolicy...”, wiruje w głowie Stefani Lilienstern. Moja prababcia wychodzi z cmentarza. Na dwóch grobach leżą róże. Jedna biała, druga czerwona. Listonosz Abraham Goldman nie roznosi już listów, jego żona Tekla i synek Chaim tłoczą się z innymi mieszkańcami ciechanowskiego getta w ciasnym mieszkaniu na ulicy Nadfosnej.

Zaglądam na stronę sztetl.org.pl:

W dn. 8.10.1939 r. na mocy dekretu Hitlera Północne Mazowsze zostało przyłączone do Prus Wschodnich. Jednak dopiero 26 października dekret wszedł w życie i władzę w mieście przejęła administracja cywilna. Jedną z pierwszych decyzji było powołanie Judenratu – Rady Żydowskiej, w której zasiedli członkowie przedwojennego zarządu gminy oraz Bencjon Erlich – dokooptowany przez Niemców. Erlich został mianowany prezesem. Judenrat otrzymał rozkaz przeprowadzenia spisu powszechnego ludności żydowskiej. [...] W 1939 r. w Ciechanowie mogło mieszkać ok. 4650 Żydów stanowiąc 28% mieszkańców miasta, zaś jesienią 1939 r., po przesiedleniu do miasta rodzin żydowskich z okolicznych wsi, w Ciechanowie nie żyło więcej niż 5 000 starozakonnych. Jeszcze w październiku Niemcy pozbawili żydowskich kupców i rzemieślników warsztatów pracy, a zarządzeniem z 1.11.1939 r. Żydzi otrzymali zakaz prowadzenia jakiejkolwiek działalności gospodarczej. Również w listopadzie wprowadzono obowiązek pracy dla wszystkich Żydów w wieku 14–60 oraz Żydówek w wieku 14–50 lat. Wszyscy zostali zarejestrowani w Arbeitsamcie. Codziennie musieli stawiać się na Rynku, gdzie witali burmistrza: „Guten Morgen Herr Burgermeister”, na co ten odpowiadał: „Guten Morgen Schweine”. Następnie ruszali do pracy, która polegała na porządkowaniu ulic, przewalaniu gruzu, opróżnianiu śmietników. Nie miała przy tym znaczenia gospodarczego, jedynie chodziło o udręczenie ludzi. Do prac przydzielał Judenrat, który przyznawał zwolnienia w zamian za łapówki. Biedni musieli pracować ponad siły. Judenrat był również odpowiedzialny za przeprowadzenie akcji oznakowania Żydów, która trwała do grudnia 1939 r. Każdy powyżej 12 roku życia musiał nosić żółtą gwiazdę Dawida na lewej piersi oraz drugą na plecach. Władze wydały wkrótce

kolejne zarządzenia m.in. zakaz chodzenia po chodniku, obowiązek kłaniania się Niemcom oraz zdejmowania przed nimi nakrycia głowy. Powstała także poczta dla Żydów, której celem było ograniczenie napływu informacji z innych części kraju. Ostatecznym aktem wykluczenia Żydów ze społeczeństwa było zamknięcie getta jesienią 1940 r. W październiku burmistrz Folke wydał zarządzenie zabraniające Żydom przebywania na ulicach: Ragniterstasse (od Friedrichstrasse do Pultuskerstrasse), Waeschaustrasse, Marktstrasse, Marktplatz. Obszar ten wyznaczył granice ciechanowskiego getta. Wyjście, które wychodziło bezpośrednio na te ulice zostało zamurowane i wybudowano nowe ulice położone od tyłu. Getto nie zostało ogrodzone, jednak Żydzi zostali całkowicie odizolowani do ludności polskiej. Za przekroczenie wytyczonych granic, które zmieniały się w przeciągu wojny parokrotnie w związku z przebudową miasta, groziły surowe represje: kara grzywny, aresztowanie, ciężkie pobicie, osadzenie w wychowawczych obozach pracy, a nawet publiczne egzekucje. Teren getta mogły opuszczać tylko osoby posiadające przepustkę uliczną wydaną przez burmistrza, która upoważniała do chodzenia do pracy i z powrotem najkrótszą drogą. Porządku w getcie pilnowała milicja żydowska utworzona przez Judenrat. Od pierwszych dni okupacji obowiązywała godzina policyjna. [...] Centralne położenie zadecydowało, że Ciechanów został stolicą rejencji. Sprawiało to, że od początku okupacji, starano się nadać miastu niemiecki charakter m.in. poprzez wywieszanie na domach ogromnych płacht ze swastyką, wystawianie w oknach portretów Hitlera, rozlepianie plakatów z Chamberlainem i rannymi polskimi żołnierzami i hasłem: „Anglio! Twoje dzieło!”. Zmieniono nazwę miasta na Zichenau, a na przełomie października i listopada przystąpiono do zmiany nazw ulic m.in. ulicę 3 Maja przemianowano na Hermannstrasse, Plac Kościuszki na Grunplatz, ulicę Piłsudskiego na Ragniterstrasse, a Sienkiewicza na Bahnhofstrasse. Wkrótce zapoczątkowano przebudowę miasta, by nadać mu wygląd „reprezentacyjny, funkcjonalny o skoncentrowanym charakterze wschodniopruskiego miasta kolonialnego”. [...] Rozpoczęto wyburzanie dzielnicy żydowskiej, masowe przerabianie i budowanie nowych domów, poszerzanie i regulację ulic itp. [...] Akcja ta najbardziej dotknęła ludność żydowską. Bezdomni Żydzi błakali się poszukując jakiegokolwiek schronienia. Wraz z kurczeniem się getta wystąpiła niesłychana ciasnota mieszkaniowa. W jednym pokoju mieszkali po 3–4 rodziny. [...] Wielu mieszkało w prymitywnych budach lub pod gołym niebem. Do problemu mieszkaniowego dołączył wkrótce głód. [...] W dn. 11.12.1941 r. Niemcy spędzili na zamek Żydów do deportacji. Tam zostali pobici, a następnie przepędzeni do specjalnego pociągu. Niemcy poinformowali przy tej okazji Judenrat, że jeśli znajdą kogoś z listy 1200 osób przeznaczonych do wywózki do Nowego Miasta, to zostanie rozstrzelany.

Napis na grobie: „Ś.P. Stanisław Lilienstern. 1866–1932. Inspektor cukrowni”. Oprócz słów modlitwy w głowie Stefanii kołaczą się słowa: „...W getcie ciechanowskim. Jak wszystkie żydki z okolicy...”.

W poszukiwaniu straconego czasu

Ja, Krystyna Królikiewicz, pseudonim „Kryśka”, zobowiązuje się działać w imię najwyższych wartości patriotycznych...

Tak oto moja mama wstąpiła do Armii Krajowej. W tajemnicy przed rodzicami. Krystyna została łączniczką związaną z warszawsko-krakowskim oddziałem Biura Informacji i Propagandy. Do zadań akowskiej komórki należała najszerzej rozumiana walka psychologiczna z propagandą hitlerowską, informowanie polskiego społeczeństwa o działaniach londyńskiego rządu, zbieranie informacji, raportów, rozkazów, śledzenie i dokumentowanie opresji okupanta, budowanie solidarności Polaków w walce o niepodległość. Do konspiracji wciągnęła moją mamę jej siostra stryjeczna, córka Tadeusza, Zofia Królikiewicz, żona aktora Wasiela z teatru Reduta. Ciocia Zosia była niezwykłą, dzielną konspiratorką, bohaterką powstania, później więźniarką niemieckiego obozu. Była piękną kobietą, podobną do Marilyn Monroe. Jako podrostek nie mogłem oderwać oczu od jej twarzy, choć była to twarz, na której odcisnęło się piętno dramatycznych losów.

Moja mama wspomina:

Nie miałam wątpliwości ani nie zastanawiałam się nawet przez sekundę, że mogę narazić swoje życie, że może się to dla mnie źle skończyć, że mogę zginąć.



Majątek państwa Byszewskich w Słupi, gniazdo konspiracji AK.

Krystyna „Kryśka” została łączniczką. Kursowała na linii Kraków–Warszawa,

przewożąc tajne materiały, bibułę, rozkazy, czasami broń. W torebce zakamuflowane dokumenty, dusza na dwudziestojednoletnim ramieniu, w głowie marzenia. „Kryśka” chce być aktorką.

Warszawa. Budynek archiwum Biblioteki Uniwersyteckiej. Spotkanie ma charakter absolutnie konspiracyjny. Krystyna wchodzi w wąską alejkę między regałami. Czekają. Jest bardzo zdenerwowana. Mijają minuty. Pachnie kurzem i papierem. Krystyna lubi ten zapach. Nagle zza węgła wychodzi nieco przygarbiony mężczyzna w rogowych okularach, z kilkoma tomami w ręku. Wygląda na bibliotekarza albo na archiwistę. Rozgląda się, podchodzi. Lekko się kłania.

– To pani?

– To ja – odpowiada spięta Krystyna.

„Bibliotekarz” poprawia okulary i taksuje dziewczynę.

– Prezencja jest.

– Dziękuję – odpowiada Krystyna i czuje, jak powoli ustępuje jej napięcie.

– Oprócz prezencji potrzebny jest jeszcze talent.

– Rozumiem.

– Będzie pani musiała zdać egzamin przed komisją – kontynuuje mężczyzna półszepem.

– Kiedy i gdzie? – pyta Krystyna.

– Skontaktujemy się z panią.

– Mieszkam w Krakowie, ale w Warszawie zatrzymuję się u stryjecznej siostry na ulicy...

– Wiemy, gdzie mieszka pani kuzynka – przerywa „bibliotekarz”. – Proszę czekać na kontakt.

– Rozumiem. Czy to wszystko, panie profesorze?

Mężczyzna lekko się wzdrygnął.

– Proszę mnie tu tak nie tytułować. Te regały mogą mieć uszy. Nie. To nie wszystko.

– Kolejny raz „bibliotekarz” poprawia rogowe oprawki okularów i kolejny raz lustruje dziewczynę. Pyta z nieśmiałym uśmiechem: – Proszę mi powiedzieć, jaką literaturą się pani interesuje?

– Poezją. Romantyczną. Mickiewicz, Słowacki, Norwid.

– No tak... – Mężczyzna wzdycha, jakby chciał powiedzieć „kolejna romantyczka”. –

A co z prozy pani ostatnio czytała? – pyta z kąśliwym uśmieszkiem.

– *W poszukiwaniu straconego czasu*. W tłumaczeniu Boya-Żeleńskiego – odpowiada dziewczyna i dodaje z odcieniem dumy: – Ale zaglądałam do oryginału. Znam dobrze francuski.

– O... Prousta pani czyta? – Kąśliwy uśmieszek znika z ust pana „bibliotekarza”. – Dobrze, bardzo dobrze. Proszę już iść. Skontaktujemy się z panią.

„Kryśka” posłusznie odchodzi w perspektywę regałów. Zostawia za sobą wirujące pyłki kurzu, które w smudze słońca zamieniają się w złote okruszki. Krystyna zabiera ze sobą nadzieję.

„Bibliotekarzem” był Bohdan Korzeniewski. Reżyser, wybitny krytyk i historyk teatru, tłumacz, pisarz i pedagog. Wraz z Leonem Schillerem założył podziemną Tajną

Radę Teatralną. Zostanie aresztowany i zesłany do obozu Auschwitz-Birkenau, skąd cudem zostanie zwolniony. Wróci do Warszawy, do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, by podczas powstania chronić jej zbiory. Krystyna Królikiewicz z powodzeniem zda egzaminy do podziemnego Państwowego Instytutu Teatralnego. Razem z „Krysią” na tajne komplety będą uczęszczać między innymi Andrzej Łapicki i Zofia Mrozowska. Mama wspomina:

Lekcje odbywały się prywatnie, w prywatnych mieszkaniach. Nie mogliśmy się gromadzić w większych grupach, nawet jak przychodziliśmy na zadania aktorskie, na lekcje, na recytacje, na lekcje dykcji, to nigdy większymi grupami, najwyżej po troje. Składaliśmy przyrzeczenie, że nie będziemy chodzili do teatru ani do kina, bo „tylko świnie siedzą w kinie”. Zdarzały się... Na przykład na obecnej ulicy Mazowieckiej był teatrzyk, w którym brali udział nasi aktorzy. To były zresztą bardzo kontrowersyjne sprawy, później, po zdobyciu niepodległości rozpatrywane przez nasze sądy artystyczne.

Cóż... Moja mama raz złamała zasadę. Nie wytrzymała. Oddaję jej głos:

Muszę powiedzieć i będę biła się w piersi – mea culpa, mea maxima culpa – że ponieważ marzyłam o tym, żeby zobaczyć Marię Malicką w Damie Kameliowej, to złamałam to słowo. Ale potem poszłam, powiedziałam moim profesorom. Rozgrzeszyli mnie. Węgrzyn grał u Malickiej, chciałam tych dwoje zobaczyć. Nie zapomnę Węgrzyna, który w pewnej sytuacji, kiedy przychodzi prosić bohaterkę, czyli Damę Kameliową, żeby zdecydowała się na zerwanie związku z jego synem, rozegrał tę scenę tyłem do widowni. Miał tylko z tyłu ręce splecione, tylko palcami wyrażał swoje wzburzenie i swoje uczucia. Nie żałuję, że to widziałam. Zostałam zresztą rozgrzeszona...

Czy do tego grzechu dwudziestojednoletniej dziewczyny, tak na zabój rozkochanej w teatrze, że pozwoliła sobie na złamanie zakazu, pasuje tytuł niniejszego rozdziału? Sam nie wiem.

Zajrzymy na chybił trafił do gadzinowej prasy.

W śródmieściu Stalingradu toczą się zażarte walki wśród domów. Dzielnica za dzielnicą musi być zdobywana w zaciętych zmaganiach, przyczem często dochodzi do ciężkich walk wręcz, z których wojska niemieckie wychodzą zwycięsko.

Nowy apel Stalina o pomoc. Sztokholm, 7 października. Nowy rozpaczliwy apel Stalina o drugi front przez dobrze poinformowanych obserwatorów londyńskich uważany jest za próbę wywarcia presji na rządy angielski i północno-amerykański. Stalin zwrócił się z temi swymi wynurzeniami bezpośrednio do ludności angielskiej i północno-amerykańskiej. W rezultacie tego opinia publiczna w formie spotęgowanej domagać się powinna utworzenia drugiego frontu. Natomiast wydaje się wątpliwem, czy słowa Stalina wywrą wpływ na decyzje wojskowe Anglii i Stanów Zjednoczonych.

I tak dalej, i temu podobne.

Zaginął 3-letni chłopczyk. W dniu 5 października bawił się na rogu ulicy Rakowickiej i Topolowej 3-letni Andrzej Baćko, który następnie zaginął i do tej pory nie powrócił z domu. Chłopczyk ubrany był w ciemno-granatowe ubranko, żółte sandały w dobrym stanie, włosy jasno blond, oczy duże, piwne. Zachodzi przypuszczenie, że dziecko zabłąkało się i nie trafiło do domu. Ktoby wiedział, gdzie dziecko obecnie się znajduje, proszony jest odprowadzić je do zrozpaczonej matki, zamieszkałej przy ulicy Topolowej 24, II p., względnie na najbliższy komisariat²⁹.

A czy poszukiwany przed siedemdziesięciu pięciu laty chłopczyk pasuje do tytułu niniejszego rozdziału?

Tajemniczy mężczyzna o wystających kościach policzkowych, znajoma z baleronom i sąsiedzi hodujący króliki w wannie, czyli oczy i uszy, których nie widać

Zapiski mojej matki:

Chwila grozy, która dotknęła nas z matką osobiście, nadeszła latem 1942 roku. Każdy powrót z częstych wypraw ojca w teren był oczekiwany przez nas w napięciu. Tym razem narastający niepokój zmienił się w uczucie przerażenia. Otrzymaliśmy wiadomość, że ojciec z ciotką Gienią zostali aresztowani w mieszkaniu przy ulicy Starowiśniej. Stąd w kajdankach zabrano ich gestapo do więzienia na Montelupich. W tym czasie na terenie Krakowa za „łaskawym” zezwoleniem gubernatora Franka istniała Rada Główna Opiekuńcza, tzw. RGO, której prezesem był hrabia Ronikier, znający ojca osobiście. Prezesowi, bardzo przejętemu aresztowaniem ojca, udało się szybko uzyskać audiencję u Franka. Po rozmowie z szefem Generalnego Gubernatorstwa przekazał nam wiadomość, że w sprawie aresztowania Frank obiecał interweniować w Berlinie. Uprzedził jednak, że nie jest pewien rezultatu; w najgorszym razie przewiozą ojca jako znanego sportowca do któregoś z oflagów na terenie Rzeszy.

Nastąpiły długie, pełne napięcia dni oczekiwania i niepokoju. Aż wreszcie zostałyśmy zaalarmowane niewiarygodną wiadomością. Ojciec wraz z ciotką wrócili z więzienia na Montelupich. Ten nieprawdopodobny obrót sprawy zawdzięczaliśmy akcji Ronikiera. Kariera sportowa oraz udział ojca w olimpiadzie w Berlinie w 1936 roku jako szefa ekipy, interwencja znanego niemieckiego olimpijczyka w imię solidarności sportowej, uwolniły ojca z więzienia i dalszego śledztwa.

Niestety, nie znam nazwiska owego niemieckiego olimpijczyka, który wstawił się za polskim olimpijczykiem. Jak po uwolnieniu potoczą się losy mojego dziadka, będzie za chwilę. Na razie zatrzymajmy się, by wyjaśnić, czym była Rada Główna Opiekuńcza i kim był hrabia Adam Ronikier. RGO to polska organizacja charytatywna działająca podczas I i II wojny światowej, taki swego rodzaju Czerwony Krzyż, obejmujący opieką poszkodowanych Polaków. RGO działała legalnie i sprytnie wykorzystywała umowy międzynarodowe, do których okupant niemiecki w swej łaskawości się stosował. Rada Główna Opiekuńcza zarządzana przez hrabiego Ronikiera była subsydiowana przez rząd USA, zbiórki pieniężne i potajemnie przez polski rząd na uchodźstwie, współpracowała ze szwajcarskim Czerwonym Krzyżem. Organizacja działała bardzo aktywnie: wspomagano więźniów, wysyłano paczki do więzień, zapomogi pieniężne dla poszkodowanych i ich rodzin, zakładano sierocińce, wspierano wysiedlonych mieszkańców Zamojszczyzny i uchodźców z Wołynia, zakładano szpitale dla ludności polskiej w czasie epidemii, w czasie powstania warszawskiego, a także po jego upadku, niesiono pomoc mieszkańcom Warszawy w trakcie powstania i podczas exodusu ludności ze stolicy. Dziś działalność Rady jest nieco zapomniana. Szkoda, bo dokonania hrabiego Ronikiera i krakowskiego arcybiskupa Sapiehy, który jako metropolita wspomagał RGO swoim autorytetem, zasługują na najwyższe uznanie. Z pomocy organizacji rocznie korzystało prawie milion poszkodowanych. Adam hrabia Ronikier

był niekwestionowanym autorytetem, z którym nawet gubernator Frank musiał się liczyć. Przytoczmy *in extenso* jego słowa: „Niemieckie władze widziały w tej materialnej pomocy pożądane ułatwienie w skomplikowanym zadaniu wyżywienia kraju w czasie wojny i dlatego ostatecznie udzieliły swej zgody na powstanie RGO, zachowując sobie daleko idącą kontrolę”. Ronikier angażował się w pomoc, nie dzieląc obywateli polskich na lepszych i gorszych ze względu na pochodzenie społeczne czy narodowość. Wielokrotnie interweniował u niemieckich władz w sprawach żydowskich, za co doczekał się jednoznacznych gróźb. Oczywiście znaleźli się i tacy, którzy podali w wątpliwość społeczną i charytatywną działalność hrabiego i oskarżali go o kolaborację z okupantem. Te kalumnie przycichły, gdy Ronikiera w końcu aresztowało gestapo. Tyle o nieco zapomnianym bohaterze tamtych czasów.

Krysiu. Muszko. – Długa pauza. – Muszę zniknąć.

Żona i córka milczą. Wiedzą, że Adam, mimo aresztowania, nie zaprzestanie działalności konspiracyjnej. Lecz Tomisława pyta:

– Co będziesz robić? – Pólszept zamienia się w jakiś chropawy szelest.

– Nie mogę ci powiedzieć, Muszko.

– Nie pytam „dokąd?”, „gdzie?”, „po co?” – dodaje Muszka z zaciśniętymi ustami. – Ale jako żona mam chyba prawo coś wiedzieć. Czy będziesz nas odwiedzał?

– Będę. – Major się waha. – Chyba. – Tym razem wahanie jest nieco krótsze. Tak, córka i żona mają prawo coś wiedzieć, więc tyle może ujawnić z konspiracyjnej tajemnicy: – Od czasu do czasu będę wpadał do Krakowa. Dostałem posadę w Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych. Krysiu, Muszko, nie zostawię was bez opieki.

I tylko tyle może ujawnić. Reszta jest ścisłą tajemnicą Armii Krajowej.

Parę lat temu. Telefon. Na wyświetlaczu komórki nieznan mi numer. Rozmowa. Mniej więcej taka:

– Czy mam przyjemność z panem Cezarym Harasimowiczem?

– Tak.

Kobięcy głos bardzo uprzejmie się przedstawia. I pyta:

– Czy jest pan wnukiem majora Adama Królikiewicza?

– Tak.

– Tak, oczywiście. Chciałam się tylko upewnić. Czytałam wywiad z panem i pragnę panu przekazać pewne wiadomości o pańskim dziadku, które mogą pana zainteresować.

– O... Bardzo byłbym pani wdzięczny.

– Otóż to są wiadomości przekazane przez moją mamusię i tatę. Rodzice już nie żyją. Pański dziadek, major, ukrywał się u moich rodziców na wsi. W świętokrzyskiem.

Tu pada nazwa miejscowości, której niestety już nie pomnę.

– Tak, to by się mniej więcej zgadzało... – Waham się, bo wiem mniej więcej, jak i gdzie dziadek działał. – Adam Królikiewicz faktycznie walczył w akowskim obwodzie Włoszczowy.

– Ale wie pan... wspomnienia mamy, jak by to powiedzieć, nie były zbyt przyjemne.

Czuję ciarki na plecach.

– Major był bardzo zmalretowany przez gestapo. Uciekł z więzienia.

Te fakty nijak nie pasują do tego, co wiem. Nadal mam ciarki na plecach. Nieznajoma ciągnie:

– Moi rodzice zajęli się panem majorem. Ale był bardzo załamany i zaczął pić. Chodził do knajpy, rozповідаł o swoich sukcesach jeździeckich. Bardzo, bardzo dużo pił. Był do tego stopnia męczący, że rodzice nie chcieli już jego towarzystwa. I zniknął. Gdzieś sobie poszedł.

Zatyka mnie.

– Proszę pani. Coś mi się nie zgadza. Mój dziadek raczej unikał alkoholu. Nigdy nie widziałem go pijanego. W ogóle miał wstręt do wódki.

– To dziwne.

– Bardzo dziwne – odpowiadam. – I wie pani, reszta faktów też mi nie pasuje. Dziadek nie był torturowany. W którym roku to było?

– Chyba w czterdziestym pierwszym albo w czterdziestym drugim. Albo na przełomie tych lat.

– Dziadek w tamtym czasie działał w okolicach Słupi.

– Słupia to świętokrzyskie – odpowiada nieznajoma.

– Zgadza się. Ale ta sprawa wydaje mi się dosyć dziwna.

Kilkusekundowe milczenie z tamtej strony. Głos jest nieco skonfundowany, ale bardzo życzliwy:

– Wie pan, panie Cezary, zostały u nas zdjęcia tego mężczyzny. Zeskanuję je i prześlę panu mailem. Tak czy owak, to będzie jakaś pamiątka dla pana.

– Będę pani bardzo wdzięczny.

Przyszły okupacyjne fotografie. Oglądam je. I sprawa częściowo się wyjaśnia. Na sto procent to nie jest major Adam Królikiewicz. Mężczyzna ma zaciętą, pospolitą twarz, chore oczy i mocno wystające kości policzkowe. Krótki nos. Mój dziadek był bardzo przystojny, miał – jak wszyscy Królikiewiczze – orli nos, pamiątkę po ormiańskich przodkach. Kim był ten człowiek podszywający się pod majora? Konfidentem gestapo zwerbowanym po torturach? Mitomanem? Wątpliwy zbieg okoliczności, by w rejonie konspiracji dziadka pojawił się przypadkowo pijak fantasta. Czy był prowokatorem? Częścią operacji, która miała za zadanie rozbicie bardzo aktywnych struktur AK w rejonie świętokrzyskim? Tajemnica do dziś nierozwiązana, zatopiona prawdopodobnie na amen w przeszłości.

Parę historycznych detali. Obwód Włoszczowa wchodził razem z Obwodem Częstochowa i Obwodem Radomsko w skład Inspektoratu Częstochowskiego Okręgu Radom–Kielce. Początkowo była to jednostka terytorialna Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Akowski Obwód Włoszczowa nosił kryptonimy „Hetman”, „Wapno”, „Kaktus” i „Cyprian”. Komendantem Obwodu był kapitan „Jur”, a następnie kapitan Franciszek Pieniak. Do jednostki przynależał majątek państwa Byszewskich w Słupi. Tam miały przystań partyzanckie grupy. Tam gromadziła się okupacyjna młodzież. W którymś momencie major uległ namowom Krystyny i pozwolił się odwiedzić w konspiracyjnym gnieździe. Moja matka wspomina:

Na dłuższy czas wyjechałam do Słupi, spotkać się z ojcem. W lasach było pełno

partyzantów, roboty było co niemiara dla młodych dziewcząt. Pracowałyśmy jako łączniczki, jako sanitariuszki. W nocy przyjmowałyśmy chłopców, darło się prześcieradła na bandaże. Było mnóstwo uchodźców, wspaniali ludzie. Państwo Byszewscy, państwo Rudzińscy to była twierdza, oaza patriotyzmu, gdzie nawet dzieci chłopskie przychodziły się uczyć do dworu. We dworze odbywały się lekcje, bo było akurat dwoje uciekinierów, małżeństwo, obydwójce nauczyciele. Można powiedzieć, że akcja była prowadzona w sensie patriotycznym, w sensie edukacyjnym, w sensie naukowym, nawet w sensie muzycznym, bo była pani, która uczyła na fortepianie. Tak że organizacja była wspaniała pod każdym względem.

Ale działalność Krystyny związana była głównie z Biurem Informacji i Propagandy na trasie Warszawa–Kraków. No i tajne komplety aktorskie.

– Tato, będę musiała się przenieść na dłuższy czas do Warszawy.

Adam milczy przez dobre kilka sekund. Odpowiada sucho:

– Rozumiem.

Major rozumie, ale czuje w żołądku ucisk niepokoju. Nie chce pytać o szczegóły. Jedynie:

– U kogo będziesz mieszkać?

– U Zosi. Może u cioci Lilienstern. – Krysi wymyka się mimo woli: – Mam zajęcia w PIST-cie, a poza tym...

– Powiedziałem, że rozumiem – powtarza major z naciskiem.

Krystyna akceptuje bez mrugnięcia okiem ten surowy ton w głosie ojca.

– Tato, jestem ostrożna.

– Wiem. – Znów parosekundowa pauza. Ton nie jest już surowy, ale bardzo poważny: – Krysiu, musisz wiedzieć, że są oczy i uszy, których nie widać, a które wszędzie czyhają.

– Masz kogoś na myśli?

– Na przykład naszych sąsiadów z parteru. Tych obok doktora Sztoltzmana.

– Tak? – wtrąca dziewczyna z niepokojem w głosie.

Króciutkie wyjaśnienie: w częściowo wykończonej willi na Dębnikach zamieszkali lokatorzy. Między innymi przesympatyczny doktor Sztoltzman z rodziną, ale także ludzie, których nazwisko pominę. Awanturnicy, brudasy, hodujący króliki w wannie, kłótlivi, nie do opanowania przez Tomisławę, która raz po raz groziła lokatorom natychmiastową eksmisją. Majora nurtuje jeszcze jedna niewypowiedziana myśl, gdy patrzy w czarne oczy córki, które odziedziczyła po dziadku Liliensternie.

Boże, tak samo znaczne oczy ma moja Muszka...

Warszawa. Ulica Krucza. Mieszkanie literata Jerzego Kiersta. Tu odbywa się część zajęć aktorskich. A także wieczory recytatorskie. Tu Krystyna słucha Elżbiety Barszczewskiej, Mariana Wyrzykowskiego. Norwid, Słowacki, Mickiewicz, Czechowicz, Krzysztof Kamil Baczyński. Kolonia Staszica, mieszkanie Zofii Małynicz. Wykłady profesora Daczyńskiego. Ulica Czerwonego Krzyża. Lekcje u pani Myszkii Wiercińskiej.

Studia i konspiracja to nie wszystko. Trzeba się jakoś utrzymać. Krysią pracuje jako kelnerka w kawiarni Sztuka i Moda. Ulica Królewska 11. Wielka oranżeria, wnętrze ozdobione portretami aktorów i pejzażami pędzla znanych malarzy. Godzina przedpołudniowa. Nie ma jeszcze specjalnego ruchu. W kąciku kawiarni stolik zawsze

zarezerwowany dla profesorów uniwersytetu. Popijają kawę i cicho dyskutują. Skromni i biedni. Właścicielka kawiarni hrabina Zofia Raczyńska i jej wspólnik rezerwują dla tego nobliwego towarzystwa dyskretne miejsce.

– Czarna z mleczkiem, panie profesorze. I już podaję sacharynę.

– Już nie słodzę, panno Kysiu. – Profesor Vrtel-Wierczyński ścisza głos: – Jak się pannie studiuje aktorstwo, dziecko?

Krystyna rozgląda się i rzuca profesorowi konspiracyjny uśmiech. Niemy, ale pełen szczęścia. Wieczorem przy dwóch fortepianach będą w SiM-ie przygrywać do kawy z mleczkiem panowie Lutosławski i Panufnik.

Pałacyk na rogu Alej Ujazdowskich i Piusa XI. Kawiarnia U Aktorek. Krysia zagląda przez witrynę, by podziwiać sławne kelnerki: Karolinę Lubieńską, Mieczysławę Ćwiklińską, Justynę Kreczmarową, Zofię Lindorfównę, Elżbietę Barszczewską...

Nowy Świat. Kawiarnia prowadzona przez Szwedkę, żonę bogatego kupca i właściciela fabryki tapet przy Wolskiej 45, Franaszka. To punkt przerzutowy bibuły, podziemnych tomików poezji. Tu można poznać wiersze Baczyńskiego, Gajcego, Białoszewskiego, Mencla. Proszę mi wybaczyć banał: kultura podczas okupacji stała na równi z walką zbrojną. Bo bez kultury ponoć nie ma o czym gadać.

Ulica Bracka. Krystyna przemieszkuje na stacji u kuzynki. Dzwonek do drzwi.

– Urszula?

– Wpadłam z Głinojecka, Kysiu. Przywiozłam ci wałówkę.

Krystyna sztywnieje. Coż to za odwiedziny? Urszula jest zaledwie znajomą z Głinojecka. Żadną z koleżanką. Przywiozła wałówkę?

– Chyba nie będziesz mnie trzymała w progu. Poczęstujesz herbatą?

– Wejdz. – Krysia niechętnie wpuszcza intruza do mieszkania. Urszula rozgląda się czujnie. Wyjmuje z torby baleron.

– Świeżutki. Dawno takiego nie jadłaś.

Spod szarego papieru snuje się boski zapach wędzonki. Ale Krystyna nie daje się omamić kuszącej woni. Zerka z niepokojem na swoją torbę konduktorkę stojącą na szafce z butami. W torbie w ciasnej przegródce spoczywa kartonik z listą konspiracyjnych adresów w Krakowie i zaszyfrowany rozkaz.

– Mogę skorzystać z łazienki? – pyta Ula.

– Oczywiście. Tam, w głębi korytarza, po lewej stronie.

Znajoma znika za drzwiami toalety. Krysia się waha. Drżącą dłonią sięga do torebki dziewczyny. Wyczuwa palcami dokument. Szybki rzut oka na klamkę łazienki. Zerknięcie na legitymację znajomej. Serce mocno bije, krtań się zaciska: Urszula jest volksdeutschką. „Są oczy i uszy, których nie widać”, brzmi w głowie dziewczyny głos ojca. I już wkrótce Krystyna doświadczy tej mądrości. Jest jeszcze 1942 rok.

Dwudziestego stycznia 1942: hitlerowskie Niemcy postanawiają ostatecznie rozwiązać kwestię żydowską. 22 lipca 1942: rozpoczyna się likwidacja getta warszawskiego. 19 marca 1943: wybucha powstanie w getcie. Liczba ofiar getta warszawskiego: około czterysta tysięcy. Z tego około trzysta tysięcy ludzi ginie w obozie zagłady w Treblince, a kilkanaście tysięcy podczas *Aktion Erntefest*. Około dziewięćdziesiąt dwa tysiące to

ofiary głodu, chorób, egzekucji, dwóch akcji likwidacyjnych oraz odwetu podczas powstania. Getto warszawskie zostaje spalone i zrównane z ziemią. Z cegieł spalonego getta zostaje zbudowany dom, w którym mieszka moja matka, tam się wychowałem.

Sweter na wiosnę i czerwony sportowy samochód

„Hollywoodzkie loki” – tak się nazywała modna fryzura z tamtych lat. Można było biedować, nie dojadać, konspirować, przewozić bibułę, meldunki i broń, ale trzeba było ładnie wyglądać, szczególnie jak się miało dwadzieścia dwa lata. Czy wspominałem o urodzie mojej matki? Chyba tak. No ale żeby oszałamiać wyglądem, trzeba było mieć loki ufryzowane na modłę hollywoodzką. Gdzie mieścił się w Warszawie zakład fryzjerski w tamtym wiosennym dniu, nie pomnę, ale założmy, że był to fryzjer na ulicy Żłotej. Żłota pasuje, bo to niedaleko dworca kolejowego, skąd łączniczka „Kryśka” ma się udać do Krakowa z meldunkiem. Przekazanym ustnie, ale nowe kontakty Kryśka ma zapisane na kartoniku. A kartonik w torebce. A torebkę czujnie u stóp. A na głowie hełm suszarki.

– Czy to musi tak długo trwać? – pyta Krystyna pulchną fryzjerkę.

– Pani wybaczy. Ciągłe prądu nam żalują.

Faktycznie. Raz po suszarka przestaje szumieć. Krystyna zerka na zegarek. Znamy go już, to złota omega Muszki. Krysia dostała go dwa miesiące temu na imieniny. Czas płynie nieubłaganie. Za pół godziny odjeżdża pociąg. A w Krakowie Kryśka musi wykonać konspiracyjne zadania i zdążyć do domu przed godziną policyjną. Kolejny meldunek i spisane kontakty trzeba dostarczyć następnego ranka do punktu łącznikowego, do mieszkania żony oficera z 1. Pułku Szwoleżerów. Według rozkazu.

Co mi, do cholery, strzeliło do głowy, żeby robić sobie „hollywoodzkie loki”?! Trzeba było jechać wcześniejszym pociągiem...

Dziewczyna wstaje spod suszarki, płaci, rusza biegiem na Dworzec Główny z mokrymi, rozwianymi włosami. Niech wyschną na słońcu. Pies trącał loki i Hollywood.

Kraków. Trzeba się spieszyć. Do godziny policyjnej zostało czterdzieści minut. Droga na Praską z mieszkania kontaktowego, piechotą w sandałach na koturnie, to ponad pół godziny. Biegiem, biegiem. O biodro obija się torebka konduktorka, a w niej tajny kartonik. Most Dębnicki. W prawo Tyniecką. Krysia mija dom z owalnymi oknami, nie ma pojęcia, że tu pod numerem 10 mieszka w suterenie razem z ojcem Karol Wojtyła. Przecznicą na prawo. Wreszcie Praska 6. Krystyna otwiera ciężkie brązowe drzwi, wbiega po kamiennych schodach. Drzwi gabinetu doktora Sztoltzmana szeroko otwarte. Krystyna widzi tłum pacjentów.

Szczęściarz, myśli dziewczyna. Daj mu, Panie Boże. Ale po chwili w głowie przeskakuje iskra: skąd tyłu mężczyzn? Przecież to jest ginekolog... No i zaraz wybije godzina policyjna...

Wchodzi na pierwsze piętro, wyjmuje klucze z torebki. Nagle ciężka jak kamień dłoń szarpie ją za ramię. Dziewczyna się odwraca. Widzi cywila w kapelusiku i skórzanym płaszczu.

– A pan co tutaj robi? – pyta.

– Geheime Staatspolizei. Gestapo.

Kocioł! Ci ludzie u Sztoltzmanów to kocioł!

– Chwileczkę, muszę wejść do domu. – Krystyna nie traci zimnej krwi, choć czuje, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi.

– W domu nikogo nie ma – odpowiada „kapelusik”.

– Jak to nikogo nie ma?

– Rodzice są na dole.

Gestapowcy zamknęli mieszkanie, zrobili rewizję łącznie ze strychem, z piwnicą, rodziców umieścili na parterze u Sztoltzmanów. Niemiec mocnym uściskiem chwytą dziewczynę pod ramię i sprowadza w dół schodami. W otwartych drzwiach na sekundę pojawiają się szare twarze ojca i matki.

– Krysiu... Tu masz sweter... – mówi Tomisława zdławionym głosem.

– *Nein. Verboten.* – Usta Niemca są wąskie jak ostrze brzytwy.

Przed domem czeka czerwony sportowy samochód, którego wcześniej tam nie było.

– Mamo – pytam – gestapo w czerwonym sportowym samochodzie?

– Dokładnie tak. Wiem... To jakiś absurd...

Sprawdzam w zapiskach i wcześniejszych wspomnieniach, pomny dzisiejszej kruchej pamięci dziewięćdziesięcioparoletniej kobiety. We wszystkich notatkach pojawia się ów sweter i czerwony sportowy samochód, w którym siedzi dwóch gestapowców, trzeci kierowca. Tak. Przeszłość nie jest utkana z ekranowych stereotypów: okazuje się, że czarny Citroën traction avant to niejedyna gestapowska marka. No, ale kapelusik z piórkiem i skórzany płaszcz pasują do filmowej wizji.

Boże drogi... Kartka z kontaktami...

Krystyna siedzi pomiędzy dwoma gestapowcami. Wciśnięta w ich ramiona. Kaszle. Ostrożnie sięga po torebkę. Wyjmuje chusteczkę razem z ukrytą w niej listą kontaktów. Wyciera nos. I połyka kartonik.

Ulica Pomorska. Siedziba gestapo. W korytarzu Krystyna mija rodziców. Jak oni zdążyli się tu znaleźć przed nią? Siedzą na drewnianej ławce. Matka trzyma na kolanach sweter. Rodzice milczą. Gestapowcy zabierają dziewczynę na pierwsze piętro. Przesłuchanie prowadzi trzech Niemców. Pierwszy rozsiada się za dębowym biurkiem, drugi stoi obok jak kołek, pilnując dziewczyny, trzeci strzeże drzwi, żeby pojmana nie uciekła. Ten za biurkiem przesłuchuje z szybkością karabinu maszynowego.

Musisz... musisz... musisz być dzielna... Nie odpowiadaj na żadne pytanie. Udawaj, że nic nie rozumiesz...

– *Ich verstehe nicht Deutsch.*

– *Bringen Sie einen Dolmetscher* – rozkazuje ten zza dębowego biurka temu przy drzwiach.

Wchodzi tłumacz. Sytuacja się komplikuje. Już trudniej robić uniki. Tym bardziej że gestapo wie prawie wszystko. Z kim, gdzie, kiedy, po co, dlaczego, dokąd. Znają nazwisko ciotki, u której Krystyna podnajmuje stancję. W tym samym momencie w Warszawie na Brackiej trwa rewizja. Jednego gestapowcy nie wiedzą. Na szczęście. Nie mają pojęcia o konspiracyjnej placówce w Słupi i Bogu niech będą dzięki, nie mają informacji o działalności majora. A major i Muszka stoją ze swetrem przed szarym budynkiem na Pomorskiej.

Więzienie Montelupich było kiedyś koszarami wojskowymi. Czerwono-szary budynek od XVI wieku stanowił własność włoskiej rodziny bankierów Montelupich. W 1905 roku władze austriackie zrobiły sobie tutaj sąd wojskowy, a potem pierdel. Budynek wraz z jego niechlubną funkcją podczas okupacji przejęli hitlerowcy. Tu mieścił się areszt policyjny podlegający gestapo. Przez mury przy Montelupich przewinęło się ponad pięćdziesiąt tysięcy aresztantów. Na terenie więzienia dokonywano masowych egzekucji, część ofiar rozstrzeliwano na Podłężu i w forcie Krzesławice. Większość po ciężkich przesłuchaniach wywożono do obozów koncentracyjnych Auschwitz-Birkenau i w Płaszowie. Po wojnie tradycję po gestapo przejęło sowieckie NKWD i polskie UB. Tu wykonano ostatnią w Polsce karę śmierci w 1988 roku. Obecnie przy ulicy Montelupich 7 znajduje się areszt śledczy.

A zatem jesteśmy w czerwono-szarych murach z okratowanymi oknami. Zydel. Na nim Krystyna. Znów: kiedy?, z kim?, po co?, dlaczego?, gdzie?, dokąd? Dziewczyna milczy. Gestapowiec wrzeszczy. Im bardziej tamten krzyczy, tym bardziej Krystyna zacina się w sobie. W pewnej chwili Niemiec przestaje zadawać pytania. Patrzy uważnie na twarz więźniarki. I nie ma już wątpliwości.

– *Du bist ein Jüdin.* Ty żydowo, nie wiesz, co cię zaraz spotka. Zgnijesz w dole z gównem.

Nakłada na szeroką dłoń kastet z kolcami. Cios jest tak straszny, że dziewczynie wydaje się, iż krew nie tryska jej z głowy, ale wlewa się strumieniem w głąb czaszki i płynie z siłą wodospadu po całym mózgu. Zapada ciemność. Ale po chwili zatechły pokój przesłuchań rozświetla się jasnym blaskiem nagłego olśnienia. Krystyna wstaje z zakrwawionej podłogi. Siada na zydlu. Gestapowiec poprawia kastet na dłoni i zamierza się do kolejnego ciosu. Ale dziewczyna ani na milimetr nie uchyla się przed uzbrojoną pięścią. Przed oczami ciągle ma blask iluminacji. Trwa ułamek sekundy, ale jest zbawienny dla życia mojej matki i prawdopodobnie dla mojego. Gdyby mama nie wypowiedziała tych słów, być może nie byłoby mnie na świecie.

– Na kogo podnosisz rękę? Mój ojciec był przedstawiony Führerowi.

Ręka z kolczastym kastetem zamiera jak w stop-klatce. I mojej matce wraca przed oczy tamten zamrożony kadr: olimpiada, Berlin, 1936, trybuna rządowa, Polacy zdobyli srebrny medal, major Adam Królikiewicz, szef polskiej ekipy jeździeckiej, zostaje rutynowo przedstawiony Hitlerowi.

Bedarfsanmeldung, perski dywanik i warkocz

Moja matka nie znalazła się w kloacznym dole, nie wywieziono jej do obozu koncentracyjnego. Ale jeszcze o tym nie wie, nie wie, czy nie zostanie rozstrzelana. Trafia do celi, w której tłoczy się czterdzieści więźniarek. Inteligentki, robotnice, kilka Żydówek, dwie chłopki i trzy prostytutki. Krystyna nie jest załamana. Trzyma się. Jedyna troska, która wypełnia jej głowę, to strach o rodziców: czy przez nią nie zostaną aresztowani. Ojciec ponownie. Tym razem żaden hrabia Ronikier go nie wybroni. „Boże... to przeze mnie mogą rodziców...”. Jest ubrana w to, w czym ją zgarnięto z kotła na Dębnikach, w wiosenno-letnią granatową sukienkę w białe grochy. Jakimś cudem ma na sobie sweter, z którym goniła ją na gestapo przy Pomorskiej matka.

– Mamo, jak babcia w końcu dostarczyła ci ten sweter?

– Strażnik z budki się zlitował. To był Ślązak. Pocieszał mamę...

Nie ma żadnych wiadomości z za krat. Chcecie się z moją matką zatrzasnąć w ciasnej celi? Nie macie wyjścia. Takie są zasady tej opowieści. Dławi was smród odchodów i spoconych kobiecych ciał. Do miski z wodą stoi kolejka, demokratycznie pilnowana przez starszyzną celi. „Dowódczynią” karceru jest prostytutka o pięknych, długich blond włosach. Nazwijmy ją Halinka. Halinka ma mocny głos i jest najtwardszą ze wszystkich kobiet. Najśłabsza wydaje się Ida, handlarka z żydowskiego Kazimierza. Przez cały czas rozpacza. Ona wie, że już nie wyjdzie poza kraty. Jej lament jest momentami nie do zniesienia. Wtedy Halinka lekko uderza Idę dłonią w twarz, a potem tuli do jędrnych piersi i na pół godziny jest święty spokój. Raz po raz wyciągają jedną z kobiet na *Verhör*, skąd więźniarka wraca pobita do krwi i trzeba się zająć jej ranami. Cieknąca krew nie sprzyja higienie. Ale roztropna Halinka czuwa nad wszystkim, każąc nieczystości zmywać lizolem. Jego duszący smród zmieszany z odorem odchodów zatyka nozdrza i płuca. Ale po paru dniach i do tego można się, proszę państwa, przyzwyczać. Jedną z więźniarek jest pani Kościelniak, Ślązaczka.

Niemcy okropnie ją bili w trakcie przesłuchania. Pielęgnowałam ją, jak tylko mogłam. Ale jaka to rekonwalescencja, gdy bez siennika leży się na gołej ziemi. Była dużo starsza ode mnie. Uchyliła się od zdradzenia informacji na temat swojej rodziny.

Boże... Jak by tu się dowiedzieć, czy rodziców nie aresztowało gestapo? Wiem. Poproszę o *Bedarfsanmeldung*. Jeśli nie dostanę wypisanych na zapotrzebowaniu rzeczy, znaczy, że rodziców nie ma na wolności.

– *Keine Bedarfsanmeldung*, polska świnió – oznajmia strażniczka o twarzy podziobanej trądzikiem.

Pech. Krystyna trafiła na karny okres. Z jakiegoś powodu przez kilka tygodni nie dostarczano paczek. A więc kilka tygodni lęku i niepewności o los ojca i matki.

Wreszcie po kilkudziesięciu dniach można wypisywać na specjalnym druczku wyszczególnione przez hitlerowskie władze przedmioty. Nad przesyłką czuwa stowarzyszenie *Polnische Hilfskomitee Stadt Krakau Arbeitsgebiet für Sorge für Häftlinge und der Familie*. Po polsku Polski Komitet Opiekuńczy, dział opieki nad więźniami i ich rodzinami, czyli oddział znanej nam już Rady Głównej Opiekuńczej

w Krakowie, ulica Kanonicza 18. Krystyna na świstku zakreśla wyszczególnione w języku niemieckim najpotrzebniejsze rzeczy: *Hemd* – koszula dzienna i nocna, *Socken* – skarpetki, *Taschentuch* – chustka do nosa jedna sztuka, ręcznik, chustka do nosa dwie sztuki, *Kopfkissen* – jasek jedna sztuka, *Anzug* – garnitur, wykreśla, *Mantel* – płaszcz, też wykreśla, po co jej płaszcz, jest wiosna, ale dopisuje na własne ryzyko: proszek do prania, sweter jedna sztuka, pantofle ranne, reformy jedna para, cybalgina, krem do rąk. Na drugiej stronie – według przemyślanego planu, bo nie wie, co stało się z rodzicami – pisze zakamuflowaną korespondencję: *Ich bitte zu Sorgen um meine Familie*, czyli proszę o opiekę nad rodzicami. Ciekawe, jaka będzie reakcja. Pieczętka – *geprüft*, sprawdzone. Proszę sobie wyobrazić, że ten świstek do dziś moja mama trzyma w szafce z okupacyjnymi pamiątkami.

Rodziców nie aresztowano. Ale Adam ma nieodparte wrażenie, że jest śledzony. Czuje oddech na swoich plecach. Trzeba będzie znów ruszyć do Słupi, by się na jakiś czas zakamuflować.

Dzwonek do drzwi. W progu czyjś cień. Major podnosi wzrok.

– Pan?...

– Ćśśś...

– Niech pan wejdzie. Szybko. – Adam zerka w dół schodów i sprawdza, czy sąsiedzi, ci od królików w wannie, nie wystawili przypadkiem wścibskich nosów przez szparę w drzwiach. Bo gość jest niecodzienny. I wbrew nakazowi nie ma na ramieniu biało-niebieskiego stygmatu.

Kuchnia. Herbata z dodatkiem owocowych liści. Konfitury z brukwi. Przyciszony głos majora:

– Oczywiście, panie Gotlib. Oczywiście.

Pan Gotlib upija łyżeczkę naparu, napawając się jego wiśniowym aromatem. Konfitur z brukwi do końca rozmowy nie tknie. Mówi zmęczonym głosem, wpatrując się w herbaciany dymek.

– Zgłosi się do pana majora umyślny riksarz. On tu wszystko przywiezie. Będzie parę mebelków, dwa dywany, jeden taki mały perski, bardzo pamiątkowy po mojej matce i kilka porcelanowych drobiazgów. Aha, i cztery kryształ. Srebra już niestety nie mamy. Ja to odbiorę, jak to się wszystko skończy, panie majorze.

– Oczywiście, panie Gotlib – mówi z ciężkim westchnieniem Adam. Wie, że to wszystko raczej źle się skończy. Patrzy na żonę stojącą w progu. Muszka oparła się plecami o framugę. Tak jakoś dziwnie, krzywo, z twarzą lekko odwróconą w stronę dalszych pokoi, gdzie rozlewają się rdzawe smugi zachodzącego słońca. Tomisława w ten sposób ukrywa łzy w oczach.

– Państwo jesteście jedynymi ludźmi, którym możemy zaufać.

Major czuje, jak w plecy wbija mu się oparcie tonetowego krzesła. Bierze głęboki oddech w płuca, chrząka i cedzi wolno słowa:

– Panie Gotlib. Może jest dla państwa inne wyjście. Powtarzam: in-ne.

Pan Gotlib przeciera twarz suchą dłonią. I również cedzi przez sztywne wargi:

– Nie, majorze, pani majorowo. Macie już i tak za dużo kłopotów. Wiem, że panna Krystyna na Montelupich. Pan był aresztowany... – Ciężka pauza. – Ja wiem, co wam

grozi, że pani majorowa... – Nie kończy zdania, patrząc na Muszkę. – Gotlibowie nie będą dokładać wam swojego nieszczęścia. Depozyt mebelków i reszty wystarczy.

– Panie Gotlib...

– Nie – stanowczo przerywa majorowi pan Gotlib. – My tam w getcie z małżonką damy sobie radę. Jest taki Niemiec, Oskar Schindler się nazywa. On nas przyjmie do swojej fabryki. Nigdzie nas nie deportują, jak będziemy jego pracownikami, panie majorze. Powiadam: przyjedzie umyślny riksarz z rzeczami. Ja to odbiorę po wojnie.

Adam patrzy w przygasłe oczy pana Gotliba. Potem czuje na sobie szklany wzrok Muszki.

Parę dni później na Praskiej pojawi się umyślny riksarz. Parę lat później pojawi się na Praskiej kuzynka państwa Gotlibów, mama pamięta jej imię, Arletta. Pani Arletta odbierze w imieniu kuzynów depozyt. Moja babcia poprosi o jakąś pamiątkę po nieżyjących już właścicielach sklepu z galanterią Vigio, mieszczącego się na linii C-D przy Rynku Głównym w Krakowie. Pani Arletta zostawi mojej rodzinie dwie porcelanowe figurki i perski dywanik. Mam go do dziś. Porcelanowe tancerczki stoją na półce w domu mojej byłej żony.

Kryśka, weźże, upleć mi warkocza – rozkazuje Halinka, zaciągając po krakowsku.

– Ależ masz piękne włosy, Halinko.

– Gównno cię moje włosy obchodzą.

Dobrze, dobrze, odpowiada w myślach Krystyna, przeczesując kościanym grzebieniem jasne kosmyki. Wolno, uważnie splata je w ciasny warkocz.

– Nie został żaden farfocel na zewnątrz?

– Nie.

– Idźże, bajoku. Nie wierzę. – Halinka chętnie przejrzałaby się w lusterku, ale lusterka w celi są *verboten*. Więc Halinka dłonią głaszcze ciasną fryzurę. – Haj, tu mi jeszcze jakieś coś z bani wystaje. Poprawże, Kryśka.

Krystyna grzecznie poprawia.

– A coś ty się, Halinka, tak ładnie na noc ubrała?

Fakt, Halinka pół dnia prała w misce białą nocną koszulę i drugie pół dnia suszyła ją przy obsranym przez gołębie okratowanym lufciku.

– A gównno cię to, Kryśka, obchodzi.

Idą spać. Halinka na sienniku, Krystyna na kocu rzuconym na beton. Noc. A potem ranek. Przez brudne kraty zagłada lipcowe słońce. I oświetla martwą twarz Halinki.

– *Wächter!* Szybko! Halinka nie żyje!

Halinka wypła w nocy całą butelkę lizolu.

Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, tak się nazywał na terenie Generalnego Gubernatorstwa zakład ubezpieczeniowy. Major Adam Królikiewicz miał konspiracyjną bardzo sprytną przykrywkę. Pod fałszywym nazwiskiem sprawował funkcję referenta ubezpieczeniowego, zajmował się polisami zwierząt i wiejskiego inwentarza. W ten sposób miał naturalny kontakt z majątkami ziemskimi, gdzie działało AK. Co jakiś czas musiał składać raporty w siedzibie PZUW. Zakład ubezpieczeń był oczywiście kontrolowany przez władze niemieckie, toteż pałętali się tam hitlerowcy. Przenosimy się zatem na korytarz Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych w Krakowie. Major ma jak zwykle wyprostowaną sylwetkę, mimo że na plecach i w duszy dźwiga nieszczęście związane z aresztowaniem córki. Idzie więc długim korytarzem urzędu zatopiony w myślach, nie zważa na mijających go ludzi. Nagle słyszy za swoimi plecami:

– *Herr Major.*

Pierś majora ścisła paraliżujący dreszcz – został zdemaskowany. Szybko ocenia możliwości ewentualnej ucieczki. Nie ma szans. Drugie piętro, schody znajdują się tam, skąd padło *Herr Major*. Adam ostrożnie spogląda w stronę głosu i dreszcz z klatki piersiowej wędruje do krtani. Za jego plecami stoi esesman. To koniec. Jest zdekonspirowany. Jak mógł tak ryzykować, gdy córka na Montelupich? Ale co to? Wysokiej rangi oficer w czarnym mundurze szczyrzy zęby w uśmiechu. Rozkłada ramiona. Esesman podchodzi bliżej. Major czuje, jak krtani zamienia mu się w suchą bibułę. Jeszcze jeden rzut oka w kierunku schodów. Obersturmbannführer jest uzbrojony. Królikiewicz ma tylko teczkę z papierami. Żaden oręż. Wtem Niemiec mówi:

– Właśnie spełniło się moje marzenie, *Herr Major*.

– *Entschuldigen Sie bitte?*

Esesman robi kolejny krok, jeszcze bardziej zmniejszając dystans. Adam już czuje zapach wody kolońskiej bijący z nienagannie wygolonych policzków.

– Podziwiałem pana – kontynuuje Niemiec, jego głos brzmi jasnym tonem. Major musi być ostrożny. Odpowiedź ma być neutralna.

– Tak?

– Tak. Kibicowałem panu. *Nizza, Rom, Brüssel, New York*. Wszędzie, wszędzie tam, gdzie pan startował. *Natürlich*, naszym jeźdźcom też kibicowałem, ale... – Niemiec konfidencjonalnie ścisza głos – ...ale panu zawsze byłem wierny.

– Tak?

– *Ja, ja*. Wie pan, też jestem zawodnikiem, ale takim sobie, *festlich*, niedzielnym jeźdźcem. Pan pozwoli, że się przedstawię. Obersturmbannführer von Felend. – Esesman zdejmuję rękawiczkę.

Podać dłoń, nie podać? Nie można nie podać. Będą jeszcze większe kłopoty.

– Co u pana słyhać, majorze?

Major, gdyby mógł, zmiażdżyłby dłoń esesmana. Ale przecież nie może.

– Zaaresztowaliście moją córkę.

Oczy Tomisławy ogromnieją z przerażenia.

- Gdzie?!
- W jego biurze na Oleandrach.
- Nie pójdziesz tam.

Adam kładzie dłonie na ramionach żony, czuje, jak Muszka drży.

- Muszko. Może to jest szansa dla Krysi. Obiecał, że zajmie się tą sprawą.
- To jest zasadzka. Nie pójdziesz. Rok temu ledwo cię Ronikier wyciągnął z Montelupich. Nie pójdziesz.

Poszedł. Muszka po jego wyjściu wypłała pół butelki waleriany.

Oleanderstrasse 4. Gabinet von Felenda. Stoją twarzą w twarz. Obersturmbannführer von Felend:

- Dzwoniłem gdzie trzeba.

Major Królikiewicz:

- Tak?

Obersturmbannführer von Felend, wzdychając:

- Sprawa jest poważna.

Major Królikiewicz:

- Tak?

Obersturmbannführer von Felend:

- Sprawa pańskiej córki podlega oddziałowi czwartemu D.
- To znaczy?
- To znaczy, że pańska córka jest *politische verdächtigt*. Politycznie podejrzana. Poza tym – wzdycha – pan też nie ma czystej karty.

Major Królikiewicz milczy. Obersturmbannführer von Felend kontynuuje:

- Ale może coś da się zrobić.

Adam czuje dziwny strumień ciepła rozlewający się w mózgu. To oznacza tylko jedno: nadzieję. Obersturmbannführer von Felend podchodzi do rzeźbionej szafki. Otwiera jej lekko skrzypiące drzwiczki.

- Lampka koniaku, majorze?

Odmówić? Nie odmówić?

- Poproszę.

Bursztynowy płyn wypełnia dwie koniakówki ze złotą obwódką. Bursztyn i złoto mają w tej chwili w oczach Adama kolor nadziei. Niemiec przysiada na biurku, by być bliżej majora. Podnosi szkło.

- Za pomyślne uwolnienie pańskiej córki, *Herr Major*. – Po chwili dodaje: – I za puszczenie w niepamięć pańskich grzechów.

Adam upija łyżeczek koniaku. Czuje, że wargi mu drętwieją. Obersturmbannführer von Felend odzywa się ciepło:

- *Herr Major*, mam dla pana interesującą propozycję. Organizujemy tatersal, naukę jazdy konnej na manezu. – Trzy sekundy ciężkiej ciszy. – Proponuję panu objęcie posady trenera niemieckich jeźdźców.

Adamowi wydaje się, że przyjacielskie błękitne oczy Niemca zaraz przepalą go na wylot. Czuje paraliżującą sztywność w palcach. Za chwilę jego dłoń zmiażdży kieliszek.

Przed oczami pojawia mu się na ułamek sekundy twarz córki. Stoję w kącie esesmańskiego gabinetu i próbuję odczytać kłębiące się pod czaszką myśli mojego dziadka.

Odmówić? Nie odmówić?

Major niespiesznym gestem odstawia prawie nietknięty kieliszek koniaku na blat biurka. Mówi matowym głosem, wiedząc, że jego słowa mają ciężar ołowiu.

– Panie Obersturmbannführer. Odwróćmy sytuację. Polska armia okupuje Niemcy. Pan jest niemieckim oficerem, ja jestem polskim oficerem. Ja składam panu taką propozycję. Jak pan by się zachował? – Pauza. – Oświadczam, że ciągle, chociaż pan mnie tu widzi po cywilnemu, noszę mundur oficera polskiego. – Znów kilkusekundowe milczenie. Czuję w powietrzu nieznośnie kwaśny zapach potu. Major kończy kwestię słowami, które mogą mieć straszny skutek: – Nie przyjmę pana propozycji.

Von Felend nie odzywa się przez dobrą chwilę.

A potem mówi zimno:

– *Ich verstehe*. Rozumiem.

Otwiera się krata, otwierają się drzwi celi. W progu staje dziobata strażniczka.

– *Kristine Krolikewitz, packen!*

– Jezu... Ty szczęściaro, jedziesz do Oświęcimia – szepcze pani Kościelniak.

Wyobrażacie sobie? One wówczas myślały, że obóz koncentracyjny to wybawienie z Montelupich. Krystyna zabiera miskę i sztućce, by zdać je regulaminowo w magazynie. Ale dziobata strażniczka wrzeszczy:

– *Alle Sachen packen!*

Krystyna nie ma żadnych rzeczy do spakowania.

– Miskę i łyżkę na parapecie zostawić! *Raus!*

Aha, znaczy, że wychodzę gdzieś poza mury i kraty. Co się dzieje?

Dziobata prowadzi więźniarkę do kancelarii. Oddają jej bransoletkę, omegę, papierośnicę. Dalej odprowadza Krystynę już ktoś inny. Przechodzą przez podwórze. Kobiety wspinają się do małych okienek. Krysia widzi ich dłonie uczone krat, słyszy zbiorowy okrzyk ni to pożegnania, ni radości, „huuuuu!”. Przed więzieniem stoi czerwony sportowy samochód, ten sam, którym gestapo zabrało ją z domu. O co tu chodzi? Wiozą ją na Pomorską, do tego samego pokoju, gdzie odbywało się przesłuchanie. Za biurkiem siedzi esesman. Naprzeciw niego – Adam. Myśl: „Teraz pewno będzie konfrontacja z ojcem”.

Żadnej konfrontacji nie będzie. Zwolnienie.

Tato?! O czym ty mówisz?!

– Tak trzeba zrobić. Zachował się z klasą.

– Mam dziękować esesmanowi?

– Tak – odpowiada krótko major.

– Tak – potwierdza Tomisława.

Oleanderstrasse 4. Gabinet Obersturmbannführera von Felenda. Krystyna stara się nie patrzeć w oczy Niemcowi. Nie dziękuje. Nie, nigdy w życiu mu nie podziękuje. Wysupłuje słowa ze ściśniętego gardła:

– *Ich bin froh*, jestem szczęśliwa.

Kładzie na blacie biurka olbrzymi bukiet białych róż, oby jak najdalej od bladych dłoni Niemca.

– Proszę to zabrać. Proszę przekazać matce. Na pewno bardzo się denerwowała – odpowiada von Felend, człowiek z klasą.

Krystyna ma palce pokaleczone do krwi kolcami. Za mocno ścisnęła róże.

SS-Obersturmbannführer von Felend, człowiek z klasą, za niedługi czas będzie likwidował krakowskie getto. Po wojnie esesman von Felend zostanie skazany. Był zbrodniarzem.

Trzy białe kombinezony

Jest marzec 1943. Trwa likwidacja krakowskiego getta. Z części „A” wszyscy Żydzi zostają wysłani do KL Płaszów. Akcją kieruje osobiście komendant obozu koncentracyjnego Płaszów SS-Untersturmführer Amon Göth. Następnie SS zlikwiduje „Getto B”. Oporni są zabijani w mieszkaniach, na podwórkach i na ulicach. Ostatni pozostali Żydzi będą wywiezieni ciężarówkami do Auschwitz-Birkenau. Pozostawione w domach mienie rekwirują zgonieni do getta żydowscy więźniowie. Akcja trwa do grudnia. Wśród aresztowanych jest Symche Spira, usłużny szef Żydowskiej Służby Porządkowej, Jüdischer Ordnungsdienst, półanalfabeta, szklarz z zawodu, a z zamiłowania erotoman i donosiciel. Klęczy i błaga o litość. Nic z tego. Zostaje wepchnięty na pakę ciężarówki. A jednak. Po interwencji gestapo Spira zostaje zwolniony z Płaszowa. Szczęściarz? Bynajmniej. Symche Spira wraca ponownie do obozu. Amon Göth wydaje osobisty rozkaz, by zlikwidować wszystkich członków policji żydowskiej oraz ich rodziny. I to jest ostatni akt tragedii krakowskiego getta.

Panie Gotlib! Gdzie pan jest? Nie ma pana na liście Oskara Schindlera? Dobry, szlachetny panie Gotlib, gdzie mam pana szukać? Zostały jeszcze porcelanowe baletniczki i perski dywanik...

Pan Gotlib z pewnością wychodzi ze ściany mieszkania mojej matki. Ściana jest zbudowana z cegieł warszawskiego getta. Czy moja matka rozmawia z panem Gotlibem? Nie wiem, boję się pytać. Ale myślę, że pan Gotlib milczy.

Po wyjściu z aresztu na Montelupich moja matka nie zaprzestała konspiracji. Po krótkim czasie przeniosła się na stałe do Warszawy i nawiązała kontakt z batalionem „Odwet”. Ale to będzie jesienią 1943 roku. Na razie mamy straszłą wiosnę i jesteśmy w Krakowie. Krystyna jeszcze uwięziona przez gestapo. Jest dokładnie 15 kwietnia.

Adam stoi w progu mieszkania na Praskiej 6. Błady. Oczy nieobecne. Muszka patrzy na męża z przerażeniem. Od chwili aresztowania Krysi nie widziała takiej twarzy męża.

– Adam? Co się stało?

Major nie odpowiada.

– Adaś... – Tomisława dostrzega w dłoni męża lekko pomiętą płachtę „Gońca Krakowskiego”. – Kupiłeś gadzinówkę?

Major przestępuje przez próg. Zamyka za sobą drzwi. Nie zdejmuje płaszcza. Idzie do salonu, siada przy stole. Kładzie gazetę na blacie. Walczę ze sobą, by nie zajrzeć dziadkowi przez ramię na pierwszą stronę krzyczącą tłustymi czarnymi i czerwonymi literami. Ale nie mogę się oprzeć.

NA ŚLADACH BOLSZEWICKIEJ ZBRODNI. ODKRYTO MASOWE GROBY POLSKICH OFICERÓW. Smoleńsk świadkiem strasznej tragedji. Polska komisja na miejscu zbrodni.

Smoleńsk, 14 kwietnia. Na podstawie doniesień i informacji mieszkańców wsi Gniazdów (Katyń), leżącej w odległości około 15 km na północny wschód od Smoleńska, niemieckie władze wojskowe dokonały w tych dniach poszukiwań na terenie zalesionego wzgórza zwanego Kozią Górą pod Gniazdowem (Katyń) i przy tej okazji natrafiły na wielkie

cmentarzysko pomordowanych oficerów polskich.

W mieszkaniu na pierwszym piętrze willi przy ulicy Praskiej ciszę można kroić nożem. Tomisława podchodzi do męża, obejmuje szczupłymi dłońmi jego głowę, gładzi po szpakowatych skroniach. Nic nie mówią. Widzę, jak babcia Muszka staje przy oknie i patrzy na świeże listki jabłoni w ogrodzie. Wirują jej przed oczami zielonymi plamkami jak w dziecięcym kalejdoskopie. A potem przykrywa je mgła.

Przez kilka następnych miesięcy „Goniec Krakowski” będzie drukował listę katyńską. Major znajdzie na niej nazwiska przyjaciół jeźdźców i znajomych wojskowych. Major Edmund Chojecki, ciało oznaczone numerem 480, jeździec... Rotmistrz Zdzisław Szczęsny Kawecki, jeździec... Porucznik Tadeusz Ordyłowski, kawalerzysta... Porucznik Aleksander Okuszko, kawalerzysta... Generał Konstanty Plisowski, kawalerzysta... Major Piotr Popławski, kawalerzysta... Porucznik Stanisław Piniński, kawalerzysta... Podporucznik Franciszek Przytarski, kawalerzysta... Porucznik Tadeusz Paczoski, kawalerzysta... Major Eryk Pfan, kawalerzysta... Porucznik Stanisław Pisarski, kawalerzysta... Adam Przydatek, kawalerzysta... Porucznik Jan Baptysta Pawłowski, kawalerzysta... To tylko wycinek listy ofiar. Wielu z nich to wychowankowie majora, szkoleni w grudziądzkiej podchorążówce. A gdzie reszta zaginionych oficerów, gdzie są ci, którzy nie znaleźli się na katyńskiej liście? Co się z nimi stało? Generał Anders nie dostał odpowiedzi od Stalina.

Major Adam Królikiewicz zrobił się milczący, ponury. Nie uśmiecha się już, gdy potajemnie odwiedza Kraków, a zawsze był radosny, widząc żonę i uwolnioną córkę, która teraz tak jak on tylko od czasu do czasu odwiedza Praską 6. Adam nie wypytuje Krystyny o jej warszawskie konspiracyjne sprawy. Co noc Tomisława kładzie się obok milczącego męża, a gdy próbuje zgasić lampkę nocną, on prosi:

– Zostaw, Muszko.

Zasypiają przy zapalonym świetle. Adam, zanim pozwoli opaść ciężkim powiekom, wpatruje się w biały sufit.

Mijają dni. Biel sufitu rywalizuje z bielą śniegu za oknem. Na ulicy Starowiślnej w mieszkaniu cioci Gieni słychać terkot maszyny do szycia. Szyje z białego płótna trzy kombinezony maskujące. Dla Adama, Kazimierza i Tadeusza. Bracia będą uciekać zimą przez zieloną granicę na Zachód, do armii Władysława Andersa. Już II Korpus został przetransportowany do Włoch. Jest w składzie brytyjskiej 8. Armii. Już data ucieczki braci Królikiewiczów wyznaczona. I nagle major spogląda w nieruchome oczy żony. Przypomina sobie wiszący gdzieś na ulicznym murze skrawek okupacyjnego rozporządzenia:

Zydem w myśl tego rozporządzenia jest: 1) ten, który jest lub był wyznania mojżeszowego. 2) każdy, którego ojciec lub matka byli wyznania mojżeszowego.

– Tadeusz. Kaziu. – Trzy sekundy milczenia. – Nie mogę z wami uciekać.

– O, ta ty Adaś strachoput jesteś? – zaciąga Tadeusz po lwowsku, rzucając bratu swój charakterystyczny kpiący uśmiech.

Ale Adamowi nie do baciarskich żartów.

– Tak, boję się.

– Czego? – pyta Kazimierz.

Słyszę tykanie nocnego zegarka, pamiętam ten dźwięk z Praskiej; lubiłem patrzeć na dziwny czasomierz fosforyzujący w ciemności. Adam patrzy na drzwi gabinetu. Są szczelnie zamknięte. Żona nic nie usłyszy.

– Nie mogę zostawić Muszki. – Tykanie budzika świdruje mi w uszach. – Tadeusz, Kaziu. Chyba nie muszę wam tłumaczyć dlaczego.

Nie musi tłumaczyć. Bracia świetnie to rozumieją. Ryzykowna akcja zostaje odwołana. Jest bardzo prawdopodobne, że skończyłaby się fiaskiem. Być może wszyscy by zginęli gdzieś na granicy Guberni albo Rzeszy. To straszny rok, ten 1943. Następny będzie jeszcze gorszy.

„Goniec Krakowski” tego dnia krzyczy:

Polacy! Mieszkańcy Krakowa! Bolszewizm grozi Wam! Wzywa się Was do służby dla dobra Waszej Ojczyzny i Waszego Miasta! Przed bramami Krakowa winniście wznosić okopy i szańce, oraz budować fortyfikacje. Niechaj każdy ruch łopatą przyczyni się do zabezpieczenia Waszej własnej przyszłości! Będziecie pracować nie gdzieś hen daleko od Waszych domów, ale tutaj, tuż pod miastem, skąd widać sto jego wież, tu w Waszej świętej Ojczyźnie, która Was wzywa do ofiar i pracy. Zgłaszajcie się do służby w Urzędzie Pracy w Krakowie, Lubelska 25, pokój 56. – Informacje o warunkach pracy do przejrzania w Urzędzie Pracy³⁰.

Co za patos. I ten szacunek dla krakowian i ojczyzny wyrażający się w pisowni wielką literą. A w gaciach sraczka na myśl o nadciągającej Armii Czerwonej. Pamiętacie szwabskie reweranse do Stalina wypisywane wcześniej w „Gońcu”? Apel raczej pozostał bez odzewu, jak groch rzucony o ścianę.

Jak na wieść o zbliżających się wojskach sowieckich zareagowała w tym samym dniu część mieszkańców miasta położonego o trzysta kilometrów od Krakowa?

Polacy! Od dawna oczekiwana godzina wybiła. Oddziały Armii Krajowej walczą z najeźdźcą niemieckim we wszystkich punktach Okręgu Stołecznego.

Wzywam ludność Okręgu Stołecznego do zachowania spokoju i zimnej krwi we współdziałaniu z walczącymi oddziałami i równocześnie zarządzam:

1) Poległych zarówno Polaków jak i Niemców, po rozpoznaniu, grzebać prowizorycznie – dokumenty zaś przechować i na żądanie zgłosić.

2) Wszelkie samosądy są zakazane.

3) Wrogowie Narodu Polskiego Niemcy i Volksdeutsche, będą ukarani z całą surowością prawa przez właściwe sądy. Tymczasem należy ich unieszkodliwić, zatrzymując w zamknięciu do dyspozycji ujawniających się władz bezpieczeństwa.

4) Mienie władz i obywateli niemieckich należy zabezpieczyć protokolarnie w każdym domu.

Za należyte wykonanie powyższego, jak również za ład i porządek w poszczególnych domach są odpowiedzialne lokalne organy OPL i Straży Porządkowej.

W imieniu

**OKR. DELEGATA RZĄDU NA M. STOŁECZNE WARSZAWĘ KOMISARZ CYWILNY
KOMENDANT OKR. STOŁECZNEGO ARMII KRAJOWEJ**

Jest 1 sierpnia 1944. Krystyna ma już rozkaz zgrupowania „Odwet II”. Musi się udać na Ochotę, na Kolonię Staszica. Batalion szturmowy ma około trzystu granatów, trzy pistolety maszynowe, trzy karabiny i trzydzieści pistoletów oraz jeden erkaem. Zadaniem zgrupowania ma być natarcie na koszary SS przy Rakowieckiej, na koszary wojsk przeciwlotniczych, gmach Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i baterię obrony przeciwlotniczej. Przeciw trzystu granatom, trzem pistoletom maszynowym, trzem karabinom i trzydziestu pistoletom – cztery ciężkie działa, dwa działka

szybkostrzelne, dwa po zęby uzbrojone niemieckie bataliony, batalion grenadierów pancernych SS, żołnierze 5. Dywizji Pancerniej SS „Wiking” wyposażonej w cztery czołgi. „Odwet” ma trzy pistolety maszynowe, trzy karabiny, jeden erkaem...

Krystyna idzie na zgrupowanie mostem Kierbedzia. Wynajmuje u rodziny stację na Pradze. Patrzy na młodych chłopaków w oficerkach, w kurtkach, którzy żołnierskim krokiem maszerują przez most, wskakują do tramwaju i mają gdzieś wiszący na wagonie napis *nur für Deutsche*. Niemcy stroją dziwne miny. Dziewczynę rozpieszcza radość. Dzień jest pochmurny. Krystyna patrzy w stronę słońca zanurzonego w szarości i ma wrażenie, że ta ukryta złota gwiazda za chwilę wybuchnie, że wreszcie zaleje swoim blaskiem czarną noc. Tak myśleli ci wszyscy chłopcy i dziewczęta w tym dniu.

– Mamo, nie zdawaliście sobie sprawy, że z trzema karabinami nie da się walczyć czterema czołgami?

– Tego nie dało się powstrzymać. Dziś to trudno zrozumieć... Nigdy nie potępię powstania... – odpowiada mama, zamykając ciężkie powieki. – To miało trwać tylko kilka dni...

Ochota. Plac Narutowicza. „To miało trwać tylko kilka dni”.

Zdążyć w takim razie odebrać futerko z pralni na Radomskiej.

Zdążyła je odebrać przed godziną „W”. Mieszkanie kontaktowe u koleżanki na Filtrowej. Krysia ma dwie funkcje: łączniczki i sanitariuszki. Otrzymuje potwierdzenie, że za chwilę wybuchnie powstanie. Musi natychmiast przekazać dalej meldunek. Wybiega z mieszkania. Sunie przez olbrzymie podwórze kompleksu budynków zakładu ubezpieczeń w kierunku Kolonii Staszica. Już słychać strzały. Już za nic nie można się przedrzeć do punktu łączności. Krystyna dopada do klatki schodowej, na której mieszka druga koleżanka z oddziału, sanitariuszka. Ona ma telefon. Może w ten sposób uda się przekazać meldunek. Na parterze stoi chłopak, blondyn, oparty o rower. Schronił się na klatce schodowej, bo na podwórzu już strzelanina. Chłopiec powolnym ruchem przeczesuje jasną grzywkę. Srebrny grzebyk blikuje w świetle popołudniowego słońca, Krystyna wbiega na górę po schodach.

– Jest Danką?

– Nie ma... – odpowiada przerażony ojciec dziewczyny.

Za oknem – strzały. Krystyna dopada do aparatu. Głucho. Telefony na Ochocie już nie działają. Powietrze zaczyna dudnić. Krystyna zbiega po schodach. W progu klatki schodowej leży martwy chłopiec. Z ust wypływa mu struga krwi. Krystyna do dziś ma ten obraz pod powiekami: w blond włosach sterczy srebrny grzebyk. Pierwsza ofiara powstania. Huk. Bombardowanie. W akademiku na placu Narutowicza stacjonuje SS. Potworna strzelanina. A przecież Krysia musi nawiązać kontakt z oddziałem! Ale przez Filtry już nie można się przedrzeć. Zostaje odcięta. Na swoje nieszczęście wraca w stronę placu Narutowicza. A może na szczęście? Może zginęłaby na ulicy Sędziowskiej, gdzie walczy jej oddział. Niemiecki ogień dziesiątkuje kompanię „Odwetu”. Krystyna decyduje się na indywidualną akcję jako sanitariuszka w miejscu, gdzie została odcięta.

– Do schronu! – Krzyk głuszy dudnienie eksplozji.

Krystyna pokonuje lęk, schodzi do piwnicy, choć boi się, że zostanie gdzieś na samym dnie gruzów. Ale trzeba, bo tam ranni, którzy potrzebują pomocy, a poza tym

można odetchnąć, jest łyk herbaty, kęs mielonki z konserwy. Czwartego dnia nie schodzi do schronu. Trzecie piętro. Huk. Pęka ściana. Ceglany pył zatyka usta, krtań, płuca. Czern. Krystyna odzyskuje przytomność. Może znów opatrywać rannych. Przeskakiwać z podwórka na podwórko, utrzymując łączność z tragicznie rozproszonymi powstańcami.

Ochota broni się bardzo krótko. Już 4 sierpnia wkraczają do dzielnicy oddziały Brygady Szturmowej SS RONA, spadkobiercy 29. Dywizji Grenadierów SS, kolaboracyjnego związku taktycznego Waffen-SS, okrutni żołdacy Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej. Zaczyna się rzeź. 5 i 6 sierpnia oddziały RONA pacyfikują szpital przy Wawelskiej 15, rozstrzelują prawie stu pacjentów i osiemdziesięcioosobowy personel lekarski. Gwałcą pielęgniarki, niszczą ogniem szpital. 5 sierpnia ronowcy dokonują krwawej pacyfikacji Kolonii Staszica. Palą budynki, gwałcą kobiety. Langiewicza 11/13, szpital połowy. Ranni zostają rozerwani granatami, sanitariuszki zgwałcone. Jesionowa 3. Ronowcy wyprowadzają z willi aktora Mariusza Maszyńskiego wraz z żoną i dwiema siostrami. Podrzucają im gardła. Kolejna masakra na Kolonii Staszica, 7 sierpnia, kamienica przy alei Niepodległości 217/223. Żołdacy RONA mordują tam pięćdziesiąt osób. Przeważnie kobiety, dzieci i starców. Na Ochocie zginęło na początku powstania ponad dziesięć tysięcy osób. Katem Ochoty był dowódca SS RONA pół Rosjanin, pół Polak, Waffen-Brigadeführer Bronisław Kamiński.

Moja matka znalazła się w piekle.

Chcecie iść i patrzeć?

– Uciekajcie! Własowcy się zbliżają! Mordują wszystkich! Gwałcą kobiety! – Do schronu wbiega zakonnica z pobliskiego kościoła Świętego Jakuba.

Wyjaśnienie: w pojęciu mieszkańców i powstańców żołdakami dokonującymi rzezi i gwałtów na Ochocie byli ukraińscy własowcy. W rzeczywistości byli to bandyci spod znaku SS RONA. Ta omyłka ciągnie się do dziś, do dziś za masakrę w dzielnicy oskarża się generała Własowa. Własow był równie wielkim zbrodniarzem, ale to Bronisław Kamiński, syn Polaka i Rosjanki, był dowódcą rosyjskiego oddziału SS pacyfikującego dzielnicę. Stereotyp „Ukraińców” dokonujących zbrodni na Ochocie nie został skorygowany w PRL-u, z oczywistych względów. Rosjanie nie mogli być esesmańskimi oprawcami.

Ucieczka z piwnicy. Na plac Narutowicza. Smród gnijących ciał. Odór i dym wdziera się w trzewia. Krystyna powstrzymuje wymioty. Zza czarnej zasłony wyzieraają postaci w esesmańskich mundurach. Dokąd? W lewo w Uniwersytecką? W prawo w Barską? Nie ma dokąd. Chciałoby się opisać krzyki, zgrzyt gąsienic czołgów, trzask pożaru dobiegający z pobliskiego szpitala, jęki i zawrodojenie. Ale do tego obrazu najlepiej pasuje cisza. Dźwięk jest tu tanim dodatkiem. Pozostają smród i przerażenie.

Dziewczyna idzie. Sama. Na rękę ma idiotyczne futerko, które odebrała z pralni, i torbę na zakupy, taką okupacyjną *Einkaufstasche*. W torbie jeszcze jeden idiotyczny przedmiot. Flakon perfum *soir de Paris*. Ciężko zdobyty, może dlatego się z nim nie rozstała. Bo przecież powstanie miało trwać kilka dni. Jest już naprzeciw kościoła Świętego Jakuba. Upał, wzdęte trupy leżą na jezdni, na chodnikach, wylewa się z nich czarna maź.

– *Halt!*

Skąd ten rozkaz? Zza pleców? Tak. Chryste... Zielony mundur? Nic nie widzę. Gestapowiec...

Wygląda jak pirat. Jakaś bezsensowna czerwona apaszka na szyi. Pijany. Podchodzi. Zagląda w oczy. Mówi:

– *Jüdin.*

Sięga do kabury po pistolet. Ona patrzy na zwłoki półnagiej kobiety ze wzdętym od trupich gazów brzuchem. Brak tchu. Chce zdjąć z lewej dłoni pierścionek z szafirem. Nie może. Ręce drżą. On pomaga. Zdiera z jej drugiej dłoni jeszcze jeden pierścionek. Popycha. Dziewczyna wsiąka w smolistą chmurę. Nie wie, dokąd idzie. Przed siebie. Stąpa między trupami. Z domów wybiegają jacyś ludzie. Mężczyzna trzyma się za poderżnięte gardło, z którego tryska krew. Czterech ronowców gwałci kobietę na murku przed trzepakiem. Po obu stronach Grójeckiej płoną domy. Dym, śwąd, smród rozkładających się ciał, coraz więcej ludzi. Robi się z nich dziwny pochód, pielgrzymka donikąd. Kolumna skazańców. Rodziny, wózki, z dziećmi. Rzucają w pośpiechu ciężkie walizki. Ona niesie to idiotyczne futro...

A po co mi to futro?

Tam, na Radomskiej, wyrzuca je. Tam, na Radomskiej, z wypalonego budynku wypada trzech żołdaków. Ona już wie, co ją za chwilę spotka. Rzucają się na nią. Skąd w kobiecie nagle bierze się taka siła? Chwila trwa. Napastnicy zioną kwaśnym odorem. Są zarośnięci. Mają na rękach kilka, kilkanaście zegarków, po łokcie. Jednemu wisi u szyi budzik na sznurku. Ona walczy, szarpie się. Oni chcą ją zawlec do wypalanej bramy. Rozpinają rozporki. Ona ciągle się broni, gryzie i kopie. Ten z budzikiem na szyi uderza ją w twarz. I nagle w bramie – sylwetka. Niemiec. Oficer. Coś krzyczy. Wrywa ją z łapsk tamtych, którzy stoją skamieniali. Twarze zacięte. Ale wystraszone. Jeden odwraca się i oddaje mocz na ścianę. Ona:

– Błagam pana, *ich bitte*, niech pan mnie odprowadzi dalej.

– Kawalek.

Prowadzi ją Grójecką.

Stają.

– Dalej już nie mogę. *Ich kann nicht*. Tam jest *Durchgangslager*. Proszę iść.

Jak mu się odwdziaczyć? Wyjmuje z *Einkaufstasche* flakon *soir de Paris*. On zdejmuje zakrętkę i wypija duszkiem perfumowaną wodę. A potem znika w czarnej chmurze.

Ona idzie sama. Grójecką. W stronę Zieleniaka. Wtapia się w tłum, otepiały, przerażony. Znów dzieci w wózkach, starcy, chorzy niesieni na rękach. Zieleniak.

Moja matka:

Co się stało między moim zjawieniem się przed ogrodzeniem Zieleniaka, czyli obozu przejściowego zorganizowanego dla mieszkańców Warszawy, co się działo między dojściem do Zieleniaka a następnym fragmentem tragicznym mojego życia, nie umiem powiedzieć, po prostu nie pamiętam. Pamiętam tylko, że szarpiąc, postawili mnie pod ogrodzeniem, właściwie to był mur.

Za chwilę moja matka zostanie rozstrzelana. Widzi lufę karabinu maszynowego, słyszy szcęk zamka, krzyki i błagania o litość. I w tym momencie w skłębiony tłum, który za chwilę będzie stosem trupów, wpada pijany żołdak. Ronowiec wyciąga dłoń i chwyta brudnymi palcami złoty łańcuszek z krzyżykiem wiszący na szyi mojej matki. Chce go zerwać. Ona poddaje się szarpnięciu. Łańcuszek wrzyna się w szyję. Szyja matki krwawi. Żołdak ciągnie. Uparcie. Jak zwierzę wpatruje się w krzyżyk. Jeszcze jedno szarpnięcie. Jeszcze jedno. Jeszcze jedno i jeszcze jeden krok poza szereg ustawiony pod ścianą do rozstrzelania. Krew sączy się z szyi. Stoją twarzą w twarz. Moja matka sięga na kark, by odpiąć łańcuszek. Palce jej drżą. Udaje się. On nagle łapie ją za rękę, wyciąga z dala od szeregu. W drugiej ręce trzyma krzyżyk. Ciągnie ją do furtki w ogrodzeniu. Całą siłą wpycha moją matkę w bramkę. Seria z broni maszynowej. Na mur tryska krew, kule obłupują cegły.

Główna Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu ustaliła, że 5 sierpnia rozstrzelano tam ok. 20 osób, ok. 6 sierpnia – ok. 10, a 12 sierpnia – ok. 150 osób. Również na terenie przyległej do targowiska szkoły odbywały się egzekucje osób chorych i młodych mężczyzn wziętych z terenu punktu zbornego (wiadomo o ok. 80 osobach). Liczba rozstrzelanych na „Zieleniaku” jest szacowana na około 300 osób³¹.

Furtka. Mały stolik, krzeselko, na krzeselku siedzi żołnierz Wehrmachtu, sprawdza dokumenty. Moja matka podnosi wzrok i odczytuje napis, że to wejście do obozu przejściowego dla cudzoziemców. Niemiec:

– *Kennkarte*.

– *Alles verloren*, wszystko zgubione. *Luftwaffe*, wszystko spalone, zbombardowane. Niemiec przypatruje się mojej matce.

– *Name*.

Jakie nazwisko wymyślić? Francuskie... Jest taka kompozytorka... Słuchałam jej płyt... Jak ona... ta kompozytorka...

– Boulanger, Christine Boulanger. – I żeby jeszcze uprawdopodobnić, że jest Francuzką, moja matka dodaje: – *Toutes brûlé*. – I jeszcze odważniej: – *Que faites-vous à Varsovie?*

On chyba nic nie zrozumie, łypie spod hełmu. Wpuszcza za furtkę.

Muszę zniszczyć dokument...

Moja matka drze kenkartę na kawałeczki. Nogą wygrzebuje niewielki dołek, wrzuca do niego strzępki dokumentu. Przysypuje ziemią, udeptuje. „Schowek” jest tuż przy drutach kolczastych oddzielających kwaterę obcokrajowców od polskiego obozu. Nagle zza drutów:

– Pani Krysiu, co pani tam robi? – To zaprzyjaźniony adwokat.

Parę zdawkowych zdań wyjaśnienia. Pólszeptem.

– To nie ma sensu. Tutaj jest grupa, są pani znajomi z organizacji. Niech pani zrobi wszystko, żeby się do nas przedostać.

Dołek. Moja matka odkopuje podartą kenkartę.

Przełamłam przez druty, znalazłam się na Zieleniaku, w przejściowym obozie dla warszawiaków.

Dla towarzystwa Cygan dał się powiesić. A właściwie poszedł dla towarzystwa do piekła.

– Jezu Chryste... Czy to się nie skończy?...

– Nie – odpowiada kobieta w sukience w czerwonej kratkę.

Krystyna i kobieta w sukience w czerwonej kratkę cofają się w głąb tłumu. Przez bramkę wpadają pijani ronowcy. Od strony furtki słychać krzyk dziewczyny. Gwałcą. Najpierw jeden żołdak, potem drugi, trzeci, czwarty. Rozglądają się za następną ofiarą.

– Musi pani zrobić coś z tą swoją sukienką. Rzuca się w oczy – radzi Krystyna.

– A pani musi coś zrobić ze swoją urodą. Rzuca się w oczy – odpowiada kobieta w sukience w czerwonej kratkę.

Dziewczynę gwałci już piąty ronowiec. Krystyna patrzy na druty kolczaste. Na ażurowy mur okalający Zieleniak. Stoi za nim uzbrojony strażnik. Nie ma ucieczki.

Moja matka:

Ktoś krzyknął głośno, że na mur wdrapuje się młody człowiek. Nie wiem, czy to była prawda, [...] powiedzieli: „To jest syn Styki”. [...] ludzie mu pomagali, już go widziałam na szczycie tego muru.

Inna relacja:

I kiedy tak staliśmy czekając na naszą kolej, w pewnym momencie powstało w tłumie zamieszanie. Czarnomundurowy, być może Bahnschutz albo esesman specjalnych służb, wyciągnął z tłumu młodego chłopaka, może czternastolatka, i szarpiąc go za kapotę, bił i kopał gdzie popadło. Ten osłaniał się najpierw rękami, ale kiedy ta masakra nie ustawała, zerwał z siebie palto oddając ciosy na odlew. Obok na chodniku widać było rozwaloną walizkę z rozsypaną mąką i z jakimiś rozrzuconymi dookoła przedmiotami; wyglądały na łuski odpalonych naboju karabinowych. I trwała ta scena dostatecznie długo, żeby Mama, pozostawiwszy naszą grupę podeszła do stojących wokół kabrioletu oficerów i założyła protest na bestialstwo odbywającej się przed nami sceny. Niemieccy oficerowie mieli nieodmiennie przez tradycję militarną wdrożoną elegancję zachowania się, i dokonał się oto, przed moimi oczami, obraz salutowania, przysłuchiwania się, jakiejś dyskusji i... odsalutowywania. Mama wróciła z tej misji skonsternowana. Z jej relacji wynikało, że po wysłuchaniu jej protestu, jeden z oficerów w elegancki, ale stanowczy sposób powiedział do niej po niemiecku: „Zachciało się wam powstania, no to macie przedsmak bolszewizmu...”. W tym samym momencie esesman, który już zakończył torturowanie pokrwawionego chłopca, oddał go pod komendę „Ukraińca”, i w chwili, kiedy właśnie wchodziliśmy w bramę „Zieleniaka”, „Ukraińiec” wrzeszcząc prowadził chłopca pod lufą karabinu w kierunku tych wozów cyrkowych. I widzę nagle, jak chłopak odwraca się, a następnie daje susa między te wagony i biegnie... Biegnie ku tej ażurowej ścianie „Zieleniaka”. „Ukraińiec”, wrzeszcząc i wymachując karabinem rusza za nim; biegną też inni „Ukraińcy”; chłopak dobiega do muru, i tu następuje obraz, który pozostanie ze mną na całe lata. Widzę twarz chłopca, który odwrócony do nas przodem, uchwyciwszy prawą ręką zwieńczenie ściany, zamiera na moment w tym dramatycznym rozkrzyżowaniu, a następnie, trzymając się muru jedynie

prawą ręką, jednym susem przeskakuje mur. „Ukraińcy” dobiegają do muru i korzystając z jego ceglanej ażurowości strzelają raz za razem przez te otwory. W kilka chwil później, kiedy my dołączyliśmy już do reszty tłumu na środku placu, widziałem jak kilku „Ukraińców” przerzuciło przez mur czyjeś zwłoki, i wdeptało je do wykopanej obok dziury. [...] Ten chłopak, jak się później okazało, był podobno synem znanego malarza, bodaj Tadeusza Styki³².

Gwałty, morderstwa, przedwczesne porody kobiet. Płacz noworodków zmieszany z krzykiem gwałconych i strzałami. Noc. Zimno. Wilgoć. Tłok. Jak śledzie w beczce.

– Proszę pani...

Krystyna odwraca się w stronę głosu. Jakaś starsza kobieta stoi za jej plecami i trzyma coś w dłoni.

– Tak? – pyta Krystyna ledwo słyszalnym głosem.

– Czy to pani futro?

Po co mi futro? Futro, idiotyczne futro, futro odebrane z pralni, bo przecież to wszystko miało trwać trzy dni i można było z wypranym futrem wrócić do domu.

– Tak, to moje futro.

– Widziałam, jak pani je wyrzuciła. Podniosłam. Proszę, to jest pani futro.

– Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Futro nie jest idiotyczne. Na futrze rodzi kolejna kobieta, kolejne dziecko Zieleniaka. Można tym futrem otulić noworodka.

Krystyna śpi na stojąco. Ta od futra trąca ją łokciem.

– Niech pani nie zasypia. Przyjdą i zgwałcą. Jak się nie śpi, można się jeszcze jakoś obronić.

– Tak. Ma pani rację. Dziękuję.

– Pani taka ładna jak laleczka. Pani poczeka.

Ta od futra znika na chwilę w tłumie. Przynosi poszarpane kawałki białego płótna.

– Masz, laleczko. Owiń se tym buzię.

Moja matka owija twarz szarpami. Wygląda jak poraniony potwór. Przyszli. Znów przyszli. Znów będą gwałcić. Pochylają się nad noworodkiem. Jeden z nich podnosi uciętą pępowinę. Rechoczą. Zostawiają w spokoju i dziecko, i matkę, i futro. Przechodzą obok Krystyny. Poranionego potwora się nie gwałci. Chłód. Noc. Pragnienie. Nie ma wody. Już dosyć. Już zaśnijmy.

– Mamo, pamiętasz, jak dotarłaś do Pruszkowa?

– Nie pamiętam. Pamiętam, że piechotą.

– A sam obóz w Pruszkowie?

Mama zanurza się w myślach, milczy. Nie chce mówić. Na szczęście są zapiski sprzed paru lat.

To były hale fabryczne, beton. Była rozpacz. Z Pruszkowa bardziej tragicznym śladem idą moje wspomnienia niż z Zieleniaka. Może Zieleniak dlatego, że to była jedna noc, wstrząs okropny, reszta może się zatarała. Pamiętam siebie zabandażowaną, pamiętam sprawę futerka. W Pruszkowie pokotem leżeliśmy na betonie, głodni, spragnieni, zmarznięci, chorzy. Kręciły się oczywiście pielęgniarce, co mogłam, to z siebie dawałam jako przygotowana do takiej akcji. Powiem szczerze, że to była jakaś hala blisko torów kolejowych, ale co to była za fabryka, nie wiem.

To były zakłady naprawcze taboru kolejowego.

To było bardzo blisko, widziałam wagony. Znowu, tak jak na Montelupich, pomyślałam sobie: „Żeby się tylko stąd wydostać”. Gruchnęła wieść: rozdzielają rodziny, rozdzielają żony od mężów, rozdzielają dzieci od rodziców, straszne rzeczy. Działała jakaś pomoc. Niektórym się udawało czy kogoś przekupić, czy na zasadzie tak zwanego łutu szczęścia się wydostać. Znam ludzi, którzy z Pruszkowa się wydostali, ja się nie wydostałam, nie wiem dlaczego. Czy już byłam tak Zieleniakiem w jakiś sposób sponiewierana psychicznie, że zabrakło mi sił? Bo wiem, że się ludzie niektórzy uratowali.

Moja matka się nie uratowała.

Dziewczynka z tornistrem

Gehen auf den Plattformen! Raus!

Wyganiają ich na perony, zaganiają do wagonów bydłych. Ścisk, potworny ścisk. Duchota i smród. Pragnienie. Nogi bolą od stania, mięśnie, ścięgna, stawy zaraz pękają.

– Dokąd nas wiozą? Wie pan może?

– Wiem. Do Oświęcimia nas wiozą.

Przerażenie, zmęczenie, suchość w ustach i ból w trzewiach.

– Mamo, dostałaś chociaż coś do picia?

– Nie pamiętam... Chyba coś dostałam, bo przecież bym nie wytrzymała.

Stukot kół zamienia się w odliczanie sekund, minut, godzin. Ile tych godzin zostało być może do końca życia? Przez ściśnięty jak śledzie w beczce tłum przebiega fala, wybija się z niej jedno przerażające słowo: „Oświęcim... Oświęcim... Oświęcim...”.

Ci odważniejsi decydują: trzask zamka wagonowych wrót. Krystyna wspina się na palce, by spojrzeć przez zakratowane okienko. Widzi wysoki nasyp. Jakiś mężczyzna skacze w pędzie z wagonu. Toczy się z nasypu jak ludzka kula, na złamanie karku. Udało się? Nie wiadomo.

– Pani skacze.

– Ja?

– Pani młoda. Szkoda życia na koncentrak. Pani skacze.

– Jak mam skoczyć?

– Kucnąć, złapać się za kolana i się sturlać.

– Jak sturlać?

– Z nasypa. Jak pociąg będzie miał nasypa po prawo, to pani skacze i się sturla. Tylko tak się w sobie skulić, coby kręgosłupa nie połamać.

Wysuwam się przez zakratowane okienko, wznoszę się nad dachy wagonów, dym lokomotywy bije mnie w twarz i wgryza się w oczy. W dali widzę z prawej strony stromy nasyp. Oczy nie mogą znieść gryzącego dymu, okruszki węgla wbijają się w powieki. Wracam do wagonu, stoję przy mojej matce. Ona – w otwartych drzwiach. Nasyp coraz bliżej. Skoczy? Jest odważna.

Już! Już! Skul się, mamo. Skacz!

– Pani skacze czy nie?

Stuk, stuk, stuk.

– Nie. Nie skaczę.

On kuli się w sobie. Chwyta spracowanymi dłońmi za kolana. Drelichowe spodnie furkoczą od pędu i wiatru. Skacze. Z porażającą prędkością turla się w dół człowiek, przewala się po spadzistym pagórku. I nagle: strzał. Jeden, drugi, trzeci. Człowiek już nie jest ludzką kulą. Człowiek zamienia się w rozpostarte byle jak, zakrwawione zwłoki.

Stuk, stuk, stuk. Bydłce wagony z ludzkim towarem jadą dalej. Dym z lokomotywy zasłania widok.

Chrzęst stalowych kół. Stuk, stuk, stuk – coraz wolniej. Bydłęce wagony z ludzkim towarem zatrzymują się. Wzdłuż wagonów stoi szpaler ludzi. Podają przez okienka butelki z wodą, chleb, ser. Ujadanie psów. Wypuścili wilczury. Ludzie się cofają. Nie będzie wody i chleba. Pociąg rusza. Stuk, stuk, stuk.

Postój. Mignęła przez kraty nazwa stacji. Pabianice. Przy torach nie ma nikogo oprócz kilku wartowników. Pusto. Nie. Jest jakaś dziewczynka z tornistrem na plecach.

Dlaczego ona ma tornister? Przecież są wakacje, jeszcze nie zaczął się rok szkolny. Może po prostu to córeczka kogoś z obsługi stacji, może w tym tornistrze tatusiowi przyniosła drugie śniadanie czy jakiś obiad? Co ona ma w tym tornistrze? Ile ona może mieć lat? Siedem, osiem... Boże... Kartka, ołówek...

Ręce się trzęsą. Torba. Jest kalendarzyk z maleńkim ołówkiem. Krystyna pisze: „Proszę o zawiadomienie rodziców. Kraków...”.

Nie, nie mogę podać właściwego adresu... Podam adres cioci Gieni.

„Proszę zawiadomić rodzinę, Kraków, ulica Starowiślna 4 mieszkania 6”.

Zwinęłam, coś miałam ciężkiego, klucze od mieszkania miałam, w dziurkę od klucza wsunęłam kartkę, obejrzałam się jeszcze raz przez okienko, rzuciłam na peron.

Stuk. Klucze upadają obok bucików dziewczynki z tornistrem.

Chryste. Nie widzisz kluczy, dziecko? Podnieś je!

Dziewczynka z tornistrem rozgląda się czujnie. W lewo. W prawo. Jeszcze raz w lewo. Wartownik się odwrócił. Dziewczynka błyskawicznie przykucnęła. Hyc, klucze w maleńkiej dłoni. Parę dni później na Starowiślną przyjdzie kartka pocztowa. „Córka Krystyna wywieziona do Niemiec, kierunek Litzmannstadt. Pabianice – jakiś podpis – Adam, Tomisława Królikiewicz, Kraków, Starowiślna 4 m. 6”. Tę kartkę pocztową moja mama trzyma w szafce z pamiątkami.

Dziewczynko z tornistrem, jeśli jeszcze żyjesz, masz dzisiaj osiemdziesiąt lat. Roztropna, odważna, dzielna dziewczynko. Dziękuję w imieniu mojej matki i w swoim imieniu.

– Mamo, pamiętasz dalszą drogę?

– Nie. Musiało być strasznie, skoro wymazałam to z pamięci. Ale nie... Pamiętam, że zjechaliśmy na jakąś bocznice...

Z zapisków:

Ludzie z pobliskiej wsi przynosili nam jedzenie, rzucali pomidory, jabłka, chleb. Czasami trafiali w okno, a czasem nie. Podobno nasz przestój spowodowany był tym, że władze Szwajcarii interweniowały, żeby nie rozdzielać rodzin i dawać nam jeść.

Ten postój na bocznicy to był kolejny punkt zwrotny, prawdziwa zwrotnica w życiu mojej matki. Część składu pojechała do Auschwitz-Birkenau. Moją matkę wywieziono w inną stronę. Na zachód.

Obóz przejściowy. Miejscowość Boossen, tak zwany *Durchgangslager*. Makabra. Wyciągają ich z wagonów, biją na oślep.

– *Essen, polnische Schweine!*

Jakie to było żarcie, dla „polskich świń?”. Zgniłe ogórki, zgniłe pomidory, zgniłe kartofle. W zupie pływają robaki.

– Ludzie, nie jedzcie tego!

Ale wygłodniali ludzie nie słuchają mojej matki, rzucają się na jedzenie, a potem dostają biegunki i umierają z wycieńczenia, odwodnienia. Leżą martwi we własnych odchodach i wymiotach, póki ich strażnicy nie każą wynieść do grobowych dołów. Żyjących oblażą wszy i robactwo. Trzymają ich bez rozkazu pracy. Widocznie zastanawiają się, dokąd „polskie świnie” skierować.

Któregoś dnia w tłumie uwięzionych w obozie Krystyna dostrzega kobietę. Chyba znajomą? Tak, z pewnością twarz jest znajoma.

– Kochana, kupowałaś u mnie rzodkiewki na Dobrej! – rozpoznaje tamta moją matkę.

Okazało się, że znajoma z Dobrej pracuje w kuchni. Codziennie przynosi Krysi kawałek chleba.

– Jedz, lalka, na zdrówko. Jedz.

Krystyna ma ukryte dolary, bo w czasie ostatniego pobytu w Krakowie rodzice, jakby przeczuwając, że coś może się córce przytrafić, dali jej kilka dwudziestek. Kryśka nauczyła się już od ojca, jak ukrywać „skarby” na czarną godzinę. Dobra nauka dla nas wszystkich: zawsze mieć przy sobie parę ukrytych w podszewce dolców. Tym razem była to poduszka w żakiecie.

– Co to jest? – pyta kobieta z Dobrej.

– Dolary.

– Ty mi, kurwa mać, za chleb chcesz płacić zieleńcami? – Kobieta z Dobrej ma krwawy płomień w oczach, za chwilę udusi moją matkę.

Dobra kobieta z Dobrej była prostytutką.

Warszawa ciągle walczy, a „Goniec Krakowski” pisze:

Bolszewicy rozpoczynają akcję przesiedleńczą Polaków. Urzędowy komunikat moskiewski.

Sztokholm, 16 września. Radio moskiewskie donosi, że t. zw. „polski narodowy komitet” podpisał z ukraińską republiką sowiecką i białoruską republiką sowiecką układ w sprawie przesiedlenia Polaków z Białorusi i Ukrainy do Polski oraz na odwrót Białorusinów i Ukraińców z Polski na Białoruś i Ukrainę. Te osoby, jak donosi dalej Moskwa, które mają być przesiedlone z Polski na obszar ukraiński lub białoruski, zostaną umieszczone w kołchozach.

A na kolejnej stronie chwackie doniesienie:

Artyści koncertują dla pracowników. Koncert Filharmonji Generalnego Gubernatorstwa w garażach rządowych.

Kraków we wrześniu. W bieżącym tygodniu odbył się w garażach rządowych w Krakowie koncert dla pracowników, t. zw. Koncert robotniczy. Wziął w nim udział zespół Filharmonji GG, pod dyrekcją Dra Hansa Swarowsky’ego oraz soliści [...]. Pracowników zebranych na obszernym dziedzińcu [...] powitał krótkim przemówieniem prezydent Gutbord. [...]

„Każdy pracownik za wysiłek swój powinien dostawać nie tylko płacę i wyżywienie, ale należy mu się dać należytą strawę duchową”. [...]

Repertuar koncertu zestawiony był bardzo udanie. I tak: uwertura do opery „Sprzedana narzeczona” Smetany, Zielińskiego „Krakowiak”, a potem fragmenty „Halki” Moniuszki, między nimi zaś żywiołowy mazur. Na zakończenie odegrano uwerturę do opery „Rienzi” Wagnera.

Och doprawdy, łaskawca z prezydenta Gutborda, okupant już na dobre trzęsie

gaciami przed zbliżającą się nawałą bolszewicką. Pozwolił wreszcie zagrać *Krakowiaka*, ba, „żywiłowego mazura” z *Halki*. No, ale zwieńczono koncert, jak się patrzy, Wagnerem. Zerkam na gazetową fotografię, na której widać umęczone oblicza przymusowych robotników spędzonych na propagandowy koncert. A pod zdjęciem czytam podpis:

*Skupienie maluje się na twarzach słuchaczy*³³.

Chłopięca głowa

I wreszcie Krystyna trafia do obozu pracy. Zielenzig, dziś to polski Sulęcín w lubuskim. *Arbeitslager*, fabryka mączki kartoflanej. Barak więzienny przysposobiony z opuszczonego, zrujnowanego przyfabrycznego budynku. Czujecie ten odór? Brud i chemia mieszają się w powietrzu. Wyludnione miasteczko. Prawie wszyscy mężczyźni na froncie. Ale paru zostało. Między innymi – nie wiadomo z jakiego powodu – pewien niemiecki robotnik. Pojawia się każdego ranka z chlebakiem na ramieniu. Przysiada ostrożnie na pryczy. Wyjmuje z torby śniadanie i niewielki termos z kawą. Dzieli się. Kilka słów, że żona ma działkę, że może uda się przynieść coś z tego ogródka i żeby się nie martwić, że kiedyś się to skończy. Raz będzie pomidor, kiedy indziej kromka chleba z margaryną i jabłko, jabłko, soczyste, pachnące wolnością jabłko.

– *Danke.*

– *Danken Sie nicht mir.*

Krystyna już nie może wytrzymać chemicznych wyziewów w fabryce. Głowa pęka jej z bólu. A na głowie krótko przystrzyżone włosy. Bo wszy. Jest okazja. Przeładunek kartofli. Zajeżdżają ciężarówki, opada kłapa, worki na plecy i kilkudziesięciokilowy ciężar trzeba nieść do fabryki. Ból w krzyżu. Krystyna nie jest fizycznie przygotowana do takiej pracy. Nie to co inni, ci pochodzący ze wsi albo robotnicy. Moja matka wraca do chemicznego odoru, od którego pęka czaszka.

Są chwile wytchnienia. Wśród wojennych pamiątek zamkniętych kluczykiem w brązowej szafce jest pliczek obozowych kartek ze znaczkiem, na którym pyszni się profil Adolfa Hitlera. Wolno było pisać listy.

Mama:

Kiedyś wszedł dyrektor Tobie, powiedział, że już jest czas na zbiór gruszek, że on ma kilka wielkich drzew owocowych. Kto się zgłosi, żeby zrywać gruszki? Zgłosiłam się po te gruszki. Trzeba było wejść na sam czubek, ale byłam tak szczęśliwa, jak siedziałam na tej gruszy! Pamiętam, że miałam robocze spodnie, napchałam gruszek, żeby się podzielić z sąsiadami, sąsiadkami. Trzeba było być bardzo ostrożnym, dlatego że oczywiście organizm był wyczerpany, wygłodzony, trzeba to było mieć na uwadze.

Innego dnia pojawia się bauer ze wsi. Potrzebna siła robocza na kartoflisku. Więźniowie ustawiają się w szeregu jak niewolnicy na targu. Napiętnowani naszywkami z literą „P”. Bauer przechodzi wzdłuż szpaleru i wybiera krzepko wyglądających.

– *O, diese, diese mit dem Bubikopf.* Ta z chłopięcą głową. – Wskazuje moją matkę i zabiera ją.

– *Zu arbeiten, die polnischen Banditen!*

Ale praca okazuje się jeszcze cięższa niż noszenie worków z kartoflami. Początkowo wydaje się, że będzie dobrze. Jest kawałek słoniny, chleb, który nie przypomina wiórów, jest marchew. Lecz już po paru dniach Krystyna tęskni za chemicznym smrodem. Praca ponad siły. I jeszcze taki pech: obok pracuje Igor, Igor jest Ukraińcem,

sympatyczny chłop spod Drohobycza, zbieranie kartofli ma w małym palcu. Bauer stoi z batem i wali „polskich bandytów” biczem po plecach.

– Ej, Igor. Nie zbieraj tak szybko, nie umiem tak zbierać jak ty. Nie zbieraj tak szybko, proszę.

– Dobrze, Krystyna. *Ja budu staratyś.*

Igor się stara, zwalnia mimo świstów bata i wrzasków: *Schnell!*

– On się starał, ale to było ponad moje siły. I jeszcze zaczęło padać... tak... tamtego dnia deszcz, ulewa... Mieliśmy już po nocy wracać do fabryki. – Moja matka przymyka pergaminowe powieki. I ja swoje przymykam, czuję, jak strugi lodowatej wody wlewają mi się za kołnierz.

Bauer wrzeszczy:

– Worki na plecy i nieść do fabryki, *polnischen Banditen!*

Krystyna występuje z szeregu.

– Bauer! Dawaj nam konia!

– *Was?!*

– *Geben Sie Transport! Schnell!*

Bauer wpatruje się w chłopięcą głowę i uszom nie wierzy. Podnosi bat, by zdzielić chłopięcy łeb pejczem. Ale wizg bata ubiega warknięcie chłopięcej głowy:

– *Du bist Scheisse.*

Zatkało. Zatkało i bauera, i wszystkich więźniów. Chłopięca głowa buntownicza wydała przed chwilą wyrok na nich wszystkich. Ulewa wściekle szumi. Szwabski rolnik rozdziawia gębę i duka:

– Czy-ty-wiesz-co-to-jest *Scheisse?*

– Gówno. Po polsku „gówno”. – I Krystyna brnie jeszcze bardziej: – *Wir werden an Arbeitsamt schreiben*, będziemy pisać do Arbeitsamtu, doniesiemy, jak nas traktujesz.

Spienił się. Prawie mu z pyska kapie.

– *Ich werde an Konzentrationlager schreiben!* Wracać natychmiast do fabryki!!!

– Konia nam załatw! *Pferd!!!* – odwrzaskuje dziewczyna.

I znalazł się koń. Ale następnego dnia na dziedzińcu dyrektor zwołuje apel. Stoją w szeregu. Pojawia się bauer.

Boże kochany, zemści się. Wyślą nas wszystkich przeze mnie do obozu koncentracyjnego...

Bauer kroczy przed szpalerem, zatrzymuje się przed moją matką i przebija ją na wylot wzrokiem.

– *Nein, Bubkopf brauche ich nicht*, nie potrzebuję chłopięcej głowy.

Skurwiel się wystraszył, że ta Polka z krótkimi włosami poderwie obóz do buntu.

Chłopak w niebieskim kombinezonie

Warunki sanitarne były okropne. Co prawda myśmy sami kible musieli z fekaliiów myć, to też było w ramach naszej pracy, ale ukąsiła mnie mucha końska, jakaś mucha, co roznosi bakterie. Zrobił mi się wrzód. Jak przyszedł dyrektor, ten wrzód mu pokazałam.

Dyrektor Tobie patrzy na wrzód z wyraźnym obrzydzeniem, trochę z lękiem. Pewnie się boi, że mu się w obozie zaraza rozniesie.

– *Gehen Sie zum Arzt.*

– Do lekarza? – Krystyna unosi jaskółcze brwi w zdziwieniu. – Jest lekarz w obozie?

– *Nein.* Pójdiesz na Kirchestrasse 7.

– Gdzie jest Kirchestrasse?

Pucołowata twarz dyrektora Tobiego czerwienieje ze złości.

– *Sie Idiot! A gdzie ma być?! Za kościołem. Wszyscyście durnie, polscy bandyci. Ruszaj. Nie chcę mieć tutaj z wami większego gówna, niż mam. Raus!*

Tylko za pozwoleniem mogłam wyjść albo w celu spełnienia... Na przykład pan dyrektor Tobie zażyczył sobie, żebym sprzątnęła w jego willi mieszkanie, żebym nakarmiła króliki. Szłam przez miasto z wózkiem zapchanym trawą, różnymi roślinkami dla królików, z odznaką „P”. Na ulicy same kobiety, bardzo mało mężczyzn było. Potem mechanik był potrzebny w fabryce, miał budkę już poza terenem fabryki. Zdobywał jakieś jedzenie, częstował mnie, głowę myłam u niego. Musiał wyjść, bo byłam skromna panienska, nie mogłam zdjąć sukienki, spodni, bo to w spodniach, jakieś spodnie dostałam.

Wychodzę z matką za bramę fabrycznego obozu, wdycham razem z nią jesienne powietrze, czuję powiew dymu z ognisk, gdzie niemieckie chłopki palą zwiędłe liście, zgarniają je do ognia i myślą, czy płomień trawi ich mężów i synów, gdzieś tam, pewnie na wschodnim froncie, widzę, jak moja matka przyspiesza kroku, jak szumi jej w głowie od krótkiej chwili wolności, jak zapomina o wrzodzie palącym skórę, widzę, jak odprowadza wzrokiem ciężkie chmury, które suną nisko nad ziemią hen, za horyzont, a co jest za tym horyzontem? a jaka przyszłość? i mijam razem z matką ceglany kościół Świętego Henryka ze spadzistym dachem i sterczącą wieżyczką, i wreszcie staję przed numerem 7 na Kirchestrasse.

Doktor – nazwijmy go sobie Güsse – jest szczupłym, siwym mężczyzną, mocno już niemłodym i pewnie z tego powodu nie opatruje ran swoich pobratymców na wschodnim froncie. Doktor Güsse przygląda się z uwagą wrzodowi. Kręci z zakłopotaniem głową i coś mruczy pod pomarszczonym ze starości nosem. Pewnie sprawa kiepsko wygląda. Doktor odwraca się do szafki z narzędziami i wyjmuje z niej blaszaną kasetkę. Napełnia kontenerek wodą i stawia na węglowej kozie, żeby się narzędzia wygotowały. Krystyna już wie, że będzie cięcie. O, doktor Güsse uśmiecha się, marszcząc jeszcze bardziej kartoflowaty nos. Ogień szumi, szumią w głowie Krystyny słowa doktora Güsse:

– A kim właściwie pani jest?

– *Polnische Bandit* – odpowiada dziewczyna.

Doktor Güsse kiwa głową, uśmiecha się.

– A tak poważnie, w cywilu, kim pani jest w cywilu?

Kryśia zastanawia się i mówi trochę na wyrost:

– *Schauspielerin*.

– Aktorka? No tak... Nie może pani stać na scenie z takim gnijącym wrzodem.

Kryśia nawet nie czuje cięcia. Przed chwilą, przez kilka sekund była już aktorką. Przez ułamek czasu stała na scenie i widziała się w kostiumie... jakim? Czyjej postaci? Może Marii Stuart? Ofelii? Diany z *Fantazego*? Na Julię już chyba... nie... Julia musi być młodsza, a ona ma już, Boże, dwadzieścia trzy lata...

– Wypiszę pani trzy dni zwolnienia.

Dobroduszny doktor Güsse wypisuje co trzeba. Rozgląda się po ubożuchnym gabinecie. Wyjmuje z szafki rolkę papieru toaletowego. To zamiast bandaża. Bandaża brak. Wszystkie bandaże służą na froncie.

Boże, jak ja wyglądam w tym papierze toaletowym na głowie? Chyba strasznie.

Ma stan podgorączkowy, ale jest już poprawa. Tylko ten wygląd...

A jak na złość do baraku wszedł jakiś młody mężczyzna w niebieskim kombinezonie. Ona speszona odwraca wzrok. A on w dłoni trzyma skrzynkę z narzędziami. Tak jakoś mocno ją trzyma, tak pięknie. Rozgląda się, skłania głowę. Grzebie coś przy przewodach elektrycznych, grzebie i grzebie, tak jakoś pięknie grzebie, wreszcie odwraca się i mówi, takim jakimś pięknym, niskim głosem mówi:

– *Polonais?*

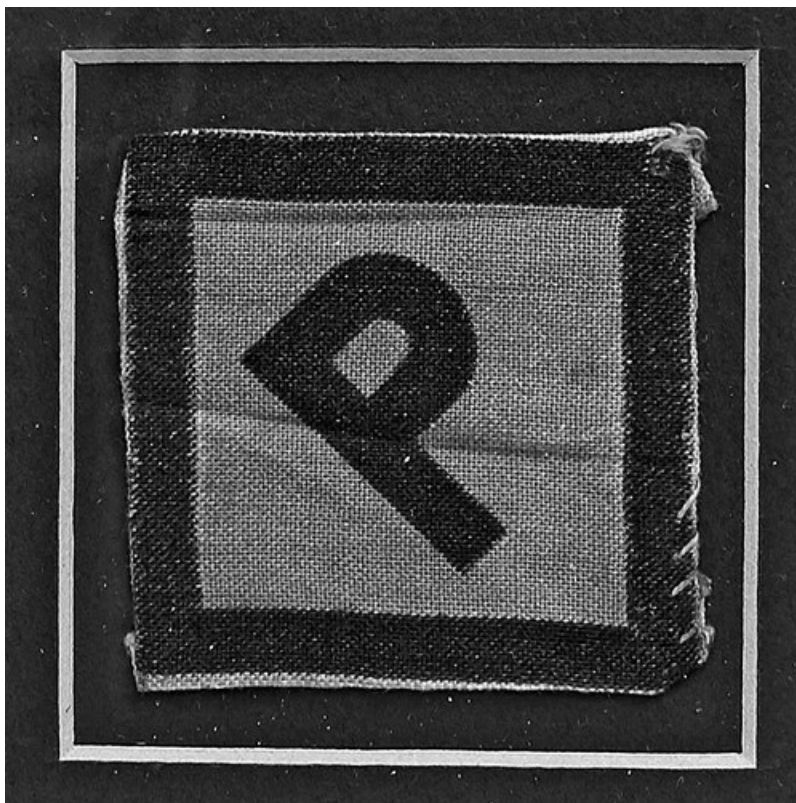
Boże, Francuz!

– *Oui*.

Odstawia skrzynkę z narzędziami, tak jakoś pięknie odstawia. Przysiada obok niej na pryczy.

Boże, jak on pachnie... Szarym mydłem, ale tak jakoś pięknie pachnie...

– *Parlez-vous français?*



Litera „P”, którą Krystyna Królikiewicz była oznaczona jako więźniarka w obozie pracy, do którego ją zesłano po powstaniu warszawskim.

– *Oui, je parle bien le français.*

Uważajcie! Nie wolno wam tak familiarnie rozmawiać!

Uważają. Rozmawiają krótko, nie wiem o czym, chyba o głupstwach, trochę znam francuski, ale nie tak jak moja matka. Z tego, co podsłuchałem, zrozumiałem, że chłopak w niebieskim kombinezonie ma na imię Jean-Claude. No, wreszcie Jean-Claude wraca do swojej grzebaniny w przewodach elektrycznych. Moja mama pozwala sobie wodzić za nim wzrokiem. Już całkiem zapomniała, że ma na głowie kretyński papier toaletowy. Obserwuje, jak chłopak chowa narzędzia w drewnianej skrzynce. Tak jakoś pięknie chowa te narzędzia. On mówi, że praca nieskończona, że będzie musiał jutro tu wrócić. Moja matka odprowadza go spojrzeniem. I nie może przez całą noc zasnąć, myśląc o niebieskim kombinezonie.

Wrócił. Ale wtedy Krystyna spała. O czym śniła? O kim? Tajemnica. Kiedy się obudziła, ujrzała w nogach łóżka termos, czekoladę, paczkę papierosów.

– *Bonjour, Christine. Qu'est-ce que vous rêvez?*

Ale Krystyna nie chce odpowiedzieć, co jej się przyśniło.

I Jean-Claude znów bardzo długo naprawia elektryczność. I znów krótko rozmawiają. I znów powiedział, że robota nieskończona. I że następnego dnia wykradną się z obozu.

Baliśmy się okropnie. Jakies takie pole było, gdzie był chmiel. W ten chmiel weszliśmy,

żeby nas nie było widać, ale króciutko bardzo, zresztą miałam „P”.

Czy spełnił się sen mojej mamy? Wstydzę się spytać. Niech się spełni. Niech wszystkie sny jej się spełnią. Niech chłopak w niebieskim kombinezonie wyjdzie ze ściany jej mieszkania i niech choć przez krótką chwilę będą ze sobą jeszcze raz. I niech pachnie chmielem i szarym mydłem.

Zapach. Można się nim nakarmić, można się nim nasycić.

- Dziewczyny, a pamiętacie, jak pachnie bigos? – pyta jedna.
- Ale taki świąteczny – uściśla druga.
- Z kawałkami mięsa, cielęcina, wołowina, wieprzowina – dodaje trzecia.
- I z kiełbasą wędzoną – wtrąca czwarta.

Na chwilę zanurzają się w pachnących wspomnieniach.

- A pierwsze truskawki... – budzi się z zamyślenia Kryśka. – Albo poziomki...

Pierwsze poziomki z bitą śmietaną... – Sama karci się w myślach za ulotną pokusę.

W trzy dni później do koleżanki z sąsiedniej pryczy przychodzi paczka żywnościowa. To znajoma mojej matki, z Grudziądza, Pomorzanka, ma rodzinę w Berlinie, więc ciotka może jej z tego Berlina wysyłać paczki. Święto! Paczka! Gównno, za przeproszeniem, nie święto. Koleżanka odwraca się plecami do wszystkich i wyjada smakołyki. Ani myśli się podzielić. Po zatęchłej celi powiał zapach suszonych moreli, rodzynków w czekoladzie i truskawkowej galaretki, zmieszał się z odorem chemikaliów i brudu, pożarł smród swoją wykwintną wonią, zakpił z wygłodniałych oczu więźniarek. Krystyna boi się, że wyraz jej twarzy zdradzi nienawiść, odwraca się do samolubnej dziewczyny plecami, zawstydzona swoją złością i głodem. Próbuje powstrzymać łzy. Próba jest udana.

Po latach spotkałam ją w Sopocie, ale nie podałam jej ręki, czytam we wspomnieniach.

Zapach pierwszych truskawek, malin, pierwszych poziomek. W naszej rodzinie jest taki zwyczaj, że kiedy witamy na stole nowalijki, trzeba się pociągnąć za ucho. I Krystyna teraz o tym myśli, patrząc na plecy tej z Grudziądza. A myśli razem z zapachem truskawkowej galaretki i wspomnieniem rodziny płyną z Zielenzig do ojca i matki, do Krakowa, na Dębny, na Praską 6.

Kto to jest? – pyta dwudziestoparoletni chłopak, patrząc na fotografię Krystyny stojącą na biurku Adama.

Nie ma co ukrywać, oczy mu się świecą, choć chłopak ma już narzeczoną, Zosię. Zosia mieszka w Oświęcimiu, a chłopak nazywa Marian Żużalek, jest Ślązakiem, jest akowcem, współpracującym z cichociemnymi. Za oknem grudniowa szaruga, pewnie zaraz spadnie śnieg, będą święta, mroczne i smutne, bo Kryśka w obozie.

- Wyciągnę ją stamtąd.
- Jak? – Głos Adama uniósł się do mocnego forte.
- Moja sprawa, panie majorze – odpowiada Marian.

Do Kartoffelmehl Fabrik przysłała kartka z Krakowa od ojca. „Spodziewaj się królewicza”.

Królewicza? Jakiego królewicza? Na białym koniu, w zbroi? O co tacie chodzi?

Dzień jest zimny i mokry. Krystyna wraca po dziesięciokilometrowym marszu od bauera. Zmęczona przysiada z menażką wstrętnej lury na pryczy. Nagle w drzwiach sali

pojawia się esesman:

- *Wo ist Kristine* Królikiewicz?
- *Ich bin Kristine* Królikiewicz.
- *Alle Sache einpacken.*
- Co?...

Krystyna traci oddech, w głowie kotłuje się przerażenie: Esesman, „pakować się”, jechać, dokąd?

- *Schnell, schnell!*

Krystyna staje na pryczy i zamiast pakować rzeczy do płóciennego worka, zaczyna je rozrzucić po celi. A po co jej to wszystko, skoro jedzie nie wiadomo dokąd, zabrana przez wrzeszczącego esesmana. A ten do niej warczy po niemiecku:

– *Schnell!* Co sobie myślisz, że będę długo czekał? Czy jestem jakimś *der Prinz*, królewiczem?

Błysk pod czaszką: kartka od ojca, „spodziewaj się królewicza”. Głębszy oddech, żołądek się uspokaja. Krystyna i „królewicz” idą szybkim krokiem przez fabryczne podwórze. I teraz na moment musimy się cofnąć o niecałą godzinę. Zapraszam, będzie ciekawie.

Do gabinetu dyrektora Tobiego wkracza nieznajomy esesman. Kładzie na biurku sfalszowane pismo reklamujące Kristine Królikiewicz.

- Ma być natychmiast zwolniona – syczy przez zęby „esesman” Marian Żużalek.

Opuchnięta od alkoholu twarz dyrektora Tobiego tężeje, szparki oczu przebiegają po linijkach dokumentu.

– To jest pismo z krakowskiego Arbeitsamtu. My tu mamy nasz własny urząd. I nic wam do mojej robotnicy.

– Załatwię to i w waszym Arbeitsamcie – paruje „królewicz” w esesmańskim mundurze.

- To niech pan najpierw załatwi, panie Sturmbannführer.

- Spiesz mi się.

- A mnie się nie spieszy. – Dyrektor Tobie wydyma pulchne policzki.

Marian sięga do chlebaka. Wyjmuje z niego butelkę francuskiego koniaku. Stawia na biurku obok brązowej miniaturki popiersia Führera.

- Mam pociąg za dwie godziny.

Dyrektor Tobie łakomym spojrzeniem głaszcze napoleona, przełyka suchość w gardle. Cedzi:

– Pański pociąg z pewnością nie jest napędzany koniakiem. Proszę to zabrać i przynieść odpowiedni papier.

– *Das sind meine Papiere!* – Marian wyciąga z kabury parabellum i z trzaskiem kładzie pistolet na blacie, aż brązowy Führer podskakuje. – To jest mój papier!

Dyrektorskie oczka robią się okrągłutkie i mocno przestraszone. Pulchne łapki szybko otwierają szufladę, wydobywają z niej kartkę, wieczne pióro i pieczętkę z gapą.

Tym sposobem teraz szybkim krokiem Marian i Krystyna opuszczają Kartoffelmehl Fabrik i prawie biegiem zmierzają do miejscowego Arbeitsamtu. W urzędzie pracy ze

zdziwieniem patrzają na więźniarkę i oficera SS. Podpisany dokument łąduje na biurku obok miniatarki Adolfa Hitlera i złocistego napoleona.

– Szybko! Zwiewamy, póki nas nie rozgryźli – pogania „królewicz”.

Dworzec. Pociąg.

– Gdzie?... Do wagonu *nur für Deutsche*? – pyta przerażona Krystyna.

– A gdzie? Jestem Deutsch. Ty też. I ani słowa. Gęba na kłódkę.

Pociąg zatłoczony, wypełniony żołnierzami niemieckimi. Przeważnie ranni albo na przepustce, wojenne niedobitki. Okropny ścisk. „Królewicz” zagląda do nabitego przedziału.

– Co jest? *Was is denn?* Wiozę kobietę, której mąż zginął na wschodnim froncie, jest w szoku, psychicznie chora. A wy tu, gnojki, tyłki grzejecie i żaden nie ustąpi bohaterskiej wdowie? Wstawać! *Raus!*

Wstaje jeden z ręką na temblaku, ustępuje miejsca Krystynie. O coś ją pyta, a Marian mu na to, ale tak, żeby wszyscy słyszeli:

– *Ruhe!* Nie mówiłem, że kobieta jest w szoku? Nie odzywać się do niej.

Mama:

To było moje pierwsze zadanie aktorskie. Musiałam się tak zachować, żeby zrobić wrażenie kobiety, która jest niezrównoważona, która nie słyszy, która jest chora po prostu. Ale przy okazji obserwowałam. Żołnierze mieli miny... Widać było, że byli przygnębieni, głodni byli, bo jak Marian wyjął z chlebaka kawał słoniny, scyzoryk, podzielił, to łapczywie jedli. To jakiś boczek był. Poza tym drugie moje spostrzeżenie to była organizacja. Mimo że już był popłoch, to na dworcach było pełno dziewcząt ubranych w popielate sukienki, kobiet w białych czepeczkach. Roznosiły, podawały przez okno ciepłą kawę, jakieś suchary. Były takie resztki organizacji, konająca organizacja, ale była.

„Królewicz” na kolejnych stacjach a to gdzieś znika przy kiblu, a to wyskakuje na peron. Wraca i dyskretnie klepie się po coraz większym brzuchu. To nie brzuch, to broń kupiona za kawałek kiełbasy albo boczku. Koniec 1944 roku, armia niemiecka głodna i w rozsypce. Kiedy dojadą do Krakowa, Marian będzie miał za paskiem ukryty niezły arsenał.

Moja mama nie pamięta, jak dojechali do Oświęcimia. Do Oświęcimia... do miejscowości, w której przez łut szczęścia dwukrotnie nie znalazła się za drutami. W Oświęcimiu mieszka Zosia, narzeczona Mariana. Będzie balia z ciepłą wodą, mydło, czysta pościel i sen. Dwudziestoparogodzinny sen. Z panią Zosią Żużalek, łączniczką cichociemnych, siostrą cichociemnego, moja mama utrzymuje do dziś kontakt. Wracajmy do opowieści. Są już bardzo blisko Krakowa. Lecz Auschwitz jest w Rzeszy. Jeszcze trzeba przemknąć przez zieloną granicę do Generalnej Guberni.

– Nie pamiętam, jak... Nie pamiętam... jak przeszliśmy...

– Choć jeden szczegół, mamó.

Dziewięćdziesięciosześcioletnia pamięć wysila się.

– Pamiętam, że było bardzo zimno... To pamiętam... i wilgotno...

Trudno. Co było dalej? Trzeba zajrzeć do spisanych wspomnień. „Królewiczowi” nie dość wrażeń. Jest już późna noc. Idą przez ciemne ulice Krakowa.

– Marian, godzina policyjna. Nie mam żadnych dokumentów.

– A co tam. Ryzyk-fizyk.

Patrol. I co? Teraz, kilometr od domu, cała akcja, porwanie przez „królewicza” ma spalić na panewce? Patrol ich nie zatrzymuje. „Królewiczowi” jeszcze mało emocji i adrenaliny:

– Zrobimy tak...

Dzwonek do drzwi. W progu – Adam i Muszka. Za progiem samotny Marian. W oczach rodziców przerażenie i rozpacz.

– Niestety, nie udało się – wzdycha „królewicz”.

Chwila ciszy i wyskoczyłam zza węgła. Widząc tatę i mamę, wpadłam im w ramiona. W trójkę płakaliśmy. Mimo że wojna się nie skończyła, byliśmy razem.

Ale wojna zaraz się skończy. Choć nie taka będzie Polska, jaką sobie wyśnili, nie taka, o jaką walczyli. W tej nowej Polsce Marian Żużalek zostanie aresztowany przez bezpiekę. Moja matka stanie przed sądem, by świadczyć o bohaterstwie „królewicza”. Nowa władza nie będzie kochała „królewiczów”.

Ze scen i estrad Krakowa.

„Kopciuszek” Ortyma. Wszystkie grzeczne dzieci w nagrodę za pilność i dobre sprawowanie – idą w środę o 2 ½ pop. do Starego Teatru na najpiękniejszą bajkę Tymoteusza Ortyma „Kopciuszek”. Będzie to przedostatnie przedstawienie tej cudnej bajki, w której udział bierze 82 osób, orkiestra i statyści.

„Jasełka polskie”. Wobec rozlicznych próśb – „jasełka polskie” Tymoteusza Ortyma – wystawione zostaną bezwzględnie po raz ostatni w sobotę o 2 pop. w Starym Teatrze. Niewidziane od lat wspaniałe to widowisko – baśń Nocy Bożego Narodzenia – wystawione z przepychem – z wszelką pewnością i tym razem zgromadzi tłumy dzieci i dorosłych.

No, bardzo ciekawe, czy „wszystkie grzeczne dzieci” obejrzą w przyszłą środę Kopciuszka i czy pełne przepychu Jasełka zgromadzą w sobotę tłumy dzieci i dorosłych. Raczej nie.

Fraszka patetyczna.

O, Panie! Co na tronie Iwanów zasiadasz,
Co starą „świętą” Rusią niepodzielnie władasz,
Co w konstelacji czterech zabłyśłeś najjaśniej,
O, wielki! wszechpotężny! Niech Cię piorun trzaśnie!
Czyżby? Zaraz zobaczymy, kogo piorun trzaśnie.

Spotęgowanie się intensywności działań bojowych na Wschodzie. Bolszewicy i Niemcy rzucają do walki dalsze rezerwy. Kraków, 17 stycznia. Zacięta bitwa olbrzymich rozmiarów, tocząca się od chwili rozpoczęcia ofensywy bolszewickiej, objęła dalsze obszary Generalnego Gubernatorstwa, przybierając wciąż na intensywności. Obie strony rzucają do walk coraz to nowe rezerwy żołnierza i nowoczesnego materiału wojennego. Odnośnie do obecnej fazy walk korespondent agencji „Tolepress” dowiaduje się z Berlina następujących szczegółów.

*W stolicy Rzeszy twierdzą, że wojna w Europie zbliża się pod znakiem obecnej ofensywy bolszewików do decydującego punktu kulminacyjnego. [...] Główne uderzenie armji czerwonej, prowadzone z rejonu na zachód od linii Baranów – Sandomierz, rozpoczęło się koncentracją sił, nie zaobserwowaną dotychczas nawet w toku tych ofensyw bolszewickich, które podjęte były na nieprzeciętną miarę. Wskazując na to, że dowództwu niemieckiemu zależy widocznie na zachowaniu swobody działania odnośnie do korzystania z jak najbardziej dogodnych warunków pod względem korzystania z rezerw operacyjnych, wspomniany komentator wojskowy podkreśla, że wojska niemieckie w tych miejscach, gdzie zaznacza się główny nacisk bolszewicki, zastosują taktykę elastycznych ruchów obronnych, zabezpieczających wszelkie możliwości przejścia z działań obronnych do działań aktywnych [...]*³⁴.

I tak dalej, bla, bla, bla. Zagłuszmy bełkot ostatniego wydania gadzinowego szmatławca o nazwie „Goniec Krakowski” potwornym hukiem. Most Dębnicki wylatuje w powietrze. Z willi na Praskiej wypadają z brzękiem wszystkie szyby. To wycofujące się wojska niemieckie osłaniają „działaniami obronnymi” swój odwrót, czyli jaśniej mówiąc, hitlerowcy biorą dupy w troki przed 1. Frontem Ukraińskim, którym dowodzi

marszałek Koniew. Trzeba tu zaznaczyć, że towarzysz marszałek Iwan Stiepanowicz Koniew ponoć zastosował taktykę, która ocaliła zabytkowe miasto przed zniszczeniami. Istnieje jednak teoria, że udało mu się to zrobić przez przypadek. Tak czy owak, gród nie został zniszczony przez artylerię. Wawel nie zamienił się w kupę gruzów jak warszawski Zamek. Ale wejście Armii Czerwonej pod Wawel miało niekoniecznie szlachetne akcenty.

Mróz wciskający się do willi na Praskiej 6 przez wybite okna osiąga trzydzieści stopni poniżej zera. Jakieś resztki w spiżarni. Dębniki są odcięte od miasta, most zerwany. Żeby zdobyć cokolwiek do jedzenia, trzeba się przeprowiać łodziami przez zamarznąłą Wisłę. Łodzie są zacumowane przy wałach.

Pamiętam taki obrazek, że szliśmy z ojcem wałem wiślanym, pełno trupów było niemieckich i sowieckich. Zatrzymałam wzrok na dwóch trupach: żołnierz sowiecki, rozdarty mundur, spodnie rozdarte, bez kalesonów, obdarty po prostu. W każdym razie obok leży Niemiec. Jak zobaczyłam, że miał jagerowską koszulkę i kalesony jagerowskie...

Stop, uwaga, bo zza tektury, która zasłania okno, dobiega warkot ciężarówki. Szczęk hamulców. Po chwili słychać tupot sapogów po schodach i okrzyki: *dawaj siuda!* Wpadają. Uzbrojeni w pepesze, pijani. Są już w pokoju. Rozglądają się. Jest ich dwóch. Jeden biegnie do łazienki, spuszcza wodę w muszli i myje w niej twarz. Tomisława staje w drzwiach:

– *U nas umywalnik jest’.*

– *Nie nado. Tak choroszo* – odpowiada radziecki żołnierz, myjąc się skromnie w kiblu. Muszka podaje mu ręcznik i mydło.

– *Bolszoje wam spasibo*, dziękuję, towarzyszko – mówi szeregowiec o błękitnych oczach.

Słowa mamy z zapisków:

Nawet nas tak bardzo nie okradli, muszę powiedzieć. Ładna skrzyneczka, zegarek, to wiadomo było, na to byliśmy przygotowani, budzik. Ale weszli do kuchni w pewnym momencie, a byli wszyscy, nie mówię, że bardzo pijani, ale po większej dawce alkoholu.

No właśnie. Ten drugi jest mocniej pijany. Podchodzi do Krystyny.

– *A kakije głaza...*

Wyciąga dłoń w stronę dziewczyny. Moja matka widzi tłusty brud za paznokciami żołdata. Czuje wyziwy bimbru z jego ust. Próbuje odepchnąć wyciągniętą rękę, ale ręka jest silniejsza i chwytą ją w pół. Żołdat rzuca moją matkę w stronę wnęki, gdzie stoi gościnne żelazne łóżko. Już odpina pasek. Nagle czuje gwałtowne szarpnięcie.

– *Zostaw ją!* – krzyczy zduszonym głosem major.

– *Nu czto wy?! –* dołącza się Tomisława.

Ale tamten nie ustępuje. Szarpie się z Adamem. Major jest silniejszy. Chwyta Rosjanina w pół i wali nim o ścianę. Żołnierz uwalnia się kilkoma ciosami pięści. Ze spoconej głowy spada uszatka ozdobiona czerwoną gwiazdą.

– *Na kogo ty rękę podnosisz, na krasnoarmiejca?! –* Wyciąga z kabury nagan.

Adam wypycha córkę na korytarz. Trzask. Otwierają się drzwi sąsiedniego mieszkania. Major:

– *Zamknij ją na klucz!*

Sąsiadka zamyka Krystynę w ubikacji. Nagle z klatki schodowej dochodzi odgłos

wystrzałów.

Boże kochany, zastrzelił ojca...

Major to doświadczony stary żołnierz. Chwyta rewolwer zaciśnięty w dłoni żołdata, wykrecą mu rękę. Pamiętam z dzieciństwa ślady po kulach na suficie kuchni i na klatce schodowej. Dopiero po remoncie w latach siedemdziesiątych „blizny” zostały zaszpachlowane. Tymczasem jesteśmy w grudniu 1945, na klatce schodowej przy Praskiej 6 trwa walka wręcz. Krystyna sparaliżowana przerażeniem, zamknięta przez sąsiadkę w ubikacji. Major obezwładnia żołdaka i wyciąga go za wszarz z willi na ulicę. Pisk hamulców przejeżdżającego willysa. W środku – lejtnant. Widzi rewolwer w jednej ręce cywila i radzieckiego żołnierza w drugiej garści. Adam wyjaśnia przez ściśnięte furią gardło:

– Chciał zgwałcić moją córkę.

Lejtnant robi się purpurowy na twarzy.

– *Ruki po szwam! Wasze imia, swołocz?!*

Tamten podaje co trzeba, nazwisko, stopień, oddział. I na tym właściwie interwencja się kończy. Łazik z lejtnantem odjeżdża. Żołdat zostaje. Adam kryje córkę i żonę w piwnicy na stercie węgla. Przykrywa je czarnym furmańskim kozuchem. Będą tam leżały dwie doby. Bo sowiecki żołdak będzie krążył wokół willi jak głodny wilk. Będzie świecił latarką przez okienko do piwnicy. A one będą sztywne ze strachu. Ale wreszcie sobie pójdzie w... No, wiecie gdzie.

O, i tak nastąpiła wolność. I jeszcze drobny epizod. Kiedy w Krakowie pojawiają się pierwsze oddziały polskiej armii, moja matka nie potrafi powstrzymać łez, patrzy na orzełka, co prawda bez korony, ale zawsze, podchodzi do żołnierza, dotyka munduru i mówi zdławionym głosem:

– Boże, polskie wojsko...

A żołnierz na to:

– No i chuj.

Kurtyna

Kiedy kurtyna idzie w górę, oczom widzów ukazuje się obraz: Ogród Saski. W tle empirowa fontanna zaprojektowana przez Henryka Marconiego, wzdłuż alejek przechadzają się warszawiacy, dziewiętnastowieczni, ale żywi, radośni, spokojni, a nawet leniwi. W łagodnym blasku słońca idzie zakochana para, przebiega gazeciarz, matka pcha wózek z niemowlęciem, biegnie urwis z kółkiem prowadzonym na kijku, stateczna para, dwoje staruszków, dziewczyna sprzedająca bukietki kwiatów. Perspektywa kwitnie zielenią, niebo błękitne, niezmacone żadną czarną hiobową wieścią. Warszawa. Żywa. Szczęśliwa.

Na widowni zapada martwa cisza. Słysząc siedemset oddechów, a potem przez publiczność przebiega fala szlochu. Nie ma braw. Jedno wielkie łkanie. Bo takie miasto już nie istnieje. Warszawa jest martwym gruzowiskiem, cmentarzem dwustu tysięcy mieszkańców. Parki i ogrody takie jak Saski usiane są mogiłami, z których ekshumuje się ciała. Warszawa to jedna wielka kostnica, nikt w Ogrodzie Saskim nie sprzedaje bukietów kwiatów, nie biega za kółkiem, nie przechadza się z dziecięcym wózkiem, fontanna Marconiego i sąsiedni Pałac Saski, są zniszczone. Nawet jeśli nad miastem wstaje słońce i ozświetla błękitne niebo, to razem z odbiciem promieni nad gruzami unosi się jeszcze trupi odór ciał powstańców, smród zwęglonych murów, ceglany pył zmieszany z pyłem kości mieszkańców getta. Ale:

Zaraz nazajutrz, tj:

Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc Dziewięćset Czterdziestego Piątego,

Kiedy skwierczące miasto

Dogorywało, jak ofiarna jałowica na religijnym stosie

I tylko drgawkami kończyn świadczyło o życiu,

Które było śmiercią,

I dyszało, konając, czadem spalenizny,

Jak sierść całopalnego zwierzęcia;

I kiedy po drabinach dymu

Już się w niebiosa wspinała Warszawa,

Aby dalekim prapokoleniom

Na wysokościach

Zaświecić kiedyś mitem astralnym,

Ognistą legendą,

A tutaj zostać wygasłym kraterem,

Kraterem wulkanu do dna wykrwawionym –

Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc Dziewięćset Czterdziestego Piątego,

Na rogu Ruin i Kresu,

Na rogu Gruzów i Śmierci,

Na rogu Zwałisk i Zgrozy,

Na rogu Marszałkowskiej i Jerozolimskiej,

Co padły sobie w płonące objęcia,
Żegnając się na zawsze, całując płomiennie –
 Zjawiała się pękata warszawska babina,
 Nieśmiertelna paniusia z chusteczką na głowie,
 Postawiła, dnem do góry, skrzynkę na ruinach,
Podparła ją – meteorem: jakimś szczątkiem Miasta
I zawołała nieśmiertelnym tonem:
„Do chierbaty, do chierbaty,
Do świeżego ciasta!”

Nie widziałem jej, ale widzę:
Łzy się toczą
Z jej – mimo wszystko – uśmiechniętych oczu.

Mogła się zjawić Niobą-Żałobą,
Furią wieszczącą, panią Hiobową,
Rachelą, dzieci swoje płaczącą –
I też by jej uwierzono.

Mogła przyfrunąć wiedźmą na mietle
Czy upiorycą w krwawiącym świetle
Dnia zgliszczowego –
I też by jej uwierzono.

Mogła – bajeczna Wielka Piotrzyca –
W patos jambiczny zestroić słowa,
Że nowy wstanie gród z rumowisk
„Na złość dufnemu sąsiadowi” –
I też by była prawdziwa...

Mogła stanąć na skrzynce wzniosłym monumentem,
Upozować się pięknie i zadeklamować:
„Per me se va nella città dolente” –
I nikt by się nie dziwił.

Ach, mogła wreszcie, Klio nie Klio,
Liwiusz w spódnicy,
Siąść na kamieniach wymarłej stolicy
I byle gwoździem na byle cegle
 Wyskrobać tytuł:
 „Od założenia miasta” – – –

*Ale ona – inaczej:
„Do chierbaty, do chierbaty,
Do świeżego ciasta!” [...] ³⁵*

Ten wiersz Tuwima był popisowym recytatorskim numerem mojej matki. I ten wiersz lepiej oddaje powojenną chwilę niż wysilone słowa przelane na twardy dysk w siedemdziesiąt kilka lat po wojnie, wojnie, która zrównała moje miasto z ziemią.

Jednym z pierwszych stołecznych budynków powstających z ruin – jak dziwnie współgrającym z wołaniem warszawskiej przekupki – stał się gmach Teatru Polskiego. Jego wskrzesicielem był Arnold Szyfman, ojciec i założyciel sceny przy ulicy Karasia 2. Otwarcie Teatru Polskiego miało miejsce jeszcze za czasów zaborów, w 1913 roku, nie inaczej, z inicjatywy wielkiego Szyfmana. Już rok po odzyskaniu Warszawy przez warszawiaków po II wojnie światowej odbyła się tu pierwsza premiera, *Lilla Weneda* w reżyserii równie wielkiego Juliusza Osterwy i z jego udziałem w roli Ślaza. Lille Wenedę grała Elżbieta Barszczewska. Moja matka, świeża adeptka, stanęła na scenie obok wielkich gwiazd. Ale wcześniej przez rok cały zespół wskrzeszonego teatru odgruzowywał budynek teatru z ruin.

– Mieszkaliśmy początkowo na Pradze, ale... ale Szyfman... – Mamie znów gdzieś uciekł wątek.

Spokojnie, mamó. Znam tę historię. Wysłuchiwałem jej setki razy, nie przywiązując do niej specjalnej wagi. Teraz, gdy moja matka przenosi się z wolna do innego wymiaru, odczuwam wagę uciekającego wątku i chcę te wspomnienia utrwalić. A zatem przywołuję je ze swojej pamięci. Dyrektor Szyfman zorganizował dla całego zespołu, nie tylko artystycznego, kwatery mieszkalne, wikt i opierunek. Dawny prywatny przedsiębiorca teatralny staje się nadzwyczajnym menedżerem teatru państwowego. Pierwsze powojenne chwile to czasy wielkich słów i podniosłych czynów. Pozwolę sobie użyć patosu, którego nie kryła moja matka, opowiadając o odgruzowywaniu sceny przez wszystkich aktorów, włącznie z największymi gwiazdami, Barszczewską, Wyrzykowskim, Andrycz, Osterwą, Lindorfówną, Broniszówną. Towarzyszyła im z łopatami i kilofami nieznana jeszcze młodzież aktorska. Moja matka snuła wspominki o przygotowaniach do pierwszej premiery, o tym, jak Szyfman ukląkł przed kurtyną i ucałował jej rąbek, zanim pierwszy raz się podniosła. Ów powojenny patos zawiera się w trzech słowach: „miłość do teatru”. Miłość do Warszawy i pragnienie, by życie na gruzach miało także smak „chierbaty i świeżego ciasta”. Nie będę tego rozwijał, bo zrobi się ckliwie. Proponuję przymknąć oczy i spojrzeć na żywy obraz Ogródu Saskiego, który na scenie wygląda zupełnie inaczej niż martwy park leżący niecały kilometr od budynku przy Karasia. Tak zaczyna się sztuka Józefa Korzeniowskiego *Majątek albo imię*. Jest 27 marca 1946, kilka tygodni po pierwszym przedstawieniu *Lilli Wenedy*. Moja mama wchodzi na scenę. Gra jedną z głównych ról. Reżyseruje sam Arnold Szyfman. Na gruzowisku spełniają się marzenia. Czy będą trwałe? Już za trzy lata komunistyczne władze przepędzą odnowiciela Szyfmana z dyrekcji, komunistyczna partia przegoni precz wielkiego pana Arnolda, który podniósł z ruin Teatr Polski.

Ale na razie podnosi się kurtyna, a na scenie żywy Ogród Saski, a na widowni gorzki

płacz.



Krystyna Królikiewicz na scenie z Ludwikiem Solskim, Teatr Polski w Warszawie (1946).

Papierosy bielomorkanał

Juliusz Osterwa, w którego reżyserii Szyfman wystawił pierwszą premierę na deskach Teatru Polskiego, był wybitnym reformatorem polskiej sceny. Zadebiutował w 1905 roku w Krakowie na deskach Teatru Miejskiego. Potem zdobywał szlify aktorskie i reżyserskie w Poznaniu i w Wilnie. Osterwa i Szyfman zetknęli się pierwszy raz w 1916 roku. Ich artystyczna przyjaźń zaowocowała wystawieniami na scenie Teatru Polskiego w Moskwie i Kijowie. Po I wojnie światowej Osterwa powrócił do Warszawy i rozpoczął swoją dożgonną misję teatralną, zakładając teatr laboratorium Reduta. Reduta przenosiła się do Wilna i Grodna, szerząc swoje oryginalne przesłanie artystyczne, oparte w dużej mierze na polskiej klasyce. Jak już wiemy, po II wojnie światowej drogi Arnolda Szyfmana i Juliusza Osterwy znów się zeszyły w podniesionym z gruzów Teatrze Polskim w Warszawie. Osterwa był także związany z Teatrem Słowackiego w Krakowie i rektorował Państwowej Szkole Dramatycznej w Krakowie. Jego główną ideową myślą krzewioną w Reducie było traktowanie sztuki scenicznej niczym świętego posłannictwa. Według filozofii Osterwy reforma teatru miała dotyczyć nie tylko inscenizacji i gry aktorskiej, ale wkraczała też w sferę społeczną. Artysta miał być w pełni odpowiedzialny za obywatelski oddźwięk swojej twórczości. Toteż czyniąc przesłanie najważniejszym kwantyfikatorem, Osterwa dążył do ascezy w inscenizacji i do bliskiego, prawie konfesyjnego kontaktu z publicznością. Praca zespołowa, także przy pracach technicznych, fizycznych stanowiła zbiorową odpowiedzialność. „Redutowcy” mieszkali wspólnie, złączeni zarówno umiłowaniem sztuki, jak i skromnym, wysoce etycznym życiem. Z czasem Redutę zaczęto nazywać komuną, zakonem. Praca nad rolą wymagała nie tylko techniki aktorskiej, ale też prawdziwego wysiłku intelektualnego. Słowo i jego znaczenie miały być drogą do prawdy. Bez gwiazdorstwa i taniej kokieterii. Osterwa czerpał z metody Stanisławskiego polegającej na jak najściślejszym wejściu psychologicznym w charakter postaci. Misję Reduty kontynuował Iwo Gall, a później Jerzy Grotowski. Do „redutowców” należała między innymi Danuta Szaflarska, współpracująca z Iwo Gallem Barbara Krafftówna, a także moja matka.

Wielki reformator Juliusz Osterwa zmarł 10 maja 1947 roku. Został pochowany w Krakowie na Salwatorze. Jednym z jego ostatnich życzeń było, by za trumną szły dwie młode aktorki: Krystyna Królikiewicz i Maria Biało-brzeska. Wola została spełniona.

Kraków... Bracia Królikiewiczze wrócili z wojny. Waclaw z niemieckiego oflagu. Pierwsze małżeństwo nie wytrzymało próby czasu. Mój ukochany stryj ożenił się z równie przeze mnie kochaną ciocią Stefą. Z tego związku narodzą się moje wspaniałe kuzynki Grażyna i Ewa, z którymi będę spędzał wielokrotnie wakacje w podhalańskim Witowie. Stanisław wrócił z Zachodu. Jego żona Jadwiga powróci z zesłania w Kazachstanie tak odmieniona cierpieniem, że w pierwszej chwili rodzina jej nie pozna. Wojenną tułaczkę zakończył stryj Mieczysław. Jego żonie Eugenii wkrótce

zostanie odebrana własność, drogeria. Ciocia Gienia będzie pracować na swoich skradzionych przez komunę włościach jako kierowniczką i sprzedawczynią. Tadeusz mieszka w niedalekim Mielcu. Z wojny nie wrócił jego syn, Tadeusz junior. Zabraknie Mariana, który zginął w pierwszych dniach wojny, Oktawiana, zamęczonego przez gestapo, i jego syna Zbyszka, również rozstrzelanego i pochowanego gdzieś w bezimiennej mogile. Polegli Królikowicze mają symboliczny wspólny grób na Salwatorze, niedaleko miejsca spoczynku Juliusza Osterwy i Andrzeja Wajdy. To piękne miejsce. Tuż przy kopcu Kościuszki. W pogodny dzień z cmentarza widać Tatry.

Kraków. Major Adam Królikowicz wsiada do pociągu jadącego do Warszawy.

Warszawa. Wiosna 1947 roku. Major Adam Królikowicz wysiada z pociągu na Dworcu Głównym. Odwiedza córkę mieszkającą razem z innymi aktorami w ocalałej z wojennej masakry kamienicy. Wspólna łazienka, wspólna toaleta, ale nikt nie narzeka, wszyscy są szczęśliwi, zadowoleni z tego, co mają, choć żyją na gruzach. Adam jest dumny z Krystyny. Córka ma już za sobą kilka premier, kilka ról, w tym, ba, Wandzię w *Grubych rybach* Bałuckiego w aktorskiej asyście i w reżyserii Ludwika Solskiego. Moja mama twierdzi, że prawie stuletni pan Solski jeszcze próbował ją podszczypywać w kulisach.

Ojciec wyjmuje z teczki wikt, który przywiózł z Krakowa: ozór cielęcy, do tego słoik chrzanu utarty własnoręcznie, bo Muszka zbyt wiele łez roni przy ucieraniu chrzanu.

– Tato, dlaczego ci się ręce trzęsą?

– Nie tam... Trzęsą się? Naprawdę? – Major coś przed córką ukrywa.

Ręce trzęsą mu się nie bez powodu. Adam za chwilę uda się na sekretne spotkanie do Akademii Sztabu Generalnego.

Gabinet komendanta. Szeroki uśmiech gospodarza. Sekretarka wnosi filiżankę kawy. Kawa i cukier są z pewnością darami amerykańskiej UNRRA. Ale reszta wyposażenia gabinetu nie jest z pewnością amerykańska. Pomińmy prozaiczną rozbiegówkę rozmowy i przejdźmy od razu do meritum.

– Mam dla pana, panie majorze, propozycję – mówi komendant w generalskim mundurze.

– Słucham – odpowiada krótko Adam, dziwiąc się, że komendant nie tytułuje go „obywatel majorem”. No ale komendant to oficer przedwojennego wojska. W przedwojennym wojsku nie było „obywateli”.

– Jestem krótko komendantem Akademii...

– Wiem, panie generale – przerywa major.

Generał sięga do kieszeni munduru. Wyławia z niej paczkę papierosów.

Zmiana, myśli major. „Demokratyczna” zmiana. Trywialna paczka, a nie żadna tam, broń Panie Boże, srebrna papierośnica.

– Zapalicie? – pyta komendant i natychmiast poprawia się: – Zapali pan, majorze?

Major przygląda się papierosom. Cyrylicą wypisana nazwa: „Biełomorkanał”.

– Nie, dziękuję. Proszę przejść do rzeczy, panie generale.

Biełomorkanał w ustach komendanta jarzy się od ognia zapalniczki. Dym wypływa mocną strugą.

– Chcę zreformować tutejszą uczelnię. Potrzeba nam takich oficerów jak pan, szef wyszkolenia kawalerii w Grudziądzu, człowiek z ogromnym dydaktycznym doświadczeniem. W ogóle myślę, że Ludowe Wojsko Polskie potrzebuje zmian. – Generał lekko ścisza głos: – Bardzo nam potrzebny polski, przedwojenny ciężar gatunkowy.

Adam Królikiewicz upija łyżeczek kawy. Jakoś mu się dłoń nie trzęsie. Ale kawa coś cholernie cierpka mimo dwóch łyżeczek cukru. Odważyć się? Chyba trzeba:

– A jaki ciężar gatunkowy przeważa w Ludowym Wojsku, jak nie polski?

– No, wie pan... Chyba nie muszę tłumaczyć. Potrzeba nam prawdziwych Polaków. – Głos komendanta cichnie do jeszcze bardziej dyskretnego *diminuendo*. – Dużo obcego elementu... Wie pan, nawet Urząd Bezpieczeństwa Publicznego jest... no wie pan... Proszę teraz nie dawać odpowiedzi. Proszę się zastanowić.

Major odstawia filiżankę. Patrzy generałowi prosto w oczy.

– Pan wie, że moi przyjaciele zginęli w Katyniu. Ten obcy element, Rosjanie, to pańscy obecni towarzysze. – Adam zawiesza głos, chwila zawahania, ale kończy myśl: – Strzelali polskim oficerom w potylicę.

Generał robi się tak purpurowy na twarzy, że wydaje się, iż z policzków zaraz tryśnie mu krew, a major się zastanawia, czy przypadkiem nie wydał na siebie wyroku.

– Pan ulega niemieckiej propagandzie, panie majorze.

Stop. W tym momencie przytoczmy *in extenso* kłamliwe słowa towarzysza generała, które kiedyś wyrzekł nad dołami katyńskimi:

Mamy obecnie broń w ręku, broń daną nam przez zaprzyjaźnionego sojusznika, przez Związek Radziecki, na który Niemcy nieudolnie usiłowali przerzucić zbrodnię tu przez nich dokonaną. Broń tę wykorzystać musimy dla wyzwolenia uciemnionej Ojczyzny i dla pomśzczenia tej wielkiej, niesłychanej zbrodni, której Niemiec tutaj dokonał.

Adam Królikiewicz nie przyjął propozycji generała Berlinga, dowódcy utworzonej w ZSRR 1. Armii Polskiej. Generał Zygmunt Berling już 8 października 1947 roku został odwołany ze stanowiska komendanta Akademii Sztabu Generalnego. Powrócił na stołek w latach 1948–1953. I w tym czasie w ramach czystki aresztowano przedwojennych oficerów Wojska Polskiego wykładających w Akademii. Mój dziadek powrócił do Krakowa. Wkrótce będzie musiał sprzedać willę. Nowi właściciele zgodzą się, by Tomisława i Adam zamieszkiwali dożywotnio w maleńkim mieszkanku przerobionym ze strychu. Major Adam Królikiewicz, ostatni szef ekwitacji w Centrum Wyszkolenia Kawalerii, pierwszy polski medalista olimpijski, będzie tkął dywany, by siebie i żonę utrzymać przy życiu.

Boże Narodzenie 1948. Numer podwójny. Cena 40 zł

A zatem łądujemy w 1948 roku. Co tam słyhać? Ano, już w styczniu w znanym nam krakowskim więzieniu Montelupich o wschodzie słońca rozpoczęto zbiorową egzekucję. Powieszono dwudziestu hitlerowskich oprawców, w tym komendanta obozu Auschwitz Arthura Liebehenschela. Wybuchła wojna domowa w Mandacie Palestyny. Członkowie żydowskiej organizacji paramilitarnej Hagana zdetonowali bombę podłożoną w hotelu Semiramis na osiedlu Katamon w Jerozolimie. Zginęło ponad dwadzieścia osób. To był dopiero początek krwawej walki z Arabami o Izrael. Ofiar będzie więcej. 12 stycznia na rozkaz Stalina zamordowano w Mińsku przewodniczącego Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego Salomona Michoelsa. Reprezentacja Polski w piłce siatkowej mężczyzn przegrała w Warszawie z Czechosłowacją 2:3. Na początku marca rozpoczął się proces rotmistrza Pileckiego oskarżonego o zdradę ojczyzny. Proces przebiegnie błyskawicznie, rotmistrz Pilecki zostanie rozstrzelany w dwa miesiące później w więzieniu na Rakowieckiej. W Łodzi otwarto Wyższą Szkołę Filmową. Nacjonalista Nathuram Godse zastrzelił Mahatmę Gandhiego. Odbyły się Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Sankt Moritz. Czechosłowacki minister spraw zagranicznych Jan Masaryk w niewyjaśnionych okolicznościach wypadł z okna swojego ministerstwa. Stanisław Skalski, najlepszy polski as myśliwski, został aresztowany pod fałszywymi zarzutami szpiegostwa na rzecz Zachodu. 6 czerwca zainaugurowano rozgrywki o drużynowe mistrzostwo Polski w jeździe na żużlu. Stany Zjednoczone przeprowadziły test bomby atomowej na atolu Eniwetok. Harry Truman podpisał ustawę o planie Marshalla. We Wrocławiu rozpoczął się Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, w stolicy ziem odzyskanych pojawili się Pablo Picasso, Irène Joliot-Curie, Julian Huxley, György Lukács, Fernand Léger, Roger Vailland, Salvatore Quasimodo, Paul Éluard. Serdeczny list przesłał Albert Einstein. W Londynie trwały XIV Igrzyska Olimpijskie. W sierpniu rozpoczęło się plenum KC PPR, z funkcji pierwszego sekretarza odwołano Władysława Gomułkę, podejrzanego o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. „Wiesława” zastąpił Bolesław Bierut, który dwa lata później każe zaaresztować towarzysza Gomułkę. 19 listopada ogłoszono wyroki w procesie przywódców PPS „Wolność-Równość-Niepodległość”, oskarżonych o szpiegostwo. Harry Truman wygrał wybory prezydenckie w USA, wcześniej piastował urząd z racji śmierci Roosevelta. Pod koniec roku odbył się zjazd zjednoczeniowy PPR i PPS. Tak oto zaczęła się nowa era. W Polsce rozpoczęła rządy tylko jedna partia, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Komuniści przejęli wszystko.

A co u Krystyny? Przeniosła się z Warszawy do Gdańska, gdzie w Teatrze Wybrzeże objął dyrekcję Iwo Gall, kontynuator misji Reduty Osterwy. Tu moja matka zagra największą sceniczną rolę w swoim życiu – Marię Stuart w dramacie Słowackiego, szkocką królową uwięzioną i ściętą z rozkazu innej kobiety władczyni. Mówi się, że jej kreacja i przedstawienie przeszło do historii teatru polskiego. Ale to będzie za pół roku. Na razie Krystyna przygotowuje się do wystawienia *Kobiety we mgle* Michała Rusinka, premiera ma się odbyć pod koniec stycznia 1949 roku. Święta 1948 będą nie takie jak

wcześniej. Moja matka jest mężatką. Wyszła za mąż za Jana Harasimowicza, dyrektora administracyjnego teatru. Mój ojciec spędził sześć lat okupacji w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Dwoje wojennych rozbitków wylądowało na polskim wybrzeżu.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia 1948. Niewielkie teatralne mieszkanie w Gdyni. Budynek stoi do dziś niezmieniony, jest teraz we władaniu Marynarki Wojennej. Gdy zdarza mi się być w tamtym miejscu, spoglądam w okienko moich rodziców. Teraz przysmykam oczy. Na okrągłym stole, jakiejś ponemieckiej schedzie, obok egzemplarza *Kobiety we mgle* leży grudniowy „Przekrój”. Zza szyby dochodzi szum fal zatoki, chyba jakieś echo syreny rybackiego kutra, sypie śnieg, a ja zaglądam na dalszą stronę tygodnika, gdzie wydrukowano okolicznościowy wiersz autorstwa Gałczyńskiego. Jeszcze tylko kontrolne spojrzenie na rodziców. Czy widzę małżeńską czułość w ich oczach? Czytam:

*Zakochani idziemy pod rękę
pod światłem Wielkiego Wozu.
A pamiętasz czarną udrękę,
gdy listy pisałem z obozu?*

*W snach jedynie widziałem wtedy
twoje oczy, Wisłę i most –
o, dni pełne strachu i biedy,
o, Kriegesfangenenpost!*

*Tyle lat zmarnowanych w udręce –
jak dwie siostry: groza i nuda.
Księżyc wisiał jak srebrne serce
na niemieckich kolczastych drutach;
rzekę bólu do dna wtędym pojął
i płynęły noce i dni,
z widłami w niemieckim gnoju
lub na pryczach w Strafkompagnie.*

*A dzisiaj przynosi noc nam
pocałunki i winogrona
i szumi jak wieczna wiosna
flaga, flaga biało-czerwona...*

*I znów ta uliczka pochyła
i tych klonów pod śniegiem rząd.
Wesołych Świąt, moja miła.*

Miła moja! „Wesołych Świąt”!³⁶

Odkładam „Przekrój” na stół. Patrę na rodziców, ciekaw, czy pójda „zakochani pod rękę” w „uliczkę pochyłą”, wśród „klonów pod śniegiem”? Hm. Raczej widzę w ich twarzach ślad „dni pełnych strachu i biedy”, w oczach ojca cień „lat zmarnowanych w udreće”. Podchodzi do stołu i poprawia po mnie niechlujnie rzucony „Przekrój”. Ojciec do przesady lubi porządek. Dzięki temu przetrwał obóz koncentracyjny. Niemcy zorientowali się, że jest bardziej pedantyczny niż oni. Umieścili go w laboratorium, w którym prowadzono eksperymenty na szczurach i myszach. Dzięki temu przeżył. Podjadał karmę przeznaczoną dla gryzoni. Ale nie ominęły go tortury i bicie. Kiedy za 28 lat stanie na progu śmierci, hitlerowcy nadal będą go w majakach okładali żelaznym prętem. Po śmierci ojca zrobię porządki w jego rzeczach. Na pudełkach do butów znajdę opisy „buty na pogodę”, „buty na niepogodę”, równiutko wklejone dziesięcioletnie rachunki za mleko dostarczane pod drzwi mieszkania. Ojciec jest starszy od mojej mamy o 11 lat. Pochodzi z ziemiańskiej rodziny, która miała majątek pod Smoleńskiem. Mój dziadek po mieczu też miał na imię Adam, był lekarzem, babcia miała na imię Barbara. Udało im się uciec podczas rewolucji przed bolszewikami tylko dlatego, że dziadek leczył za darmo okolicznych chłopów. Włościanie stanęli w obronie Harasimowiczów z siekierami i widłami. Ziemiańska rodzina przeniosła się do Warszawy, gdzie wiodła nader ubogie życie. Wcześniej osierocili dzieci. Ojciec, ambitny, skończył przedwojenną Szkołę Główną Handlową. Teraz pedantycznie administruje teatrem Iwo Galla. I równie pedantycznie poprawia „Przekrój”, leżący na stole obok filiżanki z parującą herbatą, obok świecącej czystością popielniczki, na której leży szklana fifka. Rzucam okiem na pierwszą stronę tygodnika.

WIELKIE DZIEŁO KLASY ROBOTNICZEJ – DOKONANE! PIERWSZY KONGRES POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ. Jednoczymy się jako awangarda walki klasowej polskiego proletariatu, jako przodująca siła narodu polskiego w jego marszu do socjalizmu i demokracji. Jednoczymy się, aby poprowadzić Polskę naprzód, do pełnej sprawiedliwości społecznej, do zniesienia wszelkiego wyzysku człowieka przez człowieka, do socjalizmu. [...] Kongres nasz jest rękojmią bezpieczeństwa Polski, jest gwarancją dalszego rozkwitu Polski, jej siły i wielkości. Na tym polega historyczne znaczenie I Kongresu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej! (Z referatu Prezydenta Bolesława Bieruta „O podstawach ideologicznych zjednoczonej partii).

Zerkam na ojca, chyłkiem przerzucam strony. Jestem na czwartej.

„[...] Jak każdy dzień panowania szlachty w w. XVIII zwiększał niewolę i ucisk ludu i zbliżał Polskę ku utracie niepodległości – tak każdy dzień panowania szlachty i burżuazji powiększa teraz ruinę Polski i zaostrza niebezpieczeństwo grożące naszej niepodległości”.

Słowa te wypowiedziane zostały przed blisko ćwierćwieczem, w okresie, gdy Piłsudski gotował właśnie swój faszystowski przewrót. [...] Zawierają one w skrócie wielką i tragiczną prawdę o dziejach Polski przedwrześniowej, prawdę, której w obliczu zaszłych wypadków nikt nie zdoła zaprzeczyć. A zacerpnęliśmy je z uchwały IV Zjazdu Komunistycznej Partii Polski. [...]

Ileż fałszu i kłamstwa użyto, aby zohydzić w oczach opinii publicznej tę partię, która prowadziła walkę o sprawiedliwość w Polsce i o jej niepodległość. Ileż wysiłku włożono, aby

jako zdrajców przedstawić ludzi, którzy – zbrojni w naukę Marksa i Lenina – potrafili już przed 25 laty wskazać jedyną słuszną drogę rozwoju naszej ojczyzny.

Już odrobinę mnie znudził i zemdlił patos towarzysza redaktora. Przerzucam szybko strony.

Po raz pierwszy w dziejach Warszawy miasto zostało udekorowane na Kongres według jednej koncepcji artystycznej. Po raz pierwszy zerwano z tradycją dzikiej „partyzantki” dekoracyjnej, która pstrzyła ulice w sposób niekiedy zupełnie nieudolny. Kierownictwa obu Partii Robotniczych poleciły tym razem pięciu architektom udekorowanie miasta, jako pewnej całości. W rezultacie powstała jednolita kompozycja artystyczna, niezrównana w swym dekoratywnym pięknie.

No cóż, od tego momentu możemy się spodziewać, że w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przez długi czas będzie obowiązywała „jednolita kompozycja artystyczna”, a „zbrojni w naukę Marksa i Lenina” oraz w karabiny i pistolety funkcjonariusze bezpieczeństwa rozprawią się za pomocą ołowianych kul z wrogami właśnie powstałej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

WSZYSTKIM CZYTELNIKOM SERDECZNE ŻYCZENIA WESOŁYCH ŚWIĄT SKŁADA „PRZEKRÓJ”. BOŻE NARODZENIE 1948.

„Jednolita kompozycja artystyczna” zaczyna z groźnym hukiem wypierać nowoczesne wizje twórcze. W sztukę wkracza obowiązujący dogmat zwany realizmem socjalistycznym. Nie będzie miejsca na eksperymenty Galla, na jego umowność, poetyckość, na scenografię nawiązującą do kubizmu, na całkowite zrezygnowanie z kurtyny. Iwo Gall zdążył jeszcze w Teatrze Wybrzeże wystawić *Homera i Orchideę* Tadeusza Gajcego, jeszcze wyreżyserował wspaniałe *Jak wam się podoba* i rzutem na taśmę wystawi porywającą *Marię Stuart* z Krystyną Królikiewicz w roli głównej. Ale w 1949 roku Centralny Zarząd Teatrów przenosi Galla wraz z częścią zespołu do Łodzi. Tu Gall obejmuje po Leonie Schillerze dyрекcję Teatru Wojska Polskiego, którego nazwę zmieni na Teatr imienia Stefana Jaracza. Łódzką sceną będzie kierował do 1952 roku, a potem zostanie bezwzględnie wyrzucony za niedostosowanie się do obowiązującej socjalistycznej doktryny. Nie będzie umownych architektonicznych scenografii, które tworzyły teatr skupienia, scenę czystego słowa i czystej emocji. Koniec. Finito. Na deskach Teatru Jaracza zagoszczą postępowe produkcyjniaki. Kolejni dyrektorzy będą musieli omijać szerokim łukiem współczesną zachodnią dramaturgię i postarają się jakoś ratować prestiż klasyką.

Razem z Gallem do Łodzi przenieśli się moja matka i ojciec oraz *Maria Stuart*, która z wolna musiała schodzić ze sceny. Szkocka królowa była skazana na ścięcie, a na jej miejsce wkraczały robotnice z produkcyjniaków. Na szczęście i nieszczęście „królewskie” warunki mojej matki nie predestynowały jej do ról proletariuszek. Toteż będzie grała Pulcherię w *Domu otwartym* Bałuckiego, Podstolinę w *Zemście* razem z Ludwikiem Sempolińskim w roli Papkina, Elizę w *Skąpcu*, Amelię w *Mazepie*, Hiszowską w *Pannie Maliczewskiej* Zapolskiej, Szimenę w *Cydzie* i – jakżeby inaczej – królową w *Królewnie Śnieżce* braci Grimm. Moi rodzice na początku pobytu w Łodzi zajęli skromne mieszkanko w zbiorowej aktorskiej kamienicy, a potem przenieśli się do nowo wybudowanego bloku przy Marynarskiej na Bałutach. Ojciec nadal czuwał nad administracją teatru. Wierni poglądom swojego mentora Galla – a Krystyna uległa wobec zapatrywań ojca – ani myśleli zapisać się do partii. Robiło się duszno. I nie tylko z powodów politycznych.

Ogólnie rzecz biorąc, konflikt serologiczny polega na niezgodności czynników Rh w krwi ojca i matki. W tamtych czasach ów konflikt ujemnego Rh z Rh dodatnim nie był tak łatwy do opanowania jak dziś. Wytworzone w organizmie mojej matki przeciwciała prowadziły do permanentnych poronień. Nie wymienię, ilu nieznanymi mi braci i siostr nie przyszło na świat z tego powodu, bo ich liczba jest nie do uwierzenia. A moja mama uparła się, że chce mieć dziecko. I wytrwała w tym uporze tak długo, aż postawiła na swoim. Poronienia miały różny charakter. Zawsze dramatyczny. Raz zdarzyło się to podczas próby na scenie. Nie wymienię nazwiska osoby, która do tego doprowadziła. Między moją matką i tamtą kobietą, partyjną towarzyszką, od dłuższego czasu narastał konflikt, buzował podskórnym z wielu utajonych powodów. Nie bez

znaczenia było to, że Krystyna jest córką sanacyjnego oficera. Nienawiść narosła do wybuchu. I wtedy w obronie mojej matki stanął Leon Niemczyk. Rzucił w towarzyszkę krzesłem, wrzeszcząc:

– Dosyć, kurwa mać! Ona jest w ciąży!

Po latach okazało się, że owa artystka była prawdopodobnie konfidentką UB. A moja mama i pan Niemczyk uwielbiali się do śmierci pana Leona. Dziś trudno sobie wyobrazić, jaką trzeba było mieć odwagę, by będąc byłym żołnierzem generała Andersa, rzucić krzesłem w wysoki czynnik partyjny.

Były też inne okoliczności poronień.

Dwudziesty dziewiąty października 1950. Niedziela. Dzwoni telefon. Ojciec podnosi słuchawkę. W jednej sekundzie robi się biały jak wapno.

– Janek? Co się?...

Ojciec odkłada drętwym ruchem słuchawkę na widełki.

– Ile mamy w domu pieniędzy?

Polskę Ludową biegnącą do komunizmu w ramach planu sześcioletniego ogarnęła zadyszka. Gospodarkę zaczęła dławić utajona inflacja. By problem sprytnie rozwiązać, wybrano banalnie prostą receptę. Ukradziono Polakom dwie trzecie ich oszczędności i przy okazji dokonano denominacji złotego. Całą akcję przygotowano w ścisłej tajemnicy. W sobotę 28 października 1950 roku w sejmie pod osłoną nocy wniesiono projekt ustawy o „zmianie systemu pieniężnego”. Posłowie zostali zatrzymani w budynku parlamentu, odcięto im dostęp do telefonu. W ten prosty sposób podpieprzono Polakom około siedmiu miliardów dzisiejszych dolarów. Wkłady bankowe i oszczędnościowe przeliczono w relacji sto do trzech, ale tylko do stu tysięcy starych złotych, posiadaną zaś przez ludność gotówkę wymieniano w relacji sto do jednego³⁷.

Fajnie, co? Ile to można zdziałać w imię prawa pod osłoną nocy, nocy z soboty na niedzielę. A zatem jest świąteczny ranek 29 października 1950 roku. Polska Kasa Oszczędności oczywiście zamknięta na głucho. Mój ojciec zgarnia, co tam jeszcze da się zebrać z domowych zaskórniaków, i biegnie do teatru, żeby wykupić bufetowe resztki. Potem szuka na mieście jakiegokolwiek otwartego sklepu. Czynne są tylko kwaciarnie.

– Panie, ciętych już nie ma, bo to wczoraj Tadeusza było.

Lekko wczorajsza kwaciarka jeszcze się nie orientuje, że nie ma już starych cen.

– Pani da te w doniczkach.

– Które?

– Wszystkie.

Tak oto przez długie, długie lata w mieszkaniu mojej mamy gościł ogród fikusów, aloesów i kaktusów. Kwiatowe pamiątki po komunistycznym szwindlu. Niestety, stres związany z wymianą pieniędzy skończył się kolejnym poronieniem.

Ale były i chwile jaśniejsze, przynajmniej dla niektórych. Bo dla towarzyszki, w którą Leon Niemczyk rzucił krzesłem, z pewnością nie. Po co by tu sięgnąć? Po „Trybunę Ludu”? A nie, zerknijmy tym razem do kobiecej prasy, może do „Przyjaciółki”.

PRZESTAŁO BIĆ SERCE WODZA LUDZKOŚCI – JÓZEFA STALINA.

Do Robotników, Chłopów i Inteligencji Pracującej!

Do Kobiet Polskich i Młodzieży!

Do Żołnierzy Polskich!

Do Narodu Polskiego!

Towarzysze i Obywatele!

Cała postępową ludzkość z najwyższym bólem przyjęła tragiczną wieść o zgonie największego Człowieka naszych czasów Józefa Stalina.

Wraz z narodami Związku Radzieckiego szczególnie głęboko i boleśnie przeżywa ten wielki cios naród polski, który Towarzyszowi Józefowi Stalinowi zawdzięcza swe wyzwolenie z ponurej hitlerowskiej niewoli, swe odrodzenie, odzyskanie prastarych ziem polskich, utrwalenie swej niepodległości.

Masy pracujące Polski wiedzą, że ich historyczne przeobrażenia społeczne, wyzwolenie z jarzma obszarników i kapitalistów, zdobycie władzy przez lud pracujący i umocnienie państwa ludowego, olbrzymie osiągnięcia w budowie nowego życia – wiążą się nierozdzielnie z braterską pomocą narodów radzieckich, z serdeczną troską i ojcowską opieką Wodza i genialnego Nauczyciela mas pracujących całego świata, Wielkiego Przyjaciela naszego narodu – Józefa Stalina³⁸.

Jeszcze tylko parę lat major Adam Królikiewicz będzie musiał tkać dywany. Cierpliwości.

Przyszło mi się na świat wreszcie 20 sierpnia 1955 roku. Osiem dni wcześniej umarła moja prababka Funia, Stefania Lilienstern z domu Miłobędzka. Nie doczekała chwili, kiedy jej ukochana wnuczka urodzi żywe dziecko, sama doświadczona „martwym urodzeniem” dziecka. Zabrakło parę dni. Moja matka prawie całą ciążę musiała dla bezpieczeństwa spędzić, leżąc przykuta do łóżka. Wraca myśl: ile trzeba mieć szczęścia, ile musi być zbiegów okoliczności, by pojawić się na świecie. Ile kul musiało ominąć moich przodków, ile wyleczonych ran, przypadków, zwrotów i zwrotnic, by pociąg z bydłymi wagonami pojechał na zachód, a nie do Auschwitz-Birkenau, ile trzeba mieć szczęścia, by ojciec przeżył Sachsenhausen, ilu trzeba było spotkać na swej drodze dobrych, pomocnych ludzi, ale też i złych, którzy mieli kaprys, by darować życie mojej matce, ile trzeba mieć szczęścia, by mimo wcześniejszych poronień donosić wreszcie udaną ciążę, ile trzeba mieć fartu, by pojawić się na tym pięknym nie pięknym świecie.

To było bardzo upalne lato. Dziesięć lat po wojnie. Nie ma jej w mojej krwi, ale czuję ją obecną w genach. Moją matką chrzestną została siostra ojca Janina, bohaterska sanitariuszka, uczestniczka powstania warszawskiego, a ojcem chrzestnym doktor Fiedler, ginekolog położnik, który pomógł mi przyjść na świat, opiekując się ciążą mojej mamy.

Jesień następnego roku też będzie gorąca. Zaglądam do „Przekroju” z 28 października 1956, numer 603, cena 1,10 zł. Olgierd Budrewicz pisze w nim:

Lud odzyskał swoich przywódców – przywódcy odzyskali lud.

Oczekiwano warszawskiego Plenum z wielkim zainteresowaniem, napięciem i nadzieją. Nikt jednak nie spodziewał się, że wydarzenia wkroczą w fazę tak dramatyczną. Z każdą godziną tężała atmosfera. Wkrótce po rozpoczęciu obrad stało się jasne, że Polska przeżywa moment historyczny.

Widziałem starych działaczy partyjnych, którzy po raz pierwszy od kilkunastu lat odnaleźli siebie. Widziałem ludzi, którzy po raz pierwszy od kilkunastu lat zbudzili się z obojętności i marazmu. Na wiecach warszawskich – Politechnice, na Żeraniu i gdzie indziej – żywi ludzie przemawiali do żywych, czujących i myślących ludzi. [...]

Warszawa – to miasto wspaniałe lecz lekkomyślne – kierowała się tym razem nie sercem tylko, ale i rozumem. Warszawa zdała swój egzamin dojrzałości politycznej.

Przed Politechniką straż studencka z biało-czerwonymi opaskami na rękawach utrzymywała wzorowy porządek. Robotnicy fabryk warszawskich zorganizowali stałe dyżury w nocy, patrolowali teren. W niedzielę przybyli do pracy, przeznaczając cały zarobek na Pomnik Bohaterów Warszawy.

W chwilach dziejowych wyrastają przywódcy. W trzech dniach, które wstrząsnęły Warszawą, jednym z przywódców stał się sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej FSO na Żeraniu, Goździk. To on apelował na Politechnice do tysięcy zebranych: „Uważajcie! Strzeżcie się prowokacji! Nie wychodźcie w większych grupach”. I studenci rozchodzili się w idealnym spokoju. Na wiecu w swojej fabryce powiedział Goździk: „Proszę wszystkich

pijaków o opuszczenie zebrania!” – i pijacy odeszli natychmiast bez szemrania.

Prowokacja wisiała w powietrzu. Radzieckie czołgi jechały już na Warszawę. Zatrzymały się dzięki interwencji Gomułki. No i towarzysz „Wiesław” zaczął rządzić PRL-em z wysokości fotela pierwszego PZPR. Zaczęła się odwilż. Czy to przypadek, czy celowo redaktorzy umieścili na piątej stronie „Przekroju” taką oto reklamę:

ZAPOBIEGA SKLEROZIE. Sok Czosnku. Do nabycia w aptekach, punktach aptecznych, drogeriach i sklepach zielarskich.

Jaki zapach dobrać do tamtych chwil? Może perfumy „Być może”. Nie, „Być może” będą produkowane za jedenaście lat. Ale nazwa peerelowskiej woni pasuje do tamtych chwil jak ulał. Cóż, skoro nie ma jeszcze „Być może”, pozostaje zapach konwaliowego mydła i woń rodzynek w czekoladzie, które niedługo rzucą na rynek do delikatesów. A jakie dźwięki towarzyszą odwilży? Oczywiście jazz. Niech *Wszyscy święci maszerują do nieba*. Można już mówić o świętych. Zwolniono z internowania kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zwolniono część więźniów politycznych. Major Adam Królikiewicz przestał tkać dywany. Wreszcie mógł się zająć pracą trenerską. Objął opieką odrodzony Krakowski Klub Jazdy Konnej. Zaczął intensywny romans z kinematografią, był konsultantem końskim na wielu planach filmowych, choć w wypadku jednej produkcji odmówił współpracy. Pewna sekwencja w wątpliwy sposób przedstawiała przedwojenną kawalerię. A ja już wreszcie nie muszę przymrużać oczu, by uruchamiać wyobraźnię. Mogę się odwoływać do własnej pamięci. Z łódzkich czasów kołaczą mi się w głowie jedynie strzępy obrazków, ale to i tak sukces, bo miałem wtedy dwa, trzy lata. Pamiętam, jak ojciec pojawił się w mieszkaniu z zagipsowanym obojczykiem, pamiętam przerażenie, kiedy mama zostawiła mnie samego w domu, pamiętam smak drożdżowego ciasta i smak mleka z butelki na spacerze po cmentarzu ewangelickim, a potem pamiętam mieszkanie na warszawskim Muranowie, jazdę na sankach z górki usypanej z gruzów getta, pamiętam przedmioty wykopywane z ziemi obok mirabelki, która przeżyła Zagładę, skarby z ziemi, w której co rusz natykaliśmy się na spalone cegły dawnego miasta, pamiętam osobne pokoje matki i ojca, pamiętam jego wyprowadzkę i dziwne spotkania z tatą raz do roku na święta, pamiętam, jak rodzice zaczęli do siebie mówić per „pan, pani”, pamiętam wakacje w Witowie na Podhalu, pod surowym okiem dziadka, który wyganiał mnie w pole na bosaka skoro świt, żebym się hartował, pamiętam, jak tę surowość łagodziła swoją ciepłą miłością ciocia Stefa, żona brata dziadka, Waclawa, pamiętam smak jagód zbieranych z córkami stryja Waclawa i cioci Stefy, Grażyną i Ewą, pamiętam szum latawców klejonych razem z dziadkiem, puszcanych nad górskimi stokami, pamiętam smak małego piwa z sokiem w góralskiej knajpie i słowa dziadka „tylko nic nie mów babci”, pamiętam kawaleryjskie opowieści Adama, który zaczął mi zastępować ojca, pamiętam, jak dziadek wrócił z olimpiady w Rzymie, dokąd zaproszono go jako doradcę polskiej ekipy, pamiętam szelest ortalionowego płaszcza, który to krzyk ówczesnej mody Adam przywiózł mamie z Italii, pamiętam miętowy posmak prawdziwej gumy do żucia i Jezu Chryste, smak pierwszej coca-coli.

Major, będąc po latach w Rzymie, miał okazję odwiedzić miejsca swojej młodości

spędzonej w szkole jeździeckiej Tor di Quinto. A także... Zresztą zamykam się, oddaję mu głos. Jest rok 1960.

W tłumie widzów, zwolenników tego porywającego sportowego widowiska rozgrywanego się na rozległych przestrzeniach leżących około pięćdziesięciu kilometrów za Rzymem, spotykam dobrze znajome mi twarze. Przeorani już wiekiem, latami doświadczeń, lecz o dziarskich jeszcze sylwetkach, zjechali tu z całego świata moi żyjący jeszcze koledzy – dawni znakomici jeźdźcy i współzawodnicy. [...] Wielu z nich, podobnie jak ja, nosi na sobie ślady licznych ciężkich wypadków i połamania.

Lecz zanim się rozpoczęły pełne emocji biegi, poszedłem samotnie pieszo na daleki spacer przez falisty teren Praton del Viaro. Chciałem z bliska, bezpośrednio zapoznać się z jego trudnościami.

Był wczesny, łagodny ranek. Spieczona przez wiele słonecznych upalnych dni ziemia oddychała zapachem drzew, ziół i skoszonych miejscami zbyt wysokiej trawy, chciwie wchłaniając wilgoć nocnej rosy. Jej brylanciki lśniły jeszcze w słońcu drżącymi kropelkami na zielonych rzesach krzewów. Tu i ówdzie odzywało się ptactwo, brzęczały owady i grały motyle. Gdzieniedzie czmychnął spłoszony ze snu zając, przemknęła wystraszona sarenka.

Na trasie przeszło 8-kilometrowego biegu na przełaj – cross-country – spotkałem zbudowane potężnych rozmiarów przeszkody. [...] Idąc od przeszkody do przeszkody, porwany urokiem bogactwa radosnej przyrody i rozległej przestrzeni, stawałem się coraz młodszy. Ubywało mi lat. Jak za dawnych czasów ponosiła mnie fantazja i chęć ryzyka. Po chwili zapatrzonej we własną przeszłość już galopowałem na wyśnionym koniu. Mknąłem zielenią terenu, po jego miękkim, puszystym dywanie. Po kolei zbliżały się ku mnie potężniejsze mi w oczach przeszkody. [...]

Roztropnie rozkładając wysiłek konia, jadę więc z uwagą napiętą wolą zwycięstwa jak łuk gotowy do strzału.

Zwielokrotniony tupot końskich podków. Bryzgi błota spod kopyt. Dym, huk armatnich wystrzałów. Szczęk i świst szabel. Cwał. Okrzyki: *Detenerlos!* Szarżę pod Somosierrą prowadzi wąsaty szwoleżer w mundurze wachmistrza. W pewnym momencie konie z twardej ziemi wpadają w galopie na bardziej miękkie podłoże. Ziemia staje się grząska, koń wachmistrza potyka się i zapada przednimi kopytami w wilczy dół. Szwoleżer wylatuje z siodła, z trzaśnięciem starych kości uderza w ziemię. Konie nigdy nie depczą leżącego ludzkiego ciała, ale tym razem są zdezorientowane hukami dział i tłumną szarżą. Kilka kopyt trafia w plecy wachmistrza. Stop. Zatrzymajmy ten moment w zamrożonym obrazie i cofnijmy nieco czas.

Jesień 1964 roku. Plan filmowy pod Piotrkowem Trybunalskim. Będzie kręcona trudna scena szarży na Somosierrę do filmu *Popioły* w reżyserii Andrzeja Wajdy. Adam Królikiewicz jest konsultantem do spraw końskich. Widzi, jak na plan zwożą rekwizyty i kostiumy: szable, mundury, czaka, jakże podobne do beliniackich uniformów z czasów jego młodości.

– Nie mogę się na to zgodzić, panie majorze – mówi reżyser.

– Panie Andrzeju, poprowadzę szarżę.

– Nie.

– Nalegam. Proszę.

Wokół gromadzą się jeźdźcy, kaskaderzy. Milczą. Czekają na decyzję. Za chwilę ma się odbyć próba.

– Adam, nie rób tego. Jesteś już... – próbuje oponować przyjaciel mojego dziadka, Ludwik Maciąg, wybitny malarz, w filmie grający epizod.

– No? Jaki jestem? Stary?

– Mięśnie już nie te. Odpuść sobie.

Siedemdziesięcioletni major nie odpuszcza. Dostaje mundur i czako wachmistrza. Charakteryzacja lepi sumiaste wąsy. Adam każe osiodłać ogiera. Staje na czele oddziału.

Gdyby koń się przewrócił, upadek nie byłby tak niebezpieczny, wachmistrz spadłby z mniejszej wysokości. Ale ogier potknął się, zapadł w wilczy dół. Major wyleciał z siodła jak pocisk. Kręgosłup mojego dziadka pękł w kilku miejscach. Rozklekotana karetka wioząca go do szpitala w Łodzi dopełniła tragedii. Już pierwsza diagnoza była wyrokiem: trwały paraliż nóg.

Andrzej Wajda i Daniel Olbrychski odwiedzili majora w łódzkim szpitalu. Przywieźli ze sobą szwoleżerskie czako, w którym mój dziadek spadł z konia. Czako zawisło u wezłowania łóżka, miało strzec starego żołnierza. Daniel Olbrychski wspomina:

Kiedy odwiedzałem go w klinice, twarz miał wykrzywioną grymasem bólu. Ale starał się uśmiechnąć. – Rómmel umarł na grypkę – mówił – a ja przynajmniej z szablą w ręku...

Karol Rómmel, mentor dziadka, olimpijczyk, wzór, ale i rywal. Cóż, jest pewna

nieściskość w tej anegdocie. Podpułkownik Rómmel zmarł w rok po śmierci Adama Królikiewicza. Ale co tam...

Ułańskie czako nie ustrzegło starego żołnierza. Paraliż zaczął postępować. Wkrótce major straci władzę w rękach, potem mowę. Będzie przez półtora roku konał w ciężkich męczarniach. Zostanie przewieziony do najlepszej w Polsce kliniki ortopedycznej, w Konstancinie, gdzie będzie go otaczał opieką sławny profesor Weiss. Wysiłki na nic się zdadzą. Gehenna i leczenie majora pochłona prawie wszystkie oszczędności mojej rodziny. Choć z całego świata odezwą się starzy jeźdźcy, a ze Stanów Zjednoczonych przyjaciele przyślą nowoczesny jak na tamte czasy wózek inwalidzki. Na próżno. Major nigdy na nim nie usiadzie, mimo usilnej walki z kalectwem, mimo uporu w ćwiczeniach i beznadziejnych prób rehabilitacji. Adam powoli będzie przegrywał w swoim ostatnim zmaganiu. W tych strasznych dla nas kilkunastu miesiącach moja babcia Muszka wykazała się nieprawdopodobną siłą, hartem i miłością do męża. Na okres męczarni dziadka przeniosła się do Warszawy, codziennie przez półtora roku wstawiała o piątej rano i dzień w dzień jechała PKS-em do Konstancina. Doglądała Adasia, wracała późną nocą. Samochód był w tamtych czasach luksusem. Znaleźli się pomocnicy, posiadający auta, raz na jakiś czas zawozili panią majorową do kliniki. Walnie przyczynił się do tego redaktor Bohdan Tomaszewski, pisząc w „Kulturze”:

Oto na planie pojawił się niezrównany jeździec – Rotmistrz Adam Królikiewicz. Był wielkim sportowcem, kiedy większość z nas była dziećmi, i na arcyślawnych hipodromach Włoch, Francji, Ameryki i innych krajów w latach dwudziestych zdobywał na Jaśku i Picadorze szarfy i puchary. [...] O tragicznym w skutkach upadku Adama Królikiewicza opowiadał mi Rafał Olbromski, czyli Daniel Olbrychski, młodziutki adept sztuki aktorskiej. [...] „Adam Królikiewicz puścił się wspaniałym galopem naprzód i pędził aż ziemia dudniła i dech zaparło w piersiach patrzących [...] Gdy wtem koń zachwiał się na mokrym gruncie. [...] Dostłownie parę dni przed wypadkiem rozmawialiśmy z nim na temat ryzyka. Mówił, że bardzo ryzykować w życiu nie wolno, widząc, że tak właśnie czynię podczas jazdy, którą opanowałem od niedawna. Lecz kiedyś wyrwało mu się, kiedy mówił o sobie. Zawsze ryzykował w życiu i będzie ryzykował do końca. [...] Ciesz się, iż ostatni raz siedział na koniu w starym szwoleżerskim mundurze.

\Adam Królikiewicz zmarł 4 maja 1966 roku. To było popołudnie. Przy śmierci majora byli obecni moja matka, babcia Muszka i profesor Weiss. Już wszystkie życiowe funkcje zamierały. Gnijące odleżyny zżerały ciało. Ból trawił mózg. W końcu najsilniejszy organ, serce, przestało bić.

Pamiętam:

Siedziałem w samochodzie przed szpitalem. Babcia i mama nie chciały, żebym patrzył na ostatnie cierpienia dziadka. Rozmawiałem z kierowcą o tym, czy trudno zrobić prawo jazdy. Wspominam kwitnące bzy w szpitalnym ogrodzie i ciepło późnego słońca grzejące mnie w policzek. Dwie kobiety wyszły ze szpitalnego budynku. Nie miały łez w oczach. Moja matka powiedziała ze spokojem w głosie:

– To już koniec.

Popatrzyłem na zielone liście na drzewach i kompletnie nie wiedziałem, co właściwie znaczy koniec. Miałem dziesięć lat. Teraz mam prawie sześćdziesiąt dwa i powoli

zaczynam rozumieć.

Pogrzeb dziadka odbył się na cmentarzu salwatorskim w Krakowie. Przetransportowanie trumny nie było prostą sprawą. Kilkakrotnie karawan zatrzymywały po drodze milicja i Służba Bezpieczeństwa. W kraju trwały demonstracje związane z milenijną wędrówką kopii obrazu jasnogórskiego, a właściwie pustej ramy, bo Gomułka zabronił Czarnej Madonnie pielgrzymować po Polsce. Pamiętam pierwszą antypaństwową demonstrację, którą widziałem w swoim życiu. W Krakowie z ulicy Szewskiej, opodal miejsca, gdzie pan Gotlib miał swój sklep, wyszedł tłum ludzi, skandując „my-chce-my-Bo-ga!”. Pierwszy raz poczułem zapach gazów łzawiących. Następnego dnia miał się odbyć pogrzeb dziadka.

Czy tu mieszka major Adam Królikiewicz? – Stoimy już przed drzwiami willi na Praskiej 6. Babcia Muszka zdretniała. Ma na głowie żałobny kapelus, moja matka wstrzymuje oddech. Patrę na starego, pochylonego mężczyznę w przenicowanym, zniszczonym prochowcu. Mężczyzna może nie wygląda na żebraka, ale na potwornie biednego.

– Major Królikiewicz... – Głos babci Muszki przedziera się przez ściśniętą krtań, Tomisława prześlizguje spojrzeniem po ubogim płaszczu i zniszczonej twarzy mężczyzny. – Major Królikiewicz nie żyje. Właśnie... właśnie wybieramy się na jego pogrzeb.

– Tak, wiem. Ja w tej sprawie. Nazywam się Michał Toczek. Major Michał Toczek, panie tego.

Znów przymykam oczy i widzę wspaniałego jeźdźca, bohatera polskiego sportu, przystojnego, prostego jak strzała polskiego oficera, widzę tryumfalny przejazd w Madison Square Garden, słyszę żarty i uwodzicielską loterię na pokładzie „Laplenda”. A potem na ten powidok nakłada się obraz nędzarza. Tak... Tak Polska Ludowa dbała o swoich przedwojennych bohaterów. Piszę te słowa i piecze mnie pod powiekami.

– Michał, to ty...

Babcia Muszka do tego momentu trzymała się dzielnie, ale na widok majora Toczka uległa emocjom i łzy pociekły z oczu. Kilka dni po pogrzebie przyjdzie upraszający list od majora, by odesłać mu „paltot”, przenicowany płaszcz, który nieopatrznie zostawił w maleńkim mieszkanku na ulicy Praskiej 6. A przecież to taka cenna rzecz.

Za trumną idzie kary koń. Czako szwoleżerskie stoi na półce. Patrę na nie codziennie.



Ostatnia fotografia Adama Królikiewicza, obok Andrzej Wajda; na planie Popiołów (1964).

Czy byłaś szczęśliwa, mamó? – Matka milczy.

Nie mam pojęcia, kto wychodzi teraz ze ściany. Jaki fantom. Ale ktoś z pewnością wychynął z muru, z cegieł odzyskanych ze spalonego getta. Może tragiczna królowa szkocka, Maria Stuart. Kładzie głowę na pniu, wołając *In manus tuas, Domine*. Kat uderza trzykrotnie mieczem w szyję królowej. Chwyta uciętą głowę za włosy, by ukazać tłuszczy swe dzieło, lecz włosy są peruką, głowa toczy się, brocząc krwią.

– Mogłam mieć większe szczęście na scenie.

Mogła mieć. Oprócz pracy i talentu trzeba mieć szczęście. Po przeprowadzce do Warszawy moja matka nie miała szczęścia. Nie dostała etatu w żadnym teatrze. Chwytała się wszystkich możliwych aktorskich zajęć, stworzyła w latach sześćdziesiątych scenę dla dzieci, opowiadała bajki w telewizji, wreszcie znalazła powołanie, ucząc sztuki aktorskiej. Ale marzyła, by stanąć na scenie w wielkiej roli. Już nigdy nie stanęła.

Głowa królowej toczy się po podeście.

– Byłaś odważna, mamó.

– Nie. Byłam zwyczajną kobietą. Pewne rzeczy, my z tamtych roczników... To normalne... Staralam się i tobie... To normalne...

– Co pani robi, pani Krystyno? Gdzie pani prowadzi syna? To dziecko.

Są takie kadry, które w każdą rocznicę marca 1968 pokazuje telewizja. Kościół Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Na schodach bazyliki demonstrują studenci. Tajniacy pałują ich po głowach. Te kadry są dla mnie *déjà vu*. Staliśmy z mamą po drugiej stronie ulicy. Za chwilę wachaliśmy gaz i uciekaliśmy przed milicją. Pierwsze takie przeżycie.

– Pani naraża dziecko, pani Krystyno. Wstyd.

– Tak. Miałam szczęście. Przeżyłam, bo...

– Bo? Mamó, dokończ myśl. Bo wierzysz w Boga?

– Wierzę.

Całym sercem dziękuję za miły list Mamie i Synowi. Bardzo chętnie będę widział u siebie Cezarego. Proszę omówić ze wspólnym naszym Przyjacielem Ks. Kazimierzem, by ustalić termin.

Błogostawi Mamie i Synkowi

+ Stefan Kd. Wyszyński.

Wwa. 27.4.71.

Tak się zaczęła długoletnia znajomość mojej matki z Prymasem Tysiąclecia. Razem z wymienionym w notce księdzem Kazimierzem Orzechowskim, byłym aktorem Iwo Galla, moja mama będzie łącznikiem między światem teatru a prymasem Wyszyńskim. Matka miała kłopoty z powodu tej działalności. Ale nic to w porównaniu z zaszczytem. W czasie stanu wojennego Kościół przygarnie artystów. A artyści odwdzięczą się, występując przed ołtarzami. Dawne czasy.

– Synku...

- Tak, mammo?
- ...szczęście...
- Tak, mammo?

Ani matka, ani ojciec nie ułożyli sobie życia po rozwodzie.

- Dożyłam wolnej Polski... ale...
- Słucham, mammo.

Cztery lata temu moja mama została awansowana do stopnia podporucznika za udział w konspiracji i powstaniu warszawskim.

- Jestem... dziś bardzo słaba... źle się czuję...
- Wiem, mammo.

Wiem. I patrzę, jak powoli gaśnie. Opadają pergaminowe powieki. Lecz ona zgasnąć nie może. Kilka tygodni temu skończyła dziewięćdziesiąt sześć lat. Już prawie nie wstaje z łóżka. I gdyby nie opieka niezłomnej pani Izy, prawdopodobnie powieki, cienkie jak różane płatki, już by się nie podniosły. „Szczęście”... Pewnie matka za chwilę powie, że ja jestem jej szczęściem. Nie cierpię takich ckliwych wyznań. Nie znoszę.

- Szczęście... Ty jesteś moim szczęściem...

A jednak to powiedziała.

- Synku...
- Tak, mammo?
- Chcę już umrzeć.
- Mammo. Nie ty będziesz...
- Panie Jezu... Proszę, zabierz już mnie stąd...

„Stąd”. Skąd? Za oknem czerwiec. Dziewięćdziesiąty szósty raz zakwitły lipy. Wystarczy? Za oknem... Co jest za tym oknem na muranowskiej ulicy oprócz szumu tramwajów i wyjących syren. Sanitariusze ambulansów protestują. Dziś w moim mieście przejdzie zielony marsz w obronie puszczy. Rząd nie chce przyjąć uchodźców. Gospodarka ponoć kwitnie razem z lipami. Wkrótce w Warszawie pojawi się Donald Trump. Po ściętej mirabelce, która przetrwała Zagładę, nie ma już śladu. Ale dobrzy ludzie zasadzą pestki wydobyte z owoców jej potomkini, z drzewka, które wyrosło gdzieś cudem pod Waszyngtonem. Czy to się nazywa życie zastępcze? Dziś islamiści nie wjechali w nikogo furgonetką. Prezydent Andrzej Duda życzy na twitterze udanych wakacji. „Pudelek” informuje, że Trybson pobił Najmana słomką ptysiową. Dziś są imieniny mojego ojca. Czy z nim także rozmawia w swoich zwidach moja mama? Z kim jeszcze wita się oprócz marszałka Piłsudskiego, babci Funi, Muszki i oprócz ojca. „*In manus tuas, Domine, W twoje ręce, Panie*”. Królowa schodzi ze sceny.



Krystyna Królikiewicz jako Maria Stuart (1949).

Panie Gotlib, jest tam pan?, wołam w myślach. Mam pana perski dywanik.

– Co z tą książką, synku?

– Już kończę, mam.

– A napisałeś o tej filizance po Miłobędzkim, żołnierzu napoleońskim?

Mamo, nie ma żadnej filizanki po żołnierzu napoleońskim, ciśnie mi się na usta. Ale nie mogę przecież jej tego powiedzieć. Idę szukać filizanki. Przymrużam oczy i znikam w ścianie.

24 czerwca 2017

Postscriptum: moja matka umarła 3 sierpnia 2017 roku.

Podziękowania

Moje podziękowania zacznę od osoby, której już nie ma z nami, od Waldemara Dzikiego. Waldku, to była nasza ostatnia rozmowa. Odwiedziłem Cię w Barcelonie na krótki czas przed Twoją śmiercią. To Ty podsunąłeś mi myśl, bym się wziął do spisania losów rodziny. Czy to zbieg okoliczności, że kiedy już nie było Cię na tym świecie, mój wspañiały redaktor prowadzący, Filip Modrzejewski, i dyrektor wydawnictwa zwrócili się do mnie z konkretną propozycją napisania niniejszej sagi? Moi Drodzy Wydawcy, namówiliście mnie na podróż, będącą jedną z najważniejszych wypraw w moim życiu, za co jestem Wam wdzięczny, bo pewnie bez Waszej inspiracji nie dane by mi było cofnąć się w czasie, odkryć wielu tajemnic, szczegółów, anagramów przeszłości. Myślę, że w jakiejś części ów czas przeszły jest naszym wspólnym dziedzictwem. Kolejną osobą, na której dłonie składam dzięki, jest opiekunka mojej mamy, niestrudzona pani Izabela Wysocka. Pani Izo, bez Pani wysiłku w opiece nad moją matką pewnie bym się rozsypał na części pierwsze. Dziękuję Pani za czułość, cierpliwość, wysiłek i troskę. Bez Pani pomocy w wyławianiu z pamięci mojej mamy drobiazgów dotyczących przeszłości nie powstałoby wiele stron tej książki. Dziękuję Grażynie Królikiewicz. Grażynko, Twoja pomoc w ułożeniu chronologii dat narodzin i śmierci braci Królikiewiczów jest bezcenna. Dziękuję Ci także za nasze wspólne chwile dzieciństwa i młodości spędzone w Krakowie oraz w podhalańskim Witowie. Twoi rodzice, ciocia Stefa i stryj Waclaw, będą zawsze w moim sercu. Grzesiu, zwracam się do Grzegorza Chrapkiewicza, dziękuję Ci za skontaktowanie mnie z panią Anną Maciejewską, która z wielkim wysiłkiem przetłumaczyła przy wsparciu swojej mamy trudne do odczytania dokumenty spisane w dawnym języku rosyjskim. Pani Anno, dzięki za Pani wysiłek, proszę się kłaniać mamie. Dziękuję także Noamowi Silberbergowi z Żydowskiego Instytutu Historycznego. Panie Noamie, pomógł mi Pan odnaleźć moich zaginionych w czasie przodków. To był jeden z najbardziej emocjonujących momentów mojej podróży. Dziękuję Grażynie Wolszczak, moim córkom Julii i Marcie i wszystkim życzliwym ludziom, którzy wspierali mnie w pisaniu tej sagi. Córeczki, ciągnijcie tę historię dalej. Dziękuję przyjaciołom i znajomym z Facebooka, którzy przyjmowali z życzliwością moje wpisy z fragmencikami tej opowieści. Dziękuję wszystkim duchom moich przodków za opiekę. Przepraszam Was, jeśli coś przeinaczyłem, jeśli zbyt poniosła mnie wyobraźnia, jeśli zbyt brutalnie uchyliłem rąbków tajemnic, ale – uwierzcie mi – spisałem Wasze losy jako część rzeczywistości, na którą składa się nie tylko lukier, ale i szczypta goryczy. Jeszcze raz Wam dziękuję, do zobaczenia. Mamo, dziękuję Ci, że jestem na świecie, choć ten świat jest tyleż piękny, ile koszmarny.

W pisaniu tej opowieści korzystałem z książek napisanych przez mojego dziadka, Adama Królikiewicza: *Olimpijska szarża* (Oficyna Wydawnicza „Ostoja” Marek P. Krzemień & Syn, Kraków), *Jasiek, Picador i ja* (Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, Warszawa 1958), *Od Nicei do Nowego Yorku* (wydawnictwo LEKTOR-POLONIA, Warszawa 1927). W części dotyczącej mojej matki wspomagałem się fragmentami jej

wspomnień umieszczonymi w książce *Łączniczki. Wspomnienia z powstania warszawskiego* autorstwa Marii Fredro-Bonieckiej i Wiktora Krajewskiego (W.A.B., Warszawa 2015) oraz zapisem wojennych reminiscencji znajdującym się w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. W innych miejscach pomocne mi były broszura *1 Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego* Jerzego Stanisława Wojciechowskiego (Oficyna Wydawnicza „Ajaks” przy współpracy Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy przy PAN, Pruszków 1995) oraz książka *Korzenie miasta. Warszawskie pożegnania* Jerzego Kasprzyckiego (Wydawnictwo „Veda”, Warszawa 1996). Z premedytacją zachowałem oryginalną pisownię w cytowanych materiałach prasowych i internetowych. I to chyba wszystko, co mam do powiedzenia.



Ta fotografia towarzyszyła Krystynie w jej ostatniej drodze.

Post mortem

Po śmierci matki znalazłem w jej dokumentach kartkę z odręcznym pismem o następującej treści:

Boże, dziękuję Ci, że pozwoliłeś mi dożyć sędziwego wieku. Dziękuję Ci, że wiodłeś mnie po Twoich ścieżkach i czuwałeś, bym wśród utrapień nie zachwiała się w wierze. Dziękuję Ci za Rodziców, którzy ukształtowali mój charakter. Dziękuję Ci za to, że wiele razy usłyszałeś mój głos wznoszący się do Ciebie z prośbą o miłosierdzie. Że łaska Twoja sprawiła, że dane mi było urodzić Czarka. Twój duch jest łaskawy, wiedzie moje wnuczki po drodze DOBREJ NOWINY. Błogosławię Pana, że szanują obyczaje przodków. Dziękuję za tak wielu przyjaciół, od których otrzymuję dar miłości. „Zachowaj mnie Panie, bo chronię się do Ciebie” – Krysia. 7. 06. 2007 r.

¹ „Gazeta Lwowska”, 25 kwietnia 1906; we wszystkich cytatach prasowych zachowałem oryginalną pisownię – C.H.

² Według <http://www.lvivcenter.org/pl/uid/picture/?pictureid=1346>

³ „Gazeta Lwowska”, 18 grudnia 1894.

⁴ „Gazeta Lwowska”, maj 1908.

⁵ „Gazeta Lwowska”, 1 sierpnia 1914.

⁶ „Ilustrowany Kurier Krakowski”, 14 sierpnia 1914.

⁷ Według <http://encyklopedia.naukowy.pl>

⁸ Według artykułu Stefana Żółtowskiego na podstawie zebranych materiałów historycznych i encyklopedycznych, z publikacji *Genealogia Rodu Żółtowskich*, autorstwa Michała Żółtowskiego z Łodzi, oraz materiałów z książki *Rodzina Żółtowskich w ciągu stulecia (Odnoga Urbanowska)* Jana Żółtowskiego z Czacza. Według <http://www.zoltowscy.pl/wp/2011/03/hrabiowie-html/>

⁹ Według: <http://www.sztetl.org.pl/pl/article/leczyca/5,historia/>

¹⁰ Według <http://lubelskie.regiopedia.pl/kategoria/historia/najlepsze?page=30>

¹¹ Według <https://gliniojeck.info/historia-sprzed-150-lat/>

¹² Według <http://www.polskatimes.pl/historia/a/1-pulk-szwale-zerow-czyli-jak-kwitlo-zycie-wojskowotowarzyskie-stolicy,11449518/> – autorka: Weronika M. Kowalska.

¹³ „Gazeta Warszawska”, 25 kwietnia 1921.

¹⁴ Według „Gazety Grudziądzkiej” z 1921 roku i strony <http://www.nowosci.com.pl/archiwum/a/zdarzylo-sie-7-czerwca-1921-roku,11113764/> – autor: Witold Witt, 7 czerwca 1921.

¹⁵ Według <http://www.dws.org.pl/viewtopic.php?f=20&t=124078> historia – autor: Piotr Czyżewski, 2009.

¹⁶ Jan Lechoń, *Poezje*, oprac. Roman Loth, BN seria I, nr 256, Ossolineum, Wrocław 1990, s. 55.

¹⁷ Julian Tuwim, *Wiersze wybrane*, oprac. Michał Głowiński, BN seria I, nr 184, Ossolineum, Wrocław 1969, s. 107.

¹⁸ Juliusz Słowacki, *Beniowski. Poema. Pięć pierwszych pieśni*, oprac. Juliusz Kleiner, BN seria I, nr 13, Ossolineum, Kraków 1923, s. 112.

¹⁹ Krzysztof Kamil Baczyński, *Niebo złote ci otworzę...* [w:] *Utwory wybrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1970, s. 122.

²⁰ *Słowacki – twórca mitu przeszłości narodowej*, „Czas”, 28 czerwca 1927.

²¹ Według <http://www.christiani.org.pl/sztuka/sprowadzenie-szczat-kow-slowackiego-do.html>

²² Juliusz Słowacki, *Przypowieści i epigrammaty / XXXV* [w:] *Dzieła Juliusza Słowackiego*, red. Bronisław Gubrynowicz, Księgarnia W. Gubrynowicza, Lwów 1909, tom I.

²³ Julian Tuwim, *Wiersze wybrane*, oprac. Michał Głowiński, BN seria I, nr 184, Ossolineum, Wrocław 1969, s. 142–144.

²⁴ „Kurier Warszawski”, 26 stycznia 1932.

²⁵ Fragment przemówienia Józefa Becka z 5 maja 1939 roku, po wypowiedzeniu przez Hitlera paktu o nieagresji oraz żądaniu przyłączenia Gdańska do III Rzeszy i autostrady eksterytorialnej przez Pomorze do Prus Wschodnich.

²⁶ Przemówienie ppłk. Wacława Lipińskiego z 18 września 1939. Transkrypt przemówień za: *Dziennik. Wrześniowa Obrona Warszawy*, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1989.

- ²⁷ Piotr Szubarczyk, *Czerwona apokalipsa*, Wydawnictwo AA, Kraków 2014.
- ²⁸ Według artykułu Krzysztofa Jakubowskiego („Tygodnik Ciechanowski”, 12 maja 2005).
- ²⁹ „Goniec Krakowski”, 8 października 1942.
- ³⁰ „Goniec Krakowski”, 1 sierpnia 1944.
- ³¹ Według http://dulag121.pl/encyklopediaa/zieleniak-punktzborny/_ftn1
- ³² Wspomnienia Jana Tereszczeki – Zieleniak 1944, <http://www.forumochoty.org.pl/printview.php?t=1369&start=0>
- ³³ „Goniec Krakowski”, 17 września 1944.
- ³⁴ „Goniec Krakowski”, 17 grudnia 1945.
- ³⁵ Julian Tuwim, *Ab urbe condita* [w:] *Pisma zebrane. Wiersze 2*, oprac. Alina Kowalczykowa, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 329–330. Pierwodruk: „Odrodzenie”, nr 3, 1949, s. 1.
- ³⁶ K.I. Gałczyński, *Wesoła Gwiazdka* [w:] *Poezje*, Czytelnik, Warszawa 1979, t. 2, s. 269.
- ³⁷ Według <http://ciekawostkihistoryczne.pl/2011/11/17/jak-komuni-styczna-wladza-ukradla-polakom-23-oszczednosci/> – autor: Rafał Kuzak.
- ³⁸ „Przyjaciółka” nr 11 (261).

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Ewa Olejarczuk-Rojewska
Korekta: Katarzyna Juszyńska, Małgorzata Denys

Projekt okładki: Krzysztof Rychter
Fotografie archiwalne przygotował Krystian Lipiec – lipieclipiec.tumblr.com

Skład i łamanie: Typo, Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4813-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo